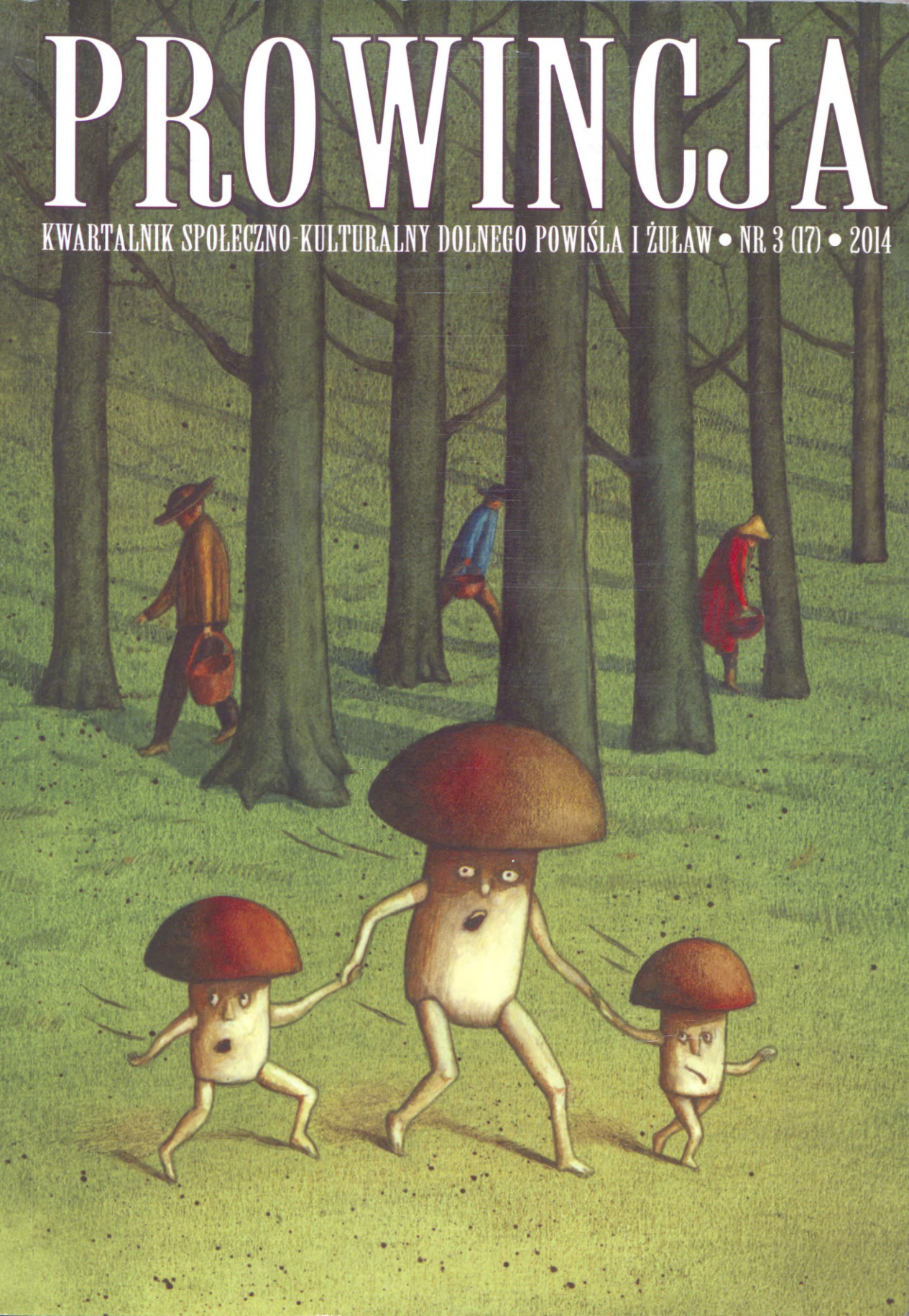


PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW • NR 3 (17) • 2014





Spółdzielcza Grupa Bankowa
Bank Spółdzielczy w Dzierzgoniu

Publikacja została dofinansowana przez
Bank Spółdzielczy w Dzierzgoniu



Wydawnictwo kwartalnika wspiera
Zarząd Fobos Invest:
Jacek Szarycki i Witold Zapolski-Downar



Publikacja została dofinansowana z budżetu samorządu
Województwa Pomorskiego w ramach programu
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2014 roku”

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. Josepha Conrada Korzeniowskiego
Pracownia Regionalna
przegródka poczt. Nr 447
80-958 Gdańsk 50
tel. 301-48-11 do 14 w. 237

PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW

Nr 3 (17)

2014

Redakcja

Leszek Sarnowski - redaktor naczelny
Wacław Bielecki - sekretarz redakcji
Marek Stokowski
Janusz Ryszkowski
Andrzej Kasperek

Okładka: Mariusz Stawarski

Ilustracje na III i IV str. okładki: obrazy Jacka Zwolaka

Druk: Drukarnia W&P
ul. Akacjowa 29, 82-200 Malbork

Wydawca:

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82-400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10, tel. 693 527 614
provincia@onet.pl

Redakcja składa serdeczne podziękowania za wsparcie naszej inicjatywy wydawniczej:

Andrzejowi Krzysztofiakowi, burmistrzowi Kwidzyna
Jerzemu Godzikowi, staroście kwidzyńskiemu
Wojciechowi Cymerysowi, staroście sztumskiemu
Leszkowi Taborowi, burmistrzowi Sztumu
Andrzejowi Rychłowskiemu, burmistrzowi Malborka
Miroslawowi Czapli, staroście malborskiemu
Kazimierzowi Szewczunowi, burmistrzowi Dzierzgonia
Jackowi Michalskiemu, burmistrzowi Nowego Dworu Gdańskiego
Ewie Dąbskiej, staroście nowodworskiej

Dziękujemy również za współpracę przy promocji kwartalnika:

Sztumskiemu Centrum Kultury
Dzierzgońskiemu Ośrodkowi Kultury
Kwidzyńskiemu Centrum Kultury
Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim
Stowarzyszeniu Inicjatywa Aktywny Malbork
Stowarzyszeniu Malborskie Centrum Kwadrat
www.marienburg.pl
www.tvmalbork.pl

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Kwidzyńskie Centrum Kultury
Sztumskie Centrum Kultury
Żuławski Park Historyczny w Nowym Dworze Gdańskim ul. Kopernika 10
Księgarnia „Bestseller” w Sztumie ul. Reja 13
Agencja Reklamowa „Aliem” Sławomira Michalika Sztum ul. Galla Anonima 8
Cafe Figaro, Sztum, ul. Władysława IV
Sklep papierniczo - biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5

Redakcja prowadzi również sprzedaż wysyłkową –
zamówienia można składać pocztą elektroniczną na adres wydawcy.

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy
– Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:
Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082-0291

www.prowincja.com.pl
Nakład 400 egzemplarzy

SPIS TREŚCI

Siedemnasta „Prowincja”	5
Poezja	
Alfred Kohn.....	6
Andrzej Lipniewski.....	8
Janusz Ryszkowski – Pisz po swojemu, poeto	10
Jan Majewski	12
Andrzej Grzyb – O Janie Majewskim. Moje ostatnie spotkanie z poetą	13
Elżbieta Musiał – Modłę się więc za wiek samotności	17
Proza	
Grażyna Kamyszek – Pamiętaj o Edel.....	24
Lech Brywczyński – Mała strata	34
Wędrowki po prowincji	
Andrzej Kasperek – Ostatnia	38
Małgorzata Łukianow – Zapomniane, pominięte czy niepamiętane?.....	48
Marta Chmielińska-Jamroz – Rajdy śladami żołnierzy podziemia niepodległościowego na Pomorzu i Podlasiu	54
Barbara Chudzyńska – Muzeum Żuławskie	58
Na tropach historii	
Jan Chłosta – „Aby z polskim ludem był polski ksiądz ...”	68
Andrzej Lubiński – Obchody rocznic narodowych na ziemi sztumskiej w drugiej połowie XIX wieku	75
Janusz Namenanik – Dzierżońscy wolnomularze	83
Bogumił Wiśniewski – Walka wywiadów w Korzeniewie	87
Justyna Liguz – Kroniki kryminalne sprzed lat.....	98
Wirginia Węglińska – Niezwykła czterdziestka	103
Karol Nawrocki – Sierpień wolności i solidarności w regionie elbląskim	110
Nieprovincjonalne rozmowy	
Marta Antonina Łobocka – Historia fabryki kapsulek z Drewnicy, rozmowa z Tomaszem Sosnowskim.....	116
Teodor Sejka – Myć okna w Australii, albo zostać naukowcem ..., rozmowa z Marzeną Psują Walkiewicz	120
Piotr Piesik – Wychował się na grach, rozmowa z Sławomirem Wiechowskim.....	126

Wspomnienia

- Angela Murche-Kikut – Niezapomniana Kalwa 130
Jerzy Bolesław Prociuk – Mój Elbląg i okolice 139

100 lat zakładu karnego w Sztumie

- Krzysztof Czermański – Początki Centralnego Zakładu Karnego Sztumie 147
Waldemar Kowalski – Śmiertelne ofiary represji systemu
stalinowskiego – wątki sztumskie 154

Galeria Prowincji

- Marek Stokowski – Jacek Zwolak – malarz z leśnej enklawy 158

Muzyka - Plastyka - Fotografia - Teatr

- Piotr Piesik – Muzyka na Żuławach 160
Wacław Bielecki – Koncert organowy w kościele św. Anny w Sztumie 163
Wacław Bielecki – Spokojny jazz ze smyczkami 166
Arkadiusz Kosiński, Rafał Cybulski – Wioska Cudów 168
Dorota Maluchnik – Festiwal Teatrów Ulicznych ma się dobrze 174
Tomasz Agejczyk – Fotograficzna wędrówka Hermanna Ventzke 177

Recenzje

- Andrzej Kasperk – Z dziejów nowodworskiego sportu 179
Andrzej Kasperk – Wielokulturowość kuchni pomorskiej 181

Okruchy i inne

- Andrzej C. Leszczyński – Okruchy 184
Maciej Kraiński – Niby bajki z mozaiki 190

Noty o autorach 193

SIEDEMNASTA „PROWINCJA”

Siedemnasta „Prowincja” jak zwykle wielokulturowa, wielowątkowa i wielostronna. Jak śpiewa od lat Olek Grotowski - „jesień idzie, nie ma na to rady”. I tak co roku, nieuniknione. Zatem jesienno-grzybowa jest nasza okładka, tradycyjnie ręką mistrza Mariusz Stawarskiego uczyniona. Kończą się upały, deszcze coraz częstsze, noce dłuższe i zima coraz bliżej. Nasze cokwartalne dwieście stron powinno na kilka wieczorów wystarczyć.

Na początek kilka strof Alfreda Kohna, Andrzeja Lipniewskiego oraz analiza poetyckiego dorobku Aldony Borowicz i Jana Majewskiego (na Jego niestety pożegnanie), autorstwa Andrzeja Grzyba i Elżbiety Musiał. Nowe opowiadanie Grażyny Kamyszek i debiutującego na naszych łamach Lecha Brywczyńskiego, dramaturga z Elbląga.

Andrzej Kasperek żegna ostatnią mennonitkę Panią Krystynę Weilandt, która w wieku ponad 90 lat zmarła kilka tygodni temu w Elblągu, a Małgosia Łukianow snuje refleksje nad upływającym czasem na wielokulturowym Powiślu. Barbara Chudzyńska opisuje początki Muzeum Żuławskiego, które powstało dzięki uporowi, pasji i determinacji miłośników historii najbliższej okolicy.

Jan Chłosta, Andrzej Lubiński, Karol Nawrocki, Bogumił Wiśniewski, Justyna Liguz, Virginia Węglińska opisują lokalne historie, od dziewiętnastowieczno-patriotycznych, kryminalno-ciekawostkowych, martyrologicznych, po wolnościowy zryw „Solidarności” na Powiślu i Żuławach. Krzysztof Czermański i Waldemar Kowalski kreślą z kolei szkice z historii więzienia w Sztumie, z okazji stulecia jego powstania. To ważny fragment historii miasta, bo trudno nie zgodzić się z jubileuszową konkluzją dyrektora więzienia Jana Morozowskiego, że *„nie ma Sztumu bez więzienia i więzienia bez Sztumu”*.

W nieprowincjonalnych rozmowach prezentujemy kolejne sylwetki ludzi z pasją. To Marzena Psuja Walkiewicz, sztumianka z urodzenia, a obecnie genetyk z Australii, pracująca nad odkryciem skutecznego leku na raka. To także Tomasz Sosnowski, właściciel apteki z duszą z Drewnicy i Sławek Wiechowski, nauczyciel i pasjonat gier planszowych ze Sztumu.

Angela Murhe-Kikut odkrywa po latach rodziną Kalwę, a Jerzy Prociuk, elbląski emigrant z Australii, odtwarza obraz powojennego Elbląga i Nowego Dworu Gdańskiego.

Wyjątkowo obfite, muzyczne lato recenzują Waclaw Bielecki i Piotr Piesik, a kwidzińscy redaktorzy – Rafał Cybulski i Arkadiusz Kosiński szkicują portret wyjątkowej „wioski cudów”, czyli Rodowa, w której od wielu lat zadomowili się artyści, wzbogacając przestrzeń publiczną swoimi pracami. W naszej galerii plastycznej tym razem, kontemplujący prowincjonalną rzeczywistość, Jacek Zwolak, malarz z Ryjewa. I na deser tradycyjnie kilka recenzji, gdańskie „okruchy” Andrzeja C. Leszczyńskiego i bajanie Macieja Kraińskiego z Waplewa.

A zatem kubek gorącej herbaty, filiżanka kawy, lampka wina lub smacznej, domowej nalewki i miłej lektury. Z nieustającymi podziękowaniami za obecność –

Alfred Kohn

X XX

W moim rodzinnym mieście
Czas się zatrzymał
Na zegarze kościelnym
Wciąż ta sama godzina

Orzyc jak przed laty
Leniwym nurtem płynie
Ostatni szczupak
Zasnął gdzieś w głębinie

W parku przy żabach
Ci sami ludzie – tylko twarze starsze
Upadłe anioły- miejscowa bohema
Zbierają po grosiku na flaszeczkę wzruszeń
I tęsknią za Makowem którego już nie ma

Pamiętam tamto miasto jakby wczoraj
Na rynku tu gdzie szalec była piaskownica
Toczyliśmy wojny na drewniane szable
Graliśmy w palanta, w kapsle na ulicach

Codziennie wczesnym rankiem od ulicy Dunaj
Łojek gnała krowy na łąkę za rzeką
Wieczorem szło się do Niej z dwulitrową kanką
Po świeże, jeszcze ciepłe miejsko-wiejskie mleko

Grzanka - kto to może wiedzieć
Ile w tym lesie było poczętych dzieci
Śledziłem z kumplami zakochane pary
Widziało się niejedno – nie będziemy święci

W knajpie Turystyczna piersiaste kelnerki
Serwowały wódkę razem ze śledzikiem
W powietrzu zagęszczonym od oparów przekleństw
Toczyły się „dyskusje” przerywane świtem

Dzielnicowy Maik - trudno w to uwierzyć
Choć chłop był malutki – potrafił uderzyć
Niejeden herszt bandy, po palce blondynce
Okladał kwaśnym mlekiem pełnokrwiste sińce

...

W moim rodzinnym mieście
Czas się dla mnie zatrzymał
Na zegarze kościelnym
Wciąż ta sama godzina

X XX

numer telefonu do zmarłej matki
ciągle mam w komórce

psychicznie nie mam odwagi
go usunąć

często żyjemy nadzieją
choć wszystko wokół mówi nam
że to bez sensu

Andrzej Lipniewski

POCZĘSTOWANI RADOŚCIĄ

Kristina Malina z Suchacza
pielęgniareczka muzyka
ciepły Zalew Wiślany otacza
zimne ciało niewprawnie umyka
plyt-pocztówek kwiatowe plastiki
bart Laskowski Beatę nawija
ona się nie wypięła przed nikim
smaży schabik wycmokana szyja
ja na nogach mdlejących w łazience
Krista jest nieskończona i naga
nowy program dancingu naprędce
nam prześwietla z malina Alpaga
restauracja Zamkowa już dymi
piwnym tłumem Kropeczka i męty
mini maxi kuszące blondyny
uśmiechnięte półpupki w hot-panties
ja częstuję z radością Christine
bezlitosna gitara i vocal
nocny zamek wybucha na minie
naturalnej radości trwa pokaz

27.07.2014 r.

(g. 11.20, temp. 30° C w cieniu)

VERA KING¹

jej szczupłość surrealistyczna
fruwa po murach i ścianach
jej plaża jest iddyliczna
z Dolnego Miasta zesłana
plebejskie węże się kręcą
pomiędzy oczodołami
okien nie danych najemcom
zabytki piwem oszczane

¹ Sygn. murales Weroniki Lipniewskiej

dzieci kielkują chudziutkie
niedożywione codzienne
pijany ojciec filitkiem
stał się w framudze okiennej
odleciał w wiatrem jesieni
na kartoflisko Motławy
Nadia maluje płomienie
wywabia nimi obawy
wtórują jej liczne dziadki
Zeppelin niesie na Bornholm
Do szczęścia rysują kładki
Na film z pozłacaną rolką

KOSMOPOLITĄ BYŁ

Stan Dygat to inna bajka
sceptyk był ambiwalent
malarza pochwalił grajka
zalety ich albo wcale
czytam go niby lekarstwo
na dookolne szaleństwo
unieszkodliwić draństwo
i państwowego złodziejstwo
trzeba nam domów czynszowych
przemysłu kultury sztuki
sensownej szkoły szpitali
niech rządzi też król niegłupi
pusta jest Wisła i Odra
nie wolno pić ani rzygać
Unia Europy jest szczodra
dla innych przeczuwał Dygat

Janusz Ryszkowski

PISZ PO SWOJEMU, POETO

Andrzeja Lipniewski, *Pisz po swojemu, poeto*, (2006), Przedślowie do (niewydanego) zbioru wierszy Andrzeja Lipniewskiego.

1.

Najpierw były „Mitologie Stegny Gdańskiej” (1995), trzy lata później „Żuławy podeszczowe”, a teraz do czytelnika trafia „Jantarowe Wybrzeże”, ostatnie ogniwo tryptyku Andrzeja Lipniewskiego. Poeta - co rzadkie w naszych czasach - otwiera się na nas starannie przygotowanym projektem. Nie publikuje zbiorów składających się z dość przypadkowych wierszy, ale pisze książki poetyckie z wewnętrzną dramaturgią osadzoną w realnej czasoprzestrzeni.



Lipniewski robi to ostentacyjnie, nie bojąc się, że ktoś zatrzaśnie go na długo w szufladzie z napisem „Literatura regionalna - Żuławy i Mierzeja Wiślana”. Nie kryje fascynacji tym obszarem, który, w wyniku bolesnego kaprysu historii, po 1945 roku stał się kulturowym tygłem, gdzie z wolna wytapiała się nowa wspólnota. Przybysze (często wygnancy) z różnych stron, musieli oswajać te obszary, szukając także porozumienia z duchami dotychczasowych mieszkańców. Nie ominęło to także Lipniewskiego, który trafił tu w latach 60. ub. wieku. Stał się tych procesów nie tylko obserwatorem, ale także jako działacz kultury, nauczyciel, plastyk, muzyk i człowiek pióra dokładał swój kamyczek do powstającej mozaiki.

Z tego podglebia wprost wyrasta tryptyk.

2.

Po lekcji, jakiej udzielił nam Hans-Georg Gadamer, filozof, który nie zawahał się na prowadzenie „rozmów” z najbardziej nawet „ciemnymi poetami” (zwłaszcza Paulem Celanem), nie kryjąc przy tym, że nie potrafi rozjaśnić ich mowy, wiemy, że lektura wierszy przez sam trud przedzierania się przez gęstwinę znaczeń, może służyć budowaniu wspólnoty Ja - Ty. Jej załącznikiem jest dyskurs o rozumieniu świata - tego skrywanego w wierszu i tego odnajdowanego przez czytającego. Dlaczego o tym piszę? Bo akurat Andrzej Lipniewski, poeta o dużej samoświadomości literackiej, przemawia do czytelnika w sposób, który do takiej właśnie rozmowy otwarcie zachęca. Programowo przeciwstawia się wszelkiej „nieczytelności pisma”, za którą często skrywa się jedynie pusty bełkot. Dlatego chętnie sięga po tradycyjne formy wierszowania z rytmem i rymem, posługuje się piosenką. Idzie za podszeptem Jarosława Iwaszkiewicza: „Pisz po swojemu poeto”, o czym przypomina w „Nocach bezdomnych”.

3.

Dopełnienie tryptyku - „Jantarowe Wybrzeże” to swoisty bedeker. Każdej miejscowości zostało przypisanych kilkanaście, a czasem kilka wierszy. Można je traktować jako fotografie miejsc, zdarzeń, osób, przefiltrowanych przez poetycki obiektyw. „To Kąty Rybackie/ w nich restauracja „Kormoran”/ szklane figury tam płyną/ muzykę sączą jak wódkę/ i rozbiegają przyczyny/ morskiego zaniku ławic” (...) /”Bodenwinkiel”/. Lipniewski jest rasowym fotografikiem i widać to także w jego poezji. Potrafi tak komponować kadry, by miały one kilka walorów: plastyczny, muzyczny, liryczny, zmagający się z (para)dokumentalnym. Czytając te opisowe wiersze o ośrodkach wczasowych i nie, knajpianych i erotycznych fantasmagoriach, ludziach i miejscach, ulegających w wielu przypadkach zmitologizowaniu, wpadamy w sieć nadmorskiej prowincji. Szybko poddajemy się wewnętrznemu rytmowi utworów, odpływom żartobliwej ironii, błyskom skojarzeń, banalnym prawdom, przyplwom dyskretnej refleksji.

Jan Majewski

LIŚĆ

W nocy deszcz mocno przylepił do szyby
dłoniasty liść klonu
i rzucił jego biały cień
na jasną ścianę wschodzącego dnia

O - jakże boli ta dłoń
póki nie strąci umierającej
odwieczny grabarz wichur z szyby
i ściany dnia -
i nie pogrzebie jej wraz z cieniem u stóp
macierzystego drzewa wyzutego z liści

NAD USCHŁYM BADYLEM

Jeśli to prawda - co tylko przypuszczam -
że rośliny - ni w pełni życia
ni u jego schyłku
nie odczuwają obawy przed śmiercią
- to można przyjąć że:
ich ulotne istnienie
dokładnie równoważą
oczekujący na nie niebyt

(z tomu „Ludzie i kwiaty” 2014)

Andrzej Grzyb

O JANIE MAJEWSKIM. MOJE OSTATNIE SPOTKANIE Z POETĄ.

Kiedy zadzwonił do mnie Tadeusz albo Michał, prosząc, abym przemówił nad trumną ich ojca Jana Majewskiego, poety znakomitego, odmówiłem, mówiąc, że mam taką zasadę, że nie przemawiam na pogrzebach, bo w tej chwili, kiedy ciało oddawane jest ziemi, rozmawiam z duszą zmarłego, która idzie do nieba. Jest to moja ostatnia bardzo prywatna rozmowa ze zmarłym, nie monolog, lecz dialog, mimo że zmarły milczy i ja milczę, rozmawiamy jak duch z duchem, słowa, tym bardziej wypowiedane głośno, są nam niepotrzebne.

Jana Majewskiego poznałem niecałe dwadzieścia lat temu. On przekroczył siedemdziesiątkę, ja dochodziłem do pięćdziesiątki. Poznaliśmy się czytając wiersze. On przysłał mi swoje mądre i piękne, co nie zawsze idzie w parze, wiersze debiutanta. Ja gratulowałem tak pięknych strof i namawiałem do druku. Potem był list i w końcu rozmowa. Krótka i zaskakująca. Starszy o pokolenie poeta uważał mnie raczej za biurokrata niż poetę, kolegę po piórze. Zza grubych okularów uważnie przypatrywał się „młodzieniaszkowi” rówieśnikowi jego syna, słuchał, jakby słysząc więcej niż mówię. Był przecież doświadczonym psychiatrą. Czulem to jego zawodowe poznawanie na wskroś. Czulem się dla niego przezroczyście. Uśmiechał się oszczędnie. Mówił tylko to, co należało, co chciał powiedzieć. W wierszach też. Zanurzony w kulturę, w swoje doświadczenie, dialogował z ludźmi i z Bogiem.

Przez te dwadzieścia lat kilka spotkań, kilka rozmów i setki wierszy. Kolejne książki. Po wielu, po ilu, trudno zliczyć, lekturach pierwszych, gdzieś w sercu ukłucie zazdrości. Tyle znakomych wierszy, jeden w drugi błyszczą jak drogie kamienie, a ty co?

I ostatnie spotkanie dwa tygodnie przed śmiercią. Jan leży w łóżku. Rak i dziewięćdziesiąt lat. Mówi z trudem, chwilami niewyraźnie. Denerwuje się, że słabo słyszy, bo aparat słuchowy wypadł mu z ucha pod poduszkę. Żona Jadwiga odszukuje zgubę. Poeta pokazuje zdjęcia, te z przełomu lat 20 i 30 XX wieku. Dzieci w leśniczówce pod Łukowem. Chłopcy na rowerze uzbrojeni we flowery.



Jan Majewski z nagrodą Costerina 2013, przyznaną mu za tom „Z ziemi i z obłoków”. Obok Andrzej Grzyb, fot. T. Majewski

- Rower trzyma moja siostra Bożena – przygląda się zdjęciu. – Wysoka dziewczyna. Po wojnie zdolna graficzka. A ta dziewczynka to córka leśniczego. Imienia nie pamiętam.

- A na tym zdjęciu jestem ja z bratem Aniołem. Tak miał na imię. Nie Michał Anioł, a Anioł, a mój syn Tadeusz to Adam Tadeusz, ale nikt Adam nie mówi, więc Tadeusz. - To ja z rodziną przed pomnikiem Powstańców Styczniowych. Z rodziny ze strony babci w powstaniu zginął Adryański. Na tym zdjęciu Jan Stanisław, mój ojciec, przy kopcu Sienkiewicza. Wymyślił ten kopiec i nadzorował jego usypanie. Mój ojciec napisał pierwszą monografię Łukowa.

- Kiedyś zabiłem ptaka. Wziąłem kamień do ręki i rzuciłem. Trafiłem. Kiedy wzięłem tego martwego ptaka, popłakałem się. Już nigdy nie zabiłem zwierzęcia. Ile ja miałem wtedy lat? Pięć, może sześć. Z siostrą zrobiliśmy temu ptaszkowi pogrzeb. Mam jeszcze 112 nowych wierszy, a „Wiersz starego...” poprawiłem, napisałem od nowa. W gimnazjum miałem dyrektora..., przyjaciela mojego ojca..., on się mną opiekował..., on widział pierwsze moje wiersze i chwalił, ale potem wybucha wojna, pracowałem, żeby mnie na roboty nie wywieźli. Przetrwiałem. Mała matura na tajnych kompletach. Zaraz po wojnie matura i studia. Pojechałem do Gdańska. Zostałem studentem Akademii Medycznej. A potem jako lekarza skierowano mnie nakazem pracy do Starogardu.

- W Łukowie w gimnazjum dyrektorem był Edmund Semil. To był przyjaciel ojca Baczyńskiego. Kiedy ojciec Baczyńskiego zmarł, opiekował się Krzysztofem. Mną trochę też. Semil poznał się na talencie Krzysztofa, ale potem walki w Powstaniu Warszawskim z głowy mu nie wybił.

Mówił, wyjmował z tekturowego pudełka kolejne zdjęcia.

- Ptaki, rośliny, krajobrazy zawsze mnie urzekały. W jednym z moich wierszy pojawia się zimorodek. Obserwowałem go nad Wierzycą w Bączku.

- Wiele moich wierszy ma tutejsze tło z Żabną, z Okoła, znad Wierzycy. To piękne tereny, lasy, łąki, rzeka.

Jan Majewski unikał regionalności, no, był regionalny tak jak ... Homer, który opisał lokalną wojnę o kobietę.

- Kociewiacy to dobrzy ludzie. Mocni, z charakterem. Gwarę kociewska poznałem od pacjentów i pielęgniarzek.

Poeta przez 60 lat mieszkał w Starogardzie, chcąc, nie chcąc, stał się tuziemcem. Przechodząc na emeryturę, wrócił do pisania wierszy. Jeździł po okolicy rowerem, spacerował i pisał. Będąc już grubo po osiemdziesiątce wymykał się z domu na wycieczki i żona... musiała go szukać.

Mimo 9 ksiązek poetyckich, drukowany w kilku liczących się pismach, mimo uznania wyrażonego przez kilku ogólnopolskich tuzów poetyckich, mimo uznających nietuzinkowość poezji krytyków, Jan Majewski pozostał za życia poetą mało znanym, docenianym czytelniczko jedynie lokalnie, na Kociewiu.

- Co do mojego debiutu literackiego, to młodzieńczy debiut poetycki zdarzył się na akademii szkolnej z okazji wyzwolenia. Koleżanka przeczytała mój wiersz o Westerplatte. Mówiono wtedy, że równie dobry jak Gałczyńskiego. Inny wiersz wydrukowano w ulotnej gazetce w Łukowie. Jako student za namową przyjaciela wysłałem kilka wierszy do Tygodnika Powszechnego. Dwa wydrukowano. Nie wiem, nie pamiętam w 1949 czy 50 roku. Prawdziwy mój debiut poetycki to Wiersze starego psychiatry z roku 1994. Zaraz po wojnie napisałem dramat, ale gdzieś się zagubił. Nie wiem, posłałem go gdzieś do oceny i przepadł.

Rozmowa zmęczyła chorego. Żegnamy się obietnicą wydania tych 112 wierszy w nowej, dziesiątej książce poetyckiej.

Jan Majewski był twórcą szczodrym. Zostawił nam, świadkom jego twórczości, właściwie nie nam tyle, co potomnym, grubo ponad 500 wierszy. Szczerych i pięknych wierszy do przeczytania. Bo wszystkie je trzeba solidnie na niejeden sposób przeczytać.

W swojej pracy, a właściwie pasji literackiej, był sam. Jego przyjaciele literaccy, Kochanowski, Mickiewicz, dawno pomarli. Jego rówieśników poetyckich, Baczyńskiego, Gajcego, wygubiła wojna. Nie należał do żadnej koterii literackiej, żadnego kółka wzajemnej adoracji.

W czasie swojego długiego życia znał i podziwiał wielu niezwykłych ludzi, lecz ilu z nich dorównywało mu pasją i talentem? Temu samotnikowi, tak wiele wymagającemu od siebie i innych, wielu dopiero będzie coś zawdzięczać. Wielu dopiero zostanie jego dłużnikami.

POŻEGNANIE POETY JANA MAJEWSKIEGO

Nie obudzi się o brzasku
Żeby wyrzeć przez okno
Na sad w którym Jutrzenka
Z nocnego mroku
Wyłuskuje rumiane jabłka

Nie wyjdzie na próg
Żeby zganić kosa
Który z zazdrości fałszuje pieśń drozda-śpiewaka

Leży nieczuły na lzy bliskich
Czoło zmarszczone w kąciku ust
Jakby uśmiech – bo znalazł
Swoje mieszkanie u dobrego Boga
Może zamyślił się w każdym razie
Milczy choć się przygotował
Na tę najważniejszą rozmowę

12. sierpnia 2014

ALDONA BOROWICZ

CIENIE
NA ROZWIETRZE



wydawnictwo
adam marszałek

Elżbieta Musiał

MODLĘ SIĘ WIĘC ZA WIEK SAMOTNOŚCI

Aldona Borowicz, *Cienie na rozwietrze*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2014, s. 80.

Czyżbym między brzegami budowała pustelnię:
własną Kapadocję, w której znikną niepokoje?

Aldona Borowicz, *Daleś mi zbyt wiele wyobraźni*

Skoro nie da się powstrzymać przemijania, bo jest ono wpisane w kod każdego życia, to czy da się zmylić samotność odzywającą się w nas? Zmylić, zgubić, stłumić jej podszepty. Często uciekamy w zawrotność życia, „jakby właśnie ten bieg był najważniejszy w historii wszelkich prawd” (*Z wydarzeń pewnego październikowego dnia czyli jesień 1977*). Ale czy nie jest to aby metoda zgubna? Tak czy owak, rozsiada się w naszej psychice dokarmiany własną udrejką kornik, ta samotność w tłumie, lub u boku drugiej osoby; „jesteśmy ze sobą / na odległość aż ośmiu milionów lat świetlnych / choć przez ścianę słyszymy oddech” (jw.).

Skąd bierze się owo graniczne i dławiące poczucie? Z niezrozumienia przez bliźnich naszego wewnętrznego świata? Po części tak. I gdybyśmy nawet chcieli go objaśnić, wyartykułować, to i tak nie mamy pewności, czy zostaniemy właściwie zrozumiani. Każdy wiek, każde pokolenie ma swoją wieżę Babel. A przecież oprócz różnic na poziomie językowym są jeszcze inne między nami, wynikające z najgłębszych przekonań. Mówienie o intuicyjnie skonstruowanym systemie wartości czy naszej obecności w świecie jest tak trudne, jak niemożliwe było niegdyś przekonanie przez Giordano Bruno współcześnie mu żyjących (nawet myślicieli) do swoich spekulacji kosmogonicznych. Koniec końców spłonął na stosie. A dziś jego wizji (wtedy niepopartej badaniami naukowymi) nikt nie neguje. Może urodził się za wcześnie, może myślami szybował za wysoko? Na pewno uderzał swoją prawdą w tamtą XVII-wieczną próżnię. A to jest już samotność podobna tej, gdy nie można znaleźć własnego miejsca w życiu.

Choć „już w chwili poczęcia zostałeś skazany na włóczęgę” (*Z wydarzeń pewnego październikowego dnia czyli jesień 1977*). Próbujemy miejsc, ludzi, a tak naprawdę dryfujemy za szczęściem, które – jeśli w ogóle zagości – nagle w okamgnieniu umyka („gdzieś jednak istnieje radość światła / nawet w deszczowym lecie”; *** *Gdzieś wciąż ukryta jest radość*). I zbieramy w codziennej wędrówce błyski i rozpacz, które nas kształtują. Lecz to nagromadzone „bogactwo” skazuje nas niejednokrotnie na prywatną samotnię. Przezornie ukrywamy ją przed innymi, co najwyższej odważamy się na wiersz.

Uwięziona w swoim wnętrzu pije piwo i płacze

A na gałęzi niepozorny rudzik wskrzesza życie

(*Stara kobieta pisze donos z raję*)

Myślałam o tym, czytając „Cienie na rozwietrze” Aldony Borowicz. Rozumiałam jej artystyczną odsłonę samotności, tak jak ona wiedziała, że tylko wierszem można powiedzieć to niewyrażalne uczucie. To i wiele innych, bowiem w jej poetyckiej książce jest bardzo duże nagromadzenie motywów i tropów, filozoficznych przemyśleń wplecionych w codzienność. Jest znakomitą obserwatorką i świetnie rozpoznaje świat. A epizody, okruciny i strzępy układa w logiczną i jej własną koncepcję świata. Oczywiście sytuuje w nim siebie i nie kryje własnych postaw wobec zjawisk. Nie, nie ma w niej buntu (w wierszach), jest tylko zdystansowane i mądre racjonowanie „porcji”, które przynoszą dni, dodajmy, nie zawsze są one łatwe i nie zawsze przyjemne. No, ale jak tu walczyć z ubywaniem nas w nas i nadziei w nas („bo już jest nas mniej we mnie o jedną”; *Przerwany dialog*). W tej nieodzowności rodzi się pełna zrozumienia postawa wobec przemijania i kolei losu, co się dostrzega w wierszach.

a przecież mój dom wzniesiono na fundamencie ich kości
(*Wieczór wspomnień*)

Pocieszające są w tym naszym przemijaniu pewne zachodzące zmiany, o czym zdaje się mówić „między wierszami” Borowicz. Gdy tracimy po trosze siły i urodę ciała, przychodzi piękno dojrzałości, a słabnące oczy widzą nie tyle ostrzej, co głębiej. „W Wielki Piątek zrozumiałam przebiegłość / jaszczurek, śmigających między głazami” (*Próba samotności*). Dosyć pojemne są te dwa wersy i bardzo charakterystyczne dla autorki. Jej kościołem jest przyroda, natura w najczystszej postaci. To jej obrazami opisuje stany ducha, jej używa do porównań i metafor. Może dlatego, że jest człowiekiem z lasu, z krwi i kości właśnie, które z pełną świadomością oddaje swojemu podglebiu pomalą.

Bądź pozdrowiona
leśna drogo

Czy pamiętasz jeszcze moje bose stopy

(**** Bądź pozdrowiona*)

A Bóg, ten wszechmogący, czy pojawia się w obrazach tak, jak najbliżsi ludzie, którym autorka składa hołd za to, że byli lub że są obecni w jej dniach? Owszem, Bóg jest obecny w wierszach ale raczej w domyśle, bardziej wyraźny tam, gdzie stajemy oko w oko z doczesnością, a nawet powszedniością życia („Wracam / z pustką w oczach / z deszczem / z kurczakiem / który połknął własne skrzydła” (*List*)).

nadal nie wiemy czy pomoże nam Bóg
w zrozumieniu tajemnicy naszej golgoty

(**** Gdzieś wciąż ukryta jest radość*)

I uprawomocniona jest taka niepewność, gdy „nadal nie wiem kim jest homo sapiens” (*Gdy wyjdzie ryba*).

Bohaterka liryczna utworów Borowicz wciąż poszukuje związków bezpośrednich, czyli mentalnych i fizycznych, jak również duchowych z otaczającym ją światem, co przejawia się nie tylko w okazywaniu poczucia wspólnoty z przyrodą (o czym było), ale i z gatunkiem, i swoimi przodkami.

szukam wciąż rodowodu swoich przodków
nie wiem czy powstałi z wody ognia czy prochu

I dalej w tym samym wierszu:

w śniętych rybach dzień wyświechtane symbole
skąd do mnie przyszły nie wiem może z ufności
a może z bólu lub poczucia wspólnoty gatunków
(Gdy wyjdzie ryba)

Światopogląd, który ukradkiem nam podrzuca, jest bliższy naukowemu, bliższy darwinizmowi niż religijnym dysputom. Ale bezwzględnie w wierszach pierwszy głos ma człowieczeństwo pokazane poprzez empatię, lub przez myśl wynagradzającą i słowo „w zamian”, gdy już nic więcej nie można zrobić.

Rozmawiała ze mną
o wojnie
i dziecku

Płonęła cała
trzymając je na ręku
(Taniec cementarny)

W wiersze autorka wpisała wiele ludzkich odruchów, są jak jej własne ślady. Znakomicie wczuwa się (podmiot liryczny) w rozpacz drugiej kobiety, która „kołysze się / w takt pieśni żałobnej” (jw.). Umie też pochylić się nad czworonożnym domownikiem; o, gdyby nie „wspólna smycz”, mogliby być jednością.

ale Trotyl niknie w zaspie zżerany cukrzycą
przecież jest wybrańcem wspólnego Boga,
który obdarzył go łaską ludzkiej choroby

by wreszcie się uczłowiczył i wyszlachetniał
(Spacer)

Niezwykłe przejmująco Borowicz potrafi mówić poezją o innych (bez których nie bylibyśmy, kim jesteśmy). Ona filtruje przez swoją psychikę, emocje i doświadczenie (konstrukcja psychiczna) świat i ludzi, którzy są jej bliscy, z którymi łączą ją lub łączyły więzy krwi bądź przymierze intelektualne.

Moja matka niegdyś na wpół francuskie dziecko
biegała do szkoły boso ale zawsze w wytwornym kapeluszu
Gdy została eremiką była oddechem lasu
(...)
Moja matka leżała w szpitalu z odciętą nogą
Już nie była sarną
Stała się odłamana gałęzią w pustelni

I wciąż jest zadrą we mnie

(Zamiast fotografii rodzinnej)

Wiersz bez tytułu zaczynający się od słów: „Puste gniazda spędzają sen z powiek” poświęciła świetnemu poecie Zbigniewowi Jerzynie (pojawia się on po raz drugi w *Powidokach z lotu ptaka*).

Jeszcze żyjesz, a już myślą o pochówku.
Na przekór wszystkim nigdzie nie odchodzisz.
Odstaw sanki, aż rdza pokryje płozy.

Tom Jerzyny wydany jako ostatni przed jego śmiercią zatytułowany był „Saneczki”. To warto wiedzieć, ażeby dostrzec na tym i innych przykładach, jak Borowicz koduje w wierszach zdarzenia, „zderzenia” i wypadki. Jak poddaje je poetyckiej obróbce, by nie były wyłącznie informacją czy publicystyką, ale by tworzyły „cień zadumy”, liryczne sensy, które nie tracą na aktualności.

Literackie (oraz malarskie) tropy i konotacje pozostawiła w wielu utworach (*Upadłe anioły, Sceneria dantejskiego piekła, Wieczór zapomnień, Kiedy goj patrzy na ziemię*), co świadczy o jej dużych związkach nie tylko z polską, ale i światową twórczością pisarską. Spójrzmy na piękny wiersz Ekelöfowa *przejrzystość dnia*. Ekelöfowa, czyli jaka? Czy przypadkowy czytelnik lub nawet ten lubiący wiersze jest po jednokrotnym przeczytaniu „przejrzystości dnia” to dookreślić? Być może, ale mnie potrzebne były encyklopedyczne wzmianki, by zrobić sobie do tego obrazu „horyzont rozumienia”. Dopiero gdy zapoznałam się z pokomplikowanymi życiorysami szwedzkich pisarzy (i z próbkami ich twórczości) Gunnara Ekelöfa i jego żony Gunnel Bergström, którą ze względu na usposobienie, styl życia (porzuciła Gunnara dla Karin Boye, lesbijki) i jej samobójczą śmierć porównuje się w Szwecji do Sylvii Plath, otworzyła się przede mną - trudna nawet do zwerbalizowania - przestrzeń, wielka jak nordyckie niebo i morze, w którym nurza się ogromna złożoność ludzkich natur, psychik i do tego uwarunkowań kulturowych i geopolitycznych. I takimi przestrzeniami do odkrywania operuje Aldona Borowicz.

*Gunnel nie płakała. I deszcz też nie padał. A on szedł obcy,
przez martwe wrzosowisko, ku wiecznemu drzewu, ku agonii.*

*I zaśpiewał Karin pieśń o diamentowym ostrzu na promie.
Tak długo, aż wreszcie pojął, Panie, czym jest zawilość dnia.*

Zatem mamy do czynienia z poezją erudycyjną, wielowątkową, wielopoziomową i wymagającą od odbiorcy sporej wiedzy z różnych dziedzin oraz czytelniczego obycia. Jest ona jak tajemnica, którą chce się rozebrać, warstwa po warstwie. Oczywiście każdy wiersz można czytać i przyswoić już choćby tylko na podstawie rzuconych sygnałów i odebranego nastroju. Jednakże dopiero wnikanie w treści i doszukiwanie się w wątkach również pozaliterackich prawd, daje prawdziwe poczucie czytelnicznej satysfakcji. W tych wierszach można się rozsmakować.

Jeśli przyjrzymy się temporalnemu wektorowi książki, wówczas zauważymy, że zaczyna się od jesieni i kończy na jesieni, co może sugerować wpisanie „życia” w pory roku, które w tym przypadku stanowią najodleglejsze jej tło („Nie warto prowadzić rozmów o doskonałości pór roku”; *Kiedys z tamtej strony przyjdzie sen*). W układzie tym pojawia się więc i maj, i wiersz „Kasztany”, który sygnalizuje jeden z ważnych subtematów książki, czyli wątek społeczno-polityczny.

*Na początku nigdy nie ma aspektów politycznych
tylko przypadek
ofiary*

*Co potem
zamazane perspektywy
powszechna ślepotą
modlitwy*

Wiemy, że nawet historia lubi się powtarzać, nie mówiąc o cyklach przyrody, zgodnie z którymi żyjemy. Zatem i wtedy, i wczoraj kwitły kasztany. I wtedy, i teraz giną ludzie z absurdalnych powodów. Bo polityka jest tym absurdem stawianym ponad wartość najwyższą, ponad życie. Autorka zdaje się nam to uzmysłowić w zacytowanym wierszu, datowanym na 18 maja 1983 roku. „Matka mdleje w oknie / w trumnie zgasło słońce / Oto jak umiemy zabijać perfidnie” (jw.). Czy tą matką była Barbara Sadowska? Czy tym chłopcem był pobity na śmierć przez milicję Grzegorz Przemyk? Szyfry w wierszu i data na to wskazują.

Borowicz, jak na poetkę przystało, znakomicie komentuje przemiany kulturowe, cywilizacyjne (*Wielebny Billy idzie na wojnę z Disneylandem*) czy zwyczajowe. Za przykład może posłużyć wiersz Nowomoda, w którym użyła „zajebistej” mowy potocznej. W *Ars poetica* natomiast zakpiła z pospolitości ekshibicjonistycznych postaw w wielu współczesnych wierszach, mówiąc: „Nic mnie nie obchodzą wasze cipki i penisy”. Wykorzystuje wtedy język satyry, ironii, niekiedy też bawi się autoironią, co świadczy o dystansie do samej siebie lub do obserwowanych zjawisk, niekoniecznie mądrych. Czy o uśmiech nie przyprowadzi ten wywiad w misyjnej telewizji: „Co teraz pan czuje przed swoim zejściem / i jak odbiera nasz

świat” (*Klasyk współczesności w misyjnej TVP*). Ale nawet i z tych, zdawałoby się, weselszych obrazków wyziera jakiś smutek i postępująca korozja. Tak, te wiersze są smutne. Słowa sięgają jakichś nostalgicznych pułapów, a wszystko z zadumą spogląda w swoje przemijanie i ciszę.

Wczoraj przyniosłeś zmiążdżone irysy:
 Ostatnie kwiaty, więcej już nie będzie,
 bo ogród zryły buldożery i dźwigi,
 zabij więc w sobie cholerne metafory.

(*W dolinie śmierci*)

W książce stykamy się z mnogością motywów i odsłon. Są rozsypane jak szkiełka w kalejdoskopie, których sumy i odbicia (w naszym pojmowaniu i duszy) dają obrazy i układają się w widnokreśli. Ale wszystkie je spina jakiś transcendentny wymiar. W nich tajemnica życia i to że sam człowiek jest tajemnicą mają pozostać nieodgadnione, choćbyśmy nawet chcieli inaczej. To nas skazuje na rozważania, równie potrzebne jak niewiadoma w równaniach.

W te rozważania wplecione są od czasu do czasu wątki wzięte z życia, a wśród nich wspomniane tropy społeczno-polityczne, które są rodzajem małych (?) detonatorów. Jedne pochodzą z zalewających nas doniesień prasowych, a niektóre w najnowszej historii Polski mają swoje miejsce i datę, która pojawia się wtedy i pod wierszem. Zawsze jednak w ten czy inny sposób wpisują się w nasze dni i wewnętrzne kody, wpływając na prywatne kosmosy. Świat zewnętrzny połączony jest z naszym wewnętrznym, a tego wychodowanego w nas nie da się nijak odizolować od wspólnego. I o tym wie Borowicz. Prawdę tę zawarła już choćby w konstrukcji samej książki (sekwencje tematyczne), a trzeba wyjaśnić, że nie jest to wybór utworów w klasycznym ujęciu chronologicznym, lecz takie zestrojenie ze sobą wierszy, by opowiadały o ludziach i świecie, który współtworzą i zostawiają w nim swój godny, nikczemny czy zwyczajny ślad. Ona pokazała swój świat, a właściwie poetycki dowód na to, że „Każdy człowiek jest światem” (tytuł tomu Gunnara Ekelöfa).

Autorka daleka jest od powierzchowności w wierszu i to zarówno, jeśli chodzi o temat, jak i środki stylistyczne. Stara się omijać typowe sposoby na poezję, pokazując, że odwieczne tematy daje się opowiedzieć oryginalnym językiem („Dostrzegam kontur topoli wokół której płoży się liryzm”; *Krajobraz z dziecięcym wózkiem*). I wprowadza wspomniane wcześniej szyfry oraz własne kody. Powtarzające się w różnych konfiguracjach trawy, są w tej poezji bodaj synonimem życia („Pragniesz też bujnej trawy / chcesz żyć”), natomiast skały i głazy – jego twardym odpryskiem: „Świętość głazu jest losem” (*A głaz pokochał ręce Syzyfa*). W tych pejzażach przechadzają się jeszcze cienie. Potrafią zniknąć, „gdy się nocą wraca do swojego siedliska” (*Powidoki z lotu ptaka*), a w *Scenerii dantejskiego piekła* „Gdy drzewa wysychają cień pozostaje taki sam”. I są wreszcie tytułowe *Cienie na rozwietrze*, które niepokojąco gasną wraz z ubywaniem dni, „więc nie gaś światła w ciemności / Kiedyś przejdzie tędy człowiek / na spotkanie własnego cienia” (*Twoja muza umiera*).

*Jest tylko prostota słów
i nagość*

*Biały horyzont
przez który trzeba przejść
(Klasyk współczesności w misyjnej TVP)*

Z trzech tylko słów kluczy (jest ich więcej) odpowiednio uszeregowanych możemy skonstruować oś o dosyć wymownym przekazie; trawa - kamień - cień, czyli: życie - los - nieuniknione. A można tę oś jeszcze rozbudować i wpisać weń rzekę, skrzydło (najczęściej odrąbane). Tak, nimi też daje się metaforycznie mówić o nas, ludziach.

„Cienie na rozwietrze” to bardzo wartościowa lektura, wywołująca przedziwny stan czystości ducha (komunia). Zastanawiam się, czy spowodowany jest on prostotą wypowiedzi (język), czy szczerością i szlachetnością tonów? Ale tego już każdy sam może dociekać. Dodam tylko, że tak pomyślany wybór wierszy właściwie jest jak niepojęte życie, które zdaje się być poza wszelkim orzekaniem.

Grażyna Kamyszek

PAMIĘTAJ O EDEL

Odwiedziny, w małej żuławskiej wiosce zagubionej gdzieś nad Wisłą, stały się faktem. Było to możliwe za sprawą mojego męża, Thomasa, rehabilitanta, miłośnika ludzi w podszłym wieku, dzięki którym nieźle prosperował, masując ich zwiotczone ciała i uruchamiając zeszywniałe stawy. Kiedyś, panią Edelgardę Kowal, chciał zabrać do Polski jej starszy brat Wilhelm, ale nie skorzystała z propozycji. Nie będę ukrywać, że miałam spore obawy przed tak daleką podróżą z Zagłębia Ruhry na Pomorze. Dwoje małych dzieci i osiemdziesięcioletnia staruszka, to nieźle wyzwanie. Dzieliłam się swoimi wątpliwościami z Thomasem, ale odpowiedzią było uśmiechnięte – damy radę skarbie, damy radę! Oczywiście, wielkodusze serce mojego niemieckiego męża nie mogło pozostać nieczułe na marzenia starej kobiety, marzenia, które można było bez trudu zrealizować, mając wygodny samochód i teściów mieszkających w miasteczku leżącym o kilkanaście kilometrów od wsi, w której mieszkała kiedyś pani Edel.

Tak więc krążyliśmy po dziurawych powiatowych drogach w poszukiwaniu miejsc i domów, które, zdaniem pani Edelgardy, na pewno powinny być, a których nie było. Atmosfera robiła się nieco nerwowa, kiedy okazywało się, że tam, gdzie miał być wjazd na drogę wiodącą do dawnego domostwa pani Edel, drogi nie było. GPS głupiał, staruszka w poczuciu winy prawie płakała, ja wierciłam się niecierpliwie, pozwalając sobie od czasu do czasu na niezbyt miły komentarz, tylko Thomas swoim ciepłym, przyjaznym głosem uspokajał nas i zapewniał, że na pewno dojedziemy do celu. Z tego mojego męża to wyjątkowy facet, niejednego mógłby wprawić w zdumienie jego spokój i opanowanie. Najbardziej denerwowały mnie, a raczej zawstydzaly dziury, których żadnym sposobem nie dało się ominąć, bo z jednej wpadało się w drugą. Współczułam ludziom tu mieszkającym, którzy musieli dojeżdżać do pracy lub do miasta po sprawunki.

- Minęło ponad 65 lat od mojego wyjazdu. Musicie zrozumieć moje luki w pamięci. Tu jest teraz zupełnie inaczej. Tam, gdzie powinno być skupisko dębów, jest wolna przestrzeń, a tam, gdzie były pola, rośnie las. Trudno mi cokolwiek poznać – usprawiedliwiała się skruszona pani Edel.

Nagle, jakby doznała nagłego olśnienia, krzyknęła – tu, wjeżdż na lewo, Thomas, poznaję ten wjazd! Tu ciągle jeszcze wystają te grube, nieforemne granitowe kamienie. To na pewno tutaj!

Thomas jechał wolniutko leśną, równą drogą. Pani Edel rozglądała się niespokojnie. Napięcie udzieliło się także i mnie. Z daleka zobaczyliśmy spiczaste dachy kilku domów pokrytych czerwoną dachówką. Zgodnie ze wskazówkami Edel, zatrzymaliśmy się przed furtką jednego z nich. Brama wjazdowa była otwarta na oścież, ale nie mieliśmy odwagi, aby wjechać na podwórze, tym bardziej, że dwa duże psy bardzo zaniepokoiły się nieproszonymi gośćmi i nieprzyjaźnie ujadły. Na ganku pojawiła się młoda kobieta. Mogła być

w moim wieku, nie miała chyba więcej niż 30 lat. Zamknęła ujadające zwierzaki i podeszła do samochodu. Wsiadłam, aby wyjaśnić jej cel naszej wizyty. Uśmiechnęła się przyjaźnie i zaprosiła na ganek, gdzie stał duży stół i kilka krzesel. Poczęstowała nas zinnym, wybornie smakującym kompotem i zaczęliśmy rozmawiać.

- Pani Edelgarda Kowal mieszkała tu kiedyś z rodzicami i bratem, ale w 1946 roku wyjechała do Niemiec i od tamtej pory nie miała okazji, aby odwiedzić dawne miejsca. Jej marzeniem było, aby zobaczyć krainę swojego dzieciństwa – zaczęłam nieudolnie, żeby wytyczyć jakiś kierunek rozmowy.

- Kilka lat temu był tu ktoś z Niemiec, też mówił, że tu mieszkał, ale zupełnie inaczej brzmiało jego nazwisko. O ile dobrze pamiętam to przedstawił się jako Schmied, czy jakos tak podobnie. Zostawił nawet swoją wizytówkę. Musiałabym zajrzeć do którejś szuflady w komodzie, bo na pewno tam ją schowałam.

- Proszę się nie trudzić. To był Wilhelm, mój brat – odezwała się poprawną polszczyzną pani Edelgarda. Zmienił nazwisko. Kowal po niemiecku brzmi Schmied, ja pozostałam przy swoim, po ojcu – dodała cicho. A potem, rozglądając się ciekawie po obejściu, zauważyła - bardzo się tu zmieniło, tam stała taka duża stodoła, za nią była ziemianka, w której przechowywaliśmy żywność.

- Stodołę któregoś roku rozwaliła wichura, a ziemiankę już dawno zlikwidowali dziadkowie. Nie była potrzebna. Są przecież lodówki – wyjaśniała gospodyni. Czy chciałaby pani pochodzić po obejściu? A może najpierw zaproszę do środka – zachęcała, otwierając drzwi i gestem ręki wskazując drogę do pomieszczenia znajdującego się na wprost nas. Nie zmienialiśmy układu pokoi, przebudowaliśmy tylko kuchnię. Odziedziczyliśmy ten dom po dziadkach i teraz razem z mężem, w miarę środków finansowych, robimy remont. Mimo bałaganu na pewno pani rozpozna dawne pomieszczenia.

- Tak ... tu była kuchnia. Jeśli dobrze pamiętam, to nie było tego okna w tym miejscu i pomieszczenie było chyba większe – zauważyła pani Edel, wchodząc ostrożnie do środka.

Mówiła wolno, z namaszczeniem, celebrując każde słowo, jakby z ogromną estymą czytała fragmenty „Biblii”.

- Ma pani doskonałą pamięć. Kuchnia była rzeczywiście większa, ale postawiliśmy ścianę, aby wygospodarować łazienkę. Okno przesunęliśmy i powiększyliśmy, żeby było jaśniej. Niedawno doprowadzili wodociąg i mamy bieżącą wodę. Musieliśmy zrobić poważny remont kuchni, poprowadzić instalację, bo dziadkowie korzystali wyłącznie ze studni.

- Pamiętam tę starą studnię. Mój ojciec ją pogłębiał, bo często brakowało wody. Na kółwrotku był zwinięty łańcuch, do niego przyczepione wiadro, które spuszczało się w dół, a potem napełnione wodą ciągnęło się w górę.

- Może być pani dumna ze swojego ojca, że tak solidnie zrobił studnię. Mimo tylu lat funkcjonuje do dzisiaj, nie zniszczyliśmy jej. Już kilka razy z niej korzystaliśmy, gdy zabrakło wody.

- Pamiętam, że z kuchni wchodziło się do pokoju, a z niego do sypialni. I teraz też tak się wchodzi. Nic się nie zmieniło – zauważyła cicho pani Edel.

- Zapraszam dalej, ale uprzedzałam, że jesteśmy w trakcie remontu.

Pani Edel dziwnie szybko ominęła pierwszy pokój. Weszła do pomieszczenia, gdzie kiedyś była sypialnia i rozglądała się niepewnie wokół. Nagle stanęła jak skamieniała przed obrazem wiszącym na jednej ze ścian. Wyciągnęła rękę i zastygła w bezruchu. Przypominała posąg. Skierowałam swój wzrok za jej wskazującym palcem. Ciemna rama obrazu wyraźnie odcinała się od zielonej ściany. Na pożółkłym tle noszącym ślady minionego czasu widniała za szkłem woskowa postać Chrystusa wiszącego na krzyżu, a nad nim pysznił się gotycki napis GOTT MIT UNS (Bóg jest z nami). Gdy zerknęłam na pobladłą twarz staruszki, przeraziłam się kłopotów, które za moment mogły się pojawić. Zbyt duże emocje u ludzi w podeszłym wieku nie wróżą niczego dobrego. Spojrzałam z wyrzutem na mojego męża, ale jego brązowe oczy były spokojne i tak jak u Edel, wypełnione łzami.

- Ten obraz ciągle tu jeszcze wisi... - szepnęła z niedowierzaniem, nadając każdemu słowu uroczysty ton. Minęło prawie siedemdziesiąt lat, a on ciągle wisi... Dlaczego? – pytały jej oczy, drżące usta i łzy płynące cienką strużką po białych, pomarszczonych policzkach.

Opuściła rękę i teraz stała jak bezradne, zdziwione dziecko, któremu kiedyś zabrano cenną rzecz, a którą niespodziewanie odzyskała.

Przejmującą ciszę przerwała młoda gospodyni;

- Moja babcia opowiadała mi, że kiedy tu zamieszkała, miała 13 lub 14 lat. Jej rodzice robili porządek po wcześniejszych lokatorach, ale babcia uparła się i nie pozwoliła, aby wyrzucić lub zniszczyć ten właśnie obraz. Być może dlatego, że na jego odwrocie zobaczyła polski napis. Babcia, już jako dziecko, była bardzo religijna i bogobojna. Zwierzyła mi się, że nieraz modliła się za kogoś nieznanego, kto prosił Boga lub człowieka o pamięć. Zdejmę obraz ze ściany, to zobaczymy napis.

- Ja wiem, co jest tam napisane... Ja wiem... Tam jest napisane PAMIĘTAJ O EDEL! – szepnęła staruszka.

- Skąd pani o tym wie? Zaraz, przecież to pani ma na imię Edel. To znaczy... Czyżby to pani napisała... - Młoda kobieta zdjęła obraz ze ściany, odwróciła go i naszym oczom ukazał się napis wykonany czarną grubą kreską, nieco wyblakłą, bo noszącą ślady minionego czasu.
- Pamiętaj o Edel.

Kiedy emocje opadły, pani Edelgarda Kowal opowiedziała nam historię, którą usłyszeliśmy nie tylko my, ale także stary dom, na ganku którego siedzieliśmy do wieczora, ukrzyżowany Chrystus, którego wizerunek patrzył na nas smutno, a który co jakiś czas Edel gładziła swoją pomarszczoną ręką. Z jej chaotycznej opowieści wyłoniła się historia, jakich, być może, wiele... Mówiła bardzo chaotycznie, goniąc uciekające myśli. Głos jej się łamał, aby po chwili odzyskać równą intonację. Opowieść, przeplatana łkaniem, utrudniała jasność zrozumienia poszarpanych zdań. Słuchaliśmy w milczeniu zwierzeń starej kobiety, do której wróciło dzieciństwo, dom rodzinny i koszmar wojennego czasu.

OPOWIEŚĆ EDELGARDY KOWAL, KTÓRA UPORZĄDKOWAŁAM Z CHAOSU WSPOMNIEŃ

Uciekaj, Edel! Błagam cię, szybciej! – rozpaczliwy głos matki niosło leśne echo. Trwoga odbijała się o pnie drzew, zahaczała o krzewy kruszyny i jeżyn. Edel uciekała, gnana panicznym lękiem przed tymi, którzy niesli wolność. Biegła prosto w ich ramiona. Skąd mogła wiedzieć, że natknie się na nich właśnie w miejscu, które miało być jej schronieniem? Czerwone gwiazdy, czerwone twarze, brudne ręce, smród gorzały, rechot przeplatany obco brzmiącymi wyrazami wydobywającymi się z przepitych gardel. Wierzgała jak rozjuszone zwierzę. Ciężkie wojskowe buciory kopały, domagając się uległości. W końcu ujarzmili jedynym uderzeniem w głowę, mocnym, celnym.

Gdy się ocknęła, była naga, lepka od cieczy, której dotąd nie znała, a która była wszędzie. Śmierdziała rybą. Zmieszana z zapachem leśnego runa przyklejała się do wątego ciała. Ból chłodził styczniowy śnieg zabarwiony krwią. Zgarniała biały puch, przykrywała nim wstyd i poniżenie. Co to było? – pytały jej przerażone oczy. To czerwone gwiazdy przeszły przez wieś – odpowiedziało niebo nad jej głową - czyste, spokojne, obojętne. Czy Edel pytały - dlaczego? A niebo znów odpowiedziało – czerwone gwiazdy przeszły przez wieś.

Mgliste promienie styczniowego słońca leniwie przedzierały się przez sosnowe gałęzie. Dziewczynka leżała bez ruchu. Nie czuła zimowego chłodu. Było jej ciepło, nie widziała czerwonych gwiazd tylko te świetliste, spadały z wysokiego nieba, a ona chwytła je, podrzucała jak ogniowe kulki. Jeśli któraś spadała, podnosiła z ziemi. Nie parzyły, były miłe w dotyku, więc je podrzucała ku górze. Wracajcie do swoich siostr, tam jest wasze miejsce! – wołała. Było ich coraz więcej, a ona podskakiwała i podrzucała, i podrzucała... Nie, to nie ona zbierała gwiazdy. To czyjeś drżące, ciepłe ręce podnosiły jej zmasakrowane ciało, odrywały od chłodnej ziemi, sprawiały ból.

- Edel, kochanie moje! – usłyszała głos matki. Wilhelm, biegnij po koc! Ona jest sina z zimna! Edel, ocknij się! Nie umieraj córciu! Błagam! Zawodzenie matki docierało gdzieś z oddali. Nie zrobiło na Edel szczególnego wrażenia. Dlaczego ją szarpią? To bardzo boli. Zostawcie mnie - krzyczała bezgłośnie – chcę do świetlistych gwiazd! Zostawcie mnie!

Już od trzech miesięcy wpatrywała się w napis nad głową ukrzyżowanego Chrystusa. GOTT MIT UNS. Odkąd pamięta, obraz wisiał na ścianie w sypialni od zawsze. Kiedyś zdjęli go z Wilhelmem, starszym bratem Edel, aby przyjrzeć się dokładnie ozdobnemu napisowi wykonanemu z wosku. Podziwiali misterną pracę nieznanego autora, który włożył cały swój artystyczny talent, aby poszczególnym literom nadać gotycki wygląd. Figura Chrystusa i krzyż, na którym wisiało przezroczyście ciało Stwórcy, także był z wosku. O Edel też mówiono, że jest podobna do woskowej figury. To dobrze, że tak mówiono, bo swoim trzy-nastoletnim rozumem czuła, że łączy ją coś szczególnego z Ukrzyżowanym. Tylko że ten biedak ciągle wisiał, a ona wygodnie leżała. Postanowiła, że kiedy nadejdzie ciepła wiosna, która sprawi, że Edel odzyska zdrowie i nabierze tyle sił, aby wstać z łóżka, wystawi obraz na słońce. Niech ciepłe promienie skrócą cierpienie Chrystusa, roztopią wosk i jego udękę.

Od tamtego dnia, kiedy czerwone gwiazdy pojawiły się we wsi, dla wielu mieszkańców świat nabrał innego wymiaru. Edel słyszała rozmowy matki z sąsiadkami. Dowiedziała się o Irmie, swojej młodszej koleżance, którą znaleziono zakatowaną w stodole, o zabitych sąsiadach broniących swych kobiet, o bracie Wilhelmie, który cudem ocalał, o trzech domach spalonych doszczętnie. Kiedy słyszała ciche, trwożliwe rozmowy, coraz bardziej zapadała się w siebie, nie mogła wydobyć głosu, nie wyartykułowała ani jednej zgłoski. Gdy podejmowała próby kontaktu, jej gardło wydawało skowyt ranionego zwierzęcia. Milczała więc, milczeniem niemowy.

W ich domu coraz częściej pojawiała się stara Freitaczka, wiejska znachorka, uzdrowicielka i akuszerka w jednej osobie. Przynosiła zioła na wzmocnienie, po których Edel zawsze wymiotowała. Swoją pomarszczoną twarzą przypominała korę starego dębu. Edel знаła ją od dawna i powinna przywyknąć do jej wyglądu, ale nieraz wyglądała przerażająco, wzbudzając w dziewczynce lęk i obrzydzenie, szczególnie wtedy, gdy brudne ręce znachorki dotykały jej brzucha i krocza. Wyła wtedy jak zranione zwierzę, widząc czerwone gwiazdy.

Któregoś dnia znowu napojono ją płynem o wyjątkowo dziwnym smaku. Szklankę podał jej Wilhelm. Tylko do niego miała zaufanie, tylko jego się nie bała. Nie patrzyła na starą Freitaczkę, stojącą u wezglowia. Wpatrywała się tępo w zwieszoną bezradnie głowę Chrystusa i coraz mniej wyraźnie go widziała. Napis GOTT MIT UNS rozmyślał się coraz bardziej, roztopiał, a przecież nie było słońca... Gdzieś z daleka docierał głos matki....

- Może nie róbmy jej tego. Może samo zejdzie. Pamiętasz co było z Elzą? Cała wieś hucała, że chciała ją wykończyć. Dobrze, że akurat w pobliżu był doktor Winter i zatamował krwotok, ale Elza już nigdy nie urodzi. A teraz jak coś nie pójdzie, to się dziewczyna wykrwawi. Znikąd pomocy. Nie wiadomo, czy w miasteczku jakiś doktor został, a poza tym nie byłoby czym dowieźć.

- Sama mówiła Kowalowa, że ona już dwa lata regularnie swój czas ma, to i nie dziwota, że zaszła. Tak zrobię, żeby nie uszkodzić. Samo nie zejdzie. Nie zejdzie! Już ja swoje wiem. Tydzień próbowałam spędzić, tydzień Willi poił ją ziółkami i nic. U niej jednej by już dawno zeszło, a tu nic. Trzyma mocno ruskie ścierwo! - zaskrzeczała piskliwie znachorka.

W odpowiedzi usłyszała westchnienie matki, pełne niepokoju i troski.

- Niech Kowalowa trzyma pręt nad ogniem, odkazić trzeba i wmyć. Zrobimy wszystko jak należy – wydawała dyspozycje starucha.

Wilhelm, ukryty za niedomkniętymi drzwiami, domyślił się, o czym rozmawiały kobiety. Kiedyś zakradli się z chłopakami pod dom staruchy i przez niezastłonięte okno widzieli, jak Freitaczka wkładała młodej dziewczynie pręt między rozwarłe nogi. Któryś z chłopaków, widać bardziej obyty z życiem, skomentował widok jęczącej kobiety – dzieciaka z niej wyrzebuje i będzie znowu mogła się puszczać.

Kiedy matka rozchyliła nogi Edel, a starucha zbliżyła się do nieprzytomnej dziewczyny, Wilhelm wpadł do pokoju jak oszalały.

- Zostawcie ją! Wynocha, ty stara czarownico! Nie skrzywdzisz mojej siostry!

Wyrwał pręt z rąk zdziwionej znachorki i okładał ją na oślep kawałkiem metalu, a ta kulila się pod razami, zasłaniała swoją szpetną twarz, na której pojawiły się krople krwi.

- Przestań, Willy! To dla jej dobra! Ona ma tylko 13 lat! Widzisz co z nią jest. Leży jak kłoda i nie wie o Bożym świecie. Sama jest nienormalna, to i nienormalne urodzi. Zrozum to chłopaku. Ty nic nie poradzisz! - krzyczała matka.

- Chcesz to ruskie nasienie wychować. Coś ty tak skacącał – zaskrzeczała Freitakowa, rozmazując krew na pooranych bruzdami policzkach. Wyglądała jak stara wampirzyca po krwawej uczcie.

Wilhelm rzucił prętem w znachorkę, wybiegł z domu, aby nie być świadkiem tego, co za chwilę miało się wydarzyć. Biegł przed siebie, a drżące nogi wiodły go nad Wisłę. Usiadł nad brzegiem wzburzonej wody, której fale szemrały o różnych dziwnych wydarzeniach. Niosły je aż z gór. Już niedługo rozpląną się w wodach Bałtyku, mają już tak blisko... Niosły też i jego krzyk, pełen rozpaczy i bólu.

Gdy po długim czasie wrócił, usiadł przy łóżku Edel i wpatrując się w twarz siostry, próbował odnaleźć w niej dawne rysy. Jakże się zmieniła. Jej, niegdyś pełna, rumiana twarzyczka przypominała buzię porcelanowej lalki, na której ktoś z przesadną dokładnością, czarną kredką namalował szerokie łuki brwiowe i przykleił nienaturalnie długie rzęsy. Mały zadarty nos i wydatne usta uzupełniały porcelanową twarz. Tylko policzki były inne, nie pucułowate jak u lalki, ale zapadnięte jak u zabiedzonego, niedożywnego dziecka, które cudem wyrwano śmierci. Willi z troską gładził twarz siostry, a ona, jakby nagle wyrwana z koszmarnego snu, oderwała głowę od poduszki i zwymiotowała mieszaninę ziół, którą wcześniej napoił ją brat.

- Wyrzuć to z siebie, Edel. Dobrze. Jeszcze raz. No, zmusz się! Niech to świństwo Freitaczki wyjdzie z ciebie. Zobaczysz, będzie dobrze. Przepraszam cię siostrzyczko. To moja wina, że nie obroniłem cię przed tymi głupimi babami. Przepraszam... Przyniosę miskę z wodą, umyję cię.

Edel wpatrywała się przekrwionymi oczami w wiszącego Chrystusa. Był w oparach mgły, ale widziała jego zakrwawioną rękę. Oderwał ją od krzyża i wyciągał ku niej. Widziała wielki gwóźdź spadający w dół. Ona wyciągnęła swoją małą rączkę w kierunku obrazu i szepnęła – Gott mit uns. Gott mit uns...

Wilhelm usłyszał słowa wypowiedziane przez Edel. Podszedł do siostry, objął ją z czułością i szepnął – ty mówisz, Edel, powtórz to, co powiedziałaś przed chwilą.

- Gott mit uns. Willy, podnieś gwóźdź, bo upadł...

- Będzie dobrze, Edel, na razie nie wiesz, co mówisz. Najważniejsze, że odzyskałaś mowę. Będzie dobrze...

- Oddaj mu gwóźdź...

- Dobrze. Oddam.

Wilhelm nie dociekał, o co chodzi Edel. Wiedział, że dziewczynka jest jeszcze odurzona i trochę to potrwa, zanim będzie można się z nią swobodnie skontaktować. Najważniejsze, że zaczęła mówić. Bał się, że zostanie tak już na zawsze, że każdego dnia będzie tęnym wzrokiem wpatrywać się w obraz Ukrzyżowanego. Nieraz miał ochotę zdjąć ze ściany woskowe dzieło, upatrując w nim przyczynę niemocy siostry. Przygotował nawet obraz łąki, na której pasły się sarny, ale nie zdążył go powiesić. Oby Edel znowu nie przestała mówić, oby znowu coś jej nie zablokowało. Wiedział, że najgorszy może być widok czerwonych gwiazd, ale nie było ich we wsi. W miasteczku owszem, można było spotkać Rosjan, ale ci podobno nie byli groźni.

Mokrą ścierką wycierał brudną twarz siostry. Zbierał cuchnącą maź z poduszki. Nie brzydził się. Widział o wiele gorsze rzeczy. Zatykał nos, kiedy grzebali z kolegami rozkładające się zwłoki mieszkańców wioski. Usypywali prowizoryczne kopczyki, wkopywali prymitywne tabliczki z nazwiskami, żeby w przyszłości, ktoś, kto będzie prznosił szczątki na odległy cmentarz, wiedział, kogo kryje stary koc lub derka. Nieraz chodzili z chłopakami nad brzeg rzeki, której nurt wydawał bezimienne, ludzkie szczątki.

W owym feralnym dniu, kiedy we wsi pojawiły się czerwone gwiazdy, jedyną pocieszającą myślą było przekonanie, że Edel zdążyła ukryć się w zamaskowanej niszy w rogu stodoły. Takich tajemnych miejsc było we wsi kilka. Słyszał krzyk matki – uciekaj Edel! Widział biegnącą siostrę i był szczęśliwy, że jest bezpieczna. Widział, jak Ruscy wepchnęli matkę do domu. Nigdy jej nie zapytał, czy i ją zgwałcili. Wołał nie wiedzieć. Widok umierającej siostry, którą przenieśli z matką do domu, pozbawił go złudzeń i jakiegokolwiek pytania były zbędne. A matka uciekała wzrokiem przed spojrzzeniami syna. Nieraz miał ochotę przytulić tę kruchą istotę, zagubioną w nawale wydarzeń, wyczekującą powrotu męża, przygnębioną widokiem córki. Może chociaż trochę rozjaśni jej smutną twarz wiadomość o tym, że Edel odzyskała mowę.

- Mamo, Edel mówi! Chodź, posłuchaj – zawołał w kierunku drzwi kuchennych.

Weszła, niepewna i wystraszona. Bała się własnego syna. Miała poczucie winy, że jest złą matką, bo przecież oddała córkę w łapy czarownicy. Usiadła na brzegu łóżka i ujęła chudą rękę Edel.

- Córuchno, porozmawiasz ze mną? - odezwała się cicho.

- Podnieś gwóźdź... Gott mit uns... - wyszeptała, patrząc na woskowy obraz.

- Co ty mówisz? Dziecko!

- Ona jeszcze nie doszła do siebie po tych ziołach od Freitaczki, ale jutro będzie lepiej. Dajmy jej spokój. Niech się wyśpi – uspokajaj ją Willy. Mamo, co z nami będzie?

- Musimy zostawić wszystko i wyjechać. Nie ma tu dla nas życia. Żałuję, że nie wyjechalśmy wcześniej, może nie byłoby tego nieszczęścia z Edel.

- Mamo, ale my jesteśmy Polakami. Nazywamy się Kowal. Ojciec to Jan Kowal.

- Jesteśmy Niemcami. Przecież wiesz, że ojciec podpisał volkslistę i przypadł gdzieś na wschodnim froncie.

Może kiedyś wróci... - szepnął z nadzieją w głosie Wilhelm.

- On już nie wróci, synu. Żałuję, że uparłam się, aby dać wam niemieckie imiona – Edelgard i Wilhelm. Teraz to będzie waszym przekleństwem. Wszyscy biorą was za Szwabów, ale uzgodniliśmy z twoim ojcem, że on da wam nazwisko a ja imiona. Tak się podzieliliśmy. Jestem Niemką. Sam wiesz, jak kaleczę polski. Nie to co wy, wam obojętne czy mówicie po polsku czy po niemiecku. Przytuliła syna do siebie, a on, zdziwiony nagłym przyływem czułości, z trudem wyzwolił się z jej uścisku.

Mijały kolejne tygodnie. Edel coraz mniej krwawiła i z dnia na dzień odzyskiwała siły. Chętniej jadła i bez strachu wychodziła na podwórze. Wpatrywała się, mrużąc oczy, w majowe słońce. Nieraz miała ochotę zapytać matkę o to, co się wydarzyło, ale po co pytać. Wszystkiego dowiedziała się od Willego. Kiedy odzyskała mowę, kiedy zaczęła poruszać się po domu i włączać w codzienne obowiązki, zaczęła zadawać pytania, nie matce, ale bratu. A on z powagą, rzeczowo starał się odpowiadać na każde pytanie, nawet to najbardziej intymne i wstydlive. A Edel pytała, jakby chodziło nie o nią, a zupełnie obcą osobę, której przytrafiła się dziwna rzecz. Nieraz zapominała, że to ona jest główną bohaterką wydarzeń, ale Wilhelm nie zwracał na to uwagi. Intuicyjnie czuł, że pytania typu – to oni kładli się na nią, czy to ją bolało, czy krzyczała? - pozwalały siostrze na uporanie się z koszmarem, jaki przeżyła. Gdy pojawiała się matka, milki oboje. Nigdy nie rozmawiali w jej obecności.

Któregoś dnia Edel postanowiła zrealizować obietnicę daną Ukrzyżowanemu. W tym celu zdjęła obraz ze ściany i wystawiła go na działanie promieni słonecznych. Obserwowała, kiedy wreszcie słońce roztopi wosk i skróci mękę Chrystusa. Dziwnie wyglądał wizerunek Chrystusa z tej perspektywy. Inaczej go postrzegała, kiedy leżała i całymi godzinami wpatrywała się w wiszącą postać. Teraz, kiedy siedziała obok niego i od czasu do czasu zaglądała, czy już zaczyna się coś dziać, poczuła się jak intruz podglądający kogoś znajomego, jak ktoś ciekawski i niedyskretny. Czekala cierpliwie, ale wosk nie zmieniał swojej konsystencji. Willi stwierdził, że to na pewno nie był czysty wosk, ale jakaś dziwna mieszanina, być może kleju, odpornego na działanie promieni słonecznych.

Przeżyli kolejną zimę. Było ciężko, bo zapasy zgromadzone w niewielkiej ziemiance kurczyły się z dnia na dzień, a puste miejsca straszły widmem głodu. Jakimś cudem doczekali wiosny a wraz z nią nakazu wyjazdu i opuszczenia domu. Pogodzili się z utratą głowy rodziny. Zbyt dużo czasu upłynęło, aby nadal łudzić się i czekać na powrót ojca. Nie pomagały codzienne modlitwy Edel o jego szczęśliwy powrót. Tylko ona nie traciła nadziei. Przed wyjazdem zdjęła obraz ze ściany i na jego odwrocie, na grubej tekturze, czarną kredką napisała PAMIĘTAJ O EDEL. Prośbę skierowała do Boga i do ojca, na wypadek gdyby wrócił. Pakowali się w pościechu. Zabrali najpotrzebniejsze rzeczy. Obraz został na ścianie...

Siedzieliśmy w milczeniu, poruszeni opowieścią pani Edel. Patrzyliśmy na wyblakły napis widniejący na odwrocie obrazu. Nie wiem, o czym inni myśleli, ale ja w tych znakach napisanych niewprawną, dziecięcą ręką, odnalazłam dramat niemieckiej dziewczynki, bezsens wojny, szacunek człowieka do człowieka i głęboką wiarę w Boga, wiarę, której ja nigdy nie doświadczyłam jako osoba traktująca sprawy boskie niezbyt poważnie. Kiedy patrzyłam na tę starą kobietę gładzącą z czułością szklaną tafelę obrazu, który pozwolił skrzywdzonemu dziecku przetrwać trudne chwile, który potem kazał polskiej dziewczynce, a potem dojrzalej kobiecie modlić się o jakąś nieznaną Edel, doszłam do wniosku, że moja znajomość ludzi i ich reakcji w różnych sytuacjach życiowych jest powierzchowna i niedoskonała. Z głębokiej ciszy i zadumy wyrwał nas głos pani Edel;

- Nie myślcie, że mam żal do tych, którzy mi to zrobili. My, Niemcy, też mamy na sumieniu grzechy, o których nie można zapomnieć. Wielu do dzisiaj oplakuje swoich bliskich. To była wojna, okrutna, bezsensowna... Po wielu latach zrozumiałam, co ze mną zrobiła znachorka. Miałam żal do matki, że oddała mnie w ręce staruchy. To za jej przyzwoleniem zostałam okaleczona na zawsze, nigdy nie mogłam urodzić dziecka, rozpadały się kolejne moje małżeństwa. Zostałam sama, a przecież mogłam urodzić to dziecko, wychować, bo to była też moja krew... Kiedy czytałam wojenne relacje i statystyki, wiem, że nie byłam jedyną, a jedną z kilkudziesięciu tysięcy kobiet, które urodziły dzieci w wyniku gwałtu Rosjan. To były okrutne czasy, ale nie można żyć w ciągłej nienawiści i chęci zemsty, bo ten nasz poukładany świat znowu runie. Mojej matce także wybaczyłam. Myślę, że zostałam ginekologiem, aby zrozumieć to, co ze mną zrobiła stara znachorka, ponadto chciałam brać w ręce dzieci wydane na świat i razem z matkami cieszyć się nowym życiem. Taką terapię sobie wymyśliłam...

Kiedy zaczęliśmy zbierać się do odjazdu, młoda gospodyni zapytała:

- Czy mam zapakować obraz?

- Czy może tu zostać? – odpowiedziała pytaniem pani Edel.

- Oczywiście, ale myślałam, że zechce go pani zabrać. To przecież pani własność.

- Wolałabym, aby został. Może go pani trzymać na strychu, bo nie pasuje do nowego wnętrza. To nie jest moja własność, ale nasza... wspólna. Tu jest jego miejsce. Ja niedługo odejdę i wtedy wyrzucą obraz razem ze mną, a tu na pewno przetrwa. Jestem tego pewna. Nie miałabym go komu przekazać.

- Jeśli taka jest pani decyzja, ja ją uszanuję. Szkoda, że moja babcia nie mogła uczestniczyć w tym spotkaniu. Rozmawiała z pani bratem, Wilhelmem, ale on nie był w środku. Siedzieli na ganku, więc nie mógł widzieć obrazu. Na pewno by go dostrzegł i opowiedział o nim, bo on tam wisiał od zawsze. Babcia nigdy nie pozwoliła go zdjąć ze ściany. A poza tym ona była już wtedy bardzo chora i miała kłopoty z pamięcią. Gdyby była zdrowa i w pełni sił umysłowych, z pewnością pokazałaby obraz gościowi z Niemiec, który kiedyś mieszkał w jej domu. Nie wiem, co z nim zrobię, ale obiecuję, że na pewno nie zostanie wyrzucony.

Może oddam go do kościoła. Tam nie powinien nikomu przeszkadzać, mimo że widnieje na nim napis w języku niemieckim. W końcu „Gott mit uns” - „Bóg jest z nami” odnosi się do wszystkich katolików. Proszę nas jeszcze kiedyś odwiedzić, może w przyszłym roku, bo być może uda nam się skończyć remont.

- Czy mogłaby pani coś dla mnie zrobić? – zwróciła się pani Edelgarda do młodej gospodyni.

- Jeśli tylko będę mogła, to dlaczego nie?

- Chciałabym, aby pani zamówiła mszę w tutejszym kościele, za pokój duszy babci. Skoro ona przez wiele lat modliła się o jakąś nieznaną sobie Edel, ja chciałabym się jej odwdziżyć. Proszę, tu są pieniądze na mszę – staruszka położyła na stole zwitek banknotów.

- Opowiem tę historię naszemu księdzu. Gdyby pani miała czas, można by zajrzeć do starych ksiąg kościelnych. Mój mąż bardzo interesuje się historią. Myślę, że nie odpuści sobie takiej gratki, żeby poznać dzieje tutejszych ludzi. Musiałaby pani zostawić swój adres. Na pewno przyślę jakieś informacje dotyczące rodziny pani matki i ojca. Proszę podać mi dane swojej rodziny. Zapiszę i na pewno spełnię obietnicę. Może we wsi żyje jeszcze ktoś, kto pamięta ludzi kiedyś tu mieszkających.

Kiedy panie wymieniały się adresami, ja chodziłam po obejściu. Było cicho, a wieczorny śpiew ptaków potęgował poczucie bezpieczeństwa. Psy, które wypuściła gospodyni z kojca, przywykły do naszej obecności i lasiły się przyjaźnie do nóg. Aż trudno było uwierzyć, że ponad 60 lat temu miały tutaj miejsce tak drastyczne wydarzenia, ale w ciągu ponad półwiecza świat niewiele się zmienił. Ciągłe ludzkie wojują o swoją ziemię, o miedzę, o państewka, o godność, a wszystkiemu temu towarzyszy przemoc. Mordy i gwałty to norma w dzisiejszych czasach. Człowiek ciągle o coś walczy, nie ma spokojnego dnia na świecie. Powinno się chyba doceniać to, że póki co, patrzy się na te wszystkie bezceństwa z pozycji wygodnego fotela przed telewizorem. Oby nie znalazł się jakiś zakompleksiony idiota, który dla swoich ambicji zechce zmienić porządek świata, zechce zburzyć spokój tego podwórka i wielu innych, które z takim trudem budowało się latami. Oby nie.

Wracaliśmy w milczeniu, Każde z nas, zapewne po swojemu, analizowało wizytę w dawnym domu pani Edelgardy. Patrząc na twarz staruszki ze spokojem spoglądającą z okien samochodu na dawne miejsca, miałam poczucie, że stało się coś bardzo istotnego dla niej, dla Thomasa, dla młodej gospodyni i dla mnie. To była ważna wizyta dla nas wszystkich.

Lech Brywczyński

MAŁA STRATA

Grzegorz przerwał czytanie, odchrząknął. Wypił łyk wody ze szklanki, przetarł okulary, a potem znów omiótł wzrokiem trzymany przez siebie tekst. Rozprostował kartkę, znalazł miejsce, w którym przerwał. Wziął głęboki oddech i znów zaczął czytać.

Marcin chciał być szczęśliwy. Tylko tyle i aż tyle. Szukał szczęścia pełnego, nie uzależnionego od kaprysów zmiennego losu. Czy można go za to winić?

Zaczął od pozbycia się tych przedmiotów, bez których mógł się doskonale obyć. W każdej wolnej chwili przeglądał półki, szuflady i inne zakamarki; wyrzucał stamtąd wszystko, co mogło nie być mu już potrzebne lub być potrzebne bardzo rzadko. Wiedział, że musi się uwolnić od balastu, który ciągnie go ku temu co płaskie i przyziemne.

Żona, której nie wtajemniczał w swoje przemyślenia, była zaskoczona jego postępowaniem, ale i zadowolona. Wzięła jego wzmożoną aktywność za nagły zapal do prac porządkowych, do których nigdy przedtem nie był zbyt chętny.

Po kilku tygodniach, kiedy większość półek i szuflad świeciła już pustkami, doszedł do wniosku, że po tym wszystkim nie jest wcale spokojniejszy, nie zwiększył swojego poczucia bezpieczeństwa. Od razu odkrył, dlaczego.

„Pozbyłem się przedmiotów, nie pełniących ważnej roli w moim życiu. Ich strata wcale mnie nie zabolą. Teraz nadszedł czas na wyrzucenie tych rzeczy, które są bliskie mojemu sercu, których los nie jest mi obojętny. To będzie przykre, ale zarazem oczyszczające” - pomyślał.

Od razu przystąpił do działania. Był bezwzględny: pozbywał się, wyrzucał, rozdawał... Nigdy jednak nie oddawał swoich rzeczy ludziom, mieszkającym w sąsiedztwie, bo obawiał się, że widok znajomych przedmiotów, będących już cudzą własnością, mógłby pobudzić wspomnienia. Tracąc kolejne dobra czuł się coraz lepiej: zupełnie jakby zrzucił z siebie ciężar, który go dotąd przytłaczał.

„Własność. Posiadanie różnych rzeczy jest przyjemne, ale nieodłącznie połączone z obawą o ich utratę. Psychiczna cena towaru jest zatem wyższa od jego wartości. Lepiej nic nie mieć” - skalkulował.

Długo zastanawiał się, co zrobić ze swoim ulubionym kanarkiem: wypuścić go, sprzedać czy może komuś dać? Wypuszczenie od razu skreślił, kiedy usłyszał od znajomego o tym, że wypuszczony przez kogoś niedawno ptaszek został niemal natychmiast zadziobany przez stado wróbli.

„Rozdziobią nas kruki, wrony” - przypomniał sobie dawną, szkolną lekturę. „Ale żeby wróble?”

W końcu oddał kanarka w prezencie sklepowi zoologicznemu, w którym kupował zazwyczaj ptasią karmę.

„Nie będę odwiedzał więcej tego sklepu, bo na widok kanarka mógłbym poczuć żal. Nie mając ptaka, nie będę też tracił pieniędzy na ptasią karmę. Ale to tylko marginalna, uboczna korzyść. Moim celem jest oszczędzać zdrowie psychiczne, a nie pieniądze, jestem człowiekiem ideowym” – pomyślał z dumą.

Przeglądanie i wyrzucanie swoich rzeczy doszło do listy jego zwykłych, codziennych zajęć. Czasem bywał zmęczony: obowiązków miał teraz więcej, a przecież dnia nie przybyło.

Żona. Justyna. Kochał ją, ale zauważył, że zaczyna traktować i ją, i tę miłość jako balast, jako przeszkodę na drodze do błogiego, szczęśliwego życia. Rozważania na ten temat pochłaniały go coraz częściej, a wnioski były z każdym dniem bardziej radykalne.

„Miłość niespełniona to brak wody w studni, miłość spełniona to wieczna obawa o to, że studnia wyschnie. Czy nie lepiej odzwyczaić się od picia wody?” Coraz bardziej nihilistyczny stosunek Marcina do dóbr materialnych i do niej samej nie umknął uwadze żony. Najpierw była zaskoczona, potem zniecierpliwiona, rozdrażniona i oburzona, a w końcu odeszła. Tak po prostu, bez większej kłótni: spakowała się i wyszła, by nigdy więcej nie pojawić się w jego życiu.

To wydarzenie było dla niego ciosem bardzo dotkliwym, ale zniósł je mężnie.

„Mała strata, jeszcze jedno zmartwienie mniej” - przekonywał sam siebie kiedy czuł, że zaczyna tęsknić za Justyną. Powtarzał sobie, że teraz, po rozstaniu, na pewno wiedzie się jej znakomicie. Ale sprawdzać nie zamierzał: gdyby okazało się, że jest inaczej, przejąłby się tym i jego pogodną równowagę ducha szlag by trafił.

Czasem - na szczęście rzadko! - zdarzały się chwile, kiedy tracił motywację, kiedy zaczynał wątpić w słuszność drogi, jaką obrał. W takich razach, aby znaleźć pocieszenie i umocnić się w swoich racjach, sięgał po lektury. Zazwyczaj były to powieści, których fabuły źle się kończyły, a z każdej stronicy biło pesymistyczne przesłanie. Jeśli to nie wystarczyło, sięgał po żywoty męczenników, po jakieś trudno zrozumiałe, awangardowe poematy albo demotywatory. Zawsze pomagało.

Kiedy pozbył się już niemal wszystkiego, co wiązało go z życiem, zaczął się zastanawiać nad sensem samego istnienia.

„Mój ojciec żył dziewięćdziesiąt lat. Tyle przeżył, tylu ludzi poznał... A na jego pogrzeb przyszło zaledwie kilkanaście osób, w tym krewni. To jaki ślad my po sobie zostawiamy? Jesteśmy jak kamień, który ktoś wrzuci do wody: fale się rozejdą i już po chwili znikają.”

Ten wniosek go nie zadowolił, poszedł dalej.

„Skąd wiadomo, że żyję? To, że myślę, nie musi wcale oznaczać, że jestem. Może tylko myślę, że jestem, a tak naprawdę mnie nie ma? Czuję, widzę, słyszę, ale i to o niczym nie świadczy. Ludzkie zmysły są ułomne. Przydałby się jakiś dowód na moje istnienie...”

Po namyśle doszedł do wniosku, że dowód tak taki istnieje. Śmierć, tylko śmierć!

„Jeżeli nie istnieję, to śmierć mnie nie dotyczy. Przecież nie mógłbym stracić życia, nie posiadając go. Jeśli zatem umrę, to udowodnię, że żyłem. Będę tylko musiał ustawić kamerę, która zarejestruje moją śmierć. To będzie ważny materiał do badań.”

Z myśla o samobójstwie, nawet popełnionym dla dobra nauki, nieprędko się pogodził; w końcu przez lata przyzwyczał się do przeświadczenia o własnej egzystencji. Był jednak nieugięty: uparcie powtarzał sobie, że życie to nałóg, z którym trzeba zerwać.

„Kiedy byłem dzieckiem, kazali mi się ciągle uczyć... Będąc w wojsku musiałem się czołgać, brnąć przez bagno i pokonywać tor napalmowy... Potem trzeba było dawać z siebie wszystko w pracy... A problemy sercowe, rodzinne, finansowe? Tak traci się zdrowie po kawalku, a kiedy nadchodzi starość, wszystko wychodzi na wierzch. Lepiej nie czekać na emeryturę, tylko skończyć z sobą, będąc w pełni sił. I dostać się na te mityczne Wyspy Szczęśliwe, o których tyle pisali starożytni.”

Po miesiącu wewnętrznych zmagani podjął nieodwołalną decyzję - postanowił, że targnie się na swoje życie. Od tej pory zastanawiał się już tylko nad techniczną stroną zadania, nad tym kiedy i jak je wykonać.

„Kiedy? Na pewno nie w zimie. Ziemia twarda, zmarznięta, grabarze klną, bo biedzą się z wykopaniem grobu. Na pogrzebie wszyscy drżą z zimna: myślą nie o zmarłym ale o tym, kiedy wreszcie można będzie pójść na stypę i zjeść coś gorącego. Nie chcę nikomu sprawiać takich przykrości, dlatego muszę załatwić sprawę teraz, kiedy jest ciepło, kwiaty kwitną, a ptaszki śpiewają. Tak, zrobię to najdalej za tydzień, jeszcze w czerwcu” - zadecydował.

Jak? Z odpowiedzią na to pytanie problemu nie miał: postanowił się otruć. Przypadkowo dowiedział się z telewizji, że jeden z leków, które akurat bierze, działa jak mocna trucizna, jeżeli zostanie spożyty w nadmiernej dawce.

„Biorę po pół tabletki dziennie, to ile muszę wziąć naraz, żeby z sobą skończyć? Dziesięć? Nie, to może być za mało, wezmę dwadzieścia. Albo dwadzieścia jeden, to szczęśliwa liczba. Oczko.”

Jak powiedział, tak zrobił. Niestety, zapomniał o jednym - o tym, że tuż przed zażyciem zabójczej dawki leku postawił garnek z zupą na gaz. On wkrótce stracił przytomność, a tymczasem zupa wykipiła i zgasiła płomień. Gaz zaczął się ulatniać... Konsekwencją był wybuch, który poczynił znaczne szkody w całej kamienicy, a kilku mieszkańców odniosło mniejsze lub większe obrażenia, na szczęście nie zagrażające ich życiu. Co gorsza, Marcin źle wyliczył śmiertelną dawkę leku: dwadzieścia jeden tabletek to było za mało dla jego silnego, wysportowanego organizmu. Nie umarł, po krótkim pobycie w szpitalu wrócił do zdrowia. Dlatego siedzi teraz tutaj, obok mnie, na ławie oskarżonych, a nie na Wyspach Szczęśliwych, które sobie wymarzył.

Grzegorz przerwał czytanie, napił się wody, bo zaschło mu w gardle. Rozejrzał się po sali, a potem znów przysunął do oczu swoją kartkę.

Chciałbym jednak podkreślić, Wysoki Sądzie, że wzmiankowany wybuch był nie zamierzonym, ubocznym skutkiem działań, podjętych przez mojego klienta. Działania, dodajmy, mających na celu nie tylko dobro jego samego, w tym przypadku utożsamiane z odebraniem sobie życia, ale także dobro społeczne. Próbując popełnić samobójstwo, mój klient chciał jeszcze tym swoim ostatnim czynem przysłużyć się nauce, wzbogacić skarbnicę ludzkiej wiedzy. Z niewielką jedynie przesadą stwierdzić można, że pragnął służyć ludzkości do ostatniego tchnienia.

Biorąc powyższe pod uwagę wnoszę, Wysoki Sądzie, o uniewinnienie mojego klienta.

Grzegorz usiadł, wziął głęboki oddech, otarł pot z czoła. Poczyszająco poklepał po ramieniu pogrążonego w ponurej zadumie Marcina.

Wędrowki po prowincji

Andrzej Kasperek

OSTATNIA...



Przestrzelona przez czerwonoarmistę fotografia matki p. Krystyny, fot. ŻPH

W „Prowincji” często piszemy o mennonitach. Sam pisywałem o ich nieraz, m.in. w artykule poświęconym żuławskim korzeniom Anny German zamieszczonym w numerze 12. Nie chcę więc powtarzać historii holenderskiego osadnictwa w delcie Wisły. Kilka faktów jednak należy tu przypomnieć.

Dzieje mennonitów na Pomorzu zaczynają się w XVI wieku. Warto jednak odnotować, że Holendrów, cenionych ze względu na umiejętności zagospodarowywania gruntów podmokłych, sprowadzano tu od końca XIII wieku, kiedy to komtur Meinhard von Querfurt osiedlił ich w miejscu dzisiejszego Pasłęka, zwanego wówczas Hollandt, później Preußisch Holland, czyli Pruska Holandia.

Taki był początek intensywnego, trwającego aż do początków XIX w. osadnictwa olęderskiego. Pierwsi wygnańcy z Niderlandów pojawili się na Żuławach Gdańskich, zniszczonych i opuszczonych przez mieszkańców w wyniku katastrofalnych powodzi w latach 1540, 1543 i 1547. Z likwidacją ich skutków nie mogli poradzić sobie miejscowi chłopci. Mennonickie osadnictwo objęło spustoszone po wojnie polsko-krzyżackiej (1519-21) Żuławy Malborskie a następnie rozszerzyło się na starostwo puckie (Karwieńskie Błota) oraz tereny położone niżej w dorzeczu Wisły - okolice Kwidzyna, Świecia i Grudziądza. W XVII wieku dotarło na Mazowsze (Kazuń Niemiecki, Saska Kępa) oraz do Wielkopolski i Galicji. Szacuje się, że na terenach Rzeczypospolitej powstało co najmniej 1700 osad olęderskich, z czego w przynajmniej 300 przypadkach osadnikami byli etniczni Holendrzy. Oznacza to, że z biegiem czasu termin utracił swoje znaczenie narodowościowe i olędrami nazywano wszystkich osadników, otrzymujących przywileje opierające się na prawie wprowadzonym właśnie przez niderlandzkich kolonistów. Koniec zjawiska osadnictwa olęderskiego przyniósł rok 1945.

Edmund Kizik, wybitny znawca tej problematyki, swój artykuł o dziejach mennonitów w Gdańsku, Elblągu i na Żuławach zatytułował: „Ziemia obiecana – ziemia utracona”. Tytuł trafny i jakże wymowny. Osadnicy znaleźli tu swoje miejsce na ziemi, pozwolono im pracować, żyć i modlić się po swojemu. Pracowici, ambitni, dobrze wykształceni, gospodarni bogacili się sami, ale mieli też pozytywny wpływ na polską gospodarkę wiejską. Przybycie kolonistów z Niderlandów i Fryzji było impulsem rozwojowym dla polskiego rolnictwa. Pokazało, że wydajniejsza i sprawniejsza gospodarka ludzi wolnych dawała większe dochody właścicielom ziemskim.

Świat królewskich przywilejów i gwarancji wolności skończył się wraz rozbiorem Polski. Król pruski Fryderyk II nie respektował prawa wyznawców Menno Simonsa do zwolnienia ze służby wojskowej, nie pozwalał im dokupywać ziemi, nakazał używać języka niemieckiego. Ci, którzy chcieli przestrzegać literalnie religii przodków decydowali się na emigrację do Ameryki lub Rosji. Peter J. Klassen w książce „Ojczyzna dla przybyszów. Wprowadzenie do historii mennonitów w Polsce i Prusach” pisze: „Stopniowo mennonici zaczęli akceptować służbę wojskową traktując ją jako obowiązek obywatelski. Skończyły się zatem lata pacyfizmu. Obecna w pruskiej kulturze potężna siła nacjonalizmu i militaryzmu zmieniła charakter mennonickiej religii w tym państwie. Mennonici holenderscy zostali poddani prusyfikacji. Wydarzenia następnych lat w Prusach oraz Niemczech utrwaliły tę historyczną zmianę.

Już pod koniec XIX wieku większość mennonitów na ziemiach pruskich identyfikowała się z kulturą pruską. Dobrowolna lub częściowo dobrowolna germanizacja oznaczała coraz większe odstępstwa od dawnej ortodoksji, zniknął pacyfizm, język niemiecki stał się mową codzienną, reszty dopełniła pruska szkoła, urzędy i armia. Mennonici, którym przez sto lat pozostawiano pod władzą królów pruskich udawało się ocalić zasadę nienoszenia i nieużywania broni, ponieważ pozwalano im na wykup od służby wojskowej, zostali od 1867 r. zmuszeni na podstawie nowej ustawy o powszechnej służbie wojskowej do stawiania się do poboru. Co prawda, jak pisze Kizik: „została ona złagodzona i proponowano [im] służbę zastępczą lub pomocniczą w jednostkach zaopatrzenia (jako woźnice, pisarze itp.), to sam obowiązek ćwiczeń z bronią, noszenia munduru oraz złożenia przysięgi wojskowej [w wyznaniu tym obowiązuje zakaz przysięgania na cokolwiek] dla wielu konserwatywnych środowisk był nie do zaakceptowania”. Oznaczało to tylko jedno – dostosować się lub wyemigrować. Druga połowa XIX w. to nowa fala migracji, ale już nie do Rosji (bo tam stopniowo przywileje dla przybyszów zaczęto znosić), ale do Kanady i Stanów Zjednoczonych, gdzie ich populacja obecnie liczy prawie 600 tysięcy, dziesięć razy więcej niż w Europie.

Ci, którzy pozostali na Żuławach byli już Niemcami wyznania mennonickiego i na tle innych grup ludności żuławskiej wyróżniali się tylko zamożnością. Pacyfizm pozostał legendą a wielu mennonitów walczyło w szeregach Wehrmachtu. Poparcie dla nazizmu wśród mieszkańców tych terenów było bardzo silne. Związane to było przede wszystkim z świadomością, jak wielkie straty gospodarcze dla Żuław spowodowała polityczna decyzja o utworzeniu państewka pod nazwą Wolne Miasto Gdańsk. Odcięcie od niemieckich rynków spowodowało zbiednienie tych tak bogatych dotąd terenów. A dla goebbelsowskiej propagandy byli oni „dolnorenckimi pionierami na Wschodzie”. Zniemczenie mennonitów widać było też na terenach włączonych do II Rzeczypospolitej. Kazimierz Mężyński opisuje w swym artykule, że w 1937 r. w czasie odwiedzin w gminach Grupa i Mątawa pod Grudziądem widział portrety Hitlera a uczniowie z tych gmin uczęszczający do niemieckich liceów w Bydgoszczy i Grudziądzu należeli do Hitlerjugend. Jednak bywało też zgoła inaczej w innych gminach leżących na terenie odrodzonej Polski. Ryszard Linscheid, urodzony w mennonickiej rodzinie w Kuńkowcach na Podkarpaciu, był polskim oficerem, który trafił do sowieckiej niewoli i został zamordowany w Charkowie. Niektórzy wyznawcy doktryny Menno Simonsa potrafili jednak w tych trudnych czasach dostrzec niebezpieczeństwo popierania hitleryzmu i przestrzegali przed nim.

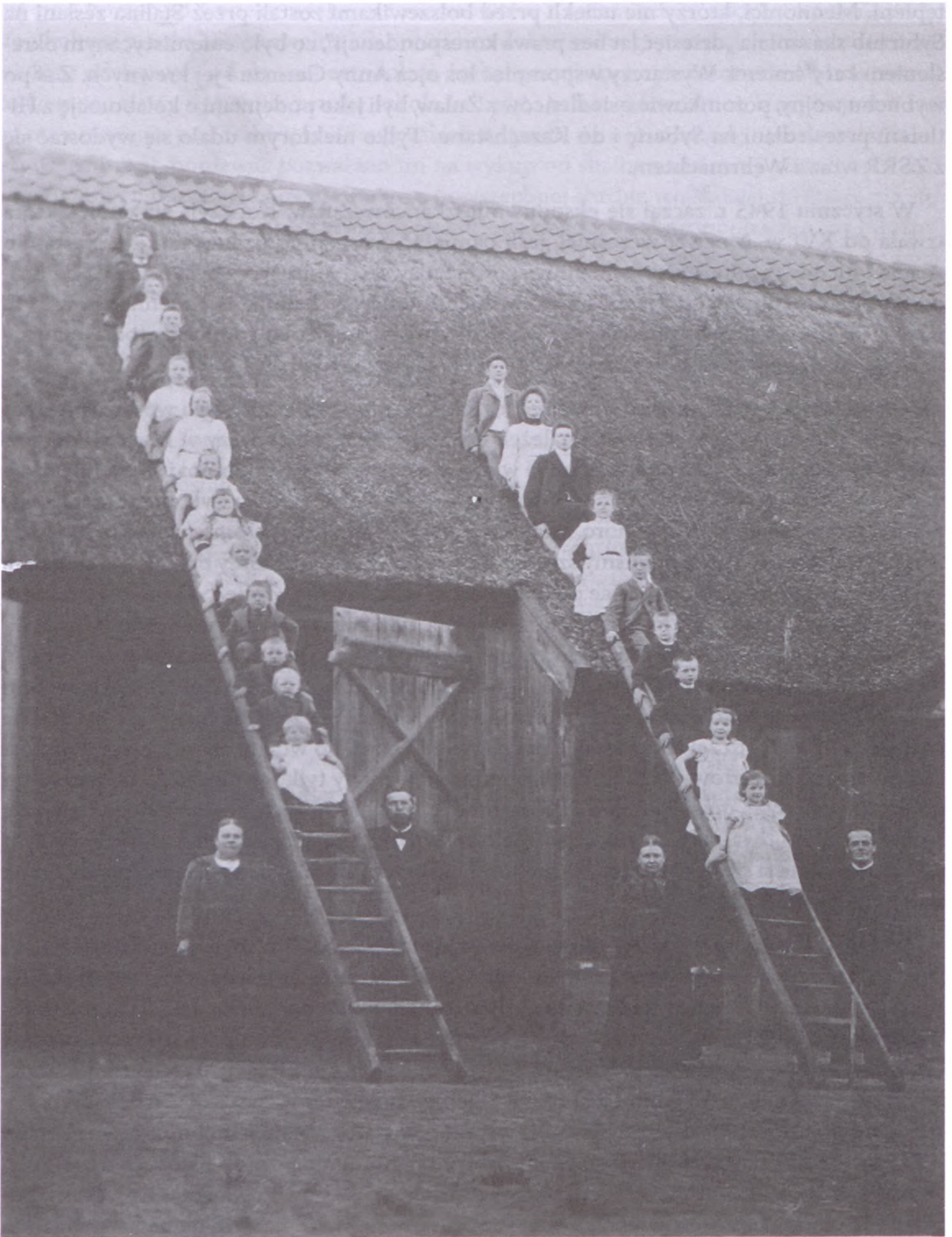
W czasie II wojny światowej mieszkańcy Żuław aż do 1945 roku nie odczuwali żadnych niedogodności związanych z wojną. Żyli i pracowali jakby wojna ich nie dotyczyła, oczywiście czasem przeleciała eskadra bombowców, które zmierzały nad Królewiec, na ulicy pojawili się ludzie w pasiakach, czyli więźniowie KL Stutthof zatrudniani przy pracach polowych lub w nowodworskich warsztatach. Z frontu napływały też zawiadomienia o zabitych, zaginionych. Ale w porównaniu z innymi regionami Rzeszy było tu niemal sielankowo. Dopiero wieści z terenów zajmowanych przez Armię Czerwoną zaczęły budzić lęk. Informacje o mordach i gwałtach, rabunkach i wandalizmie stawały się coraz częstsze. Dla mennonitów były one tym wyraźniejsze, że mieli oni świadomość tego, jaki los spotkał ich krewnych z kolonii rozsianych na Ukrainie i w Rosji. Byli oni wysiedlani, rozstrzeliwani,

tępieni. Mennonici, którzy nie uciekli przed bolszewikami zostali przez Stalina zesłani na Sybir lub skazani na „dziesięć lat bez prawa korespondencji”, co było eufemistycznym określeniem kary śmierci. Wystarczy wspomnieć los ojca Anny German i jej krewnych. Zaś po wybuchu wojny, potomkowie osiedleńców z Żuław, byli jako podejrzani o kolaborację z Hitlerem przesiedlani na Syberię i do Kazachstanu. Tylko niektórym udało się wydostać się z ZSRR wraz z Wehrmachtem.

W styczniu 1945 r. zaczął się eksodus mieszkańców Żuław. Kończyła się epoka, która trwała od XVI w. A nawet wcześniej, jeśli pamiętać o osadnictwie krzyżackim. Nastąpiło „nagle i nieodwracalne zniszczenie miejscowej żuławskiej kultury – specyficznej cywilizacji, wielowyznaniowej społeczności żuławskich luteranów, katolików i mennonitów”. (E. Kizik) Ci, którzy przetrwali ucieczkę w mroźnym styczniu roku pamiętnego osiedlali się w Niemczech, Holandii albo jechali dalej – do Paragwaju, Kanady, USA.

Wśród tysięcy uciekinierów była też rodzina Krystyny Weilandt, czyli wówczas jeszcze Christine Wiehler. Jej przodkowie należeli do zamożnych gospodarzy w Markusach. Gospodarzyli na prawie 40 hektarach, mieli wielki sad (osiemdziesiąt jabłoni i śliw), mieszkali w dużym domu podcieniowym zbudowanym w roku 1775. Wioska była mennonicka, ale kościół był w miejscowości Jezioro. Pani Krystyna wspominała: „Domy piękne były, każdy miał bydło, gęsi, pole. My mieliśmy szesnaście dojnych krów. Mieliśmy bryczkę na co dzień, bryczkę na niedzielę, do tego lejce pięknie złotem wykańczane. Ojciec w kapeluszu jeździł. I była też kryta kareta. Nie każda rodzina tak miała, tylko ci najbardziej pracowici. Chodziliśmy do kościoła w miejscowości Jezioro - pieszo albo bryczką jechaliśmy, albo na rowerach. Rodzice w tym kościele brali ślub. Dawał go im mój dziadek, Rudolf Wiehler. Był pastorem u mennonitów w Markusach, miał czternaścioro dzieci. Podczas ślubu, jak ręce składał na błogosławieństwo, to zawału dostał. I za cztery dni zmarł. Po wojnie Polacy z tego kościoła zrobili magazyn zbożowy. Nabożeństwa mennonickie były tylko w niedzielę, bo pastor też gospodarstwo miał, musiał pracować. Komunię też przyjmowaliśmy, wino było w kieliszku. Komunię tylko dwa razy do roku: na Zielone Świątki i na Wszystkich Świętych. W tym samym kościele ja się ochrzciłam, bo mennonici chrzczą się jako dorośli i bez świadków, na własną odpowiedzialność”.

Rodzina Christy przybyła na teren Żuław na początku XVII w. Była to rodzinna wielodzietna, co było zresztą tradycją u mennonitów. W Muzeum Żuławskim jest fotografia, na której widać ojca Christiny siedzącego na długasnej drabinie opartej na dachu stodoły w towarzystwie swych dwunastu braci i sióstr. Wiehlerowie mieszkali w takich miejscowościach jak Jasna, Kępnowo, Markusy, Rozgart, Szaleniec, Klecie i w Elblągu. Trzeba tu dodać, że wybitnym członkiem tej rodziny jest Frank Wiehler, przewodniczący Koła Arbeitskreis Polen z Niderlandów i Ameryki, uczestnik i współorganizator zjazdów mennonitów w Polsce. Kilka lat temu przekazał on elbląskiemu Muzeum Archeologiczno-Historycznemu „Wyznanie wiary mennonitów” („Glaubensbekenntnis”) z 1836 r. Powiedział wówczas: „Pozostałbym przekazać ten katechizm elbląskiemu muzeum. Katechizm ten jest wspaniałym dowodem tolerancji królów Polski, którzy przed 400 laty prześladowanym mennonitom z Holandii i Szwajcarii, zaoferovali azyl w Elblągu i okolicy. Gdziekolwiek wtedy, w Holandii, w Szwajcarii, we Francji byli ówcześni mennonici, [to byli] okrutnie prześladowani. Tu



Dziadkowie p. Krystyny stoją przy drabinie, na której usadzili swe dzieci. Czwarty od dołu to Fritz Wiehler 1903 r., fot. ŻPH

w Elblągu znaleźli cichą i pewną przystań w tych, jakże niespokojnych wówczas, czasach”. Obecnie członkowie rodziny żyją w dziewięciu krajach: w Kanadzie, USA, w Niemczech, Luksemburgu, Urugwaju, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Polsce a nawet na wyspach Fidzi. Nikt już nie zajmuje się rolnictwem. Imponujące jest to, że kilkaset osób spotyka się co 5 lat na zjazdach rodzinnych, opracowano wielką księgę pamiątkową, działa strona internetowa klanu Wiehlerów: <http://wiehler.org/>

Przodkowie pani Krystyny żyli nie tylko z uprawy roli i hodowli. Pradziadek zaprojektował kościół mennonicki w Elblągu, ten który obecnie należy do parafii polsko-katolickiej, a dziadek zakładał cmentarz Agrykola. Ojciec Fritz owdowiał i ożenił się powtórnie a mała Krysia wraz z innymi dziećmi wystąpiła w teatrzyku weselnym. Przebrani za krasnoludki Puki, Schnuki i Luki ogłosili ze sceny wierszyki cioci Lidii, która parała się poezją. „Dzieci zrobiły teatrzyk na ślubie taty. I to pod lampionami! Coś pięknego!” – rozczuła się na to wspomnienie z dzieciństwa.

To było przed wojną, a później powoli ta beztroska mijała. Starszy brat Rudolf trafił do wojska, został ranny w Grecji i zmarł. Kiedy w październiku 1944 r. zbierali buraki z pola zobaczyła wozy z uchodźcami z Kętrzyna. Była to rodzina matki. Wspomina: „Nie, jeszcze wtedy nikt nie ruszał, czekaliśmy do ostatka, do stycznia, 24 stycznia wyjechaliśmy, o godzinie 10 tak mniej więcej. Ojciec służył w Volksturmie, to była niby taka obrona tej wioski i on jeszcze wieczorem poszedł, później mówił, że już światło było pogaszone i niemieckie wojsko leżało w tych rowach koło szkoły w Markusach. Oni mówili: „A co wy tu robicie jeszcze? Idźcie do swojej rodziny, kilometr dalej (tam gdzie ta główna trasa idzie z Elbląga) tam już rosyjskie wojsko”. No i jeszcze mówił do nas, że jeżeli do godziny 4 wróci z powrotem to znaczy, że będziemy uciekać a jeżeli nie, to nie już w ogóle szansy, żeby wyruszyć. Ojciec przyszedł o godzinie 4 rano i w ten czas mówi: „Proszę się szykować do ucieczki”, jeszcze krowy wydoiliśmy i przygotowaliśmy się do ucieczki. Tak mieliśmy 2 wozy a do nich 4 konie. Dwie kobyły były ciężarne a jedna z nich miała pierwszy raz mieć źrebaczka a ona była po takiej chorobie - dziurę miała w gardle, ojciec to wyleczył, ale teraz było 28 stopni mrozu. Ulice to był jeden lód, nic więcej, asfaltu nie było widać. Tak, cała rodzina ale pięciu gospodarzy, sąsiadów. Myśmy jeszcze zabrali ze sobą, bo matka miała siostry, to miała pięcioro dzieci wtedy i oni mieszkali w Kętrzynie a jej mąż był wtedy w wojsku, w Rosji, no i jak front zaczął się zbliżać, to później myśmy ją brali do budynku do tego budynku, co tam stoi, tak zwany Gardenhaus, i ona mieszkała tam z tymi dziećmi, no i ją jeszcze zabraliśmy. Najmłodsze dziecko miało 10 miesięcy”.

Zadziwiająco, jak pamięć po tylu latach przechowała każdy szczegół tego wydarzenia. Wzięli trochę jedzenia na drogę. Do pilnowania gospodarstwa zostało „dwóch chłopaków, jeden miał 18 a drugi 16 lat i ten 16-letni pilnował krów, czyścił itd., ojcu pomógł, a drugi konie miał. Oni tam zostali. Ale Pan Bóg wie, co z nimi się stało. Myśmy wyszli przez stodołę, nie wyszliśmy przez chlew tylko przez stodołę wychodziliśmy a tak te zwierzęta pamiętam, krowy aż głowy wychyliły, jak wychodziliśmy i one coś przeczowały. Strasznie o tym myśleć jest. No i pojechaliśmy, ale ojca nie było z nami, jeden wóz mój brat prowadził, ten co w Gdańsku zginął a jeden wóz ja prowadziłam. Ojca nie puścili, bo był w tym Volksturmie, to niby dla obrony, no właśnie, ale ojciec jeszcze pomógł nam żeby wyjechać,

wtedy sam został, jeszcze sąsiad został a jego żona z nami była, ale oni dzieci nie mieli, drugi sąsiad też został, był w wojsku, tam mieli siedmioro dzieci. Wszyscy razem, pięć rodzin, tak wyruszyliśmy w kierunku Kiezmarka, żeby na prom później się dostać. Jeden sąsiad Kruger miał przed Kiezmarkiem znajomych i on mówił, że pójdzie, a jak tam się jechało ulicą, później była droga polna na to gospodarstwo i tam nocowaliśmy”. Tam odnalazł ich ojciec. Dalej to typowy los wychodźców, poniewierka na oblodzonych drogach, w trzaskającym mrozie. „Schowaliśmy się koło Słupska, bo Ruski już kocioł zamknęli i koniec był. Mojego ojca zabrali i już więcej nie wrócił. Całą wojnę przeżył i dopiero Ruski go nam odebrali. A mój starszy brat na Węgrzech leży pochowany, na wojskowym cmentarzu. On był w Grecji w niemieckim wojsku. Bo my Niemcami byliśmy”.

„Przed Słupskiem, koło lasu Ruscy nas już wtedy [zgarnęli], jak przyjechali to nie patrzyli nawet. Ruscy krzyczeli: „hura, hura” a ludzie wszyscy do lasu uciekli. A moja sąsiadka dziecko urodziła na wozie, a jej matka odebrała to dziecko, dobrze, że ona potrafiła to wykonać. Później u ludzi żeśmy się zatrzymywali. A później już nie było powrotu, ojca zabrali, wtedy był koniec, sami zostaliśmy. Wszyscy mieli zamiar, żeby do Markus wrócić, no bo co mieliśmy robić? No i codziennie 20 km pieszo szło się. Doszliśmy do Nogatu, tam już Polacy byli, to przewozili ich w łódkach, ale też trzeba było coś dać za to, a matka miała w spódnicy, w podszewce pierścionek ślubny od ojca jeszcze ukryty. Ona chciała dać, żeby nas przewieźli na drugą stronę a ja mówię: „nie, to jest pamiątka po ojcu, tego proszę nie dawać, ja wyszukam jakąś rzecz, może jakieś ubranie i się jakoś przedostaniemy”, no i się zgodzili i przewieźli nas”. Wrócili do Markus bez ojca i brata. „A o ojcu dowiedzieliśmy się tylko tyle, a ta sąsiadka, co została sama, Rosjanie przestrelili jej rękę, ona nic nie mogła robić, ale była tak owszawiona, wszystkie gatunki wszy, które mogą być, to ona miała a matka ja obczyściła, bo nic [sama] nie mogła robić. A jak myśmy do Markus wracali, to ona poszła do swojego domu i ona miała siostrę jeszcze w Elblągu i ta siostra to jakimś sposobem się dowiedziała, że ona wróciła i ta siostra przyszła do niej. Jeszcze kilka osób nie zdążyło uciec z Markus, to powiedzieli [ojciec tu] był i opowiadał, że Ruski ich transportowali i byli na majątku Neudeck, to jest koło Kwidzyna, od tego generała feldmarszałka von Hindenburga, to był jego majątek i Ruski ich transportowali a podobno mój ojciec był już taki słaby, że w ogóle nie miał sił żeby dalej iść. Mówił: „ja zostanę tutaj” a oni powiedzieli: „nie zostawimy ciebie, kolega weźmie cię z jednej strony, ja z drugiej i zaprowadzimy cię do Kwidzyna, do szpitala”. Nic więcej nie wiemy, bo tego John to od razu Ruski zabrali dalej do roboty, tak że wszelka wiadomość zaginęła”.

Gospodarstwo było zrujnowane, sprzęty rozgrabione, poniszczone. W ekspozycji Muzeum Żuławskiego jest fotografia rodzinna pani Krystyny przestrelona w dwóch miejscach. Chociaż tak sowiecki czerwonoarmista wywarł swą złość na Niemcach. Największym problemem był głód. Wszyscy byli osłabieni a jej wujek zmarł z głodu. Ziemia pozbawiona opieki bardzo szybko dziczała, trzcina porosła na wysokość chłopa. Jej bracia byli malutcy, jeden miał 9 drugi 7 lat i oni na dzieżach od chleba robienia pływali po wodzie niczym w łódce i jajka od kaczek podbierali, żeby mieć co jeść. Wujek jeszcze przed śmiercią zasadził kartofle i nawet się urodziły, ale później Polacy, którzy dostali przydział na ich miejsce, matce wszystkie kartofle zabrali i znowu cierpieli głód. Krysta z rodzina mieszkała w ogro-

dowym domku, w tym małym budynku. Opowiada dalej: „A myśmy za pracą już chodzili z siostrą. Byliśmy później w tym Szaleńcu, tam pracowaliśmy na tym gospodarstwie. Pilnowałam krów, tak jak w domu, jakby to były moje krowy, wyczyszczone, ogony związane, każda krowa miała tabliczkę, jak się nazywa. [To tam poznałam] swojego męża. Tam najpierw szwagier przyjechał i jego brat przyjechał, bo też nie miał roboty i tam się poznaliśmy. Pracowaliśmy razem. [Leonard pochodził] z Czerska. On był w wojsku niemieckim w Berlinie na tym bunkrze był. Później Ruscy tam też wszystko zajęli i on dostał tyfus, no i musiał tam jeszcze pozostać i jak już mu się poprawiło transportowali go i w Poznaniu mieli przesiadkę i tam uciekli, tam im jakiś Rusek pomógł i on się do domu dostał. Bo oni mieli ich do Rosji wywieźć pewnie”.

Wraz z narzeczonym wróciła do jego rodziców pod Czersk i tam 14 listopada 1948 roku wzięli ślub kościelny. Sam papież musiał wyrazić na niego zgodę, a ona dla męża zmieniła wiarę. Jeszcze raz ją ochrzczono, bo ksiądz nie wiedział, czy jej chrzest jest ważny w kościele katolickim. Miała i tak szczęście, bo ksiądz znał świetnie niemiecki i nauk przedmażeńskich udzielał jej w tym języku. Przecież ona po polsku nic wtedy nie umiała. Ślub cywilny wzięli później, najpierw musiała dostać polskie obywatelstwo. A potem jej kuzynka, która miała chore dziecko i nie dała rady uciec, ściągnęła ją do Elbląga. Mąż pracował w Gdańsku i raz na tydzień był w domu. Ona nie pracowała już wtedy zawodowo, była na utrzymaniu męża. Roboty było huk, zajmowała się dziećmi a wedle mennonickiej tradycji była ich potężna gromadka - ośmioro. Cztery dziewczynki i czterech chłopców. W wywiadzie sprzed kilku lat mówiła: „I 16 wnuków mam i 4 prawnuki”. Dziś potomków pani Krystyny jest pewnie o wiele więcej. Przypomina mi się fragment wiersza Czesława Miłosza „Rozbieranie Justyny”:

Urodziłaś synów i córki. Dorosły wnuki.

Opierasz ręce na sękatym kiju, matka rodu.

Ostatnia z twoich krewnych i rówieśnych.

Z mężem przeżyła przeszło pół wieku. Wspomina: „Przystojny chłopak z niego był, uprzejmy. Zabrał mnie do przyszłych teściów do Czerska, żeby mnie przedstawić. Stamtąd pojechaliśmy do Elżbietowa. To był taki majątek, gdzie dostałam pracę w kuchni. Gotowałam obiady dla pracowników sezonowych, ponad dziesięć osób ich było. Mieszkaliśmy w roboczym domu. Jedna kobieta za każdym razem jak mnie widziała, syczała: „niemiecka świnia, niemiecka świnia”. Nie wiedziałam, co to znaczy, bo nie znałam polskiego, ale zapytałam zarządcę. I wtedy on porozmawiał z tamtą kobietą i więcej już tak do mnie nie mówiła. Po prostu ją opieprzył, że jeszcze raz tak powie, to zobaczy. A później to byli najlepsi sąsiedzi. Albo dzieciakom [dokuczano], jak moje dzieci już do szkoły chodziły, ile razy one z płaczem przychodziły, na tornistrach Hakenkreutz, twoją matka to Niemka, jesteś Niemcem. Pytały: „Mamo, czemu tak?”, a człowiek uważał, bał się, żeby słowa po niemiecku się odezwać, tylko trzeba było pomału nauczyć się po polsku. A jak już dzieci do szkoły chodziły. A teraz? Teraz Polką jestem. Po wojnie przeszłam na katolicyzm, wyszłam za Polaka, przy dzieciakach, jak zaczęły chodzić do szkoły nauczyłam się po polsku mówić. Bo wcześniej ani słowa nie umiałam... Krzyczały na mnie: „Ty do nas po niemiecku nie mów, bo my po hitlerowsku nie będziemy mówić!”

Zawsze trochę tęskniła za swoją wiarą. Zawsze była przeciwna temu, że w tej nowej wierze trzeba chodzić do księdza, żeby się wypowiadać, a przecież ksiądz też przecież grzeszy i on ma dawać rozgrzeszenie? Od tego jest Bóg, który zna wszystkie nasze winy. Dzieciom jednak o swoim pochodzeniu za dużo nie mówiła, nie chciała, żeby wciąż się musiały tłumaczyć ze swego, przez wiele lat tego kłopotliwego, dziedzictwa. Wychowywała je wedle starych zasad - skromność, posłuszeństwo, praca. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych na fali zmian zaczęła o tym mówić, odkryto ją, zaczęto robić z nią wywiady, zapraszać na zjazdy mennonitów. Ale za swój najważniejszy dzień życia uznaje spotkanie w prezydium rady narodowej w Elblągu. Na zjeździe rodziny Wiehlerów spotkała swych krewnych. Przypominała sobie 400 lat historii rodu. Utrzymywała kontakty z kuzynami, dzieciom mogła już mówić o przodkach, pokazywać wydawane za granicą książki. Sama nigdy nie żałowała, że nie wyjechała z Żuław, ostatnia na ziemi przodków, strażniczka tradycji. Ale też nikomu z krewnych nie robiła wyrzutów, że opuścili tę krainę. Mówiła: „Nikt z moich krewnych tu nie został, z kim byśmy tu byli? Zresztą wszyscy tutejsi mennonici powyjeżdżali: do Danii, Ameryki, Kanady, Australii, nawet do Urugwaju - dzwonili do mnie stamtąd w zeszłym roku, na 85. urodziny. Jeden kuzyn w Ugandzie działa, pomaga biednym. A rok temu dostałam nagle list z Kanady. To kuzyn Udo napisał; a widzieliśmy się ostatnio, kiedy miał siedem lat!”



Urodzinowe kwiaty dla Pani Krystyny Weilandt z Konsulatu Królestwa Niderlandó, fot. ŻPH

Do końca życia pozostała pogodną, życzliwą ludziom osobą, pełną ciepła, optymizmu a nawet wylewności. I chętnie obdarowywała gości serwetkami, które robiła na szydełku. Zmarła w dniu 12 lipca 2014 roku. Wraz z nią w sposób symboliczny zakończyła się epoka obecności na ziemi żuławskiej mennonitów. Tych, co jak pisał Paweł Huelle: „uprawiali tłustą ziemię w pocie czoła i z miłością, którzy przekopywali pracowicie kanały, budowali śluzy, stawiali wiatraki, śpiewali psalmy i hymny [...] po których nie pozostał prawie żaden ślad”. Na szczęście ślad pozostał. W ciągu ostatnich lat zrobiono bardzo wiele dla przywrócenia pamięci o dziedzictwie żuławskich mennonitów – porządkuje się stare cmentarze, w Nowym Dworze Gdańskim jest stała ekspozycja im poświęcona pt. „Na polskim polderze”, wytyczono rowerowy szlak turystyczny wiodący ich śladem, powstaje europejska trasa edukacyjno-turystyczna Menno Tour... To wszystko daje nadzieję, że uda się ocalić od zapomnienia fenomen kulturowy dawnych Żuław.

Korzystałem z: Kazimierz Mężyński „O mennonitach w Polsce” (1960-1961), Peter J. Klassen „Ojczyzna dla przybyszów” (2002), „Mennonici na Żuławach. Ocalone dziedzictwo” (2007), wypowiedzi Krystyny Weilandt pochodzą z wywiadów: „Ostatnia mennonitka na Pomorzu”. Z Krystyną Weilandt rozmawiała Aleksandra Kozłowska („Gazeta Wyborcza”, 2005) oraz „Wywiadu z panią Krystyną Weilandt”, który przeprowadzili Bolesław Klein i Marek Opitz dostępnego na: <http://www.zph.org.pl>

Małgorzata Łukianow

ZAPOMNIANE, POMINIĘTE CZY NIEPAMIĘTANE?

Każdy człowiek posiada pamięć, która niezależnie od tego, jak dobra - zawsze jest niedoskonała. Mamy tendencję do tego, by szczególnie pamiętać o miłych wydarzeniach z naszego życia, a o nieprzyjemnych – zapominać. Upamiętniamy rocznice ważnych dla nas wydarzeń, takich jak urodziny, rocznice ślubów, czyli tych, które budzą w nas głównie pozytywne skojarzenia. Z drugiej strony, nasze wewnętrzne psychologiczne mechanizmy ukrywają przed nami traumy i dramatyczne wydarzenia, by chronić naszą psychikę. Lubimy wybielać swoją przeszłość, a najczęściej robimy to podświadomie i bezwolnie. Ważne jest jednak, by jasno stwierdzić - żadna, nawet najlepsza pamięć nie oddaje obiektywnie przebiegu naszego życia. Niezależnie od tego ile pamiętamy – ile, wydarzeń, słów oraz osób, zawsze pamiętamy je w różny sposób. Nadajemy wydarzeniom hierarchię ważności i w ten sposób tworzymy nasze osobiste biografie.

Analogicznie jest z małymi i dużymi społecznościami. One także posiadają swoją pamięć o ważnych wydarzeniach, które są upamiętniane. Obchodzimy święta – lokalne i narodowe – w oparciu o wydarzenia historyczne, które uznawane są za istotne w historii zarówno regionu, jak i Polski. Także elementy naszej przestrzeni i miejskiego krajobrazu są manifestacją pamięci. Pomniki, budynki, obrazy oraz teksty przynależą do sfery kultury zobiektywizowanej, czyli tego, co wykrystalizowało się w toku społecznej komunikacji [Assman 2003:13]. Stawiamy pomniki bohaterom, choć często bywają oni kontrowersyjni lub odnajdujemy bohaterów niesłusznie zapomnianych i umieszczamy ich w panteonie. Ale oprócz pamięci każda społeczność posiada także swoją niepamięć. Tutaj znów posłużę się analogią do osobistej pamięci każdego człowieka. Czy nie zapominamy o czymś czasem... „celowo”? Najczęściej są to sprawy nieprzyjemne, niewygodne i takie, o których naprawdę chcielibyśmy zapomnieć i więcej nie wspominać. Także takie, które, jak można to potocznie określić, zamiatamy pod dywan. Społeczności i grupy społeczne - rozumiane tutaj jako odrębne całości tworzone przez poszczególne jednostki, które nie są prostą sumą jednostek ich tworzących, ale odrębną jakością - także wykazują tendencję do niepamiętania i zapominania. Niepamięć jest bardzo ważnym wymiarem pamięci, a wręcz jej kluczowym aspektem choć z początku brzmieć to może dość abstrakcyjnie. Niepamięć nie jest pustką, ale odwrotną stroną pamięci [Ricoeur, 2006:564]. Oznacza to, że w niepamięci zgromadzone są te elementy, które wyłączane są z narracji pamięci w danej zbiorowości. Wciąż jednak jest to pewien zbiór treści, wydarzeń oraz osób.

Wiele przykładów takiej niepamięci spotkać można na gruncie pamięci na Powiślu. Niżej tekst chciałabym poświęcić na podanie kilku przykładów tego, o czym z różnych powodów lokalna społeczność może nie pamiętać. Moje zainteresowania oscylują wokół tworzenia się społeczności lokalnych na Powiślu po wojnie. Proces ten był zupełnie wy-

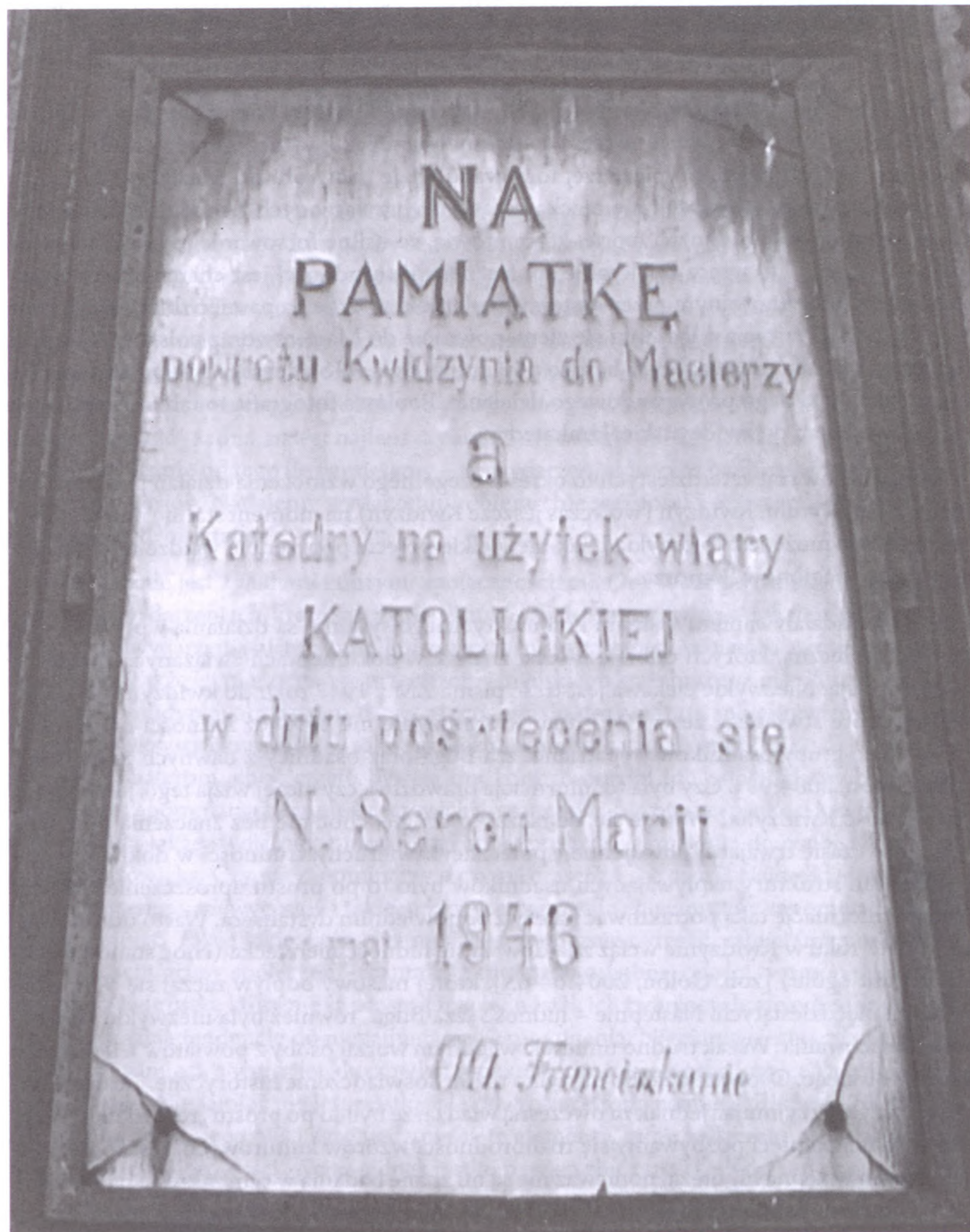
jątkowy – społeczności powstały zupełnie od nowa, w przeciwieństwie do miejsc, w których mieszkańcy często od wieków zakorzenieni są w danym miejscu. Ważne pytania, które możemy postawić w tym miejscu to nie tylko czy o tym pamiętamy (ponieważ żyje wciąż wiele osób, które pamięta to osobiście) ale także jak o tych wydarzeniach pamiętamy.

Zacznijmy od zapominania celowego i „odgórnego”. System komunistyczny w Polsce w mocny sposób oddziaływał na treść społecznej pamięci, a w szczególności sposób na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Po pierwsze, forsowano wizję „powrotu do Macierzy”, próbując wymazać z pamięci obywateli niemiecką przeszłość przyłączonych terenów. W literaturze socjologicznej znaleźć można teorie, które mówią, że usilne forsowanie jedności narodowej i ukrywanie lub wręcz zwalczanie społecznej różnorodności jest charakterystycznym działaniem podejmowanym przez systemy niedemokratyczne na pamięć zbiorową [Lipiński, 2012:52]. Narracja o łączeniu się ziem, powrocie do Macierzy oraz polskości terenów (w tym przypadku Powiśla) była bardzo popularna. Dziś w Kwidzynie spotkać można jeszcze przykłady takiego propagandowego działania. Poniższa fotografia to tablica znajdująca się nad wejściem do kwidzyńskiej konkatedry.

Druga połowa lat czterdziestych to okres szczególnego wzmożenia działań propagandowych. Z tego tytułu, Kwidzyn (wówczas jeszcze Kwidzyń) na moment stał się nawet stolicą Warmii! Być może jest to przykład, jak niewielkie pojęcie poprzednie władze miały o różnorodności regionów Pomorza.

Innym oddziaływaniem systemu komunistycznego systemu są działania wpływające na pamięć społeczną, których odbicie można znaleźć w dokumentach związanej ówczesną administracją. Niezwykle ciekawa jest treść pisma ZM z 1947 roku do kwidzyńskiego Starostwa, które stwierdza, że w 1947 roku w Kwidzynie nie było już ludności niemieckiej i były dwie grupy osadników: repatrianci zza Buga oraz osadnicy z dawnych ziem II RP. [por. Golon, 2004:99]. Czy była to informacja prawdziwa czy raczej wizja tego, jak wygląda społeczność Kwidzyna? Wydaje się, że raczej to drugie, choć nie bez znaczenia pozostaje fakt, że w czasie trwającej powojennej społecznej zawieruchy, trudności w dokładnym rejestrowaniu struktury napływających osadników było to po prostu uproszczenie. Tak czy inaczej, informację taką potraktować należy z odpowiednim dystansem. Warto odnotować, że w 1947 roku w Kwidzynie wciąż znajdowała się ludność niemiecka (choć stanowiła kilka procent ogółu) [zob. Golon, 2004:64-65], której masowy odpływ zaczął się ponownie w latach pięćdziesiątych. Następnie – ludność „zza Buga” również była niezwykle kulturowo zróżnicowana. Wszak trudno umieścić w jednym worku osoby z powiatów wileńskiego i kostopolskiego. Osoby te dzieliło nie tylko różne doświadczenie historyczne, ale także tradycje i język. Przyjmując jednak za ówczesną władzę, że byli to po prostu „repatrianci” w naszej lokalnej pamięci pozbywamy się różnorodności wzorów kulturowych. Jest to oczywiście pewna wstępna hipoteza, ponieważ nie są mi znane badania w tym zakresie na Powiślu, ale skromne doświadczenie terenowe podpowiada, że nawet w wymiarze autoidentyfikacji osoby z tych grup podkreśliłyby swoją odrębność – domniemaną lub faktyczną.

Uogólnianie i tworzenie stereotypów działało także oddolnie, jako wynik kontaktów lub ich braku pomiędzy poszczególnymi osobami. Oddolne tworzenie pamięci i niepamięci



NA
PAMIĄTKĘ
powrotu Kwidzyna do Macierzy

a

Katedry na użytek wiary

KATOLICKIEJ

w dniu poświęcenia się

N. Serce Marii

sierpień 1946

Ol. Franciškunite

Pamiątkowa tablica umieszczona na kwidzyńskiej konkatedrze, fot. B. Łukianow

Po wiekach niewoli w jarzmie germańskim,
 po wiekach walk o polskość,
STOLICA WARMII - KWIDZYN
 wraca znów pod opiekuńcze skrzydła
MATKI - POLSKI
 Dzisiaj - pierwsza rocznica
 złączenia tej ziemi z Macierzą

Propagandowy nagłówek w „Głosie Pomorza” z dn. 26.03.1946

związane jest z osobistymi doświadczeniami nowych osadników. Takie zróżnicowanie wynika z szeregu czynników. Po pierwsze i najbardziej oczywiste – różnorodność napływających osób (w tym przypadku do Kwidzyna) powodowała, że tworzyły się dystanse społeczne i stereotypy. Prowadzone przeze mnie badania pokazują, że są dwie grupy ludności, które do pewnego stopnia giną w opowieściach najstarszych mieszkańców miasta, a więc także nie są włączona do narracji pamięci. Po pierwsze, są to osoby, które zostały osiedlone w Kwidzynie w związku z prowadzoną akcją „Wisła”. Rodziło to dalsze reperkusje. Skąd bowiem wiadomo, czy byli to „źli” czy „dobrzy” Ukraińcy? UPA, Banderowcy, czy „nasi”? Jak powiedziała mi w trakcie wywiadu jedna respondentka – skoro niewiele było wiadomo, lepiej było w ogóle utrzymywać dystans wobec tych osób. A przecież w ramach akcji wysiedlano także ludność Łemkowską, także na Powiśle. Co dziś o niej wiemy? Wydaje się, że bardzo niewiele.

Drugą grupą, która jest zapominana, to polska ludność autochtoniczna na Powiślu. Jej sytuację znamy najlepiej z opracowań dotyczących Plebiscytu w 1920 roku. Wydaje się, że po wojnie grupa ta rozplywa się w narracji o „autochtonach”, z którymi jednak utożsamiamy... ludność niemiecką. A to wydaje się zbyt dużym uproszczeniem. Kwestia polskiej ludności autochtonicznej pojawia się głównie w okresie prowadzenia procesu weryfikacji narodowościowej w 1945 roku, gdy statystyki ludnościowe uwzględniają liczbę ludności zweryfikowanej [Belzyt, 1998:199]. Później – mowa jest raczej o opuszczającej miasto ludności niemieckiej oraz sytuacji tych osób, które zdecydowały się pozostać w mieście. Tworzenie takich uogólnień polegających na włączaniu do danej kategorii osób, które niekoniecznie do niej przynależą lub przynależą w bardzo luźny sposób powoduje, że sami opisując tworzenie się nowych społeczności na Powiślu bardzo upraszczamy obraz i w konsekwencji tracimy wielokulturowość i barwny krajobraz kulturowy tamtych czasów.

Nie tylko jednak wyłącznie powojenna historia jest tym, co wpłynęło na kształtowanie się dzisiejszej pamięci społecznej. W Kwidzynie w latach 1815-1935 funkcjonował cmentarz żydowski. Jego losy są bardzo smutne i stanowią także przykład „sterowanego” zapomnienia. Cmentarz zlikwidowany został przez władze niemieckie w 1935 roku w związku z antyżydowską hitlerowską polityką, a następnie założono tam kolejno ogródek warzywny

oraz plac zabaw. Cmentarze są ważną formą upamiętniania, manifestacją pamięci społecznej w przestrzeni miasta. Usuwanie cmentarza jest działaniem, które ma przesunąć w niepamięć społeczną wiedzę o danej grupie. Jak dziś pamiętamy o żydowskiej społeczności w Kwidzynie?



*Bożnica żydowska w Kwidzynie, wpisana do rejestru zabytków,
źródło: http://kwidzynopedia.pl/index.php?title=Stara_synagoga_w_Kwidzynie*

W Kwidzynie wciąż znajduje się synagoga, choć jest w opłakanym stanie. Wielu mieszkańców nie wie o jej istnieniu i często, gdy o tym wspominam, wyraża zdziwienie. Powstała w latach trzydziestych XIX wieku, dziś stoi opuszczona. Nie ma dziś w Kwidzynie społeczności żydowskiej. Żydzi na Ziemiach Zachodnich i Północnych, którzy najczęściej przybywali ze Wschodu, traktowali przyłączone tereny jako przystanek na drodze do dalszej emigracji [Hejger, 2008:240-241]. Jeśli więc przyjechali kiedyś do Kwidzyna, prawdopodobnie szybko go opuszczali, wyjeżdżając np. do Izraela. Zachowały się jednak drobne ślady, jak na przykład ta fotografia, które w bardzo niewielkiej skali upamiętniają Żydów w Kwidzynie. Kobieta na zdjęciu, Fela Tobier, była Żydówką, która przyjechała do Kwidzyna z Syberii w transporcie z wojennymi sierotami. Chwilę przebywając w Kwidzynie, wyjechała do Izraela. Stamtąd też, w 1951 roku, zostało wysłane to zdjęcie.

Kończąc, chciałabym także zwrócić uwagę na inny problem. Nigdy nie jesteśmy wolni od społecznego kontekstu w którym funkcjonujemy, od tradycji, w których zostaliśmy wychowani. Możemy je oczywiście zmieniać, ale zawsze próbując zmieniać postrzeganie przeszłości – zmieniamy kontekst na inny, ale nigdy na taki, który byłby obiektywny.



Fela Tobier, Izrael 1951 r., fot. ze zbiorów prywatnych p. Wandy Wiśniewskiej

Przywracanie pamięci nie jest prostym procesem. Kaja Kaźmierska, analizując procesy tworzenia pamięci społecznej, pisze, że zapominanie pomaga w integrowaniu się ludności. Wyobraźmy sobie sytuację, gdy każda z grup nowych osadników stara się przeforsować swoją narrację (zakładając także, że istnieje wolność słowa...). Z jednej strony byłaby to bardzo pożądana sytuacja – w ten sposób byłoby możliwe zgromadzenie większej ilości informacji, jakże przydatnych dla dzisiejszych badaczy. Z drugiej jednak strony, byłby to podatny grunt dla konfliktów społecznych, głównie tych o podłożu narodowym. W sytuacji, gdyby pojawiły się dwie konkurencyjne narracje, byłoby to źródło niepokojów.

Jakie mechanizmy poruszamy, przypominając o zapomnianych sprawach, zarówno tych zapomnianych celowo, jak i bezwiednie? Na pewno wówczas zobaczylibyśmy wyraźnie, że historia pewnie wciąż jest bardzo żywa.

Marta Chmielińska-Jamroz

RAJDY ŚLADAMI ŻOŁNIERZY PODZIEMIA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO NA POMORZU I PODLASIU

Tradycyjnie już w czasie wakacji organizowane są dwa rajdy upamiętniające Żołnierzy Wyklętych – jeden w Borach Tucholskich na początku wakacyjnej przerwy a drugi na Podlasiu tuż przed pierwszym dzwonkiem w szkole. Tradycyjnie też grupa młodych zapaleńców z Mikołajek Pomorskich i Malborka bierze udział w obu tych imprezach. Tym razem dodatkowo Szwadron Powiśle z Mikołajek Pomorskich przywiózł z Podlasia pierwszą nagrodę VI Podlaskiego Rajdu Śladami Żołnierzy 5 Wileńskiej Brygady AK.

Rajdy piesze stały się bardzo lubianą przez młodych ludzi formą edukacji patriotycznej, wnioskować można to nie tylko z bezpośrednich relacji uczestników, ale także z liczby kart zgłoszeniowych spływających do organizatorów. W XII Rajdzie Pieszym Szlakiem Żołnierzy Majora „Łupaszki” organizowanym przez Stowarzyszenie Historyczne im. 5 Wileńskiej Brygady AK, wzięło udział ponad 200 osób i wielu zgłoszeń nie przyjęto właśnie z uwagi



Część patrolu z Malborka, byli to najmłodsi uczestnicy Rajdu maszerujący pod opieką Wojciecha Cioka, fot. M. Chmielińska-Jamroz



Szwadron Powiśle wraz z koleżankami z Pruszcza Gdańskiego na Topile, fot. M. Chmielińska-Jamroz

na brak możliwości organizacyjnych. Siostrzany Rajd odbywający się na Podlasiu również gromadzi coraz więcej chętnych i w tym roku ponad 60 osób maszerowało lasami Puszczy Białowieskiej poznając miejsca związane z 5 Brygadą. Cel edukacyjny obu przedsięwzięć jest taki sam- poprzez zabawę integrować młodych ludzi, uczyć ich zasad „Bóg, Honor, Ojczyzna” oraz przekazywać wiadomości o historii danego regionu i żołnierzach podziemia niepodległościowego.

W BORACH TUCHOLSKICH ZWYCIĘŻYŁY DZIECIAKI Z MALBORKA

Grupa dzieci z Malborka drugi raz brała udział w „Rajdzie Łupaszkowym”, ósemką kilkunastoletków dowodził Wojciech Ciok, na co dzień zawodowy żołnierz z 22 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Malborku. Choć grupka była liczna i zdecydowanie najmłodsza, to doskonale radziła sobie z wszelkimi zadaniami przygotowanymi przez organizatorów. A łatwo nie było. Rajd w Borach Tucholskich charakteryzuje się przede wszystkim długimi dystansami do przejścia oraz samodzielnym organizowaniem noclegów przez maszerujące grupy. Ponadto rajdowicze mają za zadanie zbierać relacje od mieszkańców, odnajdywać konkretne miejsca w terenie i fotografować je oraz poznać i zaprezentować piosenki partyzanckie. W czasie marszu każda grupa bierze udział w koncentracji organizowanej przez Muzeum II Wojny Światowej, tu uczestnicy poznają wiele ciekawostek historycznych oraz pod okiem ratowników medycznych uczą się udzielania pierwszej pomocy. Rajd ściśle związany z historią Wykłętych nie może więc zabraknąć sprawdzianu wiedzy o najważniejszych posta-

ciach podziemia i wydarzeniach związanych z 5 Brygadą. W tym roku wśród wielu uczestników wyróżniły się dzieciaki z Malborka, które w swojej kategorii wiekowej zajęły I miejsce.

- Nie spodziewaliśmy się takiego wyniku i bardzo się cieszymy – mówi Wojciech Ciok, dowódca zwycięskiego patrolu. - Nasz patrol składa się z moich dzieci oraz pociech moich przyjaciół. Mimo wielu trudów i zmęczenia dzieciaki były bardzo dzielne a Rajd bardzo im się podobał.

W tegorocznej edycji Rajdu wzięły również inne grupy z Malborka – harcerze z 3 Malborskiej Drużyny Starszoharcerskiej im. 27 Wołyńskiej Dywizji AK dowodzeni przez Łukaszem Kawickiego oraz harcerze z Piotrem Jacyno.

SZWADRON POWIŚLE NAJLEPSZY NA PODLASIU

Grupę z Mikołajek Pomorskich, która działa przy Gminnym Ośrodku Kultury pod nazwą Szwadron Powiśle śmiało można nazwać weteranami rajdów, brali oni udział niemal we wszystkich marszach na Pomorzu i we wszystkich edycjach rajdów podlaskich. W tym roku ekipa z Powiśla wspierana przez kilka osób z Pruszcza Gdańskiego zajęła pierwsze miejsce w zakończonym 28 sierpnia VI Podlaskim Rajdzie Śladami Żołnierzy 5 Wileńskiej Brygady AK. Rajd ten organizowany jest przez Stowarzyszenie Historyczne im. Danuty Siedzikówny „Inki” i wiedzie przez podlaskie ścieżki partyzanckie, zawsze też kończy się 28 sierpnia w rocznicę śmierci „Inki”. Zakończenie i podsumowanie rajdu zawsze odbywa się w Nawce, miejscowości, w której mieszkała Danka Siedzikówna. Podobnie jak na Pomorzu



Dzieci z Malborka z gościem honorowym Józefem Bandzo Jastrzęb, jednym z ostatnich żyjących żołnierzy mjr Łupaszki, fot. M. Chmieleńska-Jamroz

w organizacji rajdu pomagają Instytut Pamięci Narodowej oraz Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych. W odróżnieniu od Borów Tucholskich, Puszcza Białowieska stanowi obszar objęty szczególną ochroną stąd też marsz przez rezerwy przyrody i pas nadgraniczny wiąże się z pewnymi zasadami. Granica z Białorusią przebiega w niektórych miejscach nawet w odległości 3 km od trasy przemarszu, zatem uczestnicy przygotowani są na spotkanie ze Strażą Graniczną patrolującą lasy. Uczestnicy mają również duże szanse na spotkanie dzikich zwierząt w tym oczywiście króla Puszczy- żubra. Podobnie jak na Pomorzu uczestnicy wykonują zadania przekazywane im w rozkazach odbieranych na trasie, wykazują się wiedzą historyczną oraz umiejętnością opatrywania rannego i ewakuowania go z pola walki. W tym roku każdy z czterech szwadronów biorących udział w Rajdzie musiał wymyślić i przygotować grę planszową o tematyce związanej z podziemiem niepodległościowym. Prezentacja pomysłów odbyła się w Narewce w kościele, także tu uczestnicy przeszli egzamin wiedzy o patronie oraz znajomości poszczególnych postaci, które należało rozpoznać na zdjęciach. We wszystkich konkurencjach grupa z Mikołajek Pomorskich mająca za patrona Feliksa Selmanowicza „Zagończyka” wiodła prym i ostatecznie zwyciężyła w rywalizacji.

- Grupa z Mikołajek oprócz wszystkich zaliczonych zadań rajdowych wyróżniła się dodatkowo nienaganą prezencją oraz czymś, co jest dziś już rzadko spotykane, a mianowicie poszanowaniem wartości i munduru – mówi Bogusław Łabędzki, prezes stowarzyszenia organizującego Rajd.- Obserwowaliśmy tę grupę w różnych sytuacjach, szczególnie wówczas, gdy oni nie byli tego świadomi i jesteśmy pod ogromnym wrażeniem, to młodzi ludzie ale zdyscyplinowani i bardzo zaangażowani w zadania, które wykonują.

W czasie tegorocznego Rajdu uczestnicy odwiedzili Białowieżę, Hajnówkę, Czerlonkę, Podborowisko, Kituryki, Guszczewinę (miejsce urodzenia i zamieszkania do 1940 r. Danki Siedzikówny wraz z rodzicami). Ogromną atrakcją była również podróż kolejką wąskotorową z Hajnówki do Topiła, gdzie IPN z Białegostoku wraz z Muzeum Wojska przygotował pokaz uzbrojenia jakim dysponowali polscy partyzanci. Zakończenie Rajdu nastąpiło na miejscu ogniskowym Lasów Państwowych w Świnorojach pod Narewką.

Tradycyjnie już mieszkający w Malborku członkowie Stowarzyszenia Historycznego im. S Wileńskiej Brygady AK wspierają organizację Podlaskiego Rajdu pomagając w czasie jego trwania. Doświadczenia rajdowe oraz stale rosnące zainteresowanie taką formą aktywności i edukacji spowodowało powstanie kolejnego pomysłu o podobnym kształcie- ma to być rajd odbywający się na Powiślu.

- Organizowaliśmy już marsze w rejonie Malborka i Sztumu i cieszyły się one sporym zainteresowaniem- mówi Robert Jamroz, wiceprezes Stowarzyszenia Historycznego im. SWBAK.- Mamy w naszych okolicach wiele miejsc związanych z działalnością partyzantki niepodległościowej, w tym Jodłówkę skąd wyruszyły w pole szwadrony mjra „Łupaszi” czy Czernin, który jest miejscem śmierci Zdzisława Badochy „Żelaznego”. O tę przeszłość chcemy oprzeć cykliczny rajd, który chcielibyśmy organizować w pierwszej połowie września.

Barbara Chudzyńska

MUZEUM ŻUŁAWSKIE

W połowie 1992 roku w wyniku rozwoju spontanicznej aktywności społecznej charakterystycznej dla początku lat dziewięćdziesiątych w Polsce powstały w Nowym Dworze Gdańskim różnego rodzaju środowiska niezależne: czasopismo „Gazeta Żuławska”, Klub Nowodworski, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Holenderskiej i wiele innych organizacji. Toczyły się w nich dyskusje nad szansami i kierunkami rozwoju miasta. Głośno mówiono o utworzeniu muzeum, lapidarium, organizowaniu corocznego święta regionalnego. Spisywano pomysły, określano sposoby realizacji i osoby gotowe wziąć na siebie obowiązek pilotowania owych zadań. Tak właściwie powstawał modyfikowany pod potrzeby konkursu Fundacji Kultury program *Moje imię - Żuławiak*. Ostatecznie został przedstawiony jako program autorski Ewy i Jerzego Wcisłów.

4 grudnia 1993 roku rozstrzygnięto konkurs pod patronatem Fundacji Kultury pod nazwą „Małe Ojczyzny – tradycja dla przyszłości”. Wizja przyszłego muzeum przedstawiona w programie *Moje imię - Żuławiak* została wysoko oceniona i uzyskała jedną z głównych nagród. W realizację tego programu zaangażowały się władze miasta (ówczesny zarząd miasta i gminy przy wsparciu Rady Miejskiej), „Gazeta Żuławska”, Klub Nowodworski, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Holenderskiej, Muzeum Wisły w Tczewie. Należy w tym miejscu zaznaczyć, że niezależnie od wspomnianego programu, 29 kwietnia 1992 Stanisław Bobrowicz, burmistrz miasta i gminy, wystąpił z pismem do Muzeum Państwowego



Ekspozycja na pierwszym piętrze Muzeum Żuławskiego z wystawą menonicką, fot. archiwum

w Elblągu o zwrot eksponatów ze Muzeum Ziemi Żuławskiej w Kmiecinie (tę placówkę zlikwidowano w 1980 r. a ekspozycję przekazano do Elbląga), informując jednocześnie o zamiarze utworzenia muzeum w naszym mieście. O tempie działań i zaangażowaniu stron w tworzenie muzeum świadczy upoważnienie burmistrza z dnia 12 marca 1993 r. Jerzego Wcisły, redaktora naczelnego „Gazety Żuławskiej” do podejmowania działań związanych z organizacją Muzeum Żuławskiego w Nowym Dworze Gdańskim.

Zabezpieczenie w budżecie gminnym w 1993 r. kwoty 200 ówczesnych milionów zł (obecnie 20 tys. zł) oraz zatrudnienie pracowników w ramach prac interwencyjnych pozwoliło na prowadzenie prac adaptacyjnych w obiekcie przeznaczonym na muzeum. Władze samorządowe przekazały na potrzeby muzeum pomieszczenie w budynku zabytkowej młeczarni z 1902 r. przy ulicy Kopernika 17. Ze starego magazynu stworzono ciekawą salę ekspozycyjną (o powierzchni 140 m kw.), pomieszczenie biurowe i zaplecze sanitarne.

W odpowiedzi na apel „Gazety Żuławskiej” i członków Klubu Nowodworskiego trwała akcja gromadzenia eksponatów i pamiątek z przeszłości. Zebrano ponad 100 eksponatów, samorząd zakupił do zbioru 40 ciekawych obiektów muzealnych (m.in. kilka maselnic, kufry, kołowrotki, cierlice i wiele innych). Do tego doszła kolekcja archiwalnych zdjęć miasta. Pozwoliło to na przygotowanie ekspozycji na pierwszym piętrze powstającego muzeum.

11 czerwca 1994 r. w ramach pierwszych Dni Żuław odbyło się uroczyste otwarcie Muzeum Żuławskiego. W uroczystości uczestniczyli przedstawiciele władz ówczesnego województwa elbląskiego, burmistrz, członkowie zarządu miasta i gminy, radni, przedstawiciele służb ochrony zabytków, stowarzyszeń i instytucji oraz mieszkańcy. Obecny był również dyrektor Muzeum Wisły w Tczewie Roman Klim, nasz opiekun i doradca.

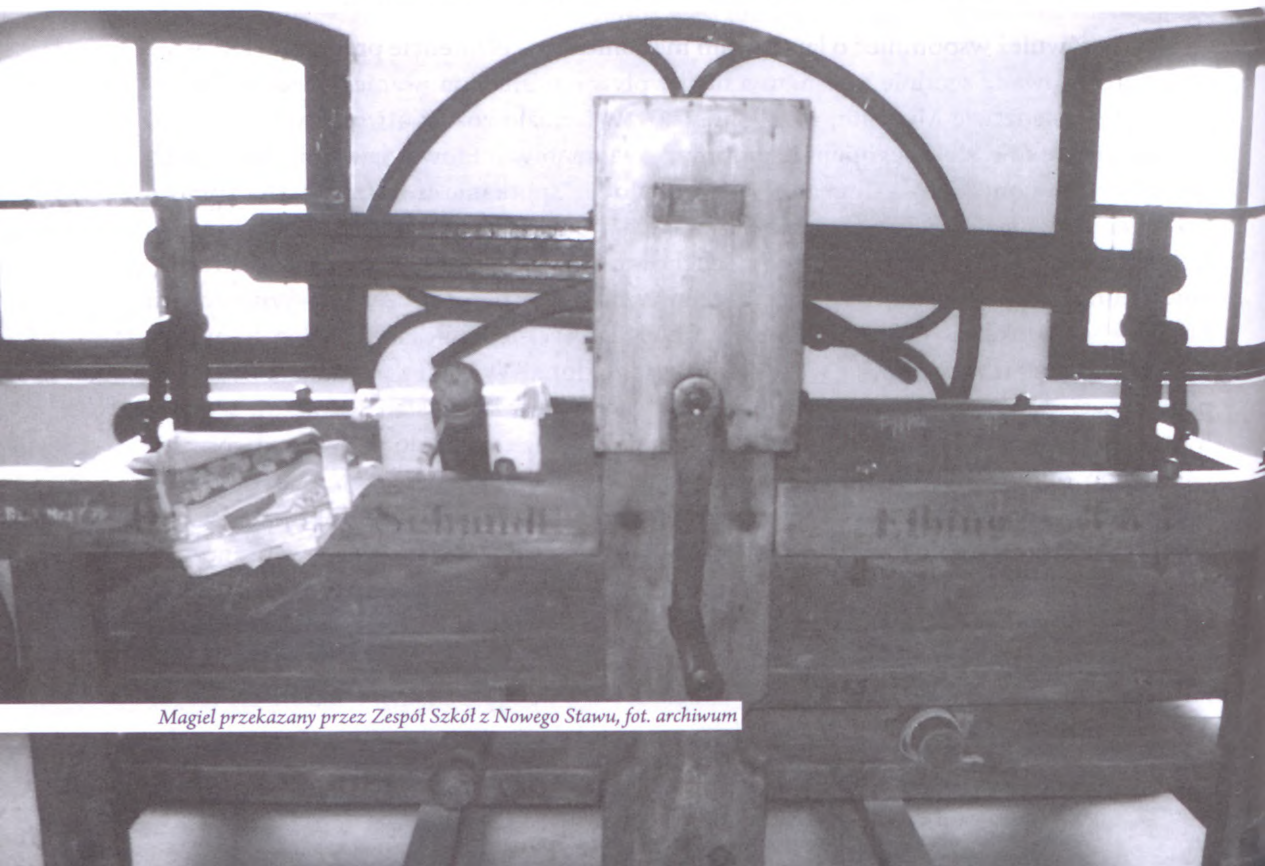
Należy również wspomnieć o lapidarium menonickim – elemencie programu, który nie został zrealizowany zgodnie z planem a miał wpływ na funkcjonowanie Muzeum Żuławskiego. W sąsiedztwie Muzeum, w zakolu rzeki Tugi, miało zostać utworzone lapidarium – zbiór pomników, steli i kamieni nagrobnych, elementów budowli dawnych, żuławskich cmentarzy menonickich. 11 maja 1993 r. odbyło się spotkanie u burmistrza w sprawie utworzenia regionalnej izby pamięci a w nim lapidarium, do którego miały być przewiezione nagrobki z cmentarzy menonickich z Żelichowa, Orłowskiego Pola, Stawca, Orłowa, Rakowa. Burmistrz poinformował o przeznaczonym na ten cel pomieszczeniu i wyznaczonym budżecie w wysokości 100 mln zł. Upoważnił Jerzego Wcisłę i Bolesława Kleina do organizacji regionalnej izby pamięci, a w niej mini – lapidarium. Wystąpił z pismem do regionalnego konserwatora zabytków o wyrażenie zgody na przewiezienie steli, wskazanie wytycznych dotyczących transportu i konserwacji zabytków. Z uznaniem do pomysłu utworzenia lapidarium odniósł się wojewódzki konserwator zabytków. Opracowano i zatwierdzono przez służby konserwatorskie projekt planu. Samorząd przekazał teren pod lapidarium, zrobiono inwentaryzację cmentarza w Żelichowie, przewieziono i zakonserwowano trzy obiekty wykonane z piaskowca (20 grudnia 1993 r.). W kolejnych latach przygotowano teren zgodnie z planem i zaczęto ustawiać obiekty. Niestety, prace te były bardzo kosztowne i realizacja programu była trudniejsza, wolniejsza niż planowano (niektóre stele nagrobne ważyły ponad pół tony i trudno było chociażby wyrwać je z ziemi). Okazało się też, że

ówczesna społeczność nie była w stanie uszanować tak cennych zabytków. Niektóre, już ustawione na przygotowanym terenie stele zostały poobijane, pomalowane farbą, przewrócone służyły „pewnym osobom” za ławki i stoły. W tej sytuacji nie było szans na szeroką edukację, bezsensowne wydawało się także „polowanie” na sprawców i egzekwowanie kar. Na naszych oczach ginęło to, co chcieliśmy uratować, dziedzictwo dawnych Żuławiaków, wyrwane z ziemi, miejsca ich spoczynku stele i macewy.

Przy końcu 1997 roku zarząd Klubu Nowodworskiego, realizatorzy programu spotkali się z władzami samorządowymi. Zdecydowano wspólnie o odstąpieniu od realizacji programu „lapidarium” i podjęto decyzję o przeniesieniu zabytków do galerii Muzeum Żuławskiego. W 1998 r. stele menonickie z placu budowanego lapidarium zabrano i umieszczono w sali ekspozycyjnej. Od tego czasu stanowiły stałą część ekspozycji Muzeum Żuławskiego. Była wielką atrakcją dla turystów z kraju i zagranicy. Zaczęli nas odwiedzać menonicy z całego świata: Holendrzy, Kanadyjczycy, Niemcy, Amerykanie i Rosjanie. Podziwiali niezwykle dzieła sztuki kamieniarskiej, motywy symboliki menonickiej zdobiące płyty, napisy inskrypcyjne, sentencje (były przedmiotem analiz wielu osób). Uważam zdecydowanie, że źle się stało, że tak cenne pamiątki z przeszłości regionu stoją obecnie w magazynie bez właściwej opieki. Zapewniam, że jest to nie tylko moje zdanie.

MUZEUM W LATACH 1994 – 1997

Muzealną powierzchnię stanowiła sala ekspozycyjna na I piętrze oraz galeria w budynku obok. W sali głównej wystawiono zgromadzone przedmioty użytku codziennego – dawne narzędzia, źródła archiwalne i fotografie. Z archiwalnych zdjęć udało się wykonać wystawę



Magiel przekazany przez Zespół Szkół z Nowego Stawu, fot. archiwum

fotograficzną pt. *Tiegenhof – Nowy Dwór Gdański* zbiorów Marka Opitza. Muzeum zaczęło zwiedzać coraz więcej ludzi. Były to szkolne grupy dzieci, młodzieży a nawet przedszkolaki. Odbywały się lekcje muzealne, spotkania stowarzyszeń, a także systematyczne spotkania różnych środowisk w ramach programu „Droga do tożsamości” autorstwa Jerzego Wcisły. Pierwszym wydarzeniem muzycznym w Muzeum był koncert polsko-szwajcarskiego tria muzycznego (grupę zaprosił Tadeusz Studziński, ówczesny radny). Następnym był koncert Marty Kozakiewicz, potem kapeli szantowej „Boja 52”. W galerii zorganizowano wystawy: fotograficzną Zenona Brożka, malarską Andrzeja Grabowskiego i Agnieszki Czystaw oraz jednego z znanych współczesnych rysowników w Niemczech - Friedricha Karla Waechtera, mieszkającego przed wojną w Tiegenhof. W czasie spotkania z niemieckim artystą doszło do symbolicznego przełamania lodów (goście i organizatorzy, Polacy i Niemcy naprawdę łamali przyniesioną taflę lodu jako symbol kruszenia barier między narodami).

W latach 1994 - 1997 r. muzeum prowadziła i opiekowała się nim Ewa Wcisła przy wsparciu Jerzego Wcisły, Bolesława Kleina i Marka Opitza. Prace prowadzone były społecznie, z wyjątkiem okresu marzec - wrzesień 1995 r., kiedy pani Ewa była zatrudniona jako referent ds. obsługi muzeum w ramach robót interwencyjnych.

W czerwcu 1997 r. otrzymałam klucze do muzeum i wraz z Ryszardem Rostankowskim, przy wsparciu Bolesława Kleina, objęłam opiekę nad obiektem. Zaprosiliśmy do współpracy wolontariuszy. Nie było ich wielu, dość systematycznie przychodziła grupa uczniów 13-14 letnich ze szkół podstawowych nr 2 i 5. Chętni nastolatki porządkowali salę, zajmowali się czyszczeniem eksponatów, etc. Do dzisiaj pamiętam te osoby, a szczególnie Tomasza Sienkiewicza, obecnego radnego Rady Miejskiej. Wszystko go interesowało, był bardzo wesoły, ciekawy, pracowity i grzeczny.

1998 r. – Zgodnie z decyzją władz samorządowych i Zarządu Klubu Nowodworskiego przeniesiono stelę z lapidarium do galerii Muzeum Żuławskiego. Opieką i urządzeniem zajął się Ryszard Rostankowski (ówczesny prezes Klubu Nowodworskiego).

1999 r. – Złożono projekt mojego autorstwa do Pomorskiego Konserwatora Zabytków o środki na restaurację i konserwację steli. Pozytywna decyzja pozwoliła na odrestaurowanie czterech steli. Wartość przedsięwzięcia wyniosła 9800 zł.

2000 r. – Kolejny mój autorski wniosek został również pozytywnie oceniony, a fundusze przeznaczono na odrestaurowanie i konserwację czterech steli i jednej macewy. Zadanie realizował Wojewódzki Konserwator Zabytków. Przetarg wygrał zespół konserwatorów z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Przy okazji tych prac wykonawcy poznali i docenili nasze zbiory i starania. Wówczas członkini zespołu pani Alina Tomaszewska-Szewczyk, jednocześnie asystent Instytutu Konserwatorstwa i Zabytkoznawstwa przy UMK w Toruniu zaproponowała współpracę, która polegałaby na odnawianiu przedmiotów żeliwnych przez studentów Zakładu Konserwacji Elementów i Detali Architektonicznych. Nawiązana współpraca pozwoliła na odrestaurowanie około 40 eksponatów.

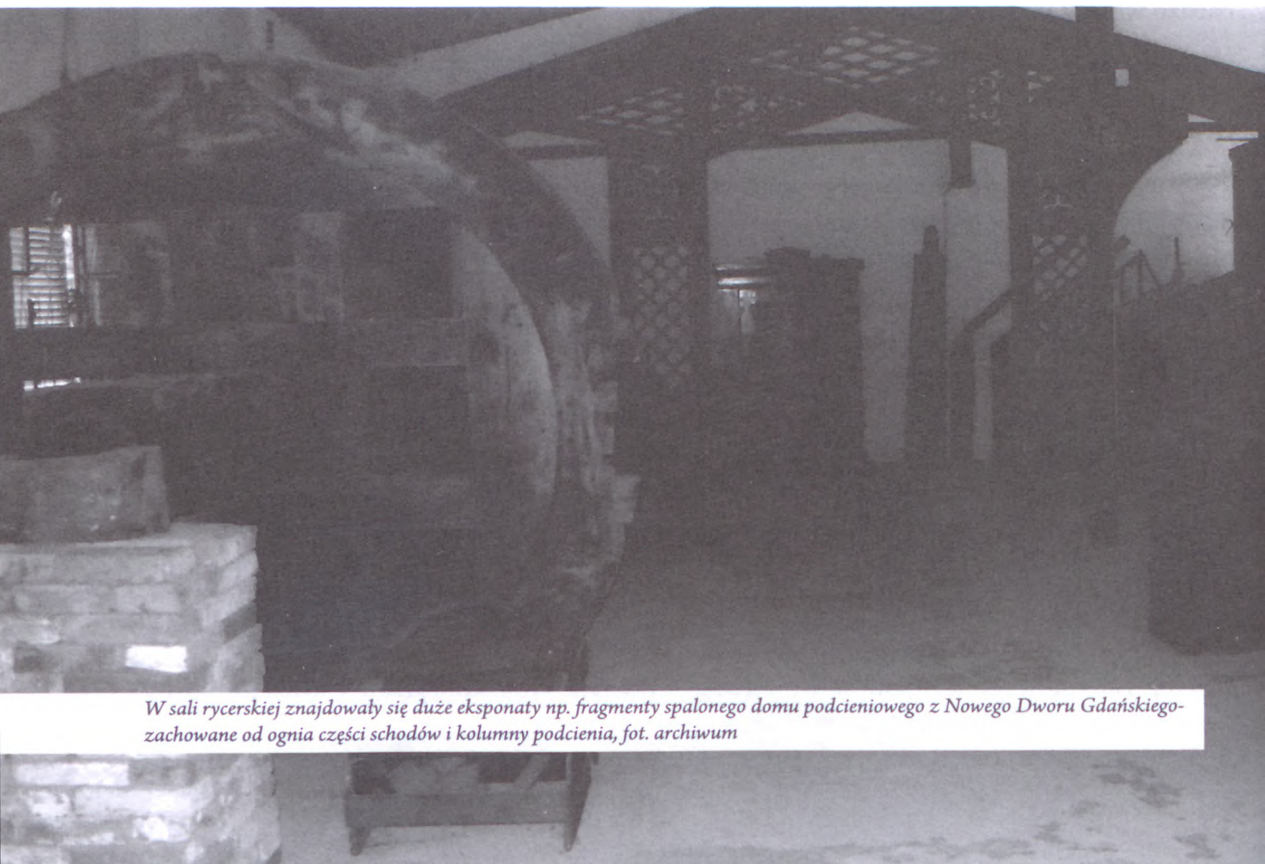
W tymże roku w odpowiedzi za nasz wniosek opracowano orzeczenie techniczne konstrukcji zabytkowego kościoła w Kmiecinie – dotacja Wojewódzkiego Oddziału Służby

Ochrony Zabytków w Gdańsku (2000 zł). Dokument został przekazany proboszczowi kościoła w Kmiecinie.

Zarząd Klubu Nowodworskiego ustanowił społeczną funkcję kustosza Muzeum Żuławskiego i powierzył ją mnie. Ułatwiło to koordynowanie zadań i obowiązków, a także rozwijanie promocji. Jednocześnie Zarząd wyznaczył Bolesławowi Klein zadanie pełnomocnika do spraw kontaktów zagranicznych.

2001 r. – z inicjatywy naszego kolegi Zbigniewa Jabłońskiego otrzymaliśmy z Zespołu Szkół Rolniczych w Nowym Stawie osiemdziesięcioletni magiel. Zorganizowaliśmy transport z LKS Żuławy i dzięki sportowcom i członkom nowodworskiej OSP eksponat został wniesiony na I piętro i tam zmontowany. Zakonserwowany, sprawny technicznie wzbogacił nasze zbiory. Dla zwiedzających starszych stał się wspomnieniem z dzieciństwa, a dla dzieci i młodzieży pracującą ciekawostką techniczną z początków XX wieku. To jeden z ciekawszych nadal działających eksponatów. Uzupełniony w tary, wyżymaczki i mniejsze magle, obrusy, ściereczki z lnu stworzył klimat do urządzenia kącika pod nazwą „Jak kiedyś prano”.

Zapowiedzi i rozmowy z darczyńcami o chęci przekazywania nowych eksponatów zmobilizowały nas do działań o powiększenie sal wystawowych. Uzbrojeni w argumenty prowadziliśmy rozmowy z władzami miasta. Udało się – w październiku samorząd przekazał nam w nieodpłatne użytkowanie pomieszczenie po stolarni o powierzchni 130 m kw. Lokal był zdewastowany i musieliśmy dokonać remontu. Miasto oddelegowało do remontu czterech pracowników interwencyjnych. Dzięki własnym środkom i sponsorom udało się oszklnić okna, zabezpieczyć drzwi, a także pobielić ściany. Mogliśmy ustawiać ekspozycje.



W sali rycerskiej znajdowały się duże eksponaty np. fragmenty spalonego domu podcieniowego z Nowego Dworu Gdańskiego zachowane od ognia części schodów i kolumny podcienia, fot. archiwum

Prawdziwym rarytasem nowej części muzeum został prawie stuletni sprzęt do przerobu mięsa z zakładu masarskiego w Drewnicy, który działał do początku lat sześćdziesiątych. Został przekazany nieodpłatnie przez rodzinę Lau. W salce obok wystawy sprzętów masarskich urządzono warsztat pszczelarski podarowany przez pana Henryka Wrońskiego.

Dzięki otrzymanej dotacji z samorządu (11 tys. zł) i sponsoringowi byłych nowodworzan wyremontowaliśmy poddasze (naprawa dachu, wymiana instalacji elektrycznej, ocieplenie i wykonanie podsufitki z desek). Wielokrotne szorowanie podłogi, bielonych wapnem belek odkryło ciekawą powierzchnię (ok. 130 mkw.) wcześniej nie używaną, gotową na organizowanie klimatycznych spotkań. Na poddaszu odbywały się wieczory poetycko-muzyczne z cyklu „Po schodach wierszy”, pokonkursowe wystawy malarskie organizowane przez Towarzystwo Kulturalne IWA (organizatorami byli Jerzy Fila, Andrzej Grabowski i Maciej Grochowski). Wyjątkowość tego miejsca przyczyniła się do wyciągnięcia dotychczas chowanych w szufladach wierszy lokalnych twórców.

2002 – 2003. W tym okresie nadal pojawiały się nowe pomysły. Tym razem zaplanowaliśmy utworzenie Sali Rycerskiej. Staraliśmy się o nowe pomieszczenie tego zabytkowego obiektu, w którym wcześniej mieściła się hurtownia farb. W tym czasie znana i ceniona przez mieszkańców miasta była działalność sekcji rycerskiej prowadzonej przez Arkadiusza Dzikowskiego. Nowe pomieszczenie zostało przekazane Klubowi Nowodworskiego przez samorząd nieodpłatnie umową użyczenia. I znowu rozpoczęliśmy remont – z pomocą pracowników robót publicznych uzupełniono i pobielono tynki, oszklono okna. Sekcja rycerzy, później Prokuratoria Żuławska, prowadziła zajęcia ze sztuki walk średniowiecznych, wykonywała i naprawiała repliki broni, a także brała udział w turniejach, bitwach i pokazach. Uczestniczyła dwukrotnie w historycznych rekonstrukcjach bitwy pod Grunwaldem i oblężeniu Malborka. Środki zarobione na turniejach w części były przeznaczone na remont sali (naprawa dachu), wykonanie żaluzji zabezpieczających okna.

2004 - JUBILEUSZ MUZEUM

W 2004 roku Muzeum Żuławskie obchodziło dziesięciolecie istnienia. Dzięki inicjatywie Towarzystwa Kulturalnego IWA (Andrzej Grabowski i Maciej Grochowski) zorganizowany został „I Spływ Tuga - Wielka Święta” na trasie Nowy Staw – Nowy Dwór Gdański. Spływ zorganizowany dla uczczenia jubileuszu miał również zwrócić uwagę na problemy związane z rewitalizacją rzeki. Przypomniano historię powstania muzeum i osiągnięć placówki. Był to bardzo uroczysty dzień, gościliśmy około 100 osób. Na strychu zorganizowano wystawę kolekcji żab powiązanej tematycznie ze spływem, a będącej własnością pani Eweliny Kujawskiej. Kuratorem i organizatorem wystawy była pani Zofia Głowacka (sympatyk muzeum).

W tym czasie w skład muzeum wchodziło pięć sal udostępnionych zwiedzającym. Na pierwszym piętrze czynna była ekspozycja narzędzi i przedmiotów życia codziennego. W galerii-lapidarium mieściły się stele menonickie (najstarsza z 1684 roku). Trzecia sala z warsztatem pszczelarskim i przetwórstwa mięsnego ukazywała dziedzictwo pracy na Żuławach jako najwyższą wartość tego regionu. Czwartą salą był klimatyczny strych, gdzie pre-



Poddasze budynku muzeum w 2004 roku zaadaptowano na kolejną salę muzealną z tematycznymi kącikami - krawieckim, tkackim, stolarskim, kuchennym, fot. archiwum

zentowano różne eksponaty oraz organizowano spotkania i wystawy. Piąta sala – rycerska służyła warsztatom sztuki walki. Na zwiedzenie muzeum trzeba było przeznaczyć około 2 godzin.

W roku jubileuszowym zorganizowano następujące wystawy: Stuletnia fotografia - autorstwa Ryszarda Rostankowskiego, numizmatyczna – Barbary Chudzyńskiej, bursztynu – Anny i Grzegorza Matysiaków, malarstwa i haftu – Zofii Głowackiej i Ewy Żyłowskiej, malarstwo, rzeźba i haft – członkowie Sztutowskiego Towarzystwa Kulturalnego, wystawy pokonkursowe – młodzież powiatu (konkurs zorganizowany przez TK IWA), zwierzęta w ich naturalnych siedliskach – Towarzystwo Gdańsk-Niderlandy. Ponadto nagrywane były filmy edukacyjne i reportaże na temat muzeum, menonitów i Żuław.

2005. Nowy unikalny eksponat będący własnością miasta Gdańska - wiatrak odwadniający pozyskany i przetransportowany do nas z Wyspy Sobieszewskiej z inicjatywy Marka Opitza. Jest to ostatni taki obiekt na Żuławach i podobno w Polsce. Cenna weranda z XIX w. z domu podcieniowego w Suchym Dębnie wzbogaciła nasze zbiory dzięki odkryciu i przeniesieniu przez Marka Opitza. Najstarszym eksponatem od września 2005 roku jest moneta z 337 roku podarowana przez Sylwestra Zandeckiego z Częstochowy. Trafiła do naszych zbiorów dzięki inicjatywie starosty nowodworskiego Mirosława Molskiego.

2006. Po długich staraniach Klubu Nowodworskiego, a szczególnie Bolesława Kleina uzyskaliśmy zgodę Muzeum z Wülfrath na przekazanie nam makiety Tiegenhof, przedstawiającej stan miasta w 1939 roku. Po makietę pojechał Bolesław Klein, Harry Lau, Grzegorz

Gola i Marek Opitz. Burmistrz Tadeusz Studziński sfinansował transport, a nowodworzanie i miejscowy przedsiębiorca Marcin Mejer użyczył sprzętu do przewozu. Makieta bez uszkodzeń dotarła do naszego muzeum 21 kwietnia. W ramach projektu „Miasto w mieście - 125 rocznica uzyskania praw miejskich przez Nowy Dwór Gdański” zaprezentowano wystawę starych fotografii, wspomnienia dawnych mieszkańców i osadników oraz wernisaż połączony z obchodami jubileuszu miasta. W takiej scenerii 10 czerwca odsłonięto makietę ustawioną w towarzystwie elementów zabytkowego wiatraka i werandy w centralnym miejscu sali rycerskiej.

Po konsultacjach (od 2004 roku), wizji lokalnej i spełnieniu określonych warunków wieloletnia współpraca z Menoniten Gemeinde w Haarlem (Holandia) zaowocowała przekazaniem nam na stałe *Wystawy polskie poldery – holenderscy mennonici w delcie Wisły 1540 – 1788 - 1945*. Wystawę odsłonięto 11 czerwca przy licznych udziałach menonitów z Holandii, przedstawicieli muzeów, sąsiednich samorządów oraz naszych władz i mieszkańców. Została urządzona na I piętrze muzeum. Miejsca ustąpiła jej pierwsza historyczna wystawa, która wywędrowała na „tajemniczy strych”. Wystawa to z pewnością zasługa Bolesława Kleina.

Kolejnym wydarzeniem było otwarcie Lapidarium w Cyganku, które zostało filią Muzeum Żuławskiego. Grunt pod lapidarium wydzierżawił nam samorząd na okres 10 lat. Zgromadziliśmy ponad 80 nagrobnych kamieni polnych. Autorem projektu i opiekunem tego miejsca jest Marek Opitz.

2007. W celu zabezpieczenia przed kradzieżą coraz cenniejszych zbiorów zamontowano z własnych środków i sponsoringu system alarmowy w salach ekspozycyjnej na I piętrze i rycerskiej. Wykonano także profesjonalne oświetlenie wystawy menonickiej i na strychu.

Wspólnie z samorządem zaczęliśmy pracę nad opracowywaniem koncepcji i projektem Żuławskiego Parku Historycznego. Celem projektu była adaptacja zabytkowej mleczarni w Nowym Dworze Gdańskim.

2008. W dniu 10 kwietnia podpisano umowę partnerską między Gminą Nowy Dwór Gdański a naszym stowarzyszeniem na realizację projektu: „Żuławski Park Historyczny – adaptacja zabytkowej mleczarni w Nowym Dworze Gdańskim”.

W związku ze sprzedażą przez samorząd obiektu magazynowego wypowiedziano nam umowę na użytkowanie pomieszczeń, w których przechowywane i prezentowane były eksponaty o ważnym znaczeniu historycznym będące pod opieką konserwatorską. Największą stratą była likwidacja galerii – lapidarium. Zbiór pomników został przeniesiony do sali wystawowej masarni. Konieczne było złożenie całej linii technologicznej masarni na zaplecze obiektu. W tym momencie stuletnie maszyny i ciekawą historię rodziny Lau zesłano do magazynu.

2009. W listopadzie przywieźliśmy około 600 książek o Żuławach z archiwum Hermana Spode z Bielefeld, które przekazała nam wdowa w jego imieniu. Książki zostały zinwentaryzowane i złożone na okres remontu w siedzibie Lokalnej Grupy Działania Żuławy i Mierzeja. Nie mieliśmy innego miejsca, a w naszym muzeum trwało przenoszenie eksponatów do odkupionego przez samorząd obiektu – starego magazynu. W tym momencie było to

szczeńliwe zakończenie, bo nie mielibyśmy gdzie umieścić składanych wystaw i eksponatów. Cały czas mimo przewodniczki przekazywano nam obiekty do zbiorów. Ostatnim przywiezionym 4 grudnia do magazynu eksponatem była fisharmonia z XIX wieku.

2010. Mimo przekazania kluczy od Muzeum Żuławskiego wykonawcy inwestycji Żuławskiego Parku Historycznego w dniu 8 lutego, nadal trwały ostatnie prace przy demontażu i wynoszenie ciężkich eksponatów (magiel, wiatrak odwadniający). 12 lutego przenieśliśmy ostatnie meble i dokumenty archiwalne do magazynu. Tak zakończyliśmy pracę w historycznej już, dla nas, siedzibie biura muzeum.

Datę **12 lutego 2010** należy uznać za zakończenie działalności „w starym” obiekcie muzeum. W magazynie zorganizowaliśmy biuro i zainstalowaliśmy telefon. Mimo prowizorki (bez prądu i ogrzewania) pracowaliśmy intensywnie, chociaż był to okres ostrej zimy. W magazynie udało nam się urządzić kilka ekspozycji tematycznych dla turystów chcących koniecznie obejrzeć nasze zbiory. Mimo, że oficjalnie muzeum było nieczynne, a wokół był plac budowy, dzięki przychylności wykonawcy (musiał każdorazowo wyrazić zgodę), wystawy w okresie wakacyjnym obejrzało około 150 osób.

Od 15 lutego rozpoczęliśmy budowę ekspozycji – magazynku strażnika wałowego – sfinansowanego w ramach projektu Związki Wałowe Wracają. Należy zaznaczyć, że w tym czasie dość licznie odwiedzana była filia Muzeum Żuławskiego w Cyganku. Szacujemy, że zwiedziło ją około 1000 osób. Zaznaczyć należy, że przeprowadzkę eksponatów, prace porządkowe, zabezpieczające, inwentaryzację prowadziło od września 2009 roku dwoje, a od stycznia do lipca 2010 roku czworo stażystów w ramach umowy z Powiatowym Urzędem Pracy. To oni głównie wpisali się w ostatnią fazę istnienia i demontażu „starego” muzeum. Pracami przenoszenia eksponatów kierowała i uczestniczyła cały czas niżej podpisana. Przeniesieniem stel i macew z lapidarium zajmował się Marek Opitz z zespołem wolontariuszy.

Warto wiedzieć, trochę dat i statystyki na zakończenie

11 czerwca 1994 - Otwarcie muzeum (jedna sala ekspozycyjna i galeria – 200 eksponatów);

11 czerwca 2006 - Otwarcie lapidarium w Cyganku;

2009 - 6 sal ekspozycyjnych (o pow. 622 m kw. – ok. 2500 eksponatów);

Zorganizowaliśmy ok. 60 wystaw;

Odbyło się ok. 1500 lekcji w muzeum dla dzieci i młodzieży;

W sumie nasze muzeum odwiedziło ok. 58 tysięcy zwiedzających.

Wyjątkowymi gośćmi muzeum byli: premier Niderlandów - Jan Peter Balkenende, ambasador Niderlandów – Martin von Dijk, konsul generalna Niemiec – Ute Minke-Koenig, honorowy konsul Niderlandów – Magdalena Pramfeld, biskup elbląski - Jan Styrna.

Byliśmy współorganizatorami pięciu Światowych Zjazdów Menonitów, a także uczestniczyliśmy w wielu inicjatywach dotyczących ochrony dziedzictwa kulturowego, np. akcjach porządkowania cmentarzy na Żuławach.

Jak ciekawe eksponaty pozyskaliśmy, niech świadczy fakt, że w 2005 roku 36 naszych eksponatów prezentowanych było w Holandii, a w latach 2006-08 w Muzeum Etnograficznym w Poznaniu, a następnie Gdańsku i Elblągu.

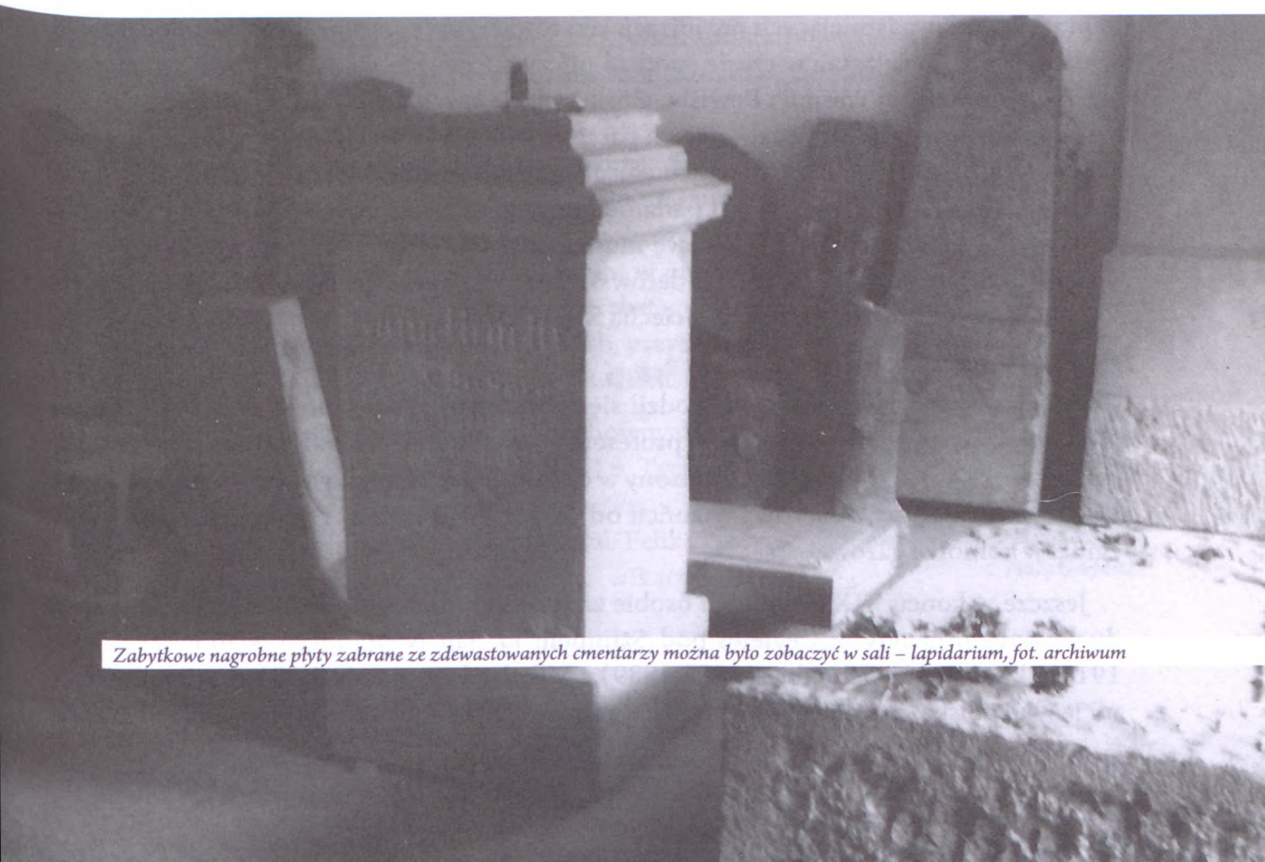
Prowadzący i opiekujący się Muzeum (społecznie): 1994 – 1997 - Ewa Wcisła, Jerzy Wcisła, Bolesław Klein; 1997 – 2010 - Barbara Chudzyńska (kustosz społeczny); 1998 – 2003 - Ryszard Rostankowski (opiekun lapidarium); od 2006 - Marek Opitz (lapidarium w Cyganku).

Niezbędni i bardzo pomocni byli stażyści, praktykanci, pracownicy interwencyjni i wolontariusze (ok. 150 osób).

Oprowadzający: Bolesław Klein (wycieczki zagraniczne), Grzegorz Gola, Barbara Chudzyńska oraz Mariusz Raca – prowadzący wykłady historyczne i lekcje muzealne.

Myślę, że pasja pozwoliła nam na zrealizowanie tak wielu pomysłów, które wpłynęły na rozwój Muzeum Żuławskiego. Kilkunastoletni dorobek muzeum stał się podstawą do opracowania i realizacji nowego projektu – Żuławskiego Parku Historycznego.

Należy podkreślić, że muzeum istnieje dzięki odważnym decyzjom burmistrzów: Stanisława Bobrowicza, wspierającego program utworzenia muzeum w 1993 roku i Tadeusza Studzińskiego, który zdecydował o utworzeniu Żuławskiego Parku Historycznego w 2008 roku.



Zabytkowe nagrobne płyty zabrane ze zdewastowanych cmentarzy można było zobaczyć w sali – lapidarium, fot. archiwum

Na tropach historii

Jan Chłosta

„ABY Z POLSKIM LUDEM BYŁ POLSKI KSIĄDZ...”

Takie pragnienie w końcu XIX wieku wciąż wypowiadali chłopscy działacze narodowi na południowej Warmii w okresie budzącego się ruchu polskiego. Brakowało im wykształconych przywódców, w tym zwłaszcza duchownych ze względu na znaczący autorytet w społeczności wiejskiej pod Olsztynem, Barczewem i Biskupcem. Tymczasem z powodu niemieckiego charakteru fromborskiej Kurii Biskupiej, począwszy od rządów biskupa warmińskiego Andrzeja Thiela, tutaj księża tej roli nie spełniali jak ich confraci na Pomorzu i w Wielkopolsce. Po prostu obawiali się restrykcji ze strony ordynariusza w postaci przeniesień w niemieckie rejony diecezji, gdzie w zachowaniu języka polskiego w Kościele nic nie mogli zrobić. Tak postąpił ten biskup w 1903 roku z ks. dr Robertem Bilitewskim z Gryźlin i kolejny rządcą bp Augustyn Bludau w 1927 roku z ks. Karolem Langwaldem z Klebarka. Ostatecznie kierowniczą rolę w ruchu polskim na Warmii przyjął po 1907 roku ks. Walenty Barczewski (1856-1928) z Brąswaldu, a w latach międzywojnia już w całych Prusach Wschodnich, urodzony pod Sztumem, ks. Waław Ksawery Osiński (1862-1945).

Z Powiśla wywodziła się cała gromadka kapłanów, którzy posługę religijną łączyli z działalnością społeczno-oświatową i kulturalną w parafiach. Bardziej lub mniej angażowali się w pracę narodową istniejących organizacji jak: towarzystwa szkolne, ludowe, młodzieżowe i gospodarcze. Wygłaszali w czasie spotkań odczyty i pogadanki. Ci, którzy duszpasterzowali na południowej Warmii i Powiślu, głosili polskie kazania, bo uważali, że z polskim słowem można bardziej dotrzeć do swoich parafian. Nie ukrywali też swojej polskiej postawy w ważnych na tych ziemiach okresach zmaganiań polsko-niemieckich, jak plebiscyty w 1920 roku bądź też kolejne wybory do parlamentu niemieckiego, a więc zabiegali o głosy dla kandydatów Polaków. Za taką postawę musieli znieść w czasach hitlerowskich prześladowania. Kilku z nich oddało życie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Mam na myśli księży: Władysława Demskiego, Wojciecha Rogaczewskiego, Bronisława Sochaczewskiego, Stanisława Zuske.

Ksiądz Zuske (1903-1942) wywodził się spod Śremu. Jako prefekt Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie podzielił los kilku profesorów tej szkoły. Aresztowany przez hitlerowców już 25 sierpnia 1939 roku został osadzony w obozie koncentracyjnym w Stutthofie, następnie w Sachsenhausen, Dachau i w końcu od 14 XII 1940 roku w Hartheim k. Linzu. Tam zginął w komorze gazowej.

Jeszcze w końcu XIX wieku dali osobie znać swoimi formami duszpasterzowania dwaj duchowni: urodzony w Cegielni pod Sztumem ks. Jan Nepomucen Szadowski (1834-1914) i ks. dr Feliks Schreiber (1857-1889) z Mikołajek Pomorskich. Obaj byli miłośnikami języka polskiego i przez swoje oddziaływanie wiązali społeczność wiejską i rzemieślni-

ków z Kościołem, z jego nauką społeczną. Ksiądz Szadowski wydawał zbiory pieśni nabożnych i modlitewniki, w latach 1867-1871 czynił starania o przywrócenie lektoratu języka polskiego w seminarium duchownym w Braniewie, budował kościoły na Mazurach: w Opaleńcu i Wielbarku oraz w Królewcu. Podczas jego posługi w Wielbarku doprowadził do założenia katolickiej szkoły. Zabiegał o rozwój Towarzystwa świętych Bonifacego i Wojciecha w diecezjach chełmińskiej i warmińskiej.¹ Mówił o tym we wrześniu 1891 roku po polsku na zjeździe katolickim w Gdańsku.



Jan Szadowski

Ksiądz Schreiber był synem właściciela większego gospodarstwa rolnego i cegielni w Mikołajkach. Po ukończeniu gimnazjum w Chełmnie, odbywał studia w Kolegium Polskim w Rzymie. Uzyskał tam dwa doktoraty: z teologii i prawa kanonicznego. Po powrocie z Rzymu krótko duszpasterzował w Postolinie, od 13 I 1887 roku w dzisiejszej współkatedrze św. Jakuba w Olsztynie, gdzie jako wikary rozwinął szeroką działalność społeczno-religijną i oświatową wśród miejscowych robotników i rzemieślników. Założył Towarzystwo Czeładzi Katolickiej, był prezesem Towarzystwa świętego Wincentego i skarbnikiem Towarzystwa Śpiewu św. Cecylii². Rozprowadzał książki i elementarze polskie. To on miał być autorem korespondencji z Brąswaldu, zamieszczonej w „Gazecie Olsztyńskiej” demaskującej antypolskie duszpasterzowanie ks. Hermanna Macierzyńskiego w Brąswaldzie. Mimo większości Polaków nie wygłaszał prawie polskich kazań i nauczał dzieci religii wyłącznie po niemiecku.³ Nadto ks. Schreiber zainicjował budowę domu katolickiego „Kopernik” (w tym miejscu teraz znajduje się budynek Kurii Metropolitarnej w Olsztynie). Wraz z rzemieślnikami pracował fizycznie przy wznoszeniu budynku, co miało przyspieszyć jego śmierci.

W tym miejscu nie można pominąć działalność ks. dr Antoniego Wolszlegiera (1853-1922), urodzonego na Pomorzu w Szenfeldzie pod Chojnicami, który jako proboszcz parafii w Dąbrównie na Mazurach został w 1893 roku w okręgu rezelsko-olsztyńskim wybranym posłem do Reichstagu. Popierał inicjatywy narodowe Polaków na Mazurach, przyczynił się do założenia w 1896 roku „Gazety Ludowej” w Ełku.

Nadto w tym czasie z powiślańskich duchownych wyróżniali się jeszcze ks. Eryk Gross (1861-1935) z Tychnowów, wywodzący się z Mikołajek Pomorskich ks. Franciszek Polomski (1875-1923) i urodzony w Ryjewie ks. Feliks Goryński. Ksiądz Gross zaczął swoją posługę jako wikary w 1890



Feliks Goryński

¹ A. Kopiczko, *Duchowieństwo katolickie w diecezji warmińskiej w latach 1821-1945*, część 2: Słownik, Olsztyn 2003, s. 283.

² Śp. ksiądz dr Feliks Schreiber, *Gazeta Olsztyńska*, [dalej GO], 1889, nr 30 z 26 VII.

³ Korespondencja z Brąswaldu, tamże, 1887, nr 41 21 X.

roku w Tychnowach, potem krótko duszpasterzował Sętału pod Olsztynem, a w 1903 roku powrócił do parafii w Tychnowach. Założył w 1912 roku w tej wsi Bank Ludowy i został prezesem Rady Nadzorczej tego banku. W 1918 roku włączył się w działalność Polskiej Rady Ludowej w Kwidzynie, a potem brał udział w pracy agitacyjnej przed plebiscytem w 1920 roku. Zostało to potwierdzone podczas osobliwego procesu sądowego, jaki odbył się 13 i 14 II 1934 roku przed Sądem Krajowym w Elblągu. Proboszcz z Tychnowów wystąpił w rozprawie jako świadek, a w końcu procesu – stał się prawie oskarżonym. Meritum sprawy sprowadzało się rzekomo do sporu, w którym mistrz piekarski Kramer zaskarżył swego konkurenta z tej samej branży piekarskiej Wiecherta o to, że ten publicznie nazwał go Polakiem i sympatykiem ruchu polskiego w okresie plebiscytu, a ks. Gross miał potwierdzić ten fakt. Tymczasem duchowny oświadczył: „Nigdy nie widziałem w tamtym czasie Kramera, poznałem go dopiero w 1925 roku, ale nie widziałem go na zebraniach Polaków”. W pewnym monecie przewodniczący zespołu sędziowskiego stwierdził, że „nie Kramer jest tu główną i najgorszą figurą w tym procesie, lecz właśnie kapłan z Tychnowach”.⁴ Rozprawa zakończyła się ugodą, ale posłużyła Niemcom do podjęcia batalii przeciwko proboszczowi, włącznie z usunięciem go z parafii. Takie działania podjęli we fromborskiej Kurii Biskupiej sam prezydent rejencji Pudding i miejscowi nauczyciele, a biskup Maksymilian Kaller od razu podjął decyzję o wysłaniu ks. Grossa na emeryturę i mianował ks. Wiktora Goplana na probostwo w Tychnowach. Ponieważ w obronie ks. Grossa wystąpił dziekan kwidzyński ks. Franciszek Preuss, to rządca diecezji wycofał pochopnie wydaną nominację. Niemieccy nauczyciele z Tychnowach Radtke i Feyerbend jednak wciąż naciskali na usunięcie ks. Grossa. Zbierali nawet podpisy pod petycją o jego usunięcia z parafii. Trwający spór rozstrzygnęła śmierć proboszcza 17 XI 1935 roku.

Ksiądz Feliks Goryński był od 1911 roku proboszczem parafii w Kobułtach na pograniczu warmińsko-mazurskim. Należał do aktywniejszych członków Mazurskiego Banku Ludowego w Szczytnie, prowadzonego przez redaktora Kazimierza Jaroszyka. Brał też udział w zebraniach miejscowego kółka rolniczego, na którym posługiwano się językiem polskim. Ruch polski na Powiślu wspierał w sposób szczególny ks. Franciszek Połomski. Od 1904 roku duszpasterzował w Piszcu na Mazurach, w 1913 roku przeniesiono go do Straszewa. Był na Powiślu jednym z nielicznych członków Towarzystwa Naukowego w Toruniu.

Ze Straszewa pochodził błogosławiony ks. Władysław Demski (1884-1940). Po przyjęciu święceń kapłańskich niósł posługę religijną jako wikary w podolsztyńskich parafiach: Wrzesinie, Orzechowie, Barczewie i Biskupcu. Przed plebiscytem otrzymał skierowanie do pracy w Starym Targu. Angażował się w polskie działania narodowe, był członkiem Centralnego Komitetu powołanego 30 listopada 1920 roku Związku Polaków w Prusach Wschodnich, jako wiceprezes Polsko-Katolic-



Władysław Demski

⁴ Archiwum Akt Nowych w Warszawie [dalej AAN], Konsulat RP w Kwidzynie [dalej KK], sygn. 3680, k. 104. Pismo Konsulatu RP w Kwidzynie z 19 II 1934 r.

kiego Towarzystwa Szkolnego na Powiśle, dążył do utworzenia szkół polskich, opiekował się kołami Towarzystwa Kobiet Chrześcijańskich pod wezwaniem św. Kingi. W drugiej połowie 1922 roku opuścił Powiśle i osiadł w Inowrocławiu. Podjął następnie studia filologiczne na Uniwersytecie Poznańskim i został prefektem Gimnazjum im. Jana Kasprowicza w Inowrocławiu. Hitlerowcy aresztowali go 2 XI 1939 roku i więzili w Inowrocławiu, Świeciu, Górnej Grupie i Gdańsku, potem został przetransportowany do obozu koncentracyjnego w Stutthofie, od 10 IV 1940 roku - w Sachsenhausen, gdzie został bestialsko zamordowany. Jan Paweł II podczas kolejnej pielgrzymki do Ojczyzny beatyfikował go 13 VI 1999 roku w Warszawie.

Podobny los spotkał również dwóch innych duchownych: urodzonego w Brusach k. Chojnic ks. Bronisława Sochaczewskiego (1886-1940), który został zamordowany w Sachsenhausen i wywodzącego się z Dąbrówki Malborskiej ks. Wojciecha Rogaczewskiego (1888-1944), który zmarł na tyfus w Buchenwaldzie. Obu kapłanów można nazwać Sługami Bożymi, bo Metropolita Warmiński ks. abp dr Wojciech Ziemba dołączył tych dwóch kapłanów do innych męczenników za wiarę i wystąpił do odpowiedniej dykasterii watykańskiej o ich beatyfikację.

Ksiądz Sochaczewski niósł posługę najpierw na Powiślu w Sztumie, Postolinie i Kwidzynie, potem w Świętej Lipce, Elku i Lamkowie, wreszcie od 1931 roku w Krasnej Łące. Wcześniej współpracował z „Gazetą Olsztyńską”, był członkiem Związku Polaków w Niemczech, utrzymywał kontakty z konsulem Józefem Gieburowskim, właśnie z nim rozważał powołanie towarzystwa im. kardynała Stanisława Hozjusza, które miałyby się zająć koordynowaniem polskich działań duszpasterskich w Niemczech i badaniem życia tego biskupa warmińskiego. Ze względu na brak środków do powołania towarzystwa nie doszło. Jeszcze przed wybuchem II wojny światowej 10 V 1939 roku ks. Sochaczewski został wysiedlony z terenu Prus Wschodnich jako osoba niebezpieczna dla III Rzeszy. Zamieszkał w Gdyni, gdzie go aresztowano w październiku 1939 roku. Przebywał w obozie koncentracyjnym w Stutthofie, potem w kwietniu 1940 roku został przetransportowany do Sachsenhausen, gdzie go zamordowano. Napisał o nim więzień tego obozu Włodzimierz Wnuk: „Ujął mnie subtelnością, którą promieniał nawet w Stutthofie. Okazywał mi na każdym kroku wiele życzliwości, na którą nie wiem czy zasłużyłem. Mówił zawsze cichym, jakby przygaszonym głosem. Czyż mogłem wtedy przewidzieć, że ten właśnie cichy głos stanie się bezpośrednią przyczyną strasznej jego śmierci”⁵ W Sachsenhausen cicha odpowiedź księdza na zapytanie wachmana, kim jest z zawodu? Zdenerwowała hitlerowca, który skatował duchownego do utraty przytomności. Następnego dnia po pobicu 13 maja 1940 roku ksiądz zmarł.

Ksiądz Rogaczewski natomiast dał się poznać jako aktywny działacz plebiscytowy w nadgranicznych Prawdżiskach pod Elkiem, gdzie od 1919 roku przejął obowiązki duszpasterskie po proboszczu Konradzie Majewskim. Przed głosowaniem 11 lipca 1920 roku często przebywał w Grajewie i Augustowie. Przewoził materiały propagandowe, przemawiał na wiecach. W tamtym rejonie Niemcy w obawie przed przyłączeniem wsi nadgranicznych do Polski podjęli zdwojoną agitację. Panowały tam terror i szkalowanie wszystkiego co polskie. Następnie „od 14 maja 1923 roku, jak pisał, urządziłem w Kalinowie pod Elkiem dla dzieci

⁵ W. Wnuk, *Byłem z Wami*, wyd. III, Warszawa 1985, s. 35-36.

mniejszości polskiej wyznania katolickiego osobny oddział za wiedzą i zezwoleniem rektora szkoły o nazwisku Kaja. Udzielałem nauki religii dla dzieci w godzinach popołudniowych w ich języku ojczystym. To było prawdopodobnie powodem, że mi zabroniono wstępu do szkoły, bo 23 I 1924 roku odebrałem od rektora pismo, w którym o tym donosi”.⁶ Po pewnym czasie otrzymał kolejne pismo, nakazujące opuszczenie Prus Wschodnich. W grudniu 1926 roku jakiś czas zatrzymał się w Lubawie. Prymas Polski August Hlond skierował go do pracy jako opiekuna duchownego nad emigracją polską we Francji. Zamieszkał w Briey, od 1930 roku w Metz. Zakładał tam towarzystwa katolickie, wspierał prowadzoną przez zakonnicę szkołę gospodarstwa domowego w St. Ludan., angażował się w pracę francuskiego Towarzystwa Przyjaciół Polski. Po inwazji Niemców na Francję prowadził centralę Duszpasterstwa Polskiego na południową Francję. Angażował się również w działania francuskiego Ruchu Oporu. Nie uszło to uwadze Niemców. W czerwcu 1943 roku został aresztowany, był więziony w Mont Luc, Lyonie, Complegne. W styczniu 1944 roku przetransportowano go do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Francuzi uczcili pamięć ks. Rogaczewskiego. W kościele katolickim w Metz umieszczono pamiątkową tablicę.⁷ Szkoda, że nie pamięta się o jego działalności w kraju, z którego się wywoził.

Aż ćwierć wieku duszpasterzował na południowej Warmii urodzony w Śnicach k. Sztumu ks. Albin Wenskowski (1892-1964). Był proboszczem w Orzechowie i Wrzesini, gdzie za opiekę religijną nad Polakami był wielokrotnie przesłuchiwany przez gestapo. Przyczynił się też do rozbudowy kościoła we Wrzesini.

Na przemian, raz na Powiślu, to znów na Warmii, pracował urodzony w Mątowach Wielkich ks. Józef Przeperski (1895-1951). Po święceniach kapłańskich w 1922 roku był wikarym w Krasnej Łące, potem we Wrzesini, Gietrzwałdzie, Klebarku i Sząbruku pod Olsztynem. W 1933 roku został redaktorem dodatku religijnego do „Gazety Olsztyńskiej” pod nazwą „Gość Niedzielny”. Podczas pracy w Postolinie w 1935 roku hitlerowcy aresztowali go za to, że podczas lekcji religii posługiwał się w szkole niemieckiej językiem polskim, bo jak mówił, dzieci po prostu nie rozumiały tego co mówił im po niemiecku o Bogu i miłości bliźniego. Poza tym niejaka Korzeniewska z Miran doniosła gestapo, iż w trakcie kolędy zwrócił uwagę starszym jej synom o obowiązku posługiwania się językiem ojczystym, a nie zapierania się mowy przodków.⁸ Hitlerowski sąd wymierzył ks. Przeperskiemu karę półtora roku więzienia. Zarówno biskup Maksymilian Kaller jak i polski konsul z Kwidzyna Mieczysław Rogalski podjęli starania o zwolnienie duchownego. Nie wiadomo jakich argumentów używał rządca diecezji, ale konsul zwrócił uwagę na chorobę rodziców, będących w podeszłym wieku, wymagających opieki syna. W każdym razie w końcu kwietnia 1935



Józef Przeperski

⁶ List do redakcji, GO, 1924, nr 251 z 25 X; Por. AAN 1983. s., Poselstwo RP w Berlinie [dalej Pos.], sygn. 2093, k. 148, Pismo Wicekonsulatu RP w Elku z 13 III 1926 roku.

⁷ T. Oracki, Ksiądz Wojciech Rogaczewski, Słowo na Warmii i Mzurach, 1965, nr 43 z 20 X.

⁸ AAN, KK, sygn. 1869, k. 154. Pismo Konsulatu RP w Kwidzynie z 25 III 1935 roku.

roku kapłan został zwolniony.⁹ Nie na tym skończyły się prześladowania ks. Przeperskiego. Jeszcze w 1935 roku ordynariusz powierzył mu probostwo w Dywitach pod Olsztynem, ale z powodu protestu miejscowej nacjonalistycznej komórki Bund Deutscher Osten, biskup Kaller cofnął nominacje i wysłał tego duchownego do pracy w Tapiawie (obecnie Gwardiejsk w Obwodzie Kaliningradzkim), a w połowie września 1938 roku powierzył mu parafię w nadgranicznym Klonie. Stamtąd 10 lipca 1939 roku otrzymał nakaz gestapo opuszczenia Prus Wschodnich. Odtąd zamieszkał w Berlinie w mieszkaniu księdza Józefa Styp-Rekowskiego, a po 1945 roku powrócił do Klonu. Biskup Kaller, którego także można nazywać Sługa Bożym, bo jego proces beatyfikacyjny został otwarty z inicjatywy Wizytatora Apostolskiego Warmiaków w Niemczech, pod naciskiem niemieckich władz administracyjnych i organizacji nacjonalistycznych przed 1939 rokiem zmniejszał liczbę polskich nabożeństw w diecezji, ale sam wygłaszał polskie kazania, jak w 1934 roku w Olsztynie i Gietrzwałdzie, o co gauleiter Erich Koch miał do niego pretensje.¹⁰



Waclaw Osiński

Nadzwyczaj ważną rolę w ruchu polskim na całych Prusach Wschodnich odegrał urodzony w Sztumie ks. Waclaw Osiński (1868-1945). Swoje duszpasterzowanie na Warmii zaraz po święceniach w 1894 roku zaczął od sanktuarium w Gietrzwałdzie, potem od 3 II 1899 roku był administratorem parafii w Opaleńcu na Mazurach. Od 28 V 1904 roku przez 31 lat był proboszczem w podolsztyńskich Butrynach. Od plebiscytu w 1920 roku patronował prawie wszystkim polskim inicjatywom narodowym. Pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji w polskich organizacjach, poczynawszy od prezesa Związku Polaków w Prusach Wschodnich, po kierownictwo IV dzielnicy Związku Polaków w Niemczech, obejmującej Prusy Wschodnie, przewodniczył Radom Nadzorczy Banku Ludowego i Spółdzielni Rolniczo-Handlowej „Rolnik” w Olsztynie, Polsko-Katolickiemu Towarzystwu Szkolnemu i Hufcowi Wschodniopruskiemu ZHP w Niemczech. Z jego inicjatywy w parafii butryńskiej otwarto w kwietniu 1929 roku dwie polskie szkoły: w Nowej Kaletce i Chabrowie. Po incydencie 18 marca 1933 roku w Butrynach, kiedy odmówił wstępu na cmentarz katolicki w czasie pogrzebu jednego z członków NSDAP, poczty sztandarowego organizacji militarystycznej Stahlhelm, to członkowie tej organizacji urządzili napad na plebanię. W nocy z 20 na 21 marca 1933 roku piętnastu Stahlhelmowców dokonało bandyckiego zajazdu na dom proboszcza. Najpierw ks. Osińskiego próbowano wywabić wezwaniem do chorego z ostatnią posługą, ale kapłan uprzedzony o zamiarach napastników, nie opuścił plebani, tylko skutecznie zabarykadował drzwi wejściowe. Napastnicy wybili szyby i ostrzelali dom z kilku stron. W obronie proboszcza Osińskiego stanęła „Gazeta Olsztyńska”. Redaktor Waclaw Jankowski napisał: „To, że proboszcz Osiński patronuje polskim organizacjom nie jest i nie może być powodem wrogiego odnoszenia się doń pewnych kół niemieckich. Zważyć bowiem trzeba i pamiętać o tym, że na czele niemieckiego ruchu w Polsce stoją również duchowni, którzy cieszą się troskliwą opieką Episkopatu Polski pod przewodnictwem Jego

⁹ Tamże, k. 161, Pismo Konsulatu RP w Kwidzynie z 4 V 1935 roku.

¹⁰ J. Chłosta, Biskup M. Kaller, w: *Poczet biskupów warmińskich*, pod red. S. Achremczyka, Olsztyn, 2008, s. 441.

Eminencji księdza kardynała Augusta Hlonda”¹¹. Hitlerowcy nie ustawiali w atakach na Księdza. Już nie tylko enuncjacje prasowe, ale oficjalnie pojawiały się groźby pod adresem tego kapłana. Żądano od niego rezygnacji z mandatu członka sejmiku powiatowego oraz probostwa w Butrynach. O jego przejście w stan spoczynku zabiegał sam biskup Kaller. Miał prosić go oto sam kanclerz Franz von Papen. Przed tym na pierwszym posiedzeniu nowo wybranego sejmiku powiatowego 7 IV 1933 roku doszło do skandalicznego zachowania hitlerowców. Jak ks. Osiński, będąc najstarszym z członków sejmiku, miał przemawiać, to Niemcy odśpiewali trzy zwrotki „Deutschland, Deutschland über alles”, a potem opuścili salę obrad.¹² Pod wpływem tych zajęć biskup Kaller wydał zarządzenie zakazujące duchownym piastowania mandatów w organach publicznych. Dotyczyło ono jednak wyłącznie Polaków. Z tego powodu ks. Osiński zrzekł się mandatu i zrezygnował z probostwa. W parafii zbierano podpisy wiernych pod petycją, domagającą się pozostawienia księdza w parafii. Podpisało ją 524 parafian i 63 katolików z pobliskich wsi mazurskich. Za namową kanonika Franciszka Sandera z Fromborka objął ks. Osiński funkcje przełożonego majątku księży emerytów w Krośnie koło Ornety. Zarządzał tym domem zaledwie rok, potem zamieszkał w Olsztynie. Podejmował jeszcze różnego rodzaju inicjatywy jak między innymi próbę połączenia polskich grup modlitewnych w parafiach na południowej Warmii, zwanymi „Różami różańcowymi”. Pragnął im nadać polski charakter.¹³

W początkach września 1939 roku ksiądz Osiński został aresztowany przez hitlerowców i wraz z innymi działaczami polskimi z Prus Wschodnich wywieziony do hitlerowskiego obozu pracy w Hohenbruch niedaleko Królewca. Ze względu na podeszły (71 lat) i chorobę serca został w październiku tamtego roku zwolniony. Powrócił do Olsztyna, lecz niedługo był na wolności. Za podjęcie z Wandą Pieniężną żoną ostatniego redaktora „Gazety Olsztyńskiej” oraz Ludwiką, Pelagią, Ireną i Marią Stramkowskimi zbiórki odzieży polskich jeńców wojennych, przebywających w Olsztynie, został skazany na 9 miesięcy więzienia. Karę, dzięki staraniom proboszcza ks. Jana Hanowskiego, odbył w miejscowym szpitalu. Olsztyn opuścił przed wkroczeniem Rosjan do miasta w styczniu 1945 roku. Zatrzymał się w Wejherowie i tam 17 marca 1945 roku zmarł.

X

Obok kapłanów, których duszpasterzowanie w skrócie omówiłem, wielu innych głosiło przed 1939 rokiem polskie kazania w parafiach na Powiślu, południowej Warmii i w kilku parafiach na Mazurach. Tym samym utrwalali język polski i polskie obyczaje. Im bliżej wybuchu drugiej wojny światowej było to coraz trudniej. Posługa wszystkich, o czym nie zawsze zdajemy sobie sprawę, miała jednak duże znaczenie.

Zamieszczone ilustracje pochodzą z książki: A. Kopiczko, Duchowieństwo katolickie w diecezji warmińskiej w latach 1821-1945, część 2: Słownik, Olsztyn 2003.

¹¹ W. Jankowski, Ostatni proboszcz polski na Warmii padł ofiarą planowanej akcji antypolskiej, GO, 1933, nr 133 z 25 VI.

¹² AAN, Pos. sygn. 2103, k. 46 Pismo Konsulatu RP w Olsztynie z 10 IV 1933 r.

¹³ AAN, Pos. sygn. 1879, k. 185. Ks. W. Osiński, Do wszystkich „Róż różańcowych”, odmawiających różaniec po polsku z 23 XI 1937 roku.

„Gazeta Toruńska” wydawana od roku 1867 przyczyniła się do uaktywnienia polskiego ruchu narodowego w Prusach Zachodnich. Na jej łamach były publikowane teksty opracowywane przez redakcję, ale również korespondencje jakie przychodziły na adres redakcji. Informowały one o wydarzeniach jakie miały miejsce w różnych częściach dzisiejszego Pomorza a dotyczyły polskich spraw związanych z życiem politycznym, gospodarczym, kulturalnym. „Gazeta Toruńska” była też inicjatorem obchodów I rozbioru Polski z roku 1772. To wydarzenie upamiętniono w roku 1872 zbiórką pieniężną na tzw. „Fundusz pamiątkowy”. Odzew na ten apel był bardzo duży różne kwoty pieniężne wpłacali ziemianie, włościanie, kupcy, rzemieślnicy, nawet wyrobownicy. Na ten fundusz dokonali wpłaty również moi pradziadkowie Leokadia i Jan Ubyszowie z Tylic koło Nowego Miasta Lubawskiego. Ostro zareagowała „Gazeta Toruńska” na obchody tego wydarzenia jakie urządziły niemieckie władze we wrześniu 1872 roku w Malborku. Redakcja postanowiła, że będzie organizowała uroczyste obchody innych ważnych polskich rocznic. W tym samym roku „Torunianka” rozpoczęła przygotowania do obchodów 400 setnej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika przypadająca w roku przyszłym ogłaszając subskrypcję dzieła opracowanego przez toruńskiego astronoma.

Osiem lat później obchodzona była 50 rocznica powstania listopadowego, w roku 1883 dwusetna rocznica odsieczy wiedeńskiej, a jedenaście lat później setną rocznicę powstania kościuszkowskiego. Po upadku powstania listopadowego nie wszyscy żołnierze udali się na emigrację lub wrócili do ojczystego kraju. Pewna grupa już na zawsze pozostała w państwie pruskim. Tu, w nowym miejscu zamieszkania, wiązali swoją przyszłość, zakładali rodziny, uczciwie pracowali. Niektórzy dożyli późnej starości i doczekali się obchodów 50 rocznicy wybuchu powstania listopadowego. Zanim przystąpię do opisu obchodów rocznic chciałbym w skrócie przybliżyć losy powstańców po przekroczeniu terytorium zaboru pruskiego w roku 1831 i ich pobycie na ziemi sztumskiej.

Niedaleko Brodnicy pod wsią Górne 5 października 1831 roku wojska powstańcze Królestwa Polskiego zakończyły walkę z armią rosyjską, przekraczając granicę państwa pruskiego. Powstańcy musieli złożyć broń i odbyć pięciodniową kwarantannę zarządzoną przez władze pruskie z powodu zawleczenia cholery do Królestwa Polskiego. Pod Brodnicą miało znaleźć się ponad 20 tysięcy żołnierzy z korpusu gen. Macieja Rybińskiego. Prusacy obawiając się, że powstańcy mogą się zbratać z ludnością polską zamieszkującą te tereny, postanowili jak najszybciej przenieść ich na tereny zamieszkałe w większości przez ludność niemiecką do powiatów: kwidzyńskiego, sztumskiego, malborskiego, nowodworskiego, gdańskiego. Od 12 października czterema ustalonymi wcześniej trasami udawali się do wyznaczonych rejonów, a 19 października powstańcy otrzymali już stałe kwatery.

W powiecie sztumskim przez pierwsze dwa tygodnie miało znajdować się 7252 szeregowców i 810 oficerów. Rozlokowani byli w Sztumie, Bystrzcu (obecnie Biały Dwór), Koślinie, Dzierzgoniu, Waplewie, Stążkach. Dowódcami w tych miejscowościach byli: podpułkownicy F. Bobiński i J. Zalewski, major M. Zieliński, major Meizner, podpułkownik A. Roślakowski, podpułkownik J. Smoliński, major Fiszer. Na dwutygodniowy pobyt internowanych oficerów w Sztumie przeznaczono 540 talarów i 21 srebrnych groszy. Początkowo przewidywano, że w Sztumie będą przebywali cywilni uchodźcy członkowie Rządu Narodowego i redaktorzy prasy powstańczej. Szybko pozbyto się cywilów z terytorium państwa pruskiego.

Na terenie Sztumu został założony szpital powstańczy, funkcjonujący do wiosny 1832 roku. Pracowali w nim polscy lekarze wojskowi. 7 listopada nastąpiło pewne rozrzedzenie internowanych, pozostało 3190 szeregowych i 182 oficerów. Miejscem gdzie spotykali się powstańcy był kościół. Proboszczem kościoła katolickiego w Sztumie był wtedy ks. Józef Benedykt Namszanowski. Drugim miejscem kontaktów były karczmy i szynki. Warto dodać, że w mieście w tym czasie były 4 karczmy i 13 lokali z wyszynkiem. Tu pokazywali miejscowym, jak spożywa się wysoko procentowe alkohole. Franciszek Kozakowski przestrzegał w liście burmistrza Sztumu Carla Ludwiga Puffalda, aby oficerom nie udzielać żadnych kredytów, za wszelkie usługi mieli płacić gotówką.

21 listopada oficerowie 1 Dywizji Piechoty mieli zadeklarować przed pruskim pułkownikiem Karlem von Canitz und Dallwitz, czy wracają do Królestwa, czy udadzą się na emigrację. Już 9 grudnia władze pruskie groziły wydaniem Rosjanom opierających się żołnierzy listopadowych, jeżeli nie powrócą dobrowolnie, zostaną potraktowani jako dezertery. W samym Sztumie zorganizowano jeden z trzech punktów zbiorczych dla szeregowców wracających do Królestwa Polskiego. Zaczął działać od 9 listopada do końca grudnia. W dniach od 30 stycznia do 1 lutego 1832 roku przez miasto przechodziły trzy kolumny wojska wracającego do Królestwa. Ci co wybrali emigrację, a byli to głównie młodzi oficerowie, musieli przekroczyć Nogat i Wisłę między Malborkiem a Tczewem, i przez Starogard, Czersk, Chojnice, Gorzów udać się do Lipska. Oficerowie wyjeżdżający na własny koszt mogli podróżować w grupach do 10 ludzi. Tych co nie mieli własnych funduszy wyprawiano pieszo w grupach liczących do 100 osób. Żołd wypłacany był w Tczewie i Starogardzie, a naliczano i płacono do granic państwa pruskiego.

Norbert Kasperek powołując się na badania niemieckiego historyka P. Böhninga podaje, że w Prusach Zachodnich miało pozostać 1500 powstańców. Mnie udało się w połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku ustalić z imienia i nazwiska powstańców jacy osiedlili się w okolicach Sztumu. W parafii Postolin było ich 11, w Starym Targu 1, Kątkach 1, Krasnej Łące 1, Trzcianie 1, w pow. malborskim 6. Po kilku latach pobytu byli żołnierze zaczęli zawierać związki małżeńskie. Musieli złożyć przysięgę, że w dawnym miejscu zamieszkania nie pozostawili żony ani dzieci.

Pierwszym pragnącym założyć rodzinę z 23 letnią Rozalią Sierakowską z Dużych Ramz był Dominik Wierzbicki mający 33 lata. W postolińskiej plebanii 25 listopada 1837 roku złożył uroczystą przysięgę na świętą Ewangelię. On sam wcześniej mieszkał w Starym Targu i Pietrzwałdzie, od 1836 pracował w majątku Duże Ramzy u Franciszka Donimirskiego. Jako świadków, że mówi prawdę i uroczyście przysięga podał podoficera Jędrzeja Szlągowskiego liczącego 36 lat ze Starego Targu z którym służył w jednym pułku. Drugim był Szymon Zignarowski mający 30 lat i pracujący w Kątkach u Kalksteina, trzecim świadkiem został 29 letni Kazimierz Zajączkowski, dawny żołnierz wojska polskiego z Małych Ramz. Przysięgę odbierał ksiądz komendariusz Ludwig Liczbarski.

Drugim chcącym założyć rodzinę był Sylwester Leszczyński liczący 37 lat mieszkaniec Ryjewa, który 8 stycznia 1839 roku na probostwie u proboszcza Augustyna Wundera, późniejszego wykładowcy w Seminarium Duchownym „Hosjanum” w Braniewie, złożył

podobną przysięgę. W tym samym miesiącu to samo robi Józef Szarpiewski mający 29 lat dawny żołnierz z Nowej Wsi. Świadkiem był 33 letni kawaler Tomasz Kowalski dawny powstaniec, przez siedem lat mieszkający w Krasnej Łące a obecnie w Michorowie u Polidora Wałdowskiego oraz Władysław Wiszniewski powstaniec mieszkający w Michorowie.

Trzecim żołnierzem listopadowym chcącym się ożenić był Tomasz Sochaczewski mający 26 lat i zatrudniony w majątku Górki u Ignacego Donimirskiego. Świadcami potwierdzającymi, że mówi prawdę byli: Kazimierz Radowicz powstaniec listopadowy, szewc w Postolinie, nauczyciel i organista z Postolina Juliusz Jakubowski oraz Jakub Meller z Górek. Przysięgę odbierał proboszcz Augustyn Wunder 7 października 1839 roku.

12 stycznia 1840 roku przysięgę składał Szczepan Głazewski z Pułkowic mający 29 lat dawny powstaniec. Jako świadek potwierdzający słowa Głazewskiego występował Jan Czerwiński z Michorowa weteran listopadowy. Wszyscy powstańcy jako niepiśmienni składający przysięgę i potwierdzający prawdę, przy swoich nazwiskach stawiali trzy krzyżyki. Wszystkie dokumenty wystawione w Postolinie były napisane w języku polskim. Autorowi udało się ustalić imiona właścicieli majątku Duże Ramzy, Górki i Cygusy, Michorowo dzięki Jackowi Szyrmerowi, któremu serdecznie dziękuje.

W podobnych oświadczeniach składanych przez powstańców listopadowych na plebanii w Kończewicach, Mątowach Wielkich, Malborku tamtejsi proboszczowie podawali nawet jednostki wojskowe w jakich służyli oraz miejscowości skąd pochodzili w Królestwie Polskim.

PIĘĆDZIESIĄTA ROCZNICA POWSTANIA LISTOPADOWEGO

Pięćdziesiąt lat później we Francji w Paryżu, Szwajcarii w miejscowości Raperswil, Stanach Zjednoczonych oraz zaborze austriackim i pruskim obchodzono rocznicę tego wydarzenia. „Gazeta Toruńska” nr 266 podała 6 listopada 1880 r., że w Stanach Zjednoczonych żyje jeszcze pięciu powstańców. Ich nazwiska zostały wysłane do Lwowa gdzie miały być odczytane w dniu jubileuszu. Główne uroczystości zorganizowano we Lwowie, weterani powstania po mszy w kościele Dominikańskim zostali zaproszeni do kasyna miejskiego, gdzie odbyła się uroczystość rozdania medali pamiątkowych byłym powstańcom. Na jednej stronie medalu była niewiasta z chorągwią na której było wypisane hasło „Za naszą i Waszą wolność”, po drugiej napis „Polska bohaterom powstania listopadowego w pięćdziesiątą rocznicę”. Nie tak uroczyste obchody jak we Lwowie odbywały się w Prusach Zachodnich w Toruniu oraz w Wielkopolsce w Poznaniu. Obszerne sprawozdania zamieściła „Gazeta Toruńska” podając takie miejscowości jak Lembarg, Golub, Kórnik, Gniezno, Trzemeszno, Inowrocław, Kwilicz, Sęszewo, Bydgoszcz, Opalenica, Stary Bukowiec. Warto się nią posłużyć aby przybliżyć atmosferę jaka udzielała się uczestnikom obchodów. W poniedziałek 29 listopada 1880 roku w toruńskim kościele św. Jana o godz. 9 rano trzech księży odprawiło nabożeństwo żałobne za dusze poległych w latach 1830-1831. Wieczorem o godz. 8 w lokalu Hildenbrandta odbyła się uroczysta kolacja do której zasiadło 70 osób. Wśród zebranych znajdował się osiemdziesięcioletni weteran poznańskiego pułku ułanów Antoni Raczkowski. Pierwszy toast wzniosł Ignacy Danielewski, następny, wierszem wzniosł

Edward Donimirski z Łysomic rodem z ziemi sztumskiej były powstaniec styczniowy roku 1863. Toruńska młodzież obchodziła rocznicę powstania poza miastem w sali Tivoli. Po zakończonej kolacji w późnych godzinach wieczornych uczestnicy uroczystości w Tivoli wrócili do miasta, jedni pieszo, drudzy powozami pojawili się pod pomnikiem Mikołaja Kopernika, następnie wspólnie przeszli wokół rynku starego miasta.

„Gazeta Toruńska” nr 281 z 5 grudnia 1880 r. zamieściła korespondencję ze Starego Targu. Jej autor podkreśla na wstępie, że to jest wieś z bardzo piękną przeszłością. Leży na trakcie handlowym do Malborka, Dzierzgonia, Sztumu. Obecnie do tego ostatniego miasta utwardzana jest droga. Korespondent podaje też, że może się tu osiedlić lekarz Polak i będzie miał pole do pracy zarówno pod względem zarobkowym i narodowym. To samo może dotyczyć aptekarza. Obchody rocznicy powstania świętowano dzięki rodzinom Sierakowskim z Waplewa (Adam i Maria) i Donimirskim z Telkwic (Teodor i Zofia) jacy wspierali podobne inicjatywy. Na uroczystej mszy odprawionej w poniedziałek 29 listopada przez proboszcza Jakuba Lorkowskiego oprócz weteranów powstania byli, goście z Waplewa i Telkwic, kilkunastu mieszkańców wsi oraz członkowie miejscowego Towarzystwa Śpiewu im. św. Cecylii. Podczas mszy świętej Towarzystwo Śpiewu wykonało kilka pieśni na cztery głosy. Zaśpiewano „U podnóżka Twych ołtarzy”, „Requiem”, „Przez czyścowe upalenia”. Chórem kierował nauczyciel i organista ze Starego Targu Henryk Pawłowski. Dzięki staraniom Władysława Szremowicza zarządcy majątku Waplewo i wzmiankowanego organisty został zorganizowany skromny wieczorek na który zostali zaproszeni weterani. Najciekawiej opowiadał o wydarzeniach związanych z powstaniem listopadowym Michał Kaczmarowski.

W Starym Targu jak podaje „Gazeta Toruńska” żyje jeszcze 4 weteranów są to: Wojciech Karpiński podoficer służący w 2 pułku strzelców pieszych. Przez pięć lat ćwiczył rekrutów na Litwie pod generałem Henrykiem Dembińskim. Pochodził ze wsi Byczki pod Skierniewicami, był gospodarzem. Obecnie żyje w biednym stanie. Michał Kaczmarowski podoficer tambormajor przy 5 kompanii pułku 4 piechoty liniowej w Warszawie. Służył sześć lat pod generałem Janem Skrzyneckim. Rodem z Popielowa, był owczarzem, dziś liczy 77 lat, jest kaleką, latem pasie bydło, zimą chodzi po jałmużnie. Fryderyk Labic służył przy gwardii jako szeregowiec przy 7 kompanii pod generałem Żymirskim. Walczył pod Mińskiem, Rogowem, Kałuszynem. Rodem z Sykowa pod Kaliszem, gdzie był owczarzem. Obecnie pracować już nie może. Dominik Markiewicz stał przy 4 pułku piechoty w Warszawie pod pułkownikiem Jankowskim. Rodem z Nowogrodu w Królestwie. Jest szewcem, ale żyje biednie. Ciekawostką może być fakt, że Adam Lew Sołtan w korespondencji do „Dziennika Poznańskiego” podał jeszcze jednego żyjącego w parafii Stary Targ weterana o nazwisku Zarzycki.

„Gazeta Toruńska” nr 284 z piątku 10 grudnia 1880 r. zamieszcza korespondencję ze Sztumu. Piszący podaje, że nieliczne obywatelstwo naszej parafii Piotr Alkantary i Bogumiła Donimirscy z Hohendorfu (Czernina) oraz Henryk i Bogumiła Donimirscy z Hintersee (Zajezierza), kilkunastu mieszkańców Sztumu, uczestniczyło w nabożeństwie żałobnym za poległych rodaków w 50 rocznicę powstania listopadowego. Mszę odprawił wikary Ferdynand Spiring późniejszy proboszcz w Krasnej Łące, autor pośmiertnego wspomnienia o księdzu Feliksie Schreiberze z Mikołajek, który zmarł w wieku 33 lat w 1889 roku w Olsz-

tynie. Niemiecka „Gazeta Zachodniopruska” przedwcześnie cieszyła się, że zdołano stłumić „burzliwe plemię” dopisek korespondenta (ma być Polaków), że rocznica powstania w prowincji przeszła w zupełnym zapomnieniu. Dodała „muszą Polacy czuć się szczęśliwymi pod obecnym rządem jeżeli nie obchodzili rewolucyjnego jubileuszu”. Twierdzenie niemieckiej gazety było kłamliwe, bo w wielu miejscowościach Prus Zachodnich ludność polska nie zapomniała i umiała czcić narodowe rocznice.

„Pelpliński Pielgrzym” nr 26 z 3 marca 1881 r. informował, że korespondent sztumski piszący do niemieckich gazet 20 lutego musiał odwołać oszczerstwo jakie zamieścił na Towarzystwo Śpiewu w Starym Targu. Towarzystwo w żadne agitacje się nie wdaje i nie dopuściło się „demonstracji” w 50 rocznicę powstania listopadowego. Komentarz redakcji był następujący. Takie omyłki są wielkim przestępstwem, bo nadwyrężają zawsze renomę bliźniego. Rząd pruski znając dokładnie Stary Targ nie przeszkadza spokojnemu rozwojowi śpiewu.

Nie ma wprawdzie korespondencji z Postolina, ale można przypuszczać, że w kościele postolińskim odbyła się msza w intencji poległych powstańców, bo mogli jeszcze żyć jego uczestnicy w tej parafii. Może w archiwum parafialnym takowy ślad się znajduje.

DWUSETNA ROCZNICA ODSIECZY WIEDEŃSKIEJ

Udane obchody rocznicy powstania listopadowego spowodowały, że postanowiono zorganizować zbliżającą się dwusetną rocznicę odsieczy wiedeńskiej, gdzie Jan III Sobieski pokonał Turków w roku 1683. Już w czerwcu 1882 zawiązał się komitet w Krakowie mający przygotować wystawę poświęconą czasom panowania Jana Sobieskiego. Do głównego komitetu wszedł Adam Sierakowski z Waplewa. „Gazeta Toruńska” nr 142 z 24 czerwca 1882 roku opublikowała apel Adama Sierakowskiego napisany dwa dni wcześniej, aby udostępnić różne pamiątki na wystawę do Krakowa. Zapewniał on, że po zakończeniu wystawy osobiście dopilnuje, aby przedmioty trafiły do prawowitych właścicieli.

Rocznica odsieczy wiedeńskiej była obchodzona nie tylko na ziemiach polskich ale również we Francji, Austrii oraz Bawarii, o czym też informowała prasa wychodząca w zaborze pruskim i austriackim. Administracja carska zabroniła urządzania obchodów jak również umieszczania w prasie jakichkolwiek wzmianek na ten temat.

12 sierpnia 1883 r. w Toruniu powołany został Komitet Obchodów i Komitet Zakupu obrazu Jana Matejki „Sobieski pod Wiedniem”. Główne uroczystości zaplanowano na niedzielę 9 i środę 12 września. Na ulicy Wysokiej w siedzibie Toruńskiego Towarzystwa Naukowego dr Adam Sierakowski wygłosił dwa referaty „Pamiątki po królu Janie Sobieskim” i „Pobył Jana Sobieskiego w Prusach Królewskich w latach 1677 i 1678”.

„Gazeta Toruńska” nr 215 z 20 września 1883 r. podała, że w niedzielę 9 września odbyło się huczne „okrężne” w Hohendorfie (Czernin) po którym właściciele Piotr Alkantary i Bogumiła Donimirscy poinformowali lud o mających się odbyć w Sztumie w środę 12 września uroczystościach odsieczy wiedeńskiej oraz wręczano broszurki o Janie Sobieskim. W mieście odprawione zostało solenne nabożeństwo o godz. 9 rano z odśpiewaniem uroczystego „Te Deum”. Obywateli z parafii i Polaków z miasta nie brakowało. Kobiety miejskie

zapełniły kościół. Mszę odprawił proboszcz ks. Peter Gaebler. Serwil Łyskowski najmłodszy brat Ignacego i mojego prapradziadka Józefa od niedawna mieszkający w Sztumie przyczynił się do tego, że nabożeństwo doszło do skutku. Wieczorem palono beczki na polach w Hohendorfie. Po ich zakończeniu lud zgromadził się w oficynie dworskiej i wysłuchał odczytu właściciela majątku o królu Sobieskim przy wystawionym portrecie władcy.

To samo pismo w numerze 222 z 28 września informowało czytelników o uroczystościach odsieczy wiedeńskiej w innych miejscowościach. Był to Stary Targ, Sztum, Postolin, Tychnowy i Straszewo. W Tychnowach sędziwy już proboszcz Piotr Paweł Baranowski z wiernymi zgromadzonymi w kościele odmówił modlitwę za spokój dusz tych co położyli życie w obronie wiary i ojczyzny. Odprawiając w filialnym kościele w Straszewie, gdzie tylko w co trzecią niedzielę odprawiane było nabożeństwo, 16 września podczas kazania przedstawił znaczenie wyprawy wiedeńskiej dla całego chrześcijaństwa i pomoc króla w rozgromieniu znacznie liczniejszego najeźdźcy. Podczas obchodzenia „okrężnego” w kilku majątkach dominialnych rozdawano broszury napisane przez publicystów i literatów takich jak: Ignacy Danielewski, Józef Chociszewski, Juliusz Ligoń, Hieronim Derdowski, Franciszek Kluczycki, portrety, medaliony wystawiane na transparencie króla Sobieskiego. Nie wszystka ludność polska mogła brać udział w środowych uroczystościach z powodu braku czasu, bo pracowali u niemieckich właścicieli, dlatego w następną niedzielę szła ona po broszury i medaliony. Jedna z wyrobnic z Montek prosiła o jeden medalion dla syna co służył w wojsku. W Postolinie nabożeństwo odprawił proboszcz Jan Witkowski.

SETNA ROCZNICA POWSTANIA KOŚCIUSZKOWSKIEGO

Jedenaście lat później obchodzono setną rocznicę wybuchu powstania kościuszkowskiego. Główne uroczystości odbywały się w Krakowie. Na Wawelu odprawiona została główna msza święta, drugie nabożeństwo miało miejsce w kościele Kapucynów. Wieczorem odbywały się wieczorki uroczyste na sali Sokoła i Strzelca. Uroczystości przebiegały spokojnie i poważnie. W Muzeum Czartoryskich urządzona została wystawa poświęcona powstaniu kościuszkowskiemu. Toruń, wiec dla uczczenia Tadeusza Kościuszki, urządził w niedzielę 8 kwietnia o godz. 5 po południu na sali Wiktorii. Do zebranych przemówił Ignacy Danielewski.

Natomiast 15 kwietnia 1894 roku jak podaje „Gazeta Toruńska” nr 87 z 17 kwietnia i 89 z 19 kwietnia w Sztumie w sali Strzelnicy miejscowe koło śpiewu jakim kierował dr Feliks Morawski zorganizowało uroczystość kościuszkowską razem z goszczącymi artystami dramatycznymi ze Lwowa Heleną Ryglewską i Józefem Dobiesławem. Po odśpiewaniu pieśni „Bracia rocznica” Feliks Morawski przedstawił zebranej publiczności żywot Tadeusza Kościuszki, sławiąc jego czyny i zasługi, jakie położył wobec narodu polskiego. Pan Dobiesław recytował „Bitwę Raclawicką” Teofila Lenartowicza, monolog humorystyczny „Pies” Zbigniewa Przybylskiego, scenę komiczną z życia ludu pt. „Duda wdowiec”, oraz „Tenor Kwiczół czyli Drugi Mierzwiński”. Pani Ryglewska zaśpiewała arię z opery „Halka” Stanisława Moniuszki „Gdyby rannem słońkiem”, arię z opery Rossiniego „Cyrulik Sewilski”, „Laleczka” - kuplety humorystyczne z operety A. Mullera pt. „Błazen dworu”, „Tyle, Ty,ocio, Tycko” - kuplety z opery „Dziecko szczęścia”. Po każdym występie otrzymywali artyści

wielkie brawa. Członek miejscowego Koła Śpiewaczego pan Rutkiewicz recytował „Śmierć zdrajcy Ojczyzny”. Na koniec koło śpiewu odśpiewało dwie pieśni. Magdalena Donimirska z Zajezerza akompaniowała na fortepianie Helenie Ryglewskiej. Wśród gości był hrabia Adam Lew Sołtan z Waplewa, cała rodzina Donimirskich i obywatelstwo z powiatu. Na koncert nie przyszedł żaden duchowny. Wiąże się ta nieobecność z procesem sądowym, jaki wytoczył w roku 1893 sztumski proboszcz ks. Karol Staliński za fałszowanie list wyborczych do dozoru kościelnego. Przed sadem miało stanąć 34 świadków. Ten sam duchowny wcześniej wytoczył sprawę Konradowi Osińskiemu ze Sztumskiego Pola za to, że nie chciał złożyć przysięgi w języku niemieckim na polskiej mszy wchodząc do dozoru kościelnego, za co skazany został na trzy miesiące więzienia przez sąd w Suszu w roku 1891. O czym było głośno rok później, bo o tym zdarzeniu pisała prasa wydawana na Pomorzu.

Jak widać, pod względem organizowania obchodów ważnych rocznic na terenie Prus Zachodnich ziemia sztumską ustępowała jedynie ziemi chełmińskiej z Toruniem na czele. Zawdzięcza się to rodzinom Donimirskich z Czernina, Zajezerza, Bukowa, Telkwic oraz hrabiom Sierakowskim z Waplewa i Adamowi Lew Sołtanowi, który mieszkał w Waplewie i wysyłał korespondencje do gazet poznańskich a także do „Gazety Toruńskiej”.

WYKORZYSTANE ŹRÓDŁA I LITERATURA

„Gazeta Toruńska”, rocznik 1880 nr 275, 277, 278, 279, 281, 284; 1882 z czerwca; 1883 nr 142, 215, 222; 1894 nr 74, 75, 76, 79, 81, 87, 89, „Pielgrzym” rocznik 1881, nr 26, B. Cygler, *Powstańcy listopadowi w Elblągu i na Żuławach*, Wydawnictwo Morskie 1986, N. Kasperek, *Listopadowi żołnierze w Prusach Wschodnich i Zachodnich w latach 1831-1832*, Olsztyn 1992, N. Kasperek, *Żołnierze powstania listopadowego w Prusach. Powroty i emigracja*, „Komunikaty Mazursko Warmińskie” nr 1 (199), Olsztyn 1993, Norbert Kasperek, *Powstańcy listopadowi w Sztumie*. W: *Z dziejów Sztumu i okolic*, Sztum 1997, Sz. Wierzchosławski, *Dwusetna rocznica odsieczy wiedeńskiej na Pomorzu Gdańskim i ziemi chełmińskiej w 1883 roku*, „Zapiski Historyczne” t.48, z. 3, 1983, J. Ryszkowski, *Przyrzekli kółko śpiewu lepiej popierać. O doktorze Feliksie Morawskim*. „Prowincja” nr 4, 2011. Teksty składanych ślubowań w postolińskiej parafii przed księżmi L. Liczbarskim i A. Wunderem - w moim posiadaniu.

Janusz Namenanik

DZIERZGOŃSCY WOLNOMULARZE

Wolnomularstwo inaczej zwane masonerią lub też występujące pod nazwą sztuka królewska, to międzynarodowy ruch mający na celu duchowe doskonalenie jednostki i braterstwo ludzi niezależnie od ich religii, narodowości i poglądów. Ruch ten (przez maso-nów zwany Zakonem) charakteryzuje się istnieniem łóż wolnomularskich, z rozbudowaną symboliką i rytuałami, stanowi on zespół bractw o charakterze elitarnym i dyskretnym, Wolnomularstwo nie stanowi jednej organizacji, lecz jest to swoisty nurt wyznający pewne przekonania, oraz dążący do zmiany człowieka poprzez pracę nad jego własnym rozwojem. Wolnomularstwo nie posiada jednego kierowniczego centrum. Istnieją jedynie federacje łóż o podobnym programie.

Jedną z form życia towarzyskiego w XIX wiecznym mieście były spotkania, działalność mieszczan jak i wpływowych urzędników w różnych instytucjach społecznych i rozrywkowych, klubach, stowarzyszeniach czy kasynach. Jednym ze stowarzyszeń były loże wolnomularskie. Dzierzgoń jako zbyt małe miasteczko, a więc i niewielkie skupisko odpowiednich mieszczan takowej loży nie posiadał. Najbliżej położone loże wolnomularskie działały w Kwidzynie, Malborku i Elblągu. Tam też znajdujemy ludzi powiązanych z Dzierzgoniem i jego bliskimi okolicami.

W Kwidzynie najstarszym stowarzyszeniem była istniejąca w latach 1777-1788 loża „Pod Złotą Lirą”.

W dniu 25 maja 1803 roku powstała loża wolnomularska, która otrzymała nową nazwę, ale nawiązująca do poprzedniej - ”Pod Złotą Harfą”. Kwidzyńscy wolnomularze dyskutowali o problemach filozoficznych i artystycznych, ze szczególnym uwielbieniem Kanta, poezji Lessinga, Goethego czy Schillera, zajmowali się również problemami matematycznymi i przyrodniczymi. Kwidzyńskie stowarzyszenie zdelegalizowane zostało w 1933 roku. Gmach loży kwidzyńskiej zachował się do dzisiaj przy ulicy Warszawskiej 39.

Na liście kwidzyńskich braci masonów z 1785 roku figurował między innymi burmistrz Dzierzgonia¹ oraz inna postać związana z tym miastem: Friedrich Wilhelm von Heidebreck, porucznik 9 Regimentu Dragonów Zitzwitz’a z Dzierzgonia, który w latach 1784/85 do 1792 roku był członkiem loży „Fryderyk Pod Złotym Berłem” we Wrocławiu.

W najbliższym sąsiedztwie miasta działalność prowadziła loża wolnomularska w Malborku. Powstała ona w czasie Wojny Siedmioletniej (1756-1763). Oficerowie Armii Rosyjskiej założyli w 1760 roku w Malborku Lożę Polową.

¹ Gerlach K., *Die Freimaurer im Alten Preußen 1738-1806*, Innsbruck 2009, s. 457.

Wraz z zakończeniem wojny łoża ta zniknęła, gdy odeszły wojska. Nowa łoża została założona 9 września 1772 roku przez Augusta Fryderyka Moszyńskiego i nadano jej nazwę:

„Victoria Pod Trzema Ukoronowanymi Wieżami”, a jej rozwiązanie nastąpiło w 1934 roku. Do dzisiaj istnieje budynek łoży przy ulicy 17 Marca.

Członkowie malborskiej łoży z lat 1785-1790 mający związek z Dzierzgoniem to między innymi²:

- Caspari, Friedrich Wilhelm (przed 1747 – 1785), luteranin, sekretarz z Dzierzgonia,
- Dreher Christian Friedrich (urodzony 1755?), luteranin, komendant policji w Dzierzgoniu,
- Sauerhering, Christian Salomon (urodzony 1750?) luteranin, urzędnik sądowy w Dzierzgoniu,
- Thiel Gottfried (urodzony 1744?) luteranin, radca z Dzierzgonia, a w 1790 burmistrz.

W 1772 roku w Malborku istniał garnizon, z którego 36 oficerów było członkami miejscowej łoży wolnomularskiej, wśród nich 3 oficerów stacjonowało w Dzierzgoniu.³

W Elblągu w XVIII i XIX wieku funkcjonowały jednocześnie trzy łoża wolnomularskie. W jednej z nich nazywającej się „Constantia – Pod Ukoronowaną Zgodą” występowali również dzierzgońscy wolnomularze⁴:

- Hermes, Johann Georg Christoph Friedrich, urodzony w 1771 roku w Herrndorf, luteranin, kaznodzieja w Starym Mieście koło Dzierzgonia, przyjęty 13.04.1796 jako zamiejscowy członek. 18.09.1799 wydalony i przyjęty w 1799/00 do łoży „Feniks” w Królewcu,
- Sieffert, Theodor Michael, urodzony w 1753 roku w Elblągu, luteranin, stażysta a następnie urzędnik sądowy w Nowym Targu koło Dzierzgonia, radca w Dzierzgoniu, burmistrz, przyjęty 26.07.1778 roku, jako zamiejscowy członek.

Istnieje opublikowana przez Instytut Deutsche Adelforschung lista Niemieckich Braci Masonów od roku 1800⁵, ale jest to spis bez podziału na łoża. Występują tam również dzierzgońscy masoni:

- Henning, August, Heinrich, sędzia powiatowy z Dzierzgonia,
- Schimmelfennig, Daniel, Gregory, komornik z Dzierzgonia,
- Grunwaldt, Friedrich Theodor, handlowiec, urodzony w Dzierzgoniu 20 czerwca 1779, przyjęty 3 listopada 1812 r.,
- Strauss Andreas, porucznik, urodzony w Dzierzgoniu w 1771 roku, przyjęty 11 czerwca 1814 roku,
- Kelch, Benjamin, Gottfried, inspektor policji, urodzony w Dzierzgoniu 8 czerwca 1791 roku, przyjęty 10 listopada 1814,
- Schelling, Johann, David, starszy nauczyciel w szkole podstawowej, urodzony w Dzierz-

² Ibidem, s.418, 424, 425.

³ Ibidem, s. 415.

⁴ Ibidem, s. 443 i s. 450.

⁵ <http://home.foni.net/~adelforschung2/maurerey03.htm> (dostępna 16-04-2013)

goniu 14 lutego 1813 roku, przyjęty 1 listopada 1843 roku,

- - Hoburg, Otto, Friedrich, mistrz masonski, urodzony 3 maja 1834 roku w Dzierzgoniu, przyjęty 2 listopada 1859 roku,
- - Lange, Hermann, porucznik policji, urodzony w Dzierzgoniu 1 września 1836 roku, przyjęty 4 kwietnia 1866 roku.

W gazecie masonskiej z 1880 roku⁶ napotyamy na wspomnienie pośmiertne poświęcone zmarłemu 16 września 1880 roku bratu (masonskiemu) o nazwisku Hoburg, Karl, Wilhelm, który urodzony był 26 listopada 1797 roku w Dzierzgoniu. Podaje się tam również, że zmarły był emerytowanym majorem, oraz Krajowym Wielkim Bibliotekarzem.

Jak powyżej przytoczono, w dostępnych źródłach natrafiono na około 20 wolnomularzy, w których życiorysach występuje Dzierzgoń. Należy przypuszczać, że było ich znacznie więcej. Na naszym terenie działalność wolnomularzy obejmuje okres od schyłku XVIII wieku do roku 1933, kiedy to władze hitlerowskie zakazały tej działalności. W tym miejscu nasuwa się znane powiedzenie, że „Wszystkiemu są winni żydzi, masoni i cykliści”, natomiast dość rzadko używa się stwierdzenia, że największe szkody przynosi ludzka niewiedza.

Główna działalność wolnomularzy prowadzona jest w lożach, miejscach zamkniętych dla profanów, z zatem bardzo tajemniczych, których stopień tajemniczości potęguje obowiązująca dyskrecja ich członków. Trudno zgadywać czy masoni prowadzą zewnętrzną działalność, jej nie widać. Wiemy jedno, że posiadają oni bogatą symbolikę, która jest upubliczniona i elementy tej symboliki są widoczne i obecne w architekturze i sztuce.

Sztuka królewska zawiera ukryty przekaz i niekiedy należy wykazać się dużą wnikliwością aby ów przekaz odczytać. Niemniej zdać sobie należy z tego sprawę, że dzięki naszej nadmiernej woli, możemy posunąć się za daleko w interpretowaniu danych faktów i stwierdzić o wiele więcej, niż autor dzieła chciał przekazać.

W przypadku Dzierzgonia, w którym w styczniu 1945 roku dokonano wręcz totalnej zagłady miasta, wiele ewentualnych śladów uległo zniszczeniu wraz z budynkami. Jedna rzecz jest pewna i budzi moje głębokie zdziwienie, to fakt który zapewne nie jest dziełem przypadku.

Przeglądając skrupulatnie plan miasta z 1929 roku, zauważamy pewną osobliwość zawartą w zabudowie ówczesnego Rynku. Dzierzgoński Rynek zbudowany był na planie prostokąta, mającego te zadziwiające właściwości, że krótsze boki prostokąta składały się z siedmiu kamienic każdy, natomiast boki dłuższe składały się z 14 kamienic każdy (wielokrotność 7). A więc „siódemka zakłeta w Rynku”. Najbardziej reprezentacyjna ściana wschodnia, a zarazem stanowiąca jeden z dłuższych boków prostokąta jest wyraźnie podzielona przejściem na dwie części. Lewą część stanowi 7 kamienic z podcieniami, a prawą 7 kamienic bez podcieni.

Liczba siedem jest liczbą uważaną za mistyczną, wyróżniająca się bogatą symboliką. W wielu mitologiach i religiach jest symbolem całości, dopełnienia, symbolizuje związek czasu i przestrzeni. Jej wartość była przedstawiana w architekturze.

⁶ *Freimaurer - Zeitung*, Nr 41 z 9 października 1880 roku, Leipzig 1880, s. 325.

Moim głównym zadaniem było poszukiwanie śladów wolnomularzy w Dzierzgoniu. Dlatego też stawiam dość śmiałą hipotezę, że siódemka z dzierzgońskiego Rynku może takowy ślad stanowić. Przyglądając się budynkowi loży masońskiej w Malborku (ulica 17 Marca), stwierdzamy, że każdy poziom tego budynku posiada po 7 okien. Podobnie jest w przypadku budynków innych łóż masońskich, np. w Inowrocławiu, Pile, Poznaniu. Oczywiście, to spostrzeżenie nie stanowi reguły dla wszystkich budynków łóż masońskich, ale zapewne siódemka dla niektórych masonów miała jakieś istotne znaczenie. Oczywiście do zauważenia faktem jest to, że istnieje ścisły związek pomiędzy wolnomularzami, a architektami. Jedni używają pewnych narzędzi, a dla drugich te narzędzia są ważnymi symbolami. Patrząc na historię, to profan może dojść do wniosku, że wolnomularz i architekt to prawie jedno i to samo.

Bogumił Wiśniewski

WALKA WYWIADÓW W KORZENIEWIE

Kto by przypuszczał, że w bardzo ciepłą majową noc w 1930 roku, w małej przygranicznej wiosce, rozegrają się wydarzenia, które wstrząsnęły międzywojennym polskim społeczeństwem. O zaistniałej krwawej sytuacji nadgranicznej pisały prawie wszystkie ówczesne gazety. Informacje o strzelaninie, umieszczane były na pierwszych stronach gazet.

Dnia 24 maja 1930 roku około godziny 23 w niemieckiej budce paszportowej, doszło do spotkania dwóch zwalczających się służb specjalnych. Pod osłoną nocy wywiad polski chciał zdobyć ważne informacje od pozyskanego informatora niemieckiego. Jednak akcja się nie udała. W przygotowanej przez Niemcy zasadzce, padają strzały, ginie człowiek. Podkomisarz Stanisław Liśkiewicz w wymianie ognia, pada postrzelony, w stanie ciężkim odwieziony został do kwidzyńskiego szpitala, gdzie umiera. W ręce wywiadu niemieckiego trafia komisarz Adam Biedrzyński, tajny agent polskiego wywiadu pracujący dla II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego¹.



Granica w Korzeniewie. Widoczny szlaban i tablica informacyjna, fot. archiwum autora

¹ W 1939 r. w ręce niemieckie przez polskie zaniechanie wpadło tajne archiwum z Bydgoszczy. Specjalna grupa Abwehry odnalazła porzucone i nie zniszczone w Forcie Legionów w Warszawie, archiwum III Ekspozytury Oddz. II. Tajne teczki zawierały dane osobowe agentów działających m.in. na Pomorzu. Wkrótce Niemcy zaczęli wylapywać agentów polskiego wywiadu, śledztwa i procesy kończyły się z reguły wyrokami śmierci przez ścięcie toporem. http://pl.wikipedia.org/wiki/Oddzia%C5%82_II_Sztabu_Generalnego_Wojska_Polskiego

Melchior Wańkowicz po latach opisał całe te niecodzienne zajście. W książce pt. „Na tropach Smętka”, wydanej 1936 roku, rzetelnie przedstawił historię, która wstrząsnęła przedwojenną Polską.

Spójrzmy jak polskie gazety codzienne, na gorąco opisywały przebieg wypadków w Korzeniewie. Charakterystyczne jest dla ówczesnej prasy rozmywanie odpowiedzialności z wydarzeń na granicy polsko-niemieckiej. Jednym słowem, dla dobra sprawy działała dobrze pojęta dezinformacja.

„Gazeta Bydgoska” z dnia 27 maja 1930 r. Nr 122, na pierwszej stronie donosiła, że w nocy z dnia 24 na 25 około godz. 23 na odcinku granicznym *Opalenie po prawej stronie Wisły, porwani zostali w czasie patrolowania dwaj oficerowie straży granicznej... Porwanie nastąpiło z polskiego terytorium i to w chwili, gdy oficerowie ci oddalili się od towarzyszącej im patroli. Porwaniu towarzyszyły strzały, na skutek których, jak słyhać rannym został podkomisarz Liśkiewicz² [...].*

„Słowo Pomorskie” z dnia 28 maja 1930 roku, podało: [...] *Dotychczas dochodzenie, a m.in. znalezione po stronie polskiej ślady krwi stwierdzają bezspornie, że Liśkiewicz został ranny po stronie polskiej, że chodzi zatem o wypadek naruszenia terytorium polskiego. Specjalna komisja wysłana przez polską komendę prowadzi dochodzenie [...]. [...] Dalsze śledztwo wykazało, że Grenzpolizei przygotowała planową zasadzkę na patrol polskiej Straży Granicznej na tym odcinku. [...]*

W polskim oświadczeniu rządowym z dnia 28 maja 1930 r. czytamy: [...] *Ministerstwo spraw zagranicznych wydało polecenie pos. Knollowi, by w urzędzie spraw zagranicznych w Berlinie założył stanowczy protest, żądał satysfakcji, ukarania winnych, pochodzących niewątpliwie z niemieckiej starzy granicznej, a wreszcie domagał się uwolnienia porwanych oraz udzielenia im odszkodowania [...].*

Berlin w tym samym dniu poinformował, że [...] *urząd spraw zagranicznych Rzeszy stojący w stałym kontrakcie z rządem pruski, przedsięwzięcie w raz z rządem pruskim wszelkie kroki, aby wyjaśnić wypadek w pobliżu Neuhoefen pod względem faktycznym i z punktu widzenia prawa międzynarodowego, oraz ustalić linię dalszego postępowania³ [...].*

Ogłędziny sądowe po polskiej stronie odbyły się 26 maja o godzinie 14. W skład komisji weszli naczelnik Sądu Grodzkiego z Gniewa Libala, major Rotkiewicz, major Wąsowicz, kapitan Zagłoba ze straży granicznej oraz komendant powiatowej policji państwowej. Jak podała „Gazeta Bydgoska” z dnia 31 maja, przesłuchano wielu świadków. *Przewodnik promu na Wiśle Lewandowski oraz robotnik z Opalenia Pączek zeznali, że kule padły obok budki na lewym brzegu Wisły w odległości 200 m od granicy. Restaurator z Opalenia Ścieśniewski zeznał, że słyssał około 60 strzałów. Lewandowskiemu opowiadał rybak, obywatel niemiecki, że straż niemiecka w krytycznym dniu 24 bm. już o godz. 16 popołudniu wzmocniła silnie swoje posterunki.*

Dnia 27 maja, z „Gazety Bydgoskiej” przybył dziennikarz do Opalenia, w której to, wydanej 29 maja 1930 roku, opisał w artykule konfliktową sytuację na granicy polsko – niemieckiej. Donosił, że napadu dokonano [...] *na drodze kwidzyńskiej, przecinającej należący jeszcze do Polski pas ziemi szerokości 700 m. [...]. Uchylił w korespondencji również wstępne ustalenia*

² s. 1.

³ „Gazeta Bydgoska” z dnia 28.05.1930, nr 123, s. 2.



Granica polsko-niemiecka pod Opaleniem - patrol Straży Granicznej, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

dochodzenia majora Dunin-Wąsowicza, w które bezpośrednio obciążały stronę niemiecką, [...] *napad był z góry zaplanowany i odbył się na terenie bezsprzecznie polskim* [...]. Dziennikarz nie zaprzestał na tym, udał się znad granicy do pobliskiej wsi Opalenie. Jak się wydaje, prowadził swoje dziennikarskie dochodzenie.

Nawiązał rozmowy z mieszkańcami, którzy byli świadkami tamtych sensacyjnych wydarzeń. Według zeznań mieszkańców Opalenia i strażników biorących udział w patrolu, [...] *wszystkie strzały niemieckie w liczbie około 30 skierowane były w stronę polską i przechodziły przez rzekę i nad dachami wioski Opalenie* [...]. Nie omieszkał dodać w swoim materiale, że: w odległości 150 kroków od kamieni granicznych, znaleziono dwie łuski z niemieckiej broni typu browning.

Zauważył również w Korzeniewie ciekawskich gapiów z pobliskiego Kwidzyna, którzy przybili pieszo i na rowerach, aby zobaczyć co się stało. W ramach bezpieczeństwa granicy, Niemcy postanowili we wsi - podwoić posterunek z sześciu do dwunastu policjantów. W tym samym czasie w Kwidzynie, tj. 27 maja 1930 roku, odbyła się sekcja zwłok podkomisarza Stanisława Liśkiewicza przy obecności polskiego lekarza.

Według Agencji informacyjnej Conti zamieszczonej w „Słowie Pomorskim” 31 maja 1930 roku, podkomisarz zmarł wskutek ciężkiej rany postrzałowej w brzuch, [...] *zdjęcie rentgenowskie kuli, która utkwiała w stosie pacierzowym wykazać miało ponad wszelką wątpliwość, że*

chodzi tu o kulę z rewolweru, nie zaś o kulę karabinową [...]. Po dokonaniu sekcji [...] wyjęto z kręgosłupa zabitego podkomisarza tę część, w której utkwiała rewolwerowa kula niemiecka [...]. W tym samym czasie strona polska poprosiła stronę niemiecką o uwolnienie zwłok denata, na co przystały. Landrat kwidzyński Ullmer, wydał zwłoki konsulowi polskiemu w Kwidzynie Mierzyńskiemu, który zajął się dostarczeniem zwłok władzom polskim. [...] Wydano zwłoki w tym samym miejscu, gdzie ś. p. Liśkiewicz zginął od kuli zbójczej [...] – „Goniec Wielkopolski” z dnia 1 czerwca.

Uroczystość pogrzebowa odbył się 30 maja w Tczewie, ostatnia droga Stanisława Liśkiewicza, prowadziła [...] z kaplicy szpitala św. Wincentego [...] – „Głos Robotnika – Organ Narodowej Partji Robotniczej” – z 5 czerwca, na stary cmentarz przy ul. 30 Stycznia. Niesiono, jak podaje „Goniec Wielkopolski” z dnia 1 czerwca, dwadzieścia wspaniałych wieńców, a w uroczystościach pogrzebowych uczestniczyło, co najmniej 8 000 tysięcy osób.

Natomiast „Słowo Pomorskie” z dnia 1 czerwca informowało, że było około 30 wieńców i na czele pochówku kroczyła orkiestra 2 pułku szwoleżerów ze Starogardu, [...] kondukt żałobny prowadził ks. proboszcz Rydzewski [...], [...] obrzęd złożenia trumny ze zwłokami do grobu odbył się wśród głuchoj ciszy [...]. Mów nie wygłoszono podobnież nie było salwy honorowej – za „Gazetą Bydgoską” z dnia 1 czerwca – jedynie nad mogiłą odbyły się modły, które odprawił miejscowy proboszcz ks. Kupczyński.

Drugi uczestnik zdarzenia komisarz Adam Biedrzyński z Kwidzyna, został przewieziony do więzienia w Elblągu. „Gazeta Bydgoska” z dnia 1 czerwca zamieściła między innymi informację, że władze administracyjne i sądowe Prus Wschodnich skierowały sprawę Biedrzyńskiego



Domek paszortowy w Korzeniewie, fot. B. Wiśniewski

do prokuratora Rzeszy, aby tenże zaopiniował, czy sprawa nadaje się do postępowania sadowego i czy ewentualnie - [...] przekazać ją do sadu Rzeszy w Lipsku jako instancji dla spraw o zdradę stanu [...].

Melchior Wańkowicz przeanalizował całą zaistniałą sytuację, która wydarzyła się w Korzeniewie. Dysponował większą bazą danych, nie wykluczone, że rozmawiał na ten temat z Adamem Biedrzyńskim. Opis wydarzeń w książce pt. „Na tropach Smętka”, został napisany w sposób prosty i wierny. Uprzedzę, że cała historia korzeniowska zakończyła się w 1932 roku na granicy polsko-niemieckiej w Zbąszyniu.

Wańkowicz jednak nie napisał w książce, że oprócz śmieci podkomisarza Liśkiewicza w Korzeniewie, są jeszcze - być może - dwa powiązane z wypadkami korzeniowskimi - zabójstwa oficerów wywiadu pod Drobinem, którzy zginęli w wypadku samochodowym, o czym dalej.

Według Wańkowicza żona Komisarza Biedrzyńskiego, tuż przed akcją na granicy, miała widzenie: *Widzenie odbyć się miało 24 maja 1930 r. Uprzedniej nocy młoda, niedawno poślubiona żona komisarza Biedrzyńskiego śniła jakiś sen przerażający, w którym dominowały szare kazamaty. Prosiła męża, by nie wychodził z domu. Ucałował ją serdecznie i obiecał wrócić na dwunastą. Obaj oficerowie byli podnieceni. W karczmie w Rakowcu wypili po parę kieliszków, ale piło się im niesporo⁴.*

Z knajpy polscy agencji udali się na umówione spotkanie przez Bruno Fudego. Mieli się spotkać z niemieckim urzędnikiem pracującym w starostwie kwidzyńskim. Bruno Fude, był byłym wachmistrzem niemieckiej policji w Prusach Wschodnich, w Kwidzynie, który osiadł przed wojną w Polsce na własnej gospodarce koło Świecia.

Po przepłynięciu Wisły, dwaj oficerowie udali się na umówione spotkanie. Po pewnym czasie pojawił się oczekiwany Niemiec, za którym dwaj wywiadowcy poszli do niemieckiego baraku paszportowego.

[...] Niemiec istotnie otwiera kluczem drzwi budki paszportowej i kiedy Polacy wchodzą za nim na ciemny korytarzyk, zakręca taster. Mocny, krótki blask lampy, umieszczonej na zewnątrz, rozświetla noc. Niemiec natychmiast gasi, tłumacząc, że przez pomyłkę pokręcił niewłaściwy taster. Ale Polacy rozumieją, że to znak; kciuki bezszelestnie przesuwają w kieszeniach bezpiecznik. Niemiec też zrozumiał, że został zdemaskowany [...].

[...] Teraz widać jego twarz. Jest to typowa twarz mazurska, chłopska. Trzęsie się ze strachu. Kładzie na stół drukowany rocznik ze spisem posterunków żandarmerii itd.

— To jest bez wartości — mówi Biedrzyński. — Nie masz pan nic więcej?

Niemiec wyklada maskę gazową, dodając, że jest to model, który dopiero zostanie wprowadzony. Cała ta maska — to kpiny. Jest już jasne, że trzeba wynosić skórę, póki cała [...].

Zrozumieli, że wpakowali się w dobrze przygotowaną prowokację niemiecką. Wiedzieli, że dali się podejść wrogowi, nie byli przygotowani na taki obrót rzeczy. Dwaj doświadczeni polscy oficerowie mieli świadomość, że są już szponach niemieckiej maszyny. Jeden z oficerów pracował dla polskiego wywiadu, zbierał materiały - dla II Sztabu Generalnego Wojska Pol-

⁴ Wańkowicz M., „Na tropach Smętka”, Warszawa 1958, Czytelnik, s. 320.

skiego – słynnej „Dwójki”⁵. Melchior Wańkowicz napisał:

[...] Obaj chowają rewolwery, wychodzą z powrotem do pokoju i głośno krzyczą, że się poddają. Do pokoju ponownie wpada ten sam olbrzym. Obaj nasi oficerowie stoją z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała. Olbrzym składa się przez chwilę, która trwa wieczność. Pada strzał. Z jękiem osuwa się Liśkiewicz na ziemię. Teraz dopiero bohaterowie, obsypujący pokój z ciemnego korytarza bezcelowymi strzałami, wpadają do pokoju i jeden z nich przystawia rewolwer do czoła Biedrzyńskiemu. Spada iglica, ale piston nie spala. Potwierdziła to późniejsza analiza na procesie.

Ponieważ strzelanina na zewnątrz nie ustaje, olbrzym wybija okiennice okna, wychodzącego na przeciwną stronę budki. Robiąc to, osuwa się i mdleje. Okazuje się, że poza postrzałem od Biedrzyńskiego w palec, od swoich dostał postrzał w rękę i w bok. Teraz Biedrzyńskiego windują przez okno. Stojący z zewnątrz Niemcy chwytają go i zakładają na ręce kajdanki⁶ [...].

Powołana dwustronna komisja do zbadania zajść pod Korzeniewem, nie miała łatwego zadania. Członkowie z obu stron byli naciskani przez swoich zwierzchników oraz prasę. Od samego początku było wiadomo, że całej prawdy nikt nie ujawni opinii publicznej. Była to typowa gra wywiadowcza. Każda ze stron w takim wypadku, nie chciała zdradzić opinii publicznej swoich zakulisowych działań. Na łamach „Gazety Bydgoskiej” z dnia 31 maja, zamieszczono skrót artykułu z „Berliner Boersen - Kurier”, w którym dowiadujemy się, że, z polskiego przedstawienia wypadków w Opaleniu wnosić należy, że odnośne czynniki rządowe w Warszawie nie mają zamiaru robić z tego zajścia wielkiej afery politycznej, lecz dążą do przedstawienia przyczyn krwawego starcia, jako przypadkowych i drobnych⁷. W tej korespondencji podano również, że owa komisja spotyka się [...] w celu uprzyjemnienia sobie długich godzin urzędowania grą w karty itd. [...]. Dziennikarz z „GB” chciał, aby wyjaśniono powyższą sprawę, czy rzeczywiście takowa sytuacja miała miejsce.

Streszczenie artykułu z „Berliner Tageblatt”, z dnia 30 maja, zamieściła w dniu 1 czerwca „Gazeta Bydgoska”, w którym: [...] wyraża zadowolenie, że opinia w Polsce już nieco się uspokoiła, co się przyczyni do spokojnego zbadania sprawy [...].

[...] Wychodząca w Kwidzynie – Weichsel-zaitung – zamieściła komunikat redakcji, z którego wynika, że rząd Rzeszy wywarł nacisk na pisma wschodniopruskie, aby powstrzymały się od ataków na Polskę z powodu zajścia pod Opaleniem [...] – „Słowo Pomorskie” z dnia 1 czerwca.

Również „Gazeta Bydgoska” z dnia 1 czerwca, zacytowała francuską „Temps”, która [...] pochwała umiarkowane stanowisko Polski w sprawie zajść pod Opaleniem [...].

„Słowo Pomorskie” 3 czerwca, zamieściło na swoich łamach pierwszy oficjalny komunikat dwustronnej komisji, który pochodził z dnia 2 czerwca 1930 roku, podano że delegat niemiecki Lukaschek, złożył swój mandat. Na pierwszy „rzut” oka trudno nie łączyć tego z grą na czas. Powodem tego kroku jest rozbieżność zapatrywań między nim, a pruskim ministrem spraw

⁵ A. Biedrzyński od 1929 r. był oficerem informacyjnym Pomorskiego Inspektoratu Okręgowego Straży Granicznej w Czersku, powiązany z Biurem Informacji Gdańsku. Kierował biurem oficerskim tej ekspozytury pod kryptonimem „Zabore”. Skóra W., 2011, Działalność polskiego wywiadu wojskowego w międzywojennym Szczecinie (1919-1939) (w: Przegąd Zachodniopomorski r. XXVI (LV), z. 1 red., Białecki T., Drozd R., Gaziński R., Kopycińska D. Kozłowski K., Skrycki R. Stanilewicz J. Zdrojewski E. str. 18.

⁶ Wańkowicz M., 1958, s. 324.

⁷ s. 2

wewnętrznych. Na jego miejsce wszedł Herbst, wiceprezydent Prus Wschodnich. Także [...] zdecydowała wezwać ekspertów rusznikarzy, którzy mają być sprowadzeni z Warszawy i Berlina [...]. Z tego też powodu, wstrzymano pracę na kilka dni komisji.

„Goniec Wielkopolski” z dnia 8 czerwca już w tytule artykułu informował, że: „O zajściach pod Opaleniem wspólnego komunikatu nie będzie”. W artykule przedstawił dwa odrębne ustalenia co do sprawy. Strony niemiecka i polska różniły się mocno w temacie zaistniałych wypadków w Korzeniewie, nie znaleziono consensusu. W podanych komunikatach, przerzucały się odpowiedzialnością za skutki krwawej jatki na granicy.

Strona niemiecka ustaliła, że: w dniu 24 maja dwóch urzędników polskiej straży granicznej przeszło na terytorium niemieckie dla odebrania tajnych dokumentów z rąk straży niemieckiej. Obaj udali się uzbrojeni w rewolwery i granaty ręczne (!) do niemieckiego domku celnego, pozostawiając na granicy żołnierzy straży granicznej, również uzbrojonych. Kiedy po przybyciu Polaków do strażnicy niemieckiej celnicy niemieccy przystąpić chcieli do aresztowania Polaków, ci stawili opór z bronią w rękę. W trakcie strzelaniny ranny został jeden Niemiec, ten zaś ze swojej strony zranił jednego z Polaków, który niestety potem zmarł. Równocześnie rozpoczęli znajdujący się na granicy żołnierze polskiej straży granicznej strzelaninę w kierunku niemieckiego domku paszportowego.

Orzeczenie polskich członków komisji mieszanej zamknięte zostało następującą konkluzją: 1) agent niemieckiego wywiadu zaczepnego, który od roku 1912 był urzędnikiem Bruno Fude, otrzymał polecenie od swojej władzy, aby wciągnął w zasadzkę polskich funkcjonariuszy straży granicznej i zwabił ich na terytorium niemieckie. 2) wciągnięty w zasadzkę komisarz straży granicznej Liškiewicz był zastrzelony przez niemiecką policję, zaś komisarz Biedrzyński został aresztowany i trzymany w więzieniu. 3) postępowanie niemieckiej policji granicznej, która stworzyła całkowicie stan faktyczny z dnia 24 maja 1930, nie było wywołane ani potrzebą obrony granic państwa niemieckiego, ani koniecznością ochrony tajemnic państwowych. 4) Polska straż graniczna nie wkroczyła na niemieckie terytorium. 5) Polska straż graniczna była ostrzeliwana na własnym terytorium przez Niemców.

W „Nowym Kurierze” z dnia 8 czerwca znalazło się pokrętne wyjaśnienie, dlaczego dwaj Polacy urzędnicy przekroczyli niemiecką granicę w Korzeniewie. [...] został wykonany na propozycję i w towarzystwie urzędnika niemieckiej policji granicznej Stulichy, który z racji swego



Korzeniewo. Obecny widok teatru działań wywiadów a. w 1930 r., fot. B. Wiśniewski

urzędowego stanowiska upoważnił polskich funkcjonariuszy straży granicznej do przejścia na teren niemiecki [...].

Wydaje się, że stronie polskiej zabrakło jakichkolwiek sensownych argumentów obrony. Polskie tłumaczenie było bardzo infantylne. Wiadomo musieli jakoś się bronić, ale dlaczego przyjęto taką słabą linię obrony? Spartaczyli robotę.

Podejrzewam że, gdyby sytuacja ta zaistniała w 1939 roku na granicy polsko-niemieckiej, zostałaaby perfekcyjnie wykorzystana, do wywołania przez kanclerza Adolfa Hitlera II wojny światowej. W 1939 roku, Niemcy musieli dopuścić się prowokacji w Gliwicach, natomiast incydent korzeniewski – podany w ten sposób - dawałby im mocny argument do wywołania wojny.

Strona polska w komunikacji pośrednio przyznaje się do winy. Widać, że nie miała przygotowanej linii obrony. Oficjalne stanowisko Rządu, było nie spójne. [...] *Sędzia Luxemburg, przewodniczący delegacji polskiej do Komisji Mieszanej złożył rządowi szczegółowe sprawozdanie z przebiegu i wyników prac [...]* – „Orędownik Wrzesiński” z dnia 14 czerwca.

„Na mocy powyższego rząd niemiecki polecił posłowi niemieckiemu w Warszawie wręczyć rządowi polskiemu notę, w której wyraża protest przeciw przekroczeniu granicy przez urzędników polskiej straży granicznej.” – „Gazeta Bydgoska” z dnia 8 czerwca.

Członkowie komisji z góry wiedzieli jaki będzie finalny wynik ich prac. Ustalenia komisji były potrzebne stronie niemieckiej do rozpoczęcia przeciwko Biedrzyńskiemu uzasadnionego procesu o szpiegostwo.



Poświęcenie pomnika por. Satnislawa Zaćwilikowskiego i pplk. Jana Tatara w Drobinie przez miejscowego proboszcza, fot. NAC

Wręczono notę wyjaśniającą rządowi polskiemu w Berlinie. Chargé d'affaires poselstwa polskiego, złożył ją w urzędzie spraw zagranicznych. W której to - strona polska próbuje udowodnić, że ustalenie komisji [...] wykazało niezbicie, że przyczyna zajścia była intryga niemieckiej policji granicznej [...] i [...] podtrzymuje protest, wniesiony w dniu 26 bm. co do zajścia granicznego pod Opaleniem [...] - „Gazeta Bydgoska” z dnia 12 czerwca 1930 roku.

Służby specjalne po wydaniu wyroku skazującego na więzienie za szpiegostwo m. in. Bruno Fudego ogłoszonym w Grudziądzu, z dnia 24 października 1930 roku, zaczęły intensywnie pracować i wyłapywać agentów wywiadu. Dochodzi do zatrzymań po obu stronach barykady.

Pierwsze zatrzymania odbyły się po stronie polskiej Bruno Fudego, po stronie niemieckiej jak donosi w krótkiej depeszy, z dnia 12 czerwca, Polska Agencja Telegraficzna z Berlina: z prasy wieczornej: *Ziskau (Marchia przygraniczna) aresztowany został był nauczyciel Lucht. Aresztowanie to nastąpiło w związku z zajściem pod Opaleniem - „Gazeta Bydgoska”, 14 czerwca 1930 roku.*

Na proces w Grudziądzu, o który wspomniałem wyżej, nie dojechało z Warszawy dwóch oficerów z Oddziału II. Mieli się stawić do sądu jako świadkowie w sprawie szpiegostwa. Jak podaje „Gazeta Bydgoska”, z dnia 24 października 1930 roku. [...] *Dzisiaj około godz. 7.30 z rana na 4 kilometry od miejscowości Drobin na szosie gdańskiej z Warszawy do Gdańska nastąpiła fatalna katastrofa automobilowa, której ofiarą padł pułkownik sztabu generalnego Tataro, zastępca szefa Oddziału II, który został zabity. Jadący z nim porucznik Stanisław Zaćwilichowski jest ciężko ranny i ma obie nogi złamane, szofer ciężko ranny. Jechali oni do Grudziądza na rozprawę w sądzie wojskowym [...] Maszyna została doszczętnie strzaskana [...], [...] przypuszczalną przyczyną katastrofy była zbyt szybka jazda, mgła i zarzucenie maszyny [...], [...] Poprzedniego dnia proponowali oni również wyjazd samochodem ekspertowi II oddziału Meyerowi, który jednak wskutek nalegań żony pojechał koleją [...].*

W efekcie wypadku pod Drobinem, śmierć poniosło dwóch oficerów. Ponieważ po przewiezieniu do Warszawy, zmarł także porucznik Stanisław Zaćwilichowski. Jak mogło do tego dojść? Oficerowie złamali procedurę, [...] *samochód prowadził por. Zaćwilichowski [...], a nie szofer.*

Bardzo ciekawy zbieg okoliczności. Z jednej strony mamy jasnowidzącą żonę Mayera, a z drugiej strony szofera, siedzącego na tylnym siedzeniu. Zamiast prowadzić samochód z oficerami, kierowca chowa się na tylne siedzenie. Oficerowie jechali na bardzo ważny proces, w konsekwencji wypadku tam nie dojechali. Ad hoc, bez żadnej powołanej komisji - od razu orzeczono, że przyczyną wypadu była zła pogoda.

W tym roku, byłem (autor artykułu) niedaleko miejsca wypadku. Sprawdziłem również mapę z 1944 roku. Droga o numerze 123, obecna nazwa krajowa 10, jak na owe czasy była drogą bezpieczną. Dopiero po wojnie obsadzono pobocze drzewami.

Sądzę, że dwaj polscy oficerowie wywiadu, zginęli w dobrze przygotowanej pułapce zmontowanej przez niemiecki wywiad. Wiele przesłanek na to wskazuje. Nie znam wojennych i powojennych losów eksperta Meyera, ale warto byłoby się jemu przyjrzeć oraz szoferowi Zawistowskiemu, który [...] *był tylko dotkliwie potłuczony [...].* Jest to historia na inny artykuł.

Wracając do Grudziądza. Na ławie oskarżonych zasiadł m.in. Bruno Fude, [...] *aresztowany kilka dni po wypadku optant niemiecki Bruno Fude, lat 35, z zawodu rolnik, zamieszkały w Trylu, pow. Świecie, stojący na usługach wywiadu niemieckiego* [...] – „Goniec Wielkopolski” - 28 października 1930 roku.

Jak donosiła „Gazeta Bydgoska” z 28 października: [...] *po całodzienniej rozprawie, która odbywała się przy drzwiach zamkniętych zapadł o godz. 23.30 wyrok, mocą którego Fude skazany został na 11 lat ciężkiego więzienia. 10 lat utraty praw obywatelskich oraz grzywna 50 000 zł i ponoszenie kosztów sadowych w sumie 5600 zł. Przewód sądowy ujawnił, iż oskarżony Fude dostarczał temuż państwu dane o sile zbrojnej państwa polskiego. Fude był jednym z organizatorów zajścia granicznego pod Opaleniem dn. 24 maja br, w czasie którego to zajścia zginął podkomisarz straży granicznej Leśkiewicz, zaś komisarz Biedrzyński został przez władzę niemieckie aresztowany. Na proces Rudego z Warszawy jechali jako świadkowie ppłk. Tatara i por. Zaćwilichowski, którzy w drodze ulegli tragicznemu wypadkowi* [...].

Parę miesięcy po procesie w Grudziądzu, Berlin 7.1.31. (tel. wł.) przed Sądem Rzeszy w Lipsku rozpoczął się wczoraj proces karny przeciwko komisarzowi polskiej straży granicznej Biedrzyńskiemu. [...] *Rozprawa toczyła się najpierw przy drzwiach zamkniętych a następnie w jawnej części rozprawy* [...], [...] *Biedrzyński na modelu terenu wskazywał, gdzie się znajdowali polscy strażnicy w czasie rozpoczęcia strzelaniny.* [...] – „Gazeta Bydgoska” 8 stycznia 1931 roku.

W drugim dniu procesu przeciwko kom. Biedrzyńskiemu poinformowano, że dwóm urzędnikom polskim, przybiecano dostarczenie informacji o [...] *fabrykacji niemieckich masek gazowych, który miał podać komisarz niemieckiej policji kryminalnej w Kwidzynie. Kiedy Biedrzyński i Leśkiewicz przekroczyli granicę w celu spotkania się z tym urzędnikiem kryminalnej, drugi komisarz policji kryminalnej, nazwiskiem Hartmann w towarzystwie 10 agentów kryminalnych, wyskoczył z ukrycia celem aresztowania Biedrzyńskiego i Leśkiewicza* [...], [...] *Biedrzyński przy przesłuchaniu przeczył kategorycznie, jakoby robił użytek z broni a również nie zauważył, aby strzelał Leśkiewicz* [...] „Gazeta Bydgoska” dnia 9 stycznia 1931 roku.

W dalszym części rozprawy przeciwko komisarzowi Biedrzyńskiemu przed trybunałem lipskim, zeznawał inspektor więzienny z Kwidzyna. Według jego zeznania [...] *Biedrzyński miał mu oświadczyć, że udało mu się przy pomocy swego współpracownika wydobyć plany modelu nowego systemu masek gazowych, za co Niemcy zażądali 2 500 marek. Biedrzyński miał przy sobie tylko 250 zł, gdyż kasy polskich posterunków granicznych są słabo zaopatrzone. Biedrzyński zaprzecza tego rodzaju przedstawieniu rzeczy przez inspektora więzienia* [...] „Gazeta Bydgoska”⁸⁹ - 10 stycznia 1931 roku.

W dniu 10 stycznia 1931 roku, zapadł wyrok na Adama Biedrzyńskiego z Czerska w związku z incydentem granicznym Korzeniewo - Opalenie 24 maja 1930 roku. W uzasadnieniu czytamy: [...] *Oskarżony skazany zostaje powodu ponawianych ustawicznie prób wysledzenia tajemnic wojskowych na podstawie par. 3 ustawy o szpiegostwie i par. 43 ustawy karnej z powodu usiłowania zabójstwa i z powodu przestępstw przeciwko ustawie paszportowej i ustawie o noszenia*

⁸ s. 2 - Biedrzyński przyjął naiwną linię obrony. Twierdził, - że urzędnicy graniczni zwabili ich do mrocznej komórki na węgiel, gdzie urzędnik niemiecki Wender zażądał od nich poddania się. Potem Niemcy przeprowadzili Polaków do pokoju, w którym odbywała się kontrola paszportów.

broni na łączną karę 10 lat ciężkiego więzienia. 7 miesięcy więzienia śledczego zostały oskarżonemu zaliczono na poczet kary [...] - „Gazeta Bydgoska” - 14 stycznia 1931 roku.

Sprawa o szpiegostwo na jakiś czas w polskiej i niemieckiej prasie ucichła. Bruno Fude odsiadywał więzienie w Polsce, Adam Biedrzyński w Niemczech. Ale w tle tej sprawy, pracował intensywnie Polski wywiad, w celu wyłapania działających na terenie kraju niemieckich agentów.

„Gazeta Bydgoska” - z dnia 20 maja 1931 roku, poinformowała, że aresztowała szpiega niemieckiego nad granicą. Był to sekretarz niemieckiej policji kryminalnej z nad granicznego Namysłowa, 44-letni Anton Preiss. [...] *Jak się okazuje, Preiss tylko dla pozorów udawał sekretarza policji kryminalnej, a w istocie prowadził wywiad dla garnizonu w Namysłowie*⁹ [...] - „Gazeta Bydgoska” - 20 maj 1931 roku.

Musiał minąć rok, po ogłoszeniu wyroku skazującego, aby w sprawie Adama Biedrzyńskiego i Bruna Fudego, aby w strukturach wywiadowczych obu państw coś się ruszyło. W dniu 18 maja 1932 roku na dworcu kolejowym w Zbąszyniu, na mocy układów dwustronnych, została dokonana wymiana [...] *władze niemieckie wydały władzom polskim komisarza Straży Granicznej, Biedrzyńskiego [...], [...] a władze polskie wydały za komisarza Biedrzyńskiego dwóch groźnych szpiegów niemieckich, niejakiach Preissa i Fudego*.¹⁰ [...] - „Gazeta Bydgoska” - 21 maj 1932 roku.

Po blisko dwóch latach od fatalnej akcji polskiego wywiadu, Adam Biedrzyński był na wolności. W międzyczasie, w nieudanej akcji przejęcia tajemnic niemieckich, zginął jego kolega - podkomisarz Stanisław Liśkiewicz oraz później dwóch oficerów z II Oddziału pod Drobinem, którzy najprawdopodobniej zostali zlikwidowani przez niemiecki wywiad, aby nie składali obciążających zeznań przed wojskowym sądem w Grudziądzu.

Wysoką cenę zapłacono za nieskoordynowaną polską akcją szpiegowską w Korzeniewie. Co się jedynie udało polskiemu wywiadowi? Tylko to, że całe te krwawe zajście udało się nazwać pod Opaleniem, a nie Korzeniewem. Przeniesiono na prawą stronę Wisły prowokację niemiecką. W rzeczywistości, to polscy urzędnicy przekraczając granicę niemiecką łamali prawo.

Zastanawiam się, czy warto było w 1930 roku, rozpoczynać akcję korzeniewską? Myślę, że nie. Tak naprawdę - nic nie osiągnięto. Materiałów od wroga nie przejęto. Na dodatek - cała akcja szpiegowska, zainicjowana przez II Oddział, nie była dobrze przygotowana. Wykazano się bardzo dużą lekkomyślnością. Niebezpieczna gra wywiadowcza, spaliła na panewce.

OD REDAKCJI: Zainteresowanych tematem polecamy artykuł prof. dr. hab. Wojciecha Skóry pt. *Pomorski epizod konfrontacji polskich i niemieckich służb granicznych. Przebieg i skutki prowokacji pod Opaleniem 24 maja 1930 roku, [w:] 80 rocznica powstania Straży Granicznej II Rzeczypospolitej, t. II*, red. A. Gośławska-Hrychorczuk, Warszawa-Kętrzyn 2008, s. 167-196, dostępny także na <http://apsl.academia.edu/WojciechSkóra>

⁹ s. 2 - Odstawiony został chwilowo do Sadu w Kępnie, później przekazany został do dyspozycji Prokuratury pod zarzutem szpiegostwa na terenie Polski.

¹⁰ s. 8 - Przejęcia Biedrzyńskiego dokonał z ramienia władz polskich okręgowy inspektor Straży Granicznej p. Zięba w towarzystwie oficerów Straży Granicznej oraz dwóch oficerów policji. Z ramienia władz niemieckich występowali dwaj agenci policji tajnej oraz Konsul niemiecki z Poznania. Biedrzyński odjechał do Poznania, stąd wyjechał do Warszawy celem zameldowania się u władz centralnych.

Justyna Liguz

KRONIKI KRYMINALNE SPRZED LAT

Strzelaniny i pościgi, zabójstwa i inne głośne przestępstwa, działania gangów i zwykłych bandytów, najważniejsze procesy i wyroki sądowe - we współczesnych kronikach to jedno z najbardziej przyciągających elementów w prasie czy telewizji. Każdy przedstawiciel dzisiejszych mediów, chcąc odnieść sukces, tworzy swoje treści w taki sposób, aby odpowiedzieć na różnego rodzaju pasje swoich czytelników. Jednak „kroniki kryminalne” zawsze były tematem ponadczasowym, do których chętnie zaglądamy wszyscy, bez względu na zainteresowania.



Nie inaczej było w czasach dawniejszych. Jedną z gazet, która wykorzystywała plotkarskie i kryminalne wątki była „Gazeta Olsztyńska”. Przeważnie na stronie 3 kolejnych wydań zamieszczane były krótkie notatki z różnych zdarzeń, wypadków, zdarzeń nietypowych. Można wśród nich odnaleźć informacje ekonomiczne i polityczne, towarzyskie oraz informacyjne np. o spotkaniach. Przeważały jednak wątki kryminalne lub takie, które w społeczeństwie zawsze budzą zwykłą ciekawość ludzi. Z punktu widzenia historii takie informacje także mogą być dobrym źródłem informacji historycznej.

Zresztą sami zobaczcie. Miłej lektury...

— Wykradanie dolarów z listów. Wykradanie dolarów z listów amerykańskich jest na porządku dziennym. Adresaci otrzymują w listach zamiast uciążliwych dolarów karteczki z dopiskiem: »Nie szukajcie brakujących pieniędzy, gdyż wysyłka pieniędzy w listach zwykłych jest karygodna«. Oczywiście takie karteczki wkładają do listów złodzieje, którzy wyjmują dolary i zatrzymują dla siebie. Nie trzeba się pozwolić zastraszyć, lecz temwiej domagać się od urzędu pocztowego, by zarządził dochodzenia za złodziejami. Wymówki urzędników pocztowych, iż poczta nie wynagrodzi zaginionej zawartości znajdujących się w zwykłej przesyłce pocztowej, są bezpodstawne. Przeciwnie, nadyrekcji pocztowej należy podać, ażeby jej donoszono o każdej kradzieży dolarów.

W 1912 roku czytelnicy „Gazety Olsztyńskiej” dowiedzieli się o procederze wykradania pieniędzy z listów. Sposób na przekazywanie funduszy stary jak świat, ale jak bardzo zuchwali musieli być złodzieje, skoro za każdym razem — zamiast pieniędzy „wysyłali” wiadomość do adresata...

Morderstwa, rozboje,
katastrofy... listopad
1920 roku

* Kwidzyn. Dnia 22 b. m. na linii Malbork — Kwidzyn, zdarzyła się katastrofa kolejowa. Zderzył się pociąg osobowy z towarowym i 44 osoby utraciły życie. Brak jeszcze bliższych szczegółów.

* Kwidzyn. W zabudowaniu Reinbergera przy ul. Poststr. 18 wybuchł pożar z powodów dotąd nie wyjaśnionych. Tutejszej straży ogniowej udało się ogień zlokalizować i zagasić.

* Kwidzyn. Niesłychana brutalność niemiecka. Dowiadujemy się właśnie, że dyrektor gazowni kwidzyńskiej Detzler w nocy z niedzieli na poniedziałek pobił kijem maszynistę i inwalidę wojennego Franc. Olszewskiego, groził rewolwerem i zwymyślał mu od „Verfluchter Polacke” itd. Olszewski, który robił nocną szychę przy kotle, zemścił nad ranem i tam po pół godziny znaleźli go jego towarzysze. Donieśli oni o tem dyrektorowi, który z kijem po małej chwili wyskoczył z domu i pobił tak Olsz, że połamał kij. Olsz. udać się musiał w opiekę lekarską. Pan Detzler oddawna już odgrażał się robotnikom polskim, pracującym w gazowni, że wszystkich ich wyrzuci, bo oni tu są niepotrzebni.

* Rospic koło Kwidzyna. We wtorek 16 listopada o północy popełniono morderstwo w Rospic na nieznanym osobniku. Okoliczności, w jakich popełniono tajemnicze morderstwo, wymaga jeszcze wyjaśnienia.

Z Powiśla.

* Kwidzyn. Koń zabił przed kilku dniami robotniczkę T. Strehlaua. Nieszczęśliwy pozostawił żonę i 12 dzieci. Ródzina z powodu śmierci wyżywiciela znajduje się w wielkiej nędzy.

* Ramuty. 15 sztuk bydła nadeło się w jeden dzień p. Klatowi na świeżej koniczynie. Udało się ocalić wszystko bydło chociaż niektóre za 2 razowem przebicciem. Słyszcy się o bardzo licznych wypadkach, gdzie pomoc już jest spóźniona. Jest to boleską gospodarstw z ziemią wyłącznie pszenną. Właściciele ziemi lekkiej nigdy nie potrzebują się skarżyć na podobne nieszczęścia.

* Starytarg. Zeszłej niedzieli odbyło się w lokalu p. Kikuła zebranie robotników ze Staregotargu i okolicy. Powzięto rezolucję przeciw wywożeniu zboża, żądano odpowiedniego unormowania cen za żywność i odpowiednich zarobków dla robotnika. Nadmienić należy, że wójt starotarski sam prowadził protokół, który przedłożył p. landratowi. B.

a w październiku 1922 roku..

Z Powiśla.

— Sztum. Ostatni targ nie był ożywiony. O ruchu nie może być wogóle mowy. Za masło płacono 1,70—1,80, jaja 2,20—2,30. Zabite gęsi funt 85—90 fen., kaczki 1,00—1,10 mk. Na rynku warzywnym płacono za kalafior 1 mk., kapusta biała 5 fen., marchew 30 fen., brukiew 15 fen., cebula 15 fen., marchew 10 fen., gruszki 30—40 fen., jabłka 40—50 fen. za funt. Ryby kosztowały: okonie 50 fen., leszcze 50 fen., płotki 25 fen., świeże flondry 30 fen., świeże śledzie 3 funty 1 mk. Ceny na mięso bez zmiany.

Ceny na jarmarkach zawsze będą zainteresowanie. Można porównać gdzie jest taniej, każdy znajdzie coś dla siebie... powyższe ceny pochodzą z grudnia 1926 roku

KRONIKA Ziemi Malborskiej

— Susz. W stodole osadnika Mattern powstał pożar, który w mgnieniu oka strawił całkowicie ziemię. Pastwą płomieni padły także maszyny rolnicze. Z trudem tylko uratowano pobliski chlew przed pożarem.

— Dzierzgoń. Na szosie do Śliwy, pow. morąski, najechał samochód obywatela tutejszego Waltera P. na drzewo. Szofer samochodu K. doznał tylko lekkich okaleczeń. Pasażer kupiec Guschke z Dzierzgonia doznał ciężkich okaleczeń.

— Kwidzyn. Na szosie Brokowo—Kamionka najechał 17-letni Willi Kentz rowerem na samochód ciężarowy. Chłopak doznał tak ciężkich okaleczeń, że zmarł tegoż samego dnia.

— Kwidzyn. Sąd tutejszy skazał trzech młodych ludzi za udział w bójce na 3 miesiące więzienia każdego. Dwóch zasądzonych skazał sąd dodatkowo za nielegalne posiadanie broni na dalsze dwa tygodnie więzienia. — Niejakis K. został za obmowę żandarma skazany na 50 mk. grzywny.

W 1935 roku już nikogo nie dziwiły wypadki drogowe...

KRONIKA ZIEMI MALBORSKIEJ

— **Prabuty (Riesenburg).** Na dworcu tutejszym zaszedł nieszczęśliwy wypadek. Urzędnik kolejowy Wróbel, stojąc na peronie, został pochwycony przez lokomotywę, wjeżdżającego na dworzec pociągu. W. doznał ciężkich okaleczeń, mianowicie rozbił sobie czaszkę. Stan jego budzi poważne obawy.

— **Kwidzyn (Marienwerder).** W roku ubiegłym ruch turystyczny w Kwidzynie był bardzo ożywiony. Nocowało w Kwidzynie 9742 zamiejscowych. Udział obcokrajowców w ruchu turystycznym nie był tak silny jak w Malborku i Elblągu. Zanotowano 141 obcokrajowców.

— **Dzierzgoń (Christburg).** W warsztacie pewnej tutejszej ślusarni eksplodował żelazny piec i rozprysł się na drobne kawałki. Na szczęście nikt nie został pokaleczony. Powodem eksplozji było to, że pewien uczeń wsunął do pieca butelkę z kawą, by kawę szybko zagrzać. Butelka było zakorkowana i spowodowała eksplozję.

tzw. Kronika Ziemi Malborskiej
z marca 1938 roku...

KRONIKA ZIEMI MALBORSKIEJ

— **Kwidzyn (Marienwerder).** W niedzielę, dnia 18-go grudnia zmarł nagle śmiercią po operacji na ślepa kiszkę uczeń klasy II Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie ś. p. Czesław Horst. Był dobrym uczniem i miał zaledwie lat 13. W wiosce rodzinnej w Zakrzewie uczęszczał do szkoły polskiej. Skończywszy lat 11, wstąpił do Polskiego Gimnazjum w Bytomiu. Po otwarciu Polskiej Uczelni w Kwidzynie, przeszedł do Kwidzyna, gdzie się wzorowo sprawował. Stąd go też Pan Bóg po krótkich cierpieniach w swoją opiekę zabrał.

„Gazeta Olsztyńska”
na bieżąco śledziła
wszystko, co działo się
w Gimnazjum Polskim
w Kwidzynie. W grudniu
1938 roku tragicznie
zakończyła się operacja
jednego z uczniów...

KRONIKA ZIEMI MALBORSKIEJ

— **Sztum** (Stuhm). Z powodu ślizgiej ulicy stracił pewien kierowca władzę nad swym samochodem ciężarowym i najechał na drzewo. Sam wyszedł bez szwanku, ale samochód został bardzo uszkodzony.

— **Malbork** (Marienburg). Właściciel majątku Preuss-Corneltu wracał ze swoją żoną samochodem do domu. W pobliżu majątku poprosił żonę o prowadzenie samochodu. Po powrocie do domu właściciel już nie żył. Przyczyna śmierci nie jest znana.

— **Malbork** (Marienburg). Sąd tutejszy skazał na 2 lata i 4 miesiące więzienia Kurta Boenchen-dorfa za włamanie do mieszkania pewnej nauczycielki. Skazany jest gdańszczaninem, który po rzuceniu pracy w swoim rodzinnym mieście przybył do Niemiec i tu się włóczył.

— **Malbork** (Marienburg). Na dworcu tutejszym zaszedł pożałowanie godny wypadek. Robotnik Demski z Wielbarka, zajęty zmiataniem śniegu, najechał przez przesuwane wagony przyczym ucięta została mu noga.

— **Malbork** (Marienburg). Na dworcu towarowym zdarzył się przy manewrowaniu pociągami nieszczęśliwy wypadek. Robotnik kolejowy Demski z Niborka przejechany został przez wagon przy uprzątaniu śniegu z toru. Wskutek wielkiego ciężaru i silnego uderzenia stracił nogę.

W marcu 1939 roku większość wydarzeń dotyczyła Malborka...

Dzięki polskim bibliotekom cyfrowym w internecie jest coraz więcej starych gazet, z których można „wydobyć” informacje historyczne z Powiśla. Znajdujemy w nich różne informacje - które można gromadzić według miejscowości czy według kategorii zdarzeń. Najciekawsze chyba w takich poszukiwaniach jest jednak to, że nigdy nie da się przewidzieć, na co się akurat natkniemy i trudno sobie coś z góry zaplanować.

Wirginia Węglińska

NIEZWYKŁA CZTERDZIESTKA

- W czasie Powstania Warszawskiego służyłam na Mokotowie jako łączniczka. 27 września 1944 r. na Mokotowie ucichły strzały z powodu braku amunicji. 28 września około północy dostaliśmy rozkaz dostania się kanałami do Śródmieścia, gdzie jeszcze trwały walki. Weszliśmy do kanału przy ul. Schustrasse i doszliśmy do tzw. kanału burzowego pod ul. Puławską, gdzie można było się już rozprostować. Po mału kierowaliśmy się w kierunku Śródmieścia. Po pewnym czasie czołówka postanowiła się wycofać, ponieważ Niemcy rzucali granaty do kanałów. Ostatecznie zaczęliśmy wychodzić przez otwarte włady na ulicy Puławskiej. Ja wyszłam przy ul. Belgijskiej wprost w ręce Niemców, przemoczona do pasa. Miałam na sobie kombinezon, a na nogach narciarskie buty, które z miejsca kazano mi oddać. Wszystkich wychodzących, a było nas kilkadziesiąt osób, ustawili w trójbok przed ustawionymi czołgami. Po pewnym czasie nastąpił marsz w kierunku Pruszkowa. Stamtąd załadowano mnie wraz z dziewczynami z powstania do wagonu bydłowego...

29 września 1944 r. w transporcie ludności cywilnej z Warszawy do obozu koncentracyjnego Stutthof znalazło się 40 wyjątkowych kobiet, które w czasie Powstania Warszawskiego pełniły służbę sanitariuszek i łączniczek. Miały one od 14 do 28 lat, należały do jednostek „Baszta” i „Granat” operujących na Mokotowie. Były wśród nich także spadochroniarka radziecka, kobieta-żołnierz z pierwszej armii Wojska Polskiego i łączniczka Polskiej Armii Ludowej. Transport, w którym przywieziono kobiety do KL Stutthof został uformowany w obozie przejściowym w Pruszkowie. W myśl założeń kapitulacyjnych, wszyscy uczestnicy Powstania Warszawskiego, mężczyźni i kobiety mieli zostać przekazani do obozów dla jeńców wojennych, tak się zresztą stało z większością osób, które zostały wyprowadzone z miasta, po kapitulacji 2 października 1944 r., Ponieważ Mokotów poddał się wcześniej, najprawdopodobniej władze SS w Pruszkowie nie wiedząc, co zrobić z 40 kobietami-żołnierzami odesłały je do Stutthofu.

- Podróż trwała 24 godziny, chyba raz otwarto drzwi wagonu i wpuszczono tam trochę powietrza. Ktoś podał nam coś do jedzenia. Mleko? Pamiętam to jak przez mgłę i nie wiem gdzie to było. Wieczorem, 29 września wagon został otwarty, zlecono nam wyjść i ustawić się w piątce, okazało się, że w pozostałych wagonach przywieziono ludność cywilną z Mokotowa. Załadowano nas do odkrytych wagoników kolejki wąskotorowej. Trwało to dostatecznie długo, aby dzieci z okolicznych domów zdążyły obrzucić kamieniami. (...) Był już późny wieczór gdy ustawiono nas w szeregu przed jakimś barakiem, tuż za bramą obozu¹.

Dziewczęta z AK, kiedy trafiły do KL Stutthof miały na sobie mundury, kombinezony, kurtki wojskowe z biało-czerwonymi proporczykami, na furażerkach naszywki biało-czerwone i orzełki. Kilka z nich posiadało chlebaki i pasy wojskowe. Ich przybycie do KL Stut-

¹ Archiwum Muzeum Stutthof (AMS), Wspomnienia Anny Kielanowskiej o dziewczętach z Powstania Warszawskiego wywiezionych do obozu koncentracyjnego Stutthof, s. 2.



Anna Kielanowska (Woyniłowicz) ps. „Mała Hanka, fot. archiwum Muzeum

thof zarówno wśród więźniów, jaki i w kancelarii obozowej wywołało ogromne zamieszanie. Komendant Paul Werner Hoppe miał wątpliwości co do osadzenia ich obozie koncentracyjnym, zwrócił się więc z prośbą do wydziału spraw jeńców wojennych w komendanturze wojskowej w Gdańsku, o przejęcie kobiet z AK. Otrzymał on jednak odmowę, motywowaną tym, że w okolicy nie ma żadnego kobiecego obozu jenieckiego. 3 października Hoppe wystosował kolejne pismo, tym razem do Głównego Urzędu Gospodarki i Administracji SS (urzędu D, któremu podlegały obozy koncentracyjne), w którym informował o sprawie 40 kobiet z Powstania Warszawskiego i prosił o jej rozstrzygnięcie.

Dziewczęta od samego początku zachowywały się w Stutthofie bardzo odważnie. Na pytania SS-manów, co robiły w czasie powstania, odpowiadały z godnością, że wszystko co należało – gotowały jedzenie, opatrywały rannych, nosiły amunicję, a w razie potrzeby walczyły i strzelały. Cały czas żądały traktowania ich jako jeńców wojennych. Anna Kielanowska – jedna z łączniczek wspomina, że wystosowała pismo z prośbą o przeniesienie całej grupy do obozu jenieckiego.

- No przyszła pani Aufseherka², no postać była to przerażająca (...) Wielkie, duże babsko, ostra. No i spytała się kto to napisał? Mówię, że ja – no to chodź ze mną. No i zabrała mnie. Dziewczyny moje umarły ze strachu, że mnie zabiją, ale ona mnie zaprowadziła do Meyera³, który wtedy rządził. No i ten zaczął krzyczeć, że cios w plecy chciałyśmy zadać Niemcom, że on by nas wszyst-

² Aufseherki – zatrudnione przez SS cywilne kobiety funkcyjne sprawujące nadzór nad więźniarkami obozów koncentracyjnych.

³ Theodor Traugott Meyer – (1904-1947) SS-Hauptsturmführer. W latach 1933-1940 pełnił funkcję inżyniera obozowego (niem. Lageringenieur) kolejno w KL Dachau, KL Neuengamme i w KL Ravensbrück. W październiku 1942 r. został mianowany kierownikiem obozu w KL Ravensbrück. Od kwietnia do maja 1942 objął służbę w sztabie komendantury KL Mauthausen. W latach 1942-kwiecień 1945 w KL Stutthof pełnił funkcję kierownika Wydziału III (obóz). Odznaczony Wojennym Krzyżem Zasługi z Mieczami i brązową odznaką sportową SA. Wyrokiem Sądu Okręgowego w Gdańsku skazany na karę śmierci.

kie rozstrzelał, ale on czeka na rozkazy⁴. - Przez kilka tygodni los „czterdziestki” był niepewny. Zamknięto je w ciasnej i ciemnej izbie, początkowo nie były one jednak zmuszane do pracy. Po obozie krążyły różne informacje na temat ich przyszłości. Jak podaje Maria Kowalska nie zważając na ciężką sytuację dziewczęta starały się za wszelką cenę wzajemnie wspierać i podnosić na duchu. - *Był ten jeden stolik, no stołek, ta nasza Hanka (Kielanowska obecnie) znając języki zrobiła kółko językowe. Uczyłyśmy się angielskiego. Wieczorami grałyśmy w brydża. Poza tym duchy wywoływałyśmy. Na jakimś kawale papieru wyrysowane były te litery, spodeczek, no i zabawialiśmy się w duchy.(...) A poza tym w dalszym ciągu czułyśmy się jeszcze żołnierzami i śpiewałyśmy wszystkie bojowe piosenki, wszystkie partyzanckie, a „Marsz Polonia” jak brzmiał!*⁵

Czterdzieści dziewcząt z powstańczej Warszawy stało się początkowo przedmiotem zainteresowania i sympatii całego męskiego obozu. Były one dla więźniów synonimem heroizmu, który znalazł się nagle za drutami Stutthofu. Mężczyzn ogarnęła fala sympatii i entuzjazmu. Były więzień Krzysztof Dunin-Wąsowicz wspominał: - *Wykorzystywałem każdą sposobność, aby wyjść z biura i bez zwrócenia uwagi dyżurującego w budce przy starym lagrze SS-mana przejść koło tych dziewcząt i rzucić im za każdym razem szybkie pytanie. Dowiedziałem się w ten sposób, że są one z AK z „Baszty” i znały kilku moich kolegów. Potem, gdy jedna z nich podeszła do biura, aby zapytać o coś, stanąłem w drzwiach i, niewidziany przez SS-mana, mogłem chwilę z nią porozmawiać. Wówczas jednak wzruszenie zamknęło mi usta i patrzyłem tylko milcząco na orzełka i białą czerwoną proporczyki, pojąc wzrok tymi dawno niewidzianymi odznakami polskimi*⁶.

Przez kilka dni, w całym obozie więźniowie mówili tylko o nich. Natychmiast zorganizowano też akcje mające na celu niesienie psychicznego wsparcia i materialnej pomocy. - *Któregoś wieczoru usłyszeliśmy głosy: obstawa w okna! No i wyszły dziewczyny stanęły w tych oknach, czekałyśmy co się będzie działo. A dalej, to podjechał sufit do góry (...) i ukazały się twarze więźniów, Polaków. Jeden to był Mieczysław Brzozowski a drugi, wiem, że miał na imię Tolek. No i Brzozowski nam powiedział – dziewczyny kochane, nic się nie bójcie, nie damy wam zginąć, pomożemy wam. No i „zjechały” takie gacie czyściutkie z magazynu i w środku był chleb, margaryna jakaś marmolada, karty do gry i papierosy*⁷.

Zdarzyło się również, że w dowód głębokiej czci więźniowie przerzucili przed druty – kwiaty, skradzione z narażeniem życia z ogrodu obozowej komendantury. - *Przywieźli z Warszawy kobiety-żołnierzy. Nie chciały one zdjąć mundurów, bo wszyscy, którzy się poddali mieli być na prawach jeńców wojennych. Miałem wtedy już na tyle odwagi, że urwałem kilka biało-czerwonych goździków i rzuciłem im. Byłem bardzo wzruszony tym, że one były w polskich mundurach i powiedziałem sobie, że bez względu na to ile to mnie będzie kosztować muszę im te kwiaty rzucić*⁸.

Dowody sympatii ze strony mężczyzn wywoływały wśród pozostałych kobiet-więźniarek różnego rodzaju reakcje, przede wszystkim zazdrość i złośliwe szykany. „40-tkę” zamknięto w jednej izbie, pozwalano im jedynie dwa razy dziennie wychodzić do umywalni. Nie mogły one palić papierosów a nawet wyglądać przez okno na ulicę obozową. Kiedy okazało się, że dziewczęta nie zostaną przeniesione do obozu dla jeńców wojennych i pozostaną w Stutthofie,

⁴ AMS, MS/DVD/153, wywiad wideo z Anną Kielanowską.

⁵ Ibidem.

⁶ K. Dunin-Wąsowicz, Stutthof ze wspomnień więźnia obozu koncentracyjnego, Wydanie II, Warszawa 2011, s. 61.

⁷ AMS, sygn. MS/DVD/153 wywiad wideo z Anną Kielanowską.

⁸ AMS, Relacje i wspomnienia Wacława Guzowskiego, t. IV, s. 56-57.

blokowa Jackowska skłoniła władze obozowe, aby (rzekomo z powodu braku miejsca) kobiety z AK zostały przeniesione do części przeznaczony dla więźniów pochodzenia żydowskiego. Panowało tam straszliwe przeludnienie, tłok i znacznie gorsze warunki sanitarne niż w Starym Obozie⁹. W Obozie Żydowskim 40-tkę oddano pod nadzór blokowej, niemieckiej prostytutki. Ostatecznie dziewczęta zostały wpisane do akt obozowych jako polnische Kriegsgefangene (polscy jeńcy wojenni), otrzymały numery od 101 946 do 101 985, a dla odróżnienia od innych więźniów miały na ramieniu opaskę z napisami AK. Zabrano im mundury i przydzielono męskie pasiaki, mimo że większość kobiet w tzw. Starym Obozie chodziła w obozowych sukienkach. - *My jak zwykle buntowniczkami – raz, że postanowiłyśmy, że nie damy się tak upodlić, że się będziemy starały myć, ubierać elegancko. Nożyczki ktoś nam dał, poobcinałyśmy sobie na dole pasiaki. Zrobiłyśmy paski, żeby to jakoś dopasować do siebie, no, żeby inaczej wyglądać, nie poddawać się. No i rzeczywiście, to pomogło (...)* Rozeszła się ta wieść, że my jesteśmy z Powstania, więc to już było bardzo ważne, zresztą większość na początku była w mundurach, takich naszych z opaskami, na czapkach też były takie odznaki. I to widać było, że my takie dziewczyny bojowe (...)¹⁰.

W baraku nieustannie panował tłok i przeludnienie. Kobiety z AK spały po trzy na jednej kondygnacji pryczy. Regularnie poddawano je różnego rodzaju szykanom, inspekcjom i rewizjom. Odmówiono im również prawa do wysyłania listów. Te, które otrzymały pracę w obozowym szpitalu miały nieco znośniejszy byt. Większość pracowała jednak w obozowej kartoflarni. Przechodziły one nędzę życia w żydowskim obozie, nabawiając się ciężkich chorób, przeważnie tyfusu. Jedna z mężatek będąca w ciąży – Janina Kazimierska – urodziła podczas pobytu w Stutthofie synka, który pomimo pomocy ze strony współwięźniów zmarł.

- *Jakie upodlenie, jaka rozpacz, że się jest tam samemu, bez rodziny, bez jakiegóż możliwości porozumienia się z rodziną. [Byłam] pod ciągłym prześladowaniem i byłam ciągle tym numerem. (...) Pierwszy apel, gdzie liczone wszystkich tych więźniów. (...) Te wszystkie kobiety sprawdzano czy nie miały czegoś ciepłego pod pasiakami, bo nie wolno było przecież nic mieć, a tu już się zima zaczęła. (...) Jedzenie to taka niby kawa ale to jakieś czarne pomyjki Na cały dzień rano pajdka chleba z kawałkiem margaryny. Później [zupy] nalewane w takie czerwone michy. (...) Zatrudniono nas w kartoflarni i codziennie rano wyprowadzano nas tam po apelu i cały dzień tam siedziałyśmy. Tam były takie koryta długie, wysypane kartofle albo jarzyny zmarznięte przeważnie, bo to była zima¹¹.*

Po pewnym czasie, fala entuzjazmu i sympatii dla dziewcząt z AK ustała. Wśród mężczyzn znaleźli się jednak więźniowie, którzy postanowili kontynuować rozpoczętą pomoc. Byli to m.in. Stanisław Birżański (nr 19 989), Mieczysław Brzozowski (nr 10 332), Marian Nowosielski (nr 18 324), Edmund Kamiński (nr 10 535), Stefan Kozłowski (nr 18 793) oraz Krzysztof Dunin-Wąsowicz (nr 36 090). Niestety, grupa ta była zbyt mała. Trzeba było starać

⁹ Stary Obóz – (*Altes Lager*) część KL Stutthof zbudowana w okresie od września 1939 r. do maja 1940 r. na powierzchni ok. 4 ha. Obejmowała 10 drewnianych baraków. Skrajne, usytuowane po południowej i północnej stronie obozu przeznaczone były dla więźniów. Pomieszczenia znajdujące się w środkowych rzędach przeznaczono na kuchnię obozową, magazyn rzeczy odbieranych więźniom, łaźnię i warsztaty budowlane. Na wschodnim krańcu zbudowano barak szpitala obozowego, łączącego ze sobą dwa skrajne rzędy baraków. Szpital zajmował także ostatni barak w środkowym rzędzie, w którym znajdowało się pomieszczenie dla najczęściej chorych i kostnica. Do „Starego Obozu” prowadziła brama, nazywana przez więźniów „Bramą Śmierci”.

¹⁰ AMS, sygn. MS/DVD/152 wywiad video z Marią Kowalską.

¹¹ Ibidem.



Powojenne spotkanie przyjaciółek z 40-tki. Od lewej Maria Kowalska, Halina Szymaniak, Izabella Wojcińska, Emma Bugajska, Lena Odechowska, Anna Kielanowska. fot. archiwum Muzeum

się o jedzenie, ciepłą odzież, lekarstwa a niekiedy o kulturalne rozrywki w formie dostarczania wierszy, gazet lub jakiś polskich książek krążących w pewnej liczbie nielegalnie po Stutthofie. Najtrudniej było z jedzeniem, bo czterdziestu dziewczętom nie wystarczały marne, obozowe racje ani dorywcze dary otrzymywane od niektórych więźniów z nadsyłanych im paczek. Edmund Kamiński starał się od czasu do czasu po znajomości uzyskać dla nich dodatkowy kocioł zupy lub zwiększone porcje chleba. Potem ustalili się zwyczaj, że każdy z członków nie istniejącego formalnie, ale faktycznego połączonego ze sobą niewidzialnymi nićmi komitetu pomocy – zaopiekował się jedną lub dwiema dziewczętami i z nimi korespondował.

Niestety, nie starczyło opiekunów dla wszystkich. Mimo to akcja pomocy objęła stosunkowo szerokie kręgi, co przynajmniej w pewnej mierze umożliwiło dziewczętom przetrwanie. Marian Nowosielski z Effektenkammer zaopatrzył wszystkie dziewczęta w płaszcze i ciepłą bieliznę (zostały one ukradzione z obozowych magazynów), które po jednej z rewizji odebrała im zresztą Aufseherka. Korespondencja opiekunów z podopiecznymi była bardzo ożywiona, listy nosił przeważnie Kamiński, który jako kapo ze swoim wozem z węglem lub koksem mógł wjeżdżać na teren obozu żydowskiego. Przy sposobności przewoził ukryte na wozie paczki żywnościowe zaadresowane do poszczególnych dziewcząt¹². - Oczywiście wkradła się tu pewna niesprawiedliwość, bo nie wszystkie były jednakowo obdarowywane. Ale było to nie do uniknięcia. (...) Korespondencja ta sprawiła, że, chłopcy, pozostający często od lat w obozie, zakochali się w niewidywanym a wyidealizowanym pannach z AK. Dochodziło do wyznań i zawodów miłosnych. Mam wrażenie jednak, że kilka z tych sympatii przetrwało obóz¹³.

Korespondencja, jak i cała akcja pomocy była dość niebezpieczna, bo w razie wykrycia mężczyznom groziły bity, a dziewczętom różne sankcje z obcięciem włosów włącznie. Mimo to prowadzono ją dalej, uważając to ze strony męskiej za swojego rodzaju moralny obowiązek, a także za akcję solidarnościową w stosunku do koleżanek z ruchu oporu. Nie

¹² K. Dunin-Wąsowicz, *Transporty warszawskie w Stutthofie* [w:] *Stutthof. Zeszyty Muzeum*, nr 2, 1974 r.

¹³ K. Dunin-Wąsowicz, *Stutthof ze wspomnień więźnia obozu koncentracyjnego*, Wydanie II, Warszawa 2011, s. 63.

sposób było także przerwać korespondencji, która choć na chwilę pozwalała zapomnieć o trudach obozowej rzeczywistości.

- *Charakterystycznym momentem było Boże Narodzenie 1944 r. Dzień przed Wigilią, gdy byliśmy w kartoflarni dobrzy ludzie przemycili do naszej sztuby małą choinkę oraz w ciemnych, wąskich przejściach między pryzkami zainstalowali światło. W dniu Wigilii dwóch nieznanymi więźniów wniosło do sztuby „kibel” od zupy, w którym jednak jej nie było. Był za to żywy gołąb z życzeniami przyczepionymi do nóżki, był kawałek mięsa, trochę cukru, okruchy ciasta, chleb, papierosy i zacytany, zniszczony egzemplarz „Pana Tadeusza”. Zrobiliśmy więc z otrzymanych produktów coś w rodzaju wigilijnej uczyty – przy wiszącej u sufitu choince. Zobaczyła to jednak blokowa. W godzinę później przyszy Aufseherki, wyrzuciły nas w koszulach ze sztuby i wyniosły z niej wszystko, pobiwszy przy tym kilka z nas¹⁴.*

Na początku 1945 r. atmosfera w Stutthofie była napięta. Zarządzono ostre pogotowie i wzmocnienie straży zewnętrznych. Odwołano wszystkie urlopy i wyjazdy służbowe załogi SS. O sytuacji na froncie wiedziały nie tylko władze obozu, ale również więźniowie. Były to dla nich pocieszające wiadomości, gdyż oznaczały zbliżającą się wolność. Narastała wśród nich jednak obawa, że władze SS zabiją wszystkich więźniów i spalą obóz. W dniach 23-24 stycznia wojska radzieckie zbliżyły się do Elbląga i Malborka. Obóz znalazł się, więc w strefie przyfrontowej, w związku z tym podjęto decyzję o jak najszybszej ewakuacji więźniów. Ewakuacja KL Stutthof rozpoczęła się 25 stycznia 1945 r. W jednej z kolumn ewakuacyjnych znalazło się również 25 dziewcząt z AK. Dwie z nich zginęły w czasie „Marszu Śmierci”.

- *W styczniu już się szykowali do ewakuacji. Słyszał się jak armaty grzmia gdzieś z daleka. (...) Słyszał się zbliżający się front, czasami już naloty nawet były. Wylączono światła. Bomby rzucali, front już był niedaleko. Wiadomości już miałyśmy od mężczyzn, że Niemcy uciekają, ewakuują się. I co z nami będzie? (...) Mężczyźni nam dostarczyli ubrania, ciepłe palta i jakieś cywilne sukienki, sweterki. Myśmy sobie poszły jakieś chlebaki z koca, żeby gdzieś to [jedzenie] trzymać. (...) Rano, szeregi, dano nam po bochenku chleba i kiszkę jakąś, trochę margaryny. (...) Zaczął się ten pochód. My jeszcze, jako młode trzymałyśmy się, ale przecież staruszki, starcy, bo to się wtedy już mieszało wszystko razem, ślizgali się w drewniakach. Ten pochód został nazwany Marszem Śmierci, bo taki był. (...) Po drodze już leżały trupy¹⁵.*

Niektórym dziewczętom z 40-tki udało się uciec z ewakuacji pieszej, ukrywały się one wśród ludności kaszubskiej. Większość została jednak wyzwolona przez ofensywę Armii Radzieckiej i Wojska Polskiego w marcu 1945 r. Do kwietnia 1945 r. w obozowym szpitalu pozostało oprócz innych chorych i słabych także 15 dziewcząt z AK. Zostały one ewakuowane ze Stutthofu drogą morską. Większość z nich została wyzwolona już w Niemczech Zachodnich; cztery przebywały na rekonwalescencji w Szwecji, jedna w Danii, skąd po pewnym czasie wróciły do kraju. Po wojnie „czterdziestka” nadal utrzymywały ze sobą kontakt. Przyjaźń, która wzięła swój początek obozie koncentracyjnym połączyła je na całe życie. Do dziś, kiedy dziewczęta z AK wspominają tamte dni zamiast imion i nazwisk używają swoich powstańczych pseudonimów.

¹⁴ AMS, Wspomnienia Anny Kielanowskiej o dziewczętach z Powstania Warszawskiego wywiezionych do obozu koncentracyjnego Stutthof, s. 6.

¹⁵ AMS, sygn. MS/DVD/152 wywiad video z Marią Kowalską.

Wykaz 40 kobiet-żołnierzy umieszczonych w KL Stutthof:

1. Borkowska Krystyna, ps. „Krystyna”, nr 101 946
2. Bokus Alina, ps. „Ala”, nr 101 947
3. Choińska Natalia, ps. „Justyna”, nr 101 948
4. Chytrowska Maria, ps. „Myszka”
5. Dalecka Anna, ps. „Czarna Hanka”, nr 101 950
6. Dunin-Kozicka Aleksandra, ps. „Cyganka”, nr 101 951 (zabita bombą podczas ewakuacji w Starogardzie Gdańskim w lutym 1945 r.)
7. Grymała Teresa, nr 101 952
8. Głowczewska Izabella, ps. „Kudłata Iza”, nr 101 953
9. Idźkiewicz Izabella, ps. „Gaba”, nr 101 954
10. Ignaczak Krystyna, ps. Hajduczek, nr 101 955
11. Jakubowska Maria, ps. „Maryś”, nr 101 956
12. Jamiołkowska Zofia, nr 101 957
13. Kurek Helena, nr 101 958
14. Kaiser Teresa, ps. „Kalina”, nr 101 959
15. Krajewska Alicja, ps. „Lilka” nr 101 960
16. Kazimierska Janina, nr 101 961
17. Lipińska Janina, ps. „Janka”, nr 101 962, zginęła w czasie ewakuacji 26 stycznia 1945 r. w pobliżu Cedrów Wielkich
18. Malinowska Zofia, ps. „Lenka”, nr 101 963
19. Ostrowska Alicja, nr 101 964
20. Osuchowska Apolonia, nr 101 965
21. Podgórska Paulina, ps. „Lina” nr 101 966
22. Radelicka Barbara, ps. „Biała Basia”, nr 101 967
23. Szymanowska Archangela, ps. „Ela”, nr 101 968
24. Szymaniak Halina, ps. „Czołg”, nr 101 969
25. Strzelecka Jadwiga, ps. „Czołg”, nr 101 970
26. Spionek Halina, ps. „Ina”, nr 101 971
27. Surawska Teresa, ps. „Danka”, nr 101 972
28. Święcicka-Moyzes Barbara, ps. „Komendantka”, nr 101 973
29. Suchodolska Ewa, ps. „Malarka”, nr 101 974
30. Śliwińska Izabella, ps. „Iza” lub „Długa”, nr 101 975
31. Tascher Jadwiga, ps. „Barbara”, nr 101 976
32. Wojtowicz Emilia, ps. „Barbara”, nr 101 977
33. Wojdatt Emilia, ps. „Parasol”, nr 101 978
34. Wądołowska Anna, ps. „Jaga”, nr 101 979
35. Wasilewska Anna, ps. „Anuszką”, nr 101 980
36. Werner Irmina, ps. „Irma”, nr 101 981
37. Woyniłłowicz Anna, ps. „Mała Hanka”, nr 101 982
38. Zabęska Jadwiga, ps. „Jadwiga”, nr 101 983
39. Zagrodzka Maria, ps. „Greta”, nr 101 984
40. Zamierowska Stefania, ps. „Nina”, nr 101 985

Karol Nawrocki

SIERPIEŃ WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI W REGIONIE ELBLĄSKIM*

SŁOWO WSTĘPNE

Kryzys gospodarczy PRL, powstanie zorganizowanej opozycji oraz wybór Jana Pawła II na Ojca Świętego stały się pośrednimi przyczynami wybuchu fali strajkowej, którą znamy pod nazwą Sierpień'80. Biorąc pod uwagę najnowsze badania historyczne - w tym badania lokalne dotyczące narodzin NSZZ „Solidarność” - trzeba jednak pamiętać, że świat zintelektualizowanej idei „Solidarność”, tak pięknie i rzeczowo opisanej przez Józefa Tischnera w *Etyce solidarności*, nie mógł pociągnąć za sobą tysiące robotników. Do większości tych ludzi latem 1980 r. nie przemawiały idee ani manifesty grup opozycyjnych, pogrążeni bowiem byli oni w codziennej walce o zapewnienie bytu rodzinie. O zaangażowaniu przeważającej części robotników województwa elbląskiego w ruch strajkowy zadecydowała chęć zmiany smutnej peerelowskiej rzeczywistości. Ośmieliło ich natomiast słowo Jana Pawła II.

ZIMNO I CIEMNO

Niemal krytyczny moment gospodarczy w PRL nastąpił podczas tzw. zimy stulecia, czyli w czasie zimowych miesięcy przełomu lat 1978/1979. By pokazać skalę strat w wymiarze lokalnym, jakie przyniosła zima warto posłużyć się przykładem Elbląga. Jak donosił Komitet Wojewódzki PZPR „od kilku dni wraz z nadejściem mrozów odczuwano bardzo trudną sytuację energetyczną. W 9 dużych przedsiębiorstwach ograniczenia w dostawie energii elektrycznej sięgnęły ponad 50 proc. zatwierdzonego limitu mocy. Wynikłe z tego tytułu straty były bardzo poważne [...]”. Sytuacja energetyczna wpływała negatywnie na nastroje społeczne. Kryzys m.in. ośmielił załogi zakładów pracy do coraz odważniejszego domagania się od władz wolnej od pracy soboty w styczniu 1979 r. Wyłączenie energii powodowało również problemy w ogrzewaniu mieszkań oraz ograniczało możliwości zakupu produktów spożywczych. Jak można wnioskować z powyższych raportów KW PZPR, na ponad rok przed ogólnopolską falą strajkową w Elblągu było ciemno i zimno, a nastroje społeczne wystawione były na bardzo poważną próbę. W opanowaniu sytuacji nie pomógł fakt, że równie fatalnie wyglądał poziom zaopatrzenia w podstawowe produkty spożywcze. Najwięcej uwagi, jakie trafiały do KW, dotyczyło „braku śmietany wysokoprocenowej, twarogów tłustych i masła [...] Duże niezadowolenie budziły braki w asortymencie papierosów oraz sprzętu gospodarstwa domowego, w tym m.in. automatów pralniczych, telewizorów kolorowych i radioodbiorników wyższych klas”. Mieszkańcy Elbląga narzekali również na zaopatrzenie w opał. Problem opału rodził poza tym ogromne niezrozumienie w związku

z powszechnymi informacjami o sukcesach polskiego przemysłu wydobywczego. Wszystkie te braki stanowiły bezpośredni syndrom niezadowolonego społecznego, który jednak władze – po raz kolejny – starały się zlekceważyć.

SYGNAŁ LIPCOWY

Pierwszego lipca 1980 r. rząd Edwarda Babiucha wprowadził podwyżkę cen artykułów mięsnych. Reakcją robotników było podjęcie strajków w dziesiątkach zakładów pracy w różnych częściach PRL. Strajki z początku lipca nie były jednak skoordynowane. W większości zakładów nie wyłoniono komitetów strajkowych. W związku z tym dyrekcjom udawało się wpływać na uspokojenie nastrojów robotników poprzez gwarantowane podwyżki płac. Sytuacja zmieniła się 8 lipca 1980 r., kiedy w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku wyłoniono pierwszy formalny komitet strajkowy. W ciągu kilku dni strajk ogarnął szereg zakładów pracy na Lubelszczyźnie, w tym największy w regionie zakład – Fabrykę Samochodów Ciężarowych w Lublinie. Strajki ustały dopiero 23 lipca, po deklaracji wicepremiera Mieczysława Jagielskiego, w której zapewnił bezpieczeństwo strajkującym oraz gotowość rządu do zmian w wyborach do rad zakładowych. Jak pisał Marcin Dąbrowski, fala strajków, która przetoczyła się w lipcu 1980 r. przez całą Polskę, według oficjalnych danych objęła 81 tys. pracowników w 177 zakładach pracy. Co ważne, lipcowe strajki na Lubelszczyźnie nie zakończyły się represjami wobec robotników.

Strajki lipcowe z 1980 r. ominęły województwo elbląskie. Zagrożenie robotniczym protestem wystąpiło jednak w tym czasie na węzłach kolejowych. Strajkowe komentarze elbląskich i malborskich kolejarzy zakończyło przyznanie dodatków finansowych. Natomiast w PKP Kwidzyn strajku nie podjęto, mimo iż „z Warszawy otrzymywano anonimowe telefony z zapytaniami czemu nie przerywamy pracy”. Wyłącznie symboliczne znaczenie w tym czasie miały z kolei akcje protestacyjne w Przedsiębiorstwie Gospodarki Mieszkaniowej (29 lipca) oraz w Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania (4–7 sierpnia) w Elblągu. Trwały one zaledwie około dwóch godzin i zakończyły się po spełnieniu postulatów załóg. W czasie protestów nie zgłaszano postulatów politycznych, nie powołano także ponadzakładowego ciała koordynacyjnego.

SZTUMSKI POCZĄTEK

Inaczej stało się w sierpniu 1980 roku, kiedy w Stoczni Gdańskiej wybuchł strajk, zmieniający historię Europy środkowo-wschodniej. Strajk w Gdańsku rozpoczął się 14 sierpnia, rozprzestrzeniając się następnie na całą Polskę. Jako pierwsi solidarność ze strajkującym Trójmiastem wyrazili właśnie robotnicy z województwa elbląskiego. Pierwszy sygnał ze Stoczni Gdańskiej dotarł do województwa elbląskiego 15 sierpnia 1980 r. W tym dniu swój protest wyraziły trzy zakłady pracy: Lokomotywnia PKP Malbork, Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Wodno-Kanalizacyjne w Elblągu oraz masarnia w Sztumie. Protest na większą skalę wybuchł 16 sierpnia w sztumskiej filii Gdańskiej Fabryki Mebli (zakład nr 3). Główne przyczyny protestu w GFM były czysto socjalne i składał się na nie brak stołówki, bufetu i kiosku gastronomicznego na terenie zakładu. Ponadto robotnicy wskazywali na zły stan urządzeń sanitarnych, przymusowe przestoje z uwagi na braki materiałowe oraz na różnice

placowe pomiędzy poszczególnymi zakładami wchodzącymi w skład GFM. Bezpośrednią przyczyną wstrzymania pracy był fakt, że kierowcy, którzy udali się 16 sierpnia do Gdańska, nie otrzymali niezbędnych do produkcji materiałów. Z tego powodu jeszcze 16 sierpnia o godzinie 9.30, podczas przerwy śniadaniowej, 150 osób (na 192 zatrudnione) odmówiło pracy. Pracownicy zgłosili 22 postulaty, z czego 11 skierowanych było do dyrekcji zakładu, a 11 do władz miejskich w Sztumie. Załoga żądała zrównania płac z zakładem macierzystym, czyli podniesienia zarobków o około 800 zł. Ponadto domagano się spotkania z dyrektorem naczelnym GFM. Jako że w zakładzie nie wyłoniono komitetu strajkowego, w rozmowach udział brała cała załoga. Około godz. 10.45 do GFM przyjechał dyrektor techniczny, nie posiadający kompetencji do udzielenia odpowiedzi protestującym. Dlatego też około godz. 13.00 pracownicy rozeszli się do domów. Na strajk w Sztumskiej Fabryce Mebli Wydział IIIA KW MO Elbląg wszczął osobną Sprawę Operacyjnego Sprawdzenia (SOS). Mimo działań operacyjnych SB 18 sierpnia liczba strajkujących wzrosła do 164 osób. Tego samego dnia ustalono termin udzielenia przez dyrekcję odpowiedzi na postulaty na 20 sierpnia, a o godz. 13.00 załoga przystąpiła do pracy. W spotkaniu 18 sierpnia udział wzięli naczelny dyrektor GFM, naczelnik miasta Sztum oraz dyrektor Zjednoczenia Drzewnego z Poznania. Ostatecznie 20 sierpnia zapowiedziano podwyżkę w wysokości ok. 1 tys. zł, zapewniono także że postulaty znajdujące się poza kompetencjami dyrekcji i władz administracyjnych przekazano do Ministra Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego. Strajk się zakończył.

STRAJK ELBLĄSKI

Protest w sztumskim oddziale Fabryki Mebli nie pociągnął za sobą kolejnych zakładów regionu. Sytuacja w ocenie wojewódzkich władz PZPR była jednak bardzo poważna gdyż sztumski strajk był pierwszym syndromem przenoszenia gdańskich nastrojów na teren województwa elbląskiego. Niepokój członków PZPR potęgował ponadto fakt, że od 16 sierpnia w Elblągu rozpowszechniano informacje o przygotowaniach do podjęcia strajku w dniu 18 sierpnia (poniedziałek). Aby przeciwdziałać nastrojom robotników lokalne struktury partii przydzieliły członków sekretariatu KW do zagrożonych zakładów pracy, i tak „tow. Antoni Połowniak trafił do Zamechu, tow. Bożenna Janikowska do ZPO Truso, tow. Leszek Lorbiecki do Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, tow. Andrzej Małek do EZNS, a tow. Władysław Gębica do WPK”. Działania PZPR na nic się zdały, gdyż w poniedziałek, 18 sierpnia 1980 r. w Elblągu rozpoczęła się systematyczna akcja strajkowa. Około godziny 7.30 całkowicie stanęły Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne, MPO, Elbląska Fabryka Urządzeń Okrętowych, PKS, ZPO Truso, Przedsiębiorstwo Transportowo-Sprzętowe Budownictwa Transbud, tartak, ZNMR, Fabryka Domów EKB oraz drukarnia. Inicjatorem solidarnościowych strajków w Elblągu było MPO. To jednak pracownicy WPK, dzięki unieruchomieniu miasta (godzina 5.00) wytworzyli 18 sierpnia w Elblągu strajkową atmosferę. W odniesieniu do strajków w całej Polsce zwykło się nawet mawiać, że komunikacja była „nerwem” strajków. Również względy praktyczne decydowały o sile strajku kierowców i motorniczych – podróżujący komunikacją robotnicy innych zakładów tracili możliwość dotarcia do pracy.

Zakłady, które jako pierwsze podjęły strajk w Elblągu, z samego rana 18 sierpnia powołały tzw. dziewiątkę. Odpowiadała ona za dalsze kierowanie protestem oraz podejmowała

decyzje dotyczące poszerzania grona strajkujących. Początkowo „dziewiątka” spotykała się w zajezdni tramwajowej WPK, po powołaniu MKS centrum strajkowe przeniesiono do zajezdni PKS. Pierwszym, historycznym przewodniczącym elbląskiego MKS został Jan Wyrzykowski (WPK), a w jego skład weszli: Zbigniew Brzeziński (EPBP), Ryszard Kalinowski (EPBP), Tadeusz Kaczor (PTHW), Zbigniew Lewandowski (PKS), Anna Tabor (Przedsiębiorstwo Transportowo-Sprzętowe Łączności), Andrzej Polak (WPK), Stanisław Wencki (PKS), Jan Rogowicz (PKS), Mieczysław Wolski (SPTP Nogat), Bogdan Zakrzewski (SPTP Nogat), Andrzej Hoffman (PKS) oraz Wiesław Stolarski. 21 sierpnia na funkcji przewodniczącego Wyrzykowskiego zastąpił Ryszard Kalinowski. Również 21 sierpnia do grona MKS w roli doradcy dołączył Kazimierz Szeszel (EPBP). Odtąd elbląski MKS skupiał przedstawicieli załóg z całego województwa, w których zakładach podjęto strajk solidarnościowy z Gdańskiem. Część zakładów, w tym szczególnie z Kwidzyna, Sztumu oraz Malborka, wybrała drogę strajkowego kontaktu bezpośrednio ze Stoczną Gdańską, omijającym tym samym elbląski MKS.

19 sierpnia MKS w Elblągu (skupiał w tym czasie 18 zakładów) zarejestrował się w centrali ogólnopolskiego strajku – MKS Gdańsk. Był to pierwszy zorganizowany komitet strajkowy spoza województwa gdańskiego, który przyłączył się do protestu. Jednocześnie delegacja z Elbląga zapewniła o swoim pełnym podporządkowaniu się gdańskiemu MKS. Jak zanotowali ten moment dziennikarze Tadeusz Skutnik i Andrzej Drzycimski: „Rejestrujące się zakłady oprócz poparcia dla listy 21 postulatów dołączają własne, informują o przebiegu strajku, przywożą zebrane przez siebie pieniądze. Szczególnie owacyjnie witana jest na sali BHP delegacja MKS-u z Elbląga, który uznaje nadrzędność MKS-u gdańskiego”. 19 sierpnia rano w Elblągu we wszystkich strajkujących zakładach nie pracowało już łącznie 7930 osób. Dzień później elbląska akcja strajkowa ulegała stabilizacji, coraz śmielej wychodząc jednocześnie poza granice miasta.

SOLIDARNA REAKCJA REGIONU

Pierwsze godziny sierpniowych strajków w Gdańsku i w Elblągu wpłynęły na sytuację w Malborku. 18 sierpnia od rana pracy nie podjęły Mawent i Malborskie Zakłady Przemysłu Maszynowego Rolnictwa Pemał. W godzinach popołudniowych do strajku przyłączył się również Państwowy Ośrodek Maszynowy (nie pracowało 100 na 280 osób) oraz Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne. 19 sierpnia w Malborku nie pracowało łącznie około 300 osób. Od 18 do 31 sierpnia strajki w Malborku wybuchały w różnych zakładach jednego dnia i kończyły się następnego. Po czym załogi tych samych zakładów po raz drugi lub trzeci znów przystępowały do akcji protestacyjnej. 27 sierpnia do protestu przyłączyli się malborscy kolejarze. Natomiast w ostatnich dniach sierpnia w Malborku powstała struktura, koordynująca akcję solidarnościową w skali miasta – Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Przewodniczącym komitetu został Zenon Mucha.

Obojętni na sierpniowe protesty w Gdańsku nie byli również mieszkańcy Kwidzyna. Już 18 sierpnia najbardziej widoczny w Kwidzynie był strajk pracowników PKS. Wyjazdy od tego dnia odbywały się wyłącznie w specjalnych wypadkach i tylko po uzyskaniu zgody MKS Gdańsk. Tego samego dnia strajk podjęto także na terenie Zakładów Celulozowo-

Papierniczych w Kwidzynie. Nie pracowało tam łącznie 3,3 tys. na 6,5 tys. pracowników. Dzień później impet strajkowy w Kwidzynie opadł – we wszystkich zakładach nie pracowało wyłącznie 610 osób. W kolejnych dniach protest podjęto jeszcze, m.in. w Spółdzielni Usług Motoryzacyjnych czy Rejonie Dróg Publicznych. Na terenie Kwidzyna w pierwszych dniach akcji strajkowej, z inicjatywy Jerzego Kosacza powołano kwidzyński komitet wspierający strajki w Stoczni Gdańskiej. W jego skład poza Kosaczem weszli Tomasz Zachorowski i Jacek Goszczyński. Zadaniem komitetu była zbiórka pieniędzy na rzecz strajkującej Stoczni Gdańskiej. Pieniądze zamieniono następnie na papierosy i dwukrotnie wysłano poprzez emisariuszy do Gdańska. Do Stoczni dostarczono także ryzy papieru pochodzące z kwidzyńskiej Celulozy, w zamian za które do Kwidzyna trafiły biuletyny strajkowe, kolportowane następnie w Kwidzynie.

Strajk w sztumskiej filii Gdańskiej Fabryki Mebli był pierwszym, lecz nie ostatnim akcentem Sierpnia '80 w tym mieście. 19 sierpnia do protestu w Sztumie przyłączyły się załogi POM (120 osób), Centrali Nasiennej, PKS oraz Mieszalni Pasz i Ferma Tuczu Chlewnego przy PGR „Powiśle” Czernin. Między 25 a 27 sierpnia pracownicy sztumskich zakładów ograniczyli się wyłącznie do zapowiadania strajku (Zakłady Odzieżowe „Jantar”, Kombinat Rolny „Powiśle”, Oddział Rejonowy „Ruch”). 29 sierpnia swoje postulaty do MKS Gdańsk wysłali pracownicy Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Sztumie, domagając się m.in. wyrównania zasiłków rodzinnych, szerszego informowania społeczeństwa o sytuacji społeczno-politycznej kraju, podniesienia rangi zawodu nauczycielskiego, poprawy sytuacji społeczno-zawodowej nauczycieli oraz zrealizowania zasady wypłacania średniego zarobku rocznego w czasie wakacji.

Komunikacja międzymiastowa (PKS) zainicjowała akcję strajkową w Nowym Dworze Gdańskim. Około południa 18 sierpnia pod presją pasażerów zastrajkowało 12 na 17 zatrudnionych kierowców (5 było w tym czasie w trasie). O godzinie 12.30 przerwała pracę załoga „Pemalu” z filią w Nowym Dworze Gdańskim oraz POM. Dzień później pracownicy POM, nie przerywając już pracy złożyli swoje postulaty, wśród których znalazły się żądania wprowadzenia wynagrodzenia za wolne soboty, zmniejszenia administracji w zakładzie oraz prawidłowego zabezpieczenia mieszkańców Nowego Dworu w opał. Niespełnienie postulatów POM doprowadziło do powołania w dniu 28 sierpnia o godzinie 7.00 komitetu strajkowego i podjęcia strajku. Strajk przerwano 29 sierpnia po przyznaniu pracownikom POM podwyżki średnio po 500 zł. W całym okresie Sierpnia '80 w Nowym Dworze Gdańskim strajkowało łącznie około 800 osób. Z kolei w Dzierzgoniu już 20 sierpnia komitet strajkowy powołano w PGKiM. Komitet wysunął postulaty, a wśród nich żądanie zaopatrzenia zakładu w materiały budowlane i sprzęt oraz podwyżki płac. Po rozmowach komitetu z dyrekcją zakładu oraz z przedstawicielami Komitetu Miejskiego PZPR i zapewnieniu o spełnieniu postulatów strajk zakończono. Komitet wsparcia strajków działał również w dzierzgońskim Przedsiębiorstwie Przemysłu Betonów „Prefabet” Gdańsk, do którego informacje o strajku w Stoczni dotarły już 14 sierpnia.

Symboliczne protesty na terenie województwa elbląskiego miały miejsce także w pozostałych miastach. W pasłęckim „Bumarze” załoga zażądała zmiany dyrektora naczelnego i jego zastępcy ds. ekonomicznych, natomiast w Prabutach na znak solidarności z Gdań-

skiem zastrajkowała załoga „Hydrosteru” (270 osób). Dzień później w zakładzie powołano 5-osobowy komitet strajkowy. Strajki podjęto również w Wojewódzkich Zakładach Przemysłu Owocowo-Warzywnego w Tolkmicku, czy w Pacholach (gmina Stary Dzierzgoń), gdzie 28 sierpnia 1980 roku podczas posiedzenia Oddziałowej Organizacji Partyjnej PZPR załoga zażądała wpisania do protokołu zebrania apelu poparcia dla strajkujących załóg Wybrzeża i Elbląga. Co ciekawe, w związku z reakcją OOP Komitet Gminny PZPR w Starym Dzierzgoniu doposażył sklep spożywczy, który był głównym punktem zapalnym dyskusji. Sygnały o zagrożeniu akcją strajkową nadchodziły także z Zakładu Produkcji Drzewnej w Ryjewie, w tolkmickiej mieszalni pasz oraz z POM, SKR i PGKiM w Nowym Stawie. Natomiast w Suszu, mimo braku akcji strajkowej, załogi POHZ, STW, WSS „Społem”, GS „SCH”, Zbiorczej Szkoły Gminnej, PGKiM, SKR, Urzędu Miasta i Gminy, Zakładu Przemysłu Drzewnego, Przychodni Rejonowej oraz Cegielni Lipowo złożyły 37 wniosków i postulatów. Najspokojniejsza atmosfera w całym województwie elbląskim w sierpniu 1980 r. panowała w Braniewie, we Fromborku oraz w Ornecie, gdzie protest załóg ograniczył się do noszenia na ramionach biało-czerwonych opasek.

POSŁOWIE

W sierpniu 1980 roku w województwie elbląskim strajkowało co najmniej 30 tysięcy robotników. Końcem akcji strajkowej w województwie elbląskim, zgodnie z założeniami płynącymi ze Stoczni Gdańskiej, był 31 sierpnia, czyli dzień podpisania Porozumień Sierpniowych. I mimo, że – jak zaznaczono we wstępie – to ekonomiczno-socjalne postulaty dominowały wśród żądań robotników i to one decydowały o masowości akcji strajkowej, to jednak we wszystkich przekazach strajkujących załóg pojawia się słowo „solidarność”. To właśnie solidarność z Gdańskiem była i pozostaje do dziś elementem decydującym o charakterze rodzącego się latem 1980 r. związku. Ta sama solidarność (pisana dopiero od połowy września 1980 r. przez duże „S”), wzmocniona siłą Kościoła katolickiego oraz elementami tradycji antykomunistycznej sprawiły, że w sierpniu 1980 r. nie tylko w Gdańsku, ale również w regionie elbląskim doszło do czegoś niezwykłego.

**Tekst jest fragmentem książki *Studium przypadku. Opór społeczny wobec władzy komunistycznej w województwie elbląskim (1976-1989)*. Książka ukaże się w grudniu 2014 r. w serii wydawniczej IPN Gdańsk.*

Marta Antonina Łobocka

HISTORIA FABRYKI KAPSULEK Z DREWNICY

Dzięki Panu Tomaszowi Sosnowskiemu historia zatoczyła koło. Razem z żoną otworzył aptekę w miejscu gdzie przed wojną mieściła się fabryka farmaceutyczna, tyle, że wcześniej o tym nie wiedział. Gdy odkrył prawdę, rozpoczęła się jego przygoda z historią fabryki kapsulek z Schönbaum (Drewnicy). Specyfika tego miejsca i stare fotografie zainspirowały go do zainteresowania się historią regionu położonego pomiędzy Wisłą i Szarpawą.

Marta Antonina Łobocka: Jaka jest przedwojenna historia fabryki kapsulek z Drewnicy?

Tomasz Sosnowski: Historia apteki w Drewnicy jest związana z najstarszym niemieckim przedsiębiorstwem farmaceutycznym Pohl & Boskamp, które istnieje nieprzerwanie do dnia dzisiejszego. Firma swoją działalność rozpoczęła w Berlinie w 1835 roku. W 1878 r. jej ówczesny właściciel - George Gustav Pohl – przeniósł produkcję do starej wsi kościelnej Schönbaum (Drewnica), położonej przy ujściu rzeki Wisły niedaleko Gdańska.

Lata 80-te XIX w. przyniosły pierwsze oficjalne sukcesy na targach światowych w Wiedniu i Londynie i w ciągu zaledwie kilku lat małe przedsiębiorstwo rozwinęło się w znaczącą fabrykę.

W następnych latach Gustav Pohl opracował recepturę pierwszych kapsulek żelatynowych nierozpuszczalnych w żołądku, lecz w jelicie cienkim, co umożliwiło produkcję leków, które z powodu drażniącego działania na żołądek nie mogły być wcześniej stosowane.



Apteka w Drewnicy na początku XX wieku, fot. archiwum

W pierwszych latach XX wieku firma przeżywała okres największego rozkwitu. Rozbudowano zakład produkcyjny a także wybudowano willę – rodzinną siedzibę, w której obecnie mieści się ośrodek zdrowia w Drewnicy.

Co się działo się z fabryką przed, w trakcie i po II Wojnie Światowej?

W 1919 roku aptekarz Kurt Boskamp przejął nad dobrze prosperującą firmą kierownictwo, a dwa lata później ze względów finansowych podjął decyzję o przeniesieniu siedziby z Drewnicy do Gdańska (Langfuhr, Luisenstr. 26 - obecnie ul. Aldony we Wrzeszczu).

W następnych latach otworzono oddział zakładu w Malborku (Hafenstr.116 - obecnie ul. Daleka) w Prusach Zachodnich a także ściśle współpracowano z Fabryką Chemiczno-Farmaceutyczną w Starogardzie Gdańskim.

W lutym 1945 roku zmarł Kurt Boskamp i kierownictwo nad firmą przejął jego 19-letni syn, Arthur, który aby uchronić firmę przed zagładą zbliżającego się frontu zdecydował o ewakuacji całej firmy w głąb Niemiec. Drogą morską przynosi on urządzenia farmaceutyczne, receptury i część personelu do Hamburga. Obecnie firma ulokowana jest w miejscowości Hohenlockstedt niedaleko Hamburga.

Co się działo z budynkiem w Drewnicy po wojnie?

Niestety, nowy powojenny system polityczno-gospodarczy nie obszedł się łagodnie z budynkiem, który powstał prawdopodobnie na początku II połowy XIX wieku.

Do 28 sierpnia 1948 r. był siedzibą Zarządu Gminy. Od 1 września 1948 r. do 31 sierpnia 1968 r. mieściła się tu szkoła podstawowa. Na przełomie lat 70 i 80 XX wieku przeprowadzono remont, który zaprzepaścił oryginalny charakter i kształt budowli. Mur pruski został otynkowany, dwuspadowy dach i poddasze rozebrane. Powstał typowy dominujący w czasach socjalistyczny „klocek”.



Od 1974 istniało w budynku przedszkole, które w 2002 roku zostało przeniesione do pobliskiej szkoły.

Przez następne kilka lat budynek gminy był pustostanem. Na scenie pojawia się my z nieracjonalnym zapalem. Po gruntownym remoncie 13 lipca 2005 roku zaczyna świadczyć usługi Apteka „Pod Lipą”.

Historia zatoczyła koło. Proszę opowiedzieć jak to się stało, że uruchomił Pan w tym miejscu aptekę i dlaczego akurat tutaj?

Obydwoje z żoną po spędzeniu studenckich lat w dużych miastach świadomie szukaliśmy spokojnego miejsca niedaleko naszego rodzinnego Nowego Dworu Gdańskiego, gdzie moglibyśmy żyć i pracować w przyjaznej przestrzeni z dala od cywilizacyjnego zgiełku i hałasu.

Urząd Gminy Stegna podjął decyzję o wydzierżawieniu pustostanu pod pomieszczenia apteczne. Moja żona Anna, magister farmacji, wyszła z propozycją „rewolucyjnych” zmian w naszym życiu i przekonała mnie. O bogatej przeszłości tego budynku dowiedzieliśmy się dopiero później.”

Kiedy Pan „odkrył”, że to miejsce przed wojną pełniło podobną funkcję jak obecnie?

Parę miesięcy po otwarciu apteki wpadła w nasze ręce publikacja autorstwa Krzysztofa Biskupa i Piotra Najmajera pt. „W widłach Szkarpany i Przekopu Wisły” (Drewnica, 1998), w której na 19-stej stronie jest zamieszczone zdanie: „W 1948 r. przeniesiono szkołę do dawnego magazynu fabryczki farmaceutycznej”. Była to iskra zapalna do rozpoczęcia zgłębienia tematu. Poszukiwania rozpoczęliśmy od wypytywania najstarszych mieszkańców Drewnicy, którzy nie potrafili jednoznacznie potwierdzić faktów. Nie zraziliśmy się początkowymi porażkami i po kilku tygodniach mała fabryczka „urośli” do rozmiarów fabryki zatrudniającej obecnie ponad 350 pracowników.

Zaczął się Pan interesować dziejami tego miejsca. Gdzie szukał Pan informacji?

Znaleźliśmy stronę internetową firmy Pohl & Boskamp i wysłaliśmy mail’a. Odpowiedź przyszła szybko i zaowocowała przyjazdem przedstawiciela firmy do Polski. Razem spędziliśmy sporo czasu w Archiwum Państwowym w Gdańsku i na zamku w Malborku. W następnym roku odwiedził nas historyk firmy, który uzupełniał dokumentację, a rok później Firma obchodziła 175 rocznicę powstania i przez Drewnicę przetoczyło się 12 autokarów wypełnionych po brzegi pracownikami firmy P&B.

W jaki sposób pielęgnuje Pan pamięć o historii tego miejsca?

W trakcie poszukiwań informacji historycznych odnaleźliśmy kopie starych widokówek z Drewnicy. Dokumenty te były mało znane szerszemu gronu odbiorców, więc postanowiliśmy je upublicznić tworząc w przedśionku apteki skromną wystawę. Zdjęć z czasem przybywało i powstawały kolejne tablice, które budzą zainteresowanie wśród turystów odwiedzających naszą wieś. Czasami też otrzymujemy od odwiedzających osób kopie starych zdjęć i nowe informacje dotyczące historii Drewnicy, czego przykładem jest stara rodzinna fotografia podarowana w trakcie zeszłorocznej jesiennej wizyty córki farmaceuty, który prowadził aptekę w Drewnicy po wyjeździe rodziny Boskamp.



Tomasz Sosnowski w swojej aptece w Drewnicy, fot. M.A. Łobocka

Czy w dalszym ciągu poszukuje Pan informacji o historii dawnej fabryki?

Jeśli chodzi o historię fabryki farmaceutycznej to pewne możliwości zostały wykorzystane. Obecnie życie zawodowe nie pozwala mi na spędzanie czasu w archiwach i bibliotekach, w których na pewno jest dużo materiałów dotyczących nie tylko Drewnicy, ale całych Żuław. W dalszym ciągu przyjmujemy z otwartymi ramionami wszelkie stare zdjęcia i informacje o regionie.

Jest Pan Członkiem Stowarzyszenia „Drewnica”, czy ta wieś jest Pana ulubionym miejscem w regionie?

Drewnicę i okolice cenie za to, że jest to miejsce gdzie odnajduję spokój po godzinach pracy. Dużo czasu spędzam na spacerowaniu i podziwianiu żuławskiego krajobrazu, który ciągle potrafi mnie zaskakiwać różnorodnością i zmiennością w zależności od pory roku.

Jakie są Pana marzenia?

Chciałbym, aby Drewnica mogła więcej zaoferować mieszkańcom i turystom. Mam nadzieję, że uda się zakończyć rewitalizację historycznego parku w centrum wsi, które zostało zapoczątkowane przez Sołectwo i Stowarzyszenie „Drewnica”. Marzy mi się również duża przystań jachtowa i restauracja z regionalnymi potrawami, służące mieszkańcom, turystom i żeglarzom.

Chciałbym, aby Żuławy zachowały swój niepowtarzalny charakter i obroniły się przed cywilizacyjnym hałasem i ingerującymi w krajobraz monstrualnymi wiatrakami, które z naszym regionem nie mają nic wspólnego poza nazwą.

Dziękuję za rozmowę.

Teodor Sejka

MYĆ OKNA W AUSTRALII, ALBO ZOSTAĆ NAUKOWCEM...

**Z MARZENĄ PSUJĄ WALKIEWICZ, GENETYKIEM
Z MELBOURNE ROZMAWIA TEODOR SEJKA**

Marzena Psuja Walkiewicz urodziła się w Sztumie. Jest absolwentką sztumskiego LO (matura 1980). Jej mąż Mirosław jest doktorem fizyki w dziedzinie optyki laserowej i fizyki atomowej. Od 1992 roku, państwo Walkiewiczowie mieszkają i pracują w Australii w Melbourne. Oboje są zagorzałymi obrońcami ekologii i troskliwymi opiekunami zwierząt. Pani Marzena jest biologiem-genetykiem i aktualnie uczestniczy w badaniach naukowych, których celem jest odkrycie skutecznego leku zwalczającego raka. Instytut, w którym pracuje, nazywa się: Olivia-Newton - John Cancer Research Institute in Melbourne. W Sztumie pani Marzena ma mamę, którą odwiedza co jakiś czas. W czasie tegorocznego pobytu zgodziła się udzielić wywiadu dla kwartalnika „Prowincja”.



Pani Marzena przy pracy w laboratorium w Melbourne, fot. ze zbiorów prywatnych

Marzeno, w jakich okolicznościach dojrzewiała wasza decyzja o wyjeździe do Australii? Na ile była to wasza decyzja, a na ile przypadek?

Marzena Psuja Walkiewicz: Po ukończeniu studiów na UG zostałam nauczycielką biologii w szkole podstawowej w Gdańsku. Były to lata burzliwych przemian solidarnościowych. Razem z mężem Mirosławem, zamieszkaliśmy w Hotelu Asystencim. Zajmowaliśmy tam pokój o powierzchni 12 m². Na cztery takie po-



Wśród australijskich palm z mężem Mirosławem, fot. ze zbiorów prywatnych

koje była tam jedna łazienka i żadnej perspektywy na przyszłość. Całą godzinę zajmował mi dojazd tramwajem do pracy. Wtedy kolega męża, powiedział nam, że jego znajomy dostał się do Australii i, że ambasada Australii udziela wiz Polakom. W ambasadzie mąż dowiedział się, że warunkiem otrzymania wizy, jest wiek do 30 lat życia, wykształcenie według listy zapotrzebowania oraz 3 lata pracy w zawodzie. Najbardziej poszukiwani byli mechanicy samochodowi i budowlańcy. Na liście tej nie było zawodu biologa, ale był zawód fizyka, więc mąż mój spełniał wszystkie warunki do ubiegania się o wizę. Dostał ankiety i w ciągu 1,5 roku, w kilku etapach, miał dostarczać wszystkie dokumenty z badaniami lekarskimi łącznie. W ten sposób oboje dostaliśmy wizy stałego pobytu w Australii.

Nadszedł rok 1992. Byliśmy 5 lat po ślubie. Zapakowaliśmy dwie walizki pełne książek (biologia, fizyka i słowniki języka angielskiego). Kupiliśmy bilety lotnicze w Gdańsku i bez łyżki i poduszki w 11 lutego 1992 r., odprowadzani przez rodziców pojechaliśmy pociągiem na lotnisko do Warszawy. Było to bardzo dramatyczne rozstanie dla nas i naszych rodzin. Pierwszy raz widziałam wtedy płaczącego mojego tatę. Był to nasz pierwszy lot w życiu samolotem. Po drodze było lądowanie w Delhi dla uzupełnienia paliwa. Zapamiętałam ten cudowny widok z samolotu na Himalaje...

Co wiedziałaś o Australii przed wyjazdem? Jak ją sobie wyobrażałaś?

Wiedziałałam niewiele; że są tam misie koala, kangury i dziobaki i, że Melbourne to najzdrowsze miasto na świecie. Spodziewałam się tam bardzo ciepłego klimatu, dlatego na lotnisku w Warszawie oddałam ojcu mój płaszcz. Wylądowaliśmy w Australii 13 lutego 1992 r. Wkrótce jednak, gdy nastąpiły chłody, musiałam kupić sobie nowy płaszcz.

Jak wypadła konfrontacja z australijską rzeczywistością?

Konfrontacja okazała się wybitnie korzystna dla Australii. Najpierw zauroczenie przyrodą: ciepło, palmy, elegancka promenada do plaży i w miarę wysoki standard życia. Mieszkanie dwupokojowe w trzypiętrowym bloku, obok parku botanicznego, 5 minut drogi do Zatoki Port Philip. Co dwa tygodnie zasiłek, wystarczający na żywność, kupno mebli i tele-

wizora. W szkole językowej dla emigrantów spotkałiśmy wielu Polaków. Większość z nich udawała, że są mechanikami samochodowymi, bo to powiększało ich szanse na otrzymanie wizy stałego pobytu i pracy. Mój mąż, który językowo czuł się bardziej zaawansowany niż ja, już po kilku miesiącach pobytu zdecydował się na otwarcie przewodu doktorskiego w Melbourne University. Swoją rozprawę poświęcił zagadnieniom fizyki atomowej i optyki laserowej.

**Czy przeciętni Australijczycy identyfikują was i wiedzą skąd przyjechaliście?
Wśród jakich sąsiadów żyjecie w Melbourne ?**

Australijczycy najwięcej wiedzą o Anglii, są dumni z przynależności do Rodziny Narodów pod berłem Królowej Korony Brytyjskiej. O innych krajach Europy wiedzą niewiele. Nasz kraj myślą z Holandią, ze względu na angielskie podobieństwo fonetyczne: Poland – Holand. Chociaż nic o nas nie wiedzą, ale wykazują anielską cierpliwość i tolerancję wobec naszej kalecznej angielszczyzny, sympatycznie się uśmiechają i pozdrawiają nas. Współcześni Australijczycy to potomkowie Anglików, którzy około 200 lat temu zasiedlili ten kontynent. Oprócz nich można tu spotkać mieszanekę wszystkich narodów świata. W najbliższym sąsiedztwie naszego domu, mamy rodziny Wietnamczyków, Filipińczyków, Greków i rodowitych Australijczyków. Wprawdzie nie wchodzimy w bliższe z nimi kontakty towarzyskie, ale zawsze odczuwamy ich życzliwą akceptację, sympatię i zaufanie. Jest tu nam z nimi dobrze.

Przyznaj się teraz, jak poradziłaś sobie z barierą językową, zwłaszcza w obrębie terminologii naukowej, biologicznej?

Wiedziałam, że tam w Australii nigdy nie będę nauczycielką, właśnie z powodu bariery językowej, wolałam więc z uporem brnąć w stronę pracy badawczej. Zapisaliśmy się z mężem do szkoły nauki języka angielskiego, opłacanej z funduszu dla emigrantów. Nauczyciele brytyjscy stosowali tam metodę „rozmawiajcie ze sobą”. Ja miałam rozmawiać z Chińczykiem, ale ja nie rozumiałam jego ani on mnie. Zrozumiałam, że to bezużyteczne marnowanie czasu. Owładnęła mną wtedy bezgraniczna desperacja; mam do wyboru, albo do końca życia myć okna i sprzątać, albo zmusić się do tytanicznego wysiłku by wejść na ścieżkę kariery naukowo-badawczej. Złożyłam wtedy podania na kilka kierunków studiów podyplomowych, w tym na kierunki medyczne i biologiczne jednocześnie. Przyjęto mnie na technologię żywności. Otrzymałam pożyczkę z banku na dwa lata. Płaciło się semestralnie za każdy przedmiot osobno po 500 dolarów australijskich. W programie studiów była mikrobiologia i chemia żywności. W naukowej terminologii mogłam się łatwiej orientować dzięki studiom odbytym w Gdańsku. Kupiłam sobie magnetofon, nagrywałam wykłady i kilka razy dziennie je odtwarzałam, sprawdzałam w słowniku niezrozumiałe słówka. To niezwykle żmudne i intensywne samokształcenie zajmowało mi większość czasu. Ale zawięzłam się, podjęłam wyzwanie losu. Szłam sobie na spacer, siadałam pod palmą i z notatek utrwalalam angielskie zwroty i terminy naukowe. Bardzo przydatnym, praktycznym uzupełnieniem tego samokształcenia były moje kontakty towarzyskie ze znajomymi i prowadzone z nimi pogawędki w pubach.

Po roku takiego zdesperowanego wysiłku (świętek czy piątek) pojawiły się zasłużone efekty. Czułam wyraźnie, że zaczynam zbierać żniwo mojego mozolnego trudu. Moje samopoczucie bardzo się poprawiło. Muszę przyznać, że spotkałam się tam z bardzo koleżeńskim stosunkiem kadry uniwersyteckiej. Wyraźnie odczuwałam, że traktują mnie łagodniej, niż innych, pozwalają mi używać słowników, nie biorą pod uwagę moich błędów gramatycznych. Na przykład, mój wykładowca mikrobiologii John Summer w treść wykładu wplatał jakiś dowcip, mówiąc: „muszę teraz opowiedzieć jakiś dowcip, bo jak Marzena nagra ten wykład bez dowcipu to zaśnie przy tym słuchaniu”. Jednym słowem, miałam wielkie szczęście, bo nie wiem, czy bez tej przychylności dałabym radę tak ogromnemu wyzwaniu. Tym bardziej, że nie ma tam poprawek i w razie porażki (fail) - trzeba powtórzyć cały rok. Studia podyplomowe z technologii żywności ukończyłam z niezłą oceną „credit” - tj. dobrą.

Jesteś więc przykładem tego, że upór i wyteżona, solidna praca nagradzane są sukcesem. Jak to się stało, że włączyłaś się w nurt tak ważnych dla ludzkości badań. Czy sama do tego dążyłaś, czy może ci zaproponowano?

Właściwie, to już moje studia biologiczne na Uniwersytecie Gdańskim ukierunkowały i zmotywowały mnie do pracy badawczej w obrębie poszukiwań medycznych. Powiem o kilku etapach mojego kształcenia: w 1987 roku na UG zostałam magistrem w zakresie genetyki populacyjnej, zajmującej się badaniem praw, które rządzą populacjami w środowisku naturalnym. Potem w roku 1989 odbyłam studia podyplomowe z ekologii. Będąc już w Melbourne w 1997 roku ukończyłam studia podyplomowe z zakresu biotechnologii. Po jakimś czasie uznałam jednak za niezbędne bliższe poznanie procesów zachodzących w technologii żywności i postanowiłam odbyć pełne studia magisterskie w tym zakresie w Melbourne University. To wielowarsztatowe przygotowanie naukowe, było niewątpliwie moim dość przekonującym atutem wtedy, gdy stanęłam do konkursu o pracę w Instytucie Badawczym, sponsorowanym przez Firmę Farmaceutyczną NOVARTIS. Do konkursu stanęło wtedy 150 osób. Byłam jedną z kilku osób wybranych i otrzymałam kontrakt na 5 lat. Była to praca badawcza nad szczepionką dla owiec przeciwko pasożytom nematodom, powodującym wykrwawienie z układu pokarmowego, a potem ich śmierć. Zespół, w którym pracowałam, wynalazł pożądaną szczepionkę, ale jej produkcja na skalę masową nie została wdrożona, ze względu na jej zbyt złożoną strukturę. Po wygaśnięciu tego kontraktu miałam okazję uczestniczenia w pracach badawczych w świecie roślin.

Drugi mój 5-letni kontrakt był wypełniony badaniami w zakresie inżynierii genetycznej tzw. GMO (Genetycznie Modyfikowane Organizmy). Prowadziliśmy tam doświadczenia nad modyfikowaniem wielu roślin, mających znaczenie w gospodarstwie rolnym, w tym drzew owocowych, by uzyskać odmiany najbardziej wydajne i najbardziej odporne na choroby, a tym samym, by eliminować lub przynajmniej zmniejszyć ilość stosowanych w tych uprawach toksycznych pestycydów.

Po 10 latach pracy badawczej, zaczęłam się rozglądać za nowym kontraktem. Tym razem dojrzała we mnie altruistyczna chęć, by być użyteczną dla ludzi chorych na nowotwory. Zawsze chciałam czerpać satysfakcję z możliwości służenia człowiekowi w potrzebie. Uznałam, że zdobyte dotychczas kwalifikacje naukowe i doświadczenia w pracy badawczej

predystynują mnie do włączenia się w nurt poszukiwań leku przeciw tej strasznej chorobie. Gdy poproszono mnie na interview do Instytutu Badania nad Rakiem, moim atutem, obok kwalifikacji, był chyba mój entuzjazm, ciekawość badawcza, optymizm, gotowość do poświęceń w pracy, które wykazałam przed komisją. Toteż przyjęto moją kandydaturę dość chętnie i zaferowano mi pracę, gdzie pracuję do tej pory.

Znając przymioty twojego usposobienia, a zwłaszcza twój charyzmat obdzielania ludzi optymizmem i radością nie dziwię się, że komisja rekrutacyjna nie musiała się długo namyślać. Spróbuj jednak, nam laikom, przybliżyć twoje badania „od kuchni”- co ty tam robisz? I skąd wiesz, co masz robić?

Procesy prowadzące do powstania nowotworu są bardzo skomplikowane i wymagają tak wieloaspektowych badań, że w pojedynkę nic nie da się osiągnąć, musi się tym zajmować zespół badaczy. Potrzebne są na to ogromne nakłady finansowe i coraz doskonalsze techniki. Ja pracuję pod kierownictwem lidera grupy, jest nim mój boss, dr Tom John - lekarz onkolog płuc. On wytycza projekty, nad którymi pracujemy. Z nich wynikają szczegółowe zadania dla mnie, które wymagają ode mnie poznawania wciąż nowych technik badawczych. Jedną z takich technik jest np. nanostring, który z bardzo małej ilości materiału genetycznego pozwala zbadać ekspresję genów, tzn. ich aktywność na danym etapie rozwoju choroby. Z tkanki pobranej od chorego muszę wyizolować komórki rakowe, na których przeprowadzam dalsze, bardzo żmudne i skomplikowane badania. Ze 100 nanogramów materiału (co równa się 0,0000001 grama) RNA kwasu rybonukleinowego, mogę przebadać 800 genów. Ich ekspresja wyjaśnia, które geny są aktywne na danym etapie choroby i pozwala wyodrębnić te, które są odpowiedzialne za powstawanie i rozwój nowotworu.

A jak oceniasz wasz dorobek? Jak daleko jeszcze do celu?

Aktualny trend ukierunkowany jest na uzyskanie preparatów zahamowujących niekorzystne działania mutacji. Wydaje mi się, że jest to dopiero połowa drogi, bo wiele procesów zachodzących w komórkach jest wciąż nierozpoznanych. Nasze badania można porównać do przysłowiowego „szukania igły w stogu siana”. Pobrany materiał nowotworowy zawiera niewielką ilość komórek rakowych i główna trudność polega na ich rozmnożeniu w specjalnej hodowli laboratoryjnej. Dopiero wtedy, gdy mamy ich dużo, można rozpocząć dokładne, szczegółowe badania, by dowiedzieć się jakie rodzaje mutacji zachodzą w poszczególnych genach zawartych w badanej tkance. Dlatego proces badawczy trwa latami, a wynaleziony lek musi być poddany dalszym badaniom klinicznym, by ustalić jego skuteczność i działania uboczne...

Brrr! Może lepiej porozmawiajmy o atmosferze, w jakiej tam pracujesz.

Tak przyjaznej atmosfery nigdy dotąd nie spotkałam. Koleżeństwo, życzliwość, gotowość do pomocy. Nikt nikomu nie zazdrości sukcesów ani prestiżu. Łączy nas wspólna fascynacja podejmowanymi zadaniami badawczymi. Duża w tym zasługa mojego szefa (bossa). Nie ma tu żadnego dystansu służbowego, ani używania tytułów. Pracujemy w miłej, twórczej atmosferze. Nie ma tu też dystansu między lekarzem a pacjentem. Pacjent jest tu najważniejszy, a lekarze odznaczają się wysokim stopniem empatii, czego niestety bardzo

rzadko mogłam doświadczyć w Polsce. Lubię swoją pracę i nierzadko są dni, że z własnej i nieprzymuszonej woli pracuję od godz. 8 do 21. Przychodzę do domu i już myślę, co ja jutro mam zrobić: wyizolować RNA, czy zbadać ekspresję specyficznych genów. Bywa, że i w nocy planuję swoje czynności na jutro. Żyję tą pracą, ona mnie fascynuje. Gdy uda mi się znaleźć jakąś zależność w moich obserwacjach i możliwość jej przełożenia na praktykę działania, jeszcze bardziej mobilizuję się do wysiłku, gdyż zdaję sobie sprawę, o jak wysoką stawkę idzie bój w naszych wysiłkach badawczych. Tu w Australii, z powodu nadmiernej emisji promieniowania słonecznego bardzo rozpowszechniony jest rak skóry - melanoma. Nierzadko umierają na niego 20-letni ludzie. Wtedy odczuwam swoją głęboką, tragiczną bezsilność, że nie udało się nam wyprzedzić śmierci w naszym badawczym wyścigu o życie. Czy możesz się więc dziwić, że wykonuję swoją pracę w atmosferze ustawicznego przynaglenia, gdy wyobraźnia podsuwa mi wciąż nowe obrazy cierpiących ludzi spragnionych nadziei na ratunek? Jak widzisz, zajmuję się tym, czym zawsze chciałam - służbą cierpiącemu człowiekowi. Przeżywam tę służbę, również jako moje podziękowanie i pokłon złożony moim Rodzicom, którym zawdzięczam moje życie, wykształcenie, moją wrażliwość na potrzeby ludzi, mój optymizm i upór w dążeniu do wyznaczonego celu.

Gratuluje ci uporu, entuzjazmu i fascynacji pracą badawczą. Zważywszy na twoją stromą ścieżkę do kariery naukowej w dalekim i obcym kraju, nie muszę cię przekonywać o naszej lokalnej dumie i satysfakcji z tego, że pewna sztumianka nie zajęła się myciem okien w Australii, ale dzięki swojej odwadze i pracowitości mogła dołączyć do grona pracowników naukowych, którzy urealniają nadzieje ludzkości o skutecznym leczeniu nowotworów. Dziękuję za rozmowę.



Pani Marzena z mamą Zofią, fot ze zbiorów rodzinnych

Piotr Piesik

WYCHOWAŁ SIĘ NA GRACH

Prawdziwym fenomenem na skalę daleko wybiegającą poza Powiśle jest Klub Gier Planszowych „Pionkolandia” ze Szkoły Podstawowej nr 2 im. Mieczysława Goliśa w Sztumie. Pod egidą „Pionkolandii” odbywają się systematyczne spotkania z grami planszowymi – zarówno dla dzieci i młodzieży jak też dla dorosłych, organizowane są wyjazdy na ogólnopolskie zawody w „planszówkach” oraz mistrzostwa regionalne. Założycielem i niekwestionowanym liderem klubu jest Sławomir Wiechowski, nauczyciel w sztumskiej „dwójce”. Sukcesów zanotował już wiele, wśród nich jest zwycięstwo w plebiscycie „Wychowawca roku 2011”, organizowanym w województwie pomorskim w ramach programu „Szkoła bez przemocy”. Wiechowski nie tylko propaguje nowoczesne gry planszowe ale i tworzy własne. Jego autorstwa jest zdobywająca błyskawiczną popularność gra „Odkrywczy Dolnego Powiśla”

Skąd pomysł na „Pionkolandię”?

Gry planszowe są moim hobby od wielu lat. Kiedyś doszedłem do wniosku, że warto spróbować podzielić się tym hobby z innymi, a że uczyłem już wtedy w szkole, to uczniowie zostali naturalnymi uczestnikami pierwszego spotkania z grami planszowymi. Do tego koleżanki ze swoimi dziećmi. Zabrałem na nie kilka gier z moich zbiorów. Pierwszą grą, w któ-



Sławomir Wiechowski ze swoimi uczniami w szkole, fot. P. Piesik

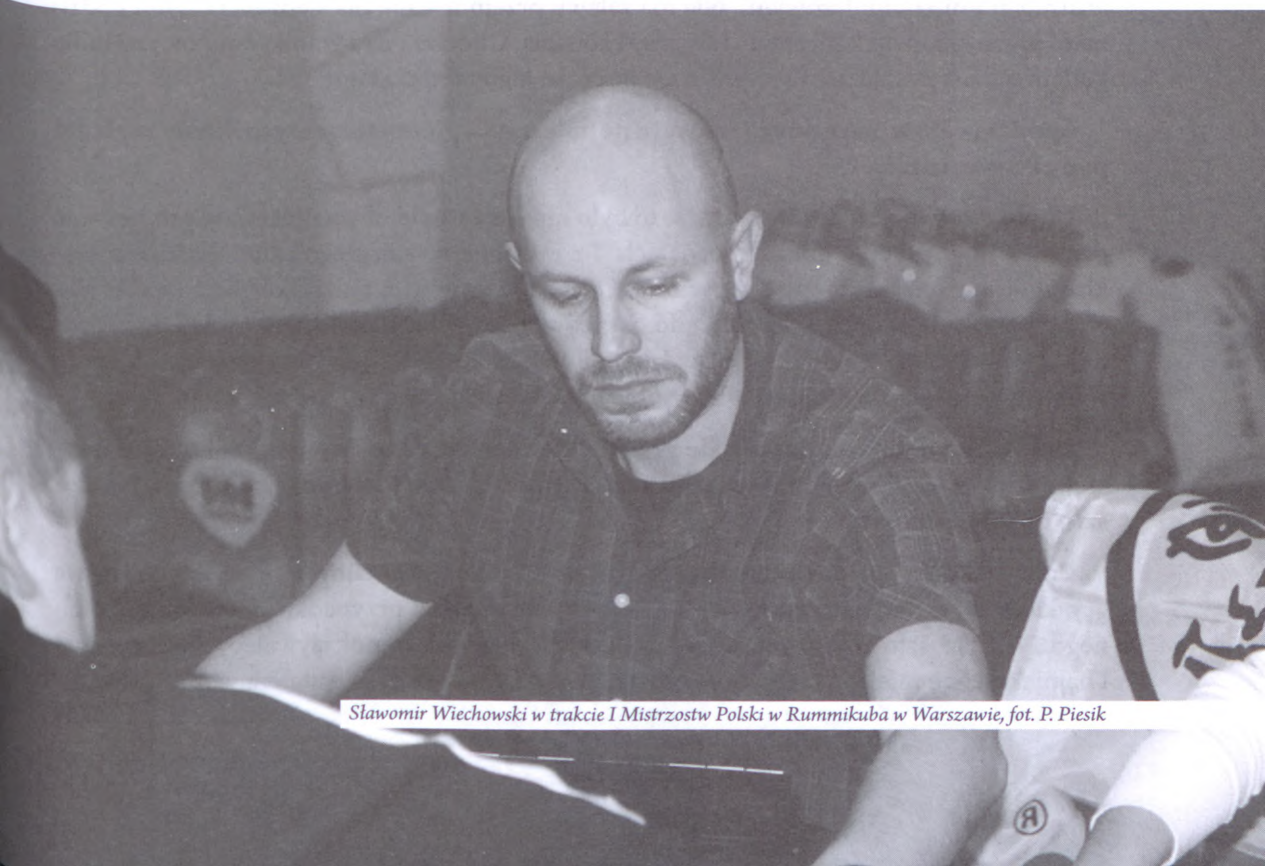
rażą zagrałiśmy, było „Wsiąść do pociągu: Europa”. To pierwsze spotkanie okazało się bardzo udane, postanowiliśmy ten pomysł kontynuować. Zaczęliśmy grać systematycznie, potem pojawiła się myśl założenia klubu, konkurs na jego nazwę i logo. Sami byliśmy zaskoczeni, jak fajnie to się rozwinęło.

Jest pan sztumianinem?

Nie, pochodzę z Mrągowa, jednak Sztum i Powiśle to mój drugi dom, moja Mała Ojczyzna. Czuję się tu doskonale. Ukończyłem studia na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, uczyłem wychowania do życia w rodzinie oraz informatyki, najpierw w Szkole Podstawowej w Gościszewie, potem w Szkole Podstawowej nr 2 w Sztumie. Mam świetnych uczniów. Kiedy wygrałem konkurs „Wychowawca roku”, przez cały dzień musiałem potem nosić perukę, ponieważ założyłem się z młodzieżą, że jeśli otrzymam najwięcej głosów, będę paradował w peruce. Trzeba było dotrzymać słowa.

Powracając do „Pionkolandii” – klub stał się prawdziwą instytucją w dziedzinie gier planszowych. To wielki dorobek, ale pewnie wymagał sporego wysiłku?

Instytucja to może zbyt wielkie słowo, jednak wspólnie z moimi koleżankami i kolegami no i coraz liczniejszym gronem młodzieży na pewno udało nam się spopularyzować wiele fajnych, wartościowych gier, rozwijających pomysłowość i twórcze myślenie. Gry mogą być doskonałym uzupełnieniem kształcenia, wykorzystywane na zajęciach lekcyjnych, w świetlicach szkolnych.



Sławomir Wiechowski w trakcie I Mistrzostw Polski w Rummikuba w Warszawie, fot. P. Piesik

Myślę, że doszliśmy do całkiem dobrego poziomu od strony organizacji spotkań z grami planszowymi, które odbywają się systematycznie, już nie tylko w naszej szkole, także w Gimnazjum nr 1 im. Jana Pawła II, w świetlicach wiejskich. Zaczynaliśmy od spotkań pod hasłem „Zagraj z Mamą”, przy okazji Dnia Matki, krótko przed Dniem Dziecka. Spotykaliśmy się też pod hasłem „Zagraj z nami” czy „Żagle na maszt”. Organizujemy zawody w niektórych grach, na przykład „Rummikub”, „Superfarmer” czy „Story Cubes”, rangi nawet mistrzostw województwa pomorskiego i całego kraju. Bardzo się cieszymy, że przyjeżdżają do nas młodzi ludzie z całego regionu, a również z innych stron Polski. Na rynku gier znaleźć można propozycje dla każdego, niezależnie od wieku, zawodu czy zainteresowań.

Jakie gry macie w swoich zasobach?

Jest ich grubo ponad tysiąc, więc raczej nie da się wszystkich wymienić. Jak wspomniałem, zaczynaliśmy spotkania od kilku gier z moich zbiorów. Nawiązaliśmy kontakty z wydawcami gier, którzy przekazują nam swoje gry do testowania. To dla nich bardzo dogodne, ponieważ zagorzali gracze przekazują sobie nawzajem opinie o konkretnych grach, w ten sposób wydawcy mogą liczyć na popularyzowanie swoich wyrobów. Bardzo dużo gier zakupił dla nas ze swych środków samorząd miasta i gminy Sztum.

Zaczynaliście od sztumskiej „dwójki”. Czy waszym śladem poszły inne szkoły?

Kilka szkół bardzo silnie zaangażowało się w zajęcia z grami planszowymi, wymienić można Zespół Szkół w Czerninie, szkoły z Malborka. Placówki widzą korzyści, jakie z tego płyną. Spotkania z grami odbywały się także w świetlicach wiejskich. Wiadomo, że w przypadku gier planszowych nie ma takich zagrożeń, jakie pojawiają się wśród graczy zafascynowanych grami komputerowymi. Nie ma zalewu przemocy, nie ma siedzenia całymi godzinami przed ekranem komputera lub przed konsolą. Chociaż i nad grami planszowymi kilka godzin można posiedzieć i nawet się nie poczuje, kiedy ten czas upływał.

Spodziewał się pan takiego rozwoju popularności gier planszowych, kiedy zakładał pan „Pionkolandię”?

Chyba nie, chociaż nie ukrywam, że to było moje marzenie, aby najpierw rozpropagować gry w Sztumie, potem w innych powiatach. Teraz członkowie naszego klubu jeżdżą na przykład do Centrum Edukacji Nauczycieli w Gdańsku i prowadzą tam szkolenia na temat gier planszowych. Nauczyciele dzwonią do nas, pytają, proszą o rady i sugestie. Mamy zakontraktowane kolejne szkolenia w kraju. Jako „Klub Pionkolandia” jesteśmy już rozpoznawalni w Polsce, po prostu wypracowaliśmy sobie bardzo solidną markę i to procentuje.

Prawdziwym hitem okazała się gra „Odkrywcy Dolnego Powiśla”, w bardzo przystępny sposób pokazująca najciekawsze zakątki regionu. Jest pan jej autorem. Jak doszło do jej wydania?

Praca nad tą grą trwała przez dwa lata. Mamy bardzo dużo fajnych pomysłów na nowe gry, kiedy pojawi się zapotrzebowanie, sięgamy do nich. W przypadku „Odkrywców Dolnego Powiśla” szło o przygotowanie gry edukacyjnej, która pokazywałaby najciekawsze i najpiękniejsze miejsca w regionie. Można powiedzieć, że wykorzystałem w niej swoje za-

miłowanie do gier, do podróżowania po regionie i fotografowania. Przy okazji zdradziłem swoje pasje. Podczas jej opracowania uczniowie naszej szkoły dzielnie pomagali, także jako pierwsi ją testowali. Grę wydała Powiślańska Organizacja Turystyczna, pierwszy nakład został już właściwie wyczerpany. Liczę, że nastąpi dodruk, ponieważ opinie graczy są bardzo pozytywne.

Będą kolejne gry z naszego regionu?

Jeżeli tylko pojawią się wydawcy, jest to jak najbardziej możliwe. Mamy prototyp gry o Malborku, a w „banku pomysłów” jest wystarczająco wiele fajnych propozycji, które można wykorzystać kiedy będzie zapotrzebowanie. Gra planszowa to nie tylko produkt rynkowy służący wykorzystaniu wolnego czasu oraz edukacji, może być doskonałym artykułem promocyjnym. Coraz więcej samorządów to docenia.

Chciałbym nadal pracować nad rozwojem rynku gier planszowych w Polsce. W każdej szkole powinien powstać klub czy kółko miłośników gier planszowych.

Starcza panu na to wszystko czasu?

To prawda, że zajęć mam wiele. Oprócz pracy zawodowej i w „Pionkolandii” staram się często biegać razem z przyjaciółmi z klubu sportowego Zantyr Sztum, pomagam też w prowadzeniu strony internetowej klubu. Wspominałem już, jak lubię podróżować i fotografować. Na szczęście mogę liczyć na pomoc moich najbliższych, natomiast w pracę „Pionkolandii” angażuje się coraz więcej ludzi, nauczycieli, rodziców, no i samych graczy, w każdym wieku.



Liderzy „Pionkolandii” w pirackich strojach, w środku Sławomir Wiechowski, fot. P. Piesik

Wspomnienia

Angela Murche-Kikut

NIEZAPOMNIANA KALWA

Za każdym razem, gdy tylko udaję się w rodzinne strony, wybieram drogę ze Sztumu przez Pietrzwałd, by dojechać do Kalwy, leżącej w gminie Stary Targ. Zachwycona pięknymi krajobrazami, ruszam w dobrym nastroju dobrze znanym sobie ośmiokilometrowym odcinkiem, który niegdyś, jako uczennica sztumskiego liceum, niemal codziennie przemierzałam rowerem. Jak pamiętam, czasami okazywało się to dosyć uciążliwe, pokonanie bowiem licznych pagórków wymagało od rowerzysty sporego wysiłku. Docieram do wzgórza, gdzie po prawej stronie drogi leży gospodarstwo należące od osiemnastego wieku do Kikutów, mojej rodziny.

Na widok podupadłej dziś posiadłości, wracającego w rodzinne strony podróżnika, niezawodnie ogarnia nastrój smutku. Odnotuje, że z niegdyś zadbanych, okazałych zabudowań gospodarczych przetrwały jedynie marne pozostałości: frontowa część domu i obok tylna pozostałość dawnej stajni. To wszystko i zaniedbane ogrodzenie ledwo przypominają o dostatnim niegdyś życiu dawnych właścicieli, których gospodarstwo obejmowała 67 ha ziemi. Rodzinę Kikutów zaliczać można do najstarszych osiadłych w Kalwie gospodarzy, bo jak to z genealogicznych dociekań mojego ojca wynika, korzenie rodziny sięgają 1765 roku.

Ale wróćmy do teraźniejszych spostrzeżeń. Jak tylko wzrok padnie dalej, na pobliskie gospodarstwu otoczenie, od razu znika poczucie zagubienia, obcości. Widok na „naszą” parowę, wąską dolinę, wprawdzie od czasów, gdy ją opuściłam, zarośniętą już gęsto zielenią i krzewami, budzi już zupełnie inne wrażenie, bardziej swojskie. Wędrując po malowniczej, krętej dolinie, wzdłuż dziś już tylko mozolnie przedostającej się wody strumyka, szukamy dawnych śladów. Odkrywamy fascynującą nadal przyrodę, pamiętne miejsca z dzieciństwa, wchłaniamy rozpoznawane znów zapachy, wsłuchujemy się w odgłosy i szmery pluskającej jeszcze gdzieś woda, odnajdujemy szereg niegdyś sadzonych tu za pradziada typowych drzew - lipy, topole, wierzyby czy olchy, teraz już wysoko wyrośnięte.

Ruszając z Kikutowego gospodarstwa dalej - w głąb parowy, poszukuję też polnej ścieżki, którą zazwyczaj wybierałam, idąc do kościoła lub szkoły, skrótu prowadzącego do wsi. Niestety, polna dróżka dziś zaorana, przepadła. Przetrwało miejsce jej przejścia przez rzeczkę, gdzie wciąż jeszcze ujawniają się jak pomostki wielkie kamienie, na które niegdyś trzeba było sprytnie wskakiwać, aby przedostać się na drugi brzeg.

Wracający w rodzinne strony przybysz czuje się tu, w tej parowie, od razu swojsko. Wśród krajobrazu urozmaiconego łagodnymi pagórkami wyraźnie odczuwa swe głębokie przywiązanie do rodzinnego z pradawnych czasów gniazda, do miejsca, gdzie zamieszkiwali jego rodzice, gdzie się urodził i wychował, do którego stale wraca. Ten nienaruszony kawałek ziemi przetrwał wszelkie przemiany dziejowe, zachowując do dziś nadzwyczajny urok. Odnotuję, że parowa, wyróżniając się w okolicy topograficzną specyfiką, pozostała do naszych czasów, bez wątpienia, tą szczególną krainą naszych marzeń. Jak długo przetrwa?

W odległości niemal pół kilometra drogi od byłej posiadłości Kikutów, zagospodarowanej dziś przez polską rodzinę, leży moja rodzinna wieś Kalwa ze swoim starym kościołkiem po środku. Lokalizacja miejscowości zdaje się mocno potwierdzać tezę badaczy, że nazwa Kalwa pochodzi od pruskiej nazwy topograficznej „pagórek”. I rzeczywiście, wieś leży dokładnie pośród wzniesień morenowych. Już z pobliskiego pagórka, od strony Kikutów, widoczny jest ten malowniczo położony zakątek. Wtedy wracają nostalgiczne wspomnienia z odległych lat dzieciństwa i młodości, czasów spędzonych tutaj niemal do 1959 roku. Przyjeżdżając od lat w rodzinne tereny, przybysz zaciekawiony, co obecnie w Kalwie nowego, zostaje za każdym razem zaskoczony. Potwierdza się bowiem wyraźnie, że z odejściem - szczególnie na przełomie lat 60 i 70 ubiegłego wieku - głównie mieszkańców wsi niemieckiego pochodzenia, wieś Kalwa opustoszała. Wprawdzie na ich miejsce przyszli polscy przesiedleńcy, często przybysze ze Wschodu, ale ci osadnicy nie poczuli się tu jak u siebie. W sytuacji, którą zastali, zabrakło im podstawowych perspektyw bytowych. Szczególnie młodzi stopniowo opuszczali wiejską idyllę, szukając w pobliskich miastach odpowiednich warunków do życia i możliwości zarobkowych - w Sztumie, Malborku, Gdańsku ...

Tymczasem mijały lata niedostatku, a z ich upływem nasza rodzima wieś Kalwa, mimo swej znaczącej historyczno-kulturalnej przeszłości podupadała. Podupadła do tego stopnia, że o tej niegdyś żywej miejscowości prawie zapomniano.

W Kalwie najpierw uderza jeden z coraz rzadziej dziś napotykanych już fenomenów - jest to wszechpanująca wiejska cisza, która wprost oczarowuje. W tej atmosferze nad wszystkim



Szkola elementarna w Kalwie 1920 rok. W drugim, górnym rzędzie, pierwszy z lewej nauczyciel Manthey, trzeci Herbert Kikut, ojciec autorki, fot. archiwum rodzinne

wznosi się z nieugiętą wytrzymałością piękny zabytkowy kościół parafialny, otoczony starym cmentarzem. Tu spoczywają dawni kalwianie, a także szereg rodzin z miejscowości przynależnych do parafii. Na poszarżanych tablicach nagrobnych widnieją nazwiska niemieckie i polskie, a wśród zadbanych nagrobków także moi przodkowie: *Edmund Kikut* (1875-1914) i jego małżonka Gertrud z d. Pakalski. Cieszący się w okolicy opinią wzorowego gospodarza, dziadek Edmund przez wiele lat pełnił funkcję sołtysa i był zarazem też deputowanym (radnym) powiatowym. Na przykościelnym cmentarzu spoczywają także związane z parafią takie postacie, jak wybitny działacz społeczno-polityczny Powiśla *Teodor Donimirski*, i od niedawna niemiecki fundator generalnego odnowienia kościoła *Hans-Joachim Gabriel*.

Fascynujący nastrój spokojnej wiejskiej atmosfery szybko jednak staje się iluzją, jak tylko wzrok skierowuje się ku zabudowaniom, znajdującym się opodal nieumocnionej wciąż drogi, wiodącej przez wieś. Na plebanię z była już posiadłością gospodarczą proboszcza, budynki nieczynnej już szkoły, przedszkola, na dom dawnego posterunku celnego, późniejszej piekarni wraz ze sklepem, przy wybudowanej ok. 1870 roku szosie, prowadzącej z Malborka do Starego Targu, na okazałe niegdyś budowle gospodarcze byłych majątków rodzin Rempel i Kortals. Osamotnione, postarzałe, częściowo rozpadające się nie służą już nikomu i niczemu. Gęsta zieleń kryje ruiny licznych pozostałości po miejscach, gdzie niegdyś toczyło się życie. Przepadło szereg typowych dla wsi zabudowań. Była tu kiedyś gospoda z zajazdem Kaminskih, tam wiatrak dawnego młyna, tutaj kuźnia. Tam drewniane stodoły, czy też przynależne gospodarstwu zabudowania tzw. *insthäuser*. Zostały zniszczone w dramatycznym okresie wojennym albo rozebrane w powojennym okresie socjalizmu. Z czasem stopniowo rozpadały także typowe domostwa, należące od dawna do zakorzenionych w Kalwie mieszkańców. Jedynie ocalały nieliczne domki, przeważnie ceglane, oczekujące remontów.

Daremnie szukamy śladów kalwian - przesiedleńców. Spośród wielu przywołujemy z dziecięcej pamięci rodziny - *Kaminski, Borryss, Skok, Preuss, Francuzak, Dombert, Ehlenberg, Faltinowski, Olszewski, Wróbel, Trunk, von Dombrowski, Ohl...* W trudnych warunkach okresu komunistycznego PRL-u ostatecznie porzucali swe domy, swę gospodarstwa, swą rodzimą wieś, by znaleźć odpowiedni dla siebie byt, równolegle szukając także wolności w nowej ojczyźnie - na Zachodzie.

Pod wrażeniem dzisiejszej rzeczywistości należałoby przypomnieć przeszłe dzieje tej niegdyś żywej miejscowości i przybliżyć jej historyczno-kulturalny dorobek, znaczący nie tylko dla Powiśla. Zagłębiając się zatem w źródła zebrane przez ojca, Herberta Kikuta (1910 - 2002), który będąc w podeszłym już wieku, na krótko przed śmiercią, przekazał mi je ze słowami „*Staraj się zachować pamięć naszej ojczystej Kalwy i ściśle związaną z nią rodziną Kikutów*”. W stosie przechowywanych dokumentów odnajduję, obok prowadzonej do 2001 roku kroniki rodzinnej, również szereg ciekawych materiałów o charakterze dokumentalnym. Wśród nich osobiste zapiski i wspomnienia, a także liczne akta, wypisy źródłowe, rozprawy i notatki, informacje dotyczące dziejów wsi i jej mieszkańców. Dotychczasowe badania regionalne tych zakątków, dziejów społeczności lokalnych, a przede wszystkim swoistych tradycji i obyczajów mają braki, które warto uzupełnić, a pewne wątki poszerzyć. Ważną w tym rolę spełniają naoczni świadkowie, których starania związane z utrwaleniem historii są wyrazem ich przywiązania do „ojcowizny” (*Heimat*).

Przekazywanie osobistych wspomnień i dokumentów pamiątkowych wraz z ich zachowywaniem dla przyszłych pokoleń, staje się zresztą świadomym upamiętnieniem tego, co kiedyś faktycznie było. Dla dziejów lokalnych Ziemi Sztumskiej na szczególną uwagę zasługują dwie inicjatywy. W Sztumie staraniem Sławomira Igora Michalika powstała stała wystawa muzealna *Sztum i Ziemia Sztumska* oraz na terenie północnych Niemiec w Bremerörde, działające od 1959 roku *Muzeum Sztumskie*.

Sięgajmy do wypisów źródłowych wsi Kalwa. Korzystając ojcowskich materiałów, ograniczam opisy, skupiam się na interesujących wątkach, dotyczących przede wszystkim lokalnych dziejów oraz tradycji ludowej.

ETYMOLOGIA NAZWY

Otóż nazwa miejscowości Kalwa jest prawdopodobnie pochodzenia staropruskiego i oznacza „pagórek”. Znana jest też inna wersja, ze staropruskim spokrewniona - starolitewska, według której nazwa *Kalwe* oznacza „kuźnia”, *Kalwa* „pagórek”. W źródłach spotykamy różnorodne formy pisowni nazwy. Z pierwotnej nazwy *Kalbe* następujące: 1259 rok - *Kalbe*, 1280 - *Kalba*, 1286 - *Calva*, 1297 - *Kalbe*, w XIV wieku - *Calba*, w XV wieku - *Calbe*, 1532 - *Kalbe*, 1669 polska nazwa *Kalwa*, 1772 - pruska nazwa - *Kalwe*, 1945 - polska nazwa *Kalwa*.

Co do ówczesnej nazwy *Kalbe* przyjąć można, że nadana została po gęstym osiedleniu w okolicach wsi ludności kultury łużyckiej. Przybywająca z odległych regionów Zachodu ludność ta pierwotnie zamieszkiwała tereny nad Łabą, szczególnie regiony Turyngii (Thüringen), Saksonii (Sachsen) i obszaru Altmark. Tam do dziś znane są miejscowości *Calbe an der Saale* oraz *Kalbe an der Milde*, leżące nad dopływem rzek Saale i Milde. Miejsce pochodzenia osadników najprawdopodobniej miało wpływ na nadanie nazwy utworzonej później wsi, dzisiejszej miejscowości Kalwa.



Byłe gospodarstwo Kikutów w 1972 r., fot. A. Murche-Kikut

Przy zachodnim wejściu drogi prowadzącej przez wieś po dzień dzisiejszy ustawiony jest kamień pamiątkowy z napisem *Kalve / Kalwa / Rok 1280*.

ZAŁOŻENIE WSI

Z dziejów historycznych Powiśla wiadomo, że to region wielu nacji i kultur, składających się na swoistą różnorodność etniczną, kulturalną i religijną. Kalwa, położona w obrębie Ziemi Sztumskiej, ściśle powiązana jest z historią Powiśla. Jej dzieje historyczne sięgają odległych czasów. Grunty, na których później założono wieś, zostały wymienione po raz pierwszy w 1259 roku. Należały one wówczas do Conrada von Muckienberg, prawdopodobnie niemieckiego przesiedleńca z obszaru *Margrafschaft Meißen* (hrabstwo Meissen), któremu Zakon Krzyżacki ziemie te nadał w lenno. Obszar ten obejmował wówczas 59 włók, z których później Ulrich von Schidowe nabył dziewięć włók (stąd nazwa należącej do Kalwy osady *Dziewięć Włók*) i następnie dalsze cztery włóki (*Klein Jorgesdorf*), tak że w 1259 roku Feldmark Kalbe (miedza Kalbe) ostatecznie obejmowała tylko powierzchnię 40 włók. W kontrakcie z 1280 roku między *Konradem von Feuchtwangen* i Prusem Sambango w związku z oznaczeniem obwodu granicznego pola *Egil* (*Iggeln / Igły*) wspomniana jest *Feldmark Kalba*.

Przed założeniem wsi musiał już istnieć kościół z parafią, skoro w dokumencie z 1286 roku *Bruno, plebanus* (proboszcz) *de Calva* wymieniony jest jako świadek w pewnym procesie. Dopiero 17 stycznia 1297 roku komtur malborski *Henryk von Wilnowe* wydał przywilej lokacyjny na prawie chełmińskim dla wsi Kalbe. W niej przekazuje właściciel wsi *Conrad von Muckienberg* ze swoich 40 włók gruntu cztery na własność kościołowi i pięć sołtysowi *Sifrid*.

Należy podkreślić, że założenie wsi przez prywatnego właściciela gruntów w ówczesnych czasach była nadzwyczajnym wyjątkiem.

ZABYTKOWY KOŚCIÓŁ

Stary, piękny gotycki kościół parafialny pod wezwaniem św. Marii Magdaleny jest bez wątpienia jednoznacznym symbolem Kalwy i głównym jej zabytkiem. Świątynia ta wyraźnie odzwierciedla dzieje historyczne regionu i z pewnością należy do jednych z najstarszych na terenie Dolnego Powiśla. Źródła podają, że kościół w Kalwie istnieje od przynajmniej 1297 roku. Zachodni korpus świątyni został wzniesiony w latach 1310-1320. Obszerne prezbiterium dobudowano dopiero w 1402 roku, a rok później, w maju 1403 roku, świątynię konsekrowano. W 1411 roku, po zwycięstwie Polski nad Zakonem Krzyżackim w bitwie pod Grunwaldem, kościół został ograbiony. Kiedy w 1442 roku ponownie doszło do konfliktów wojennych między Zakonem i Polską, zarówno Kalwa padła ofiarą ognia, jak również w okolicy pobliskie osady - Postolin, Szropy i Jurkowice. W późniejszych czasach, aż do początku XVIII wieku, trwał długi okres złowrogich zamieszek i wojen, pozostawiając na terenie Ziemi Sztumskiej również ślady ogromnych zniszczeń. Wiadomo, że w okresie wojen polsko-szwedzkich 1625-1635 kościół w Kalwie ponownie został splądrowany. Drewniana wieża kościelna dobudowana została dopiero w 1647 roku. Po raz ostatni kościół przebudowano pod koniec XVII wieku. Wiadomo, że szereg kościołów, zburzonych przez Szwecję

dów, zostało za polskich czasów dawnej Rzeczypospolitej odbudowanych, odnowiono ich wyposażenie. Pozostały z tego okresu cenne pamiątki, tak też jest w Kalwie. Na ścianie pod chórem znajduje się epitafium. Wspaniała tablica, najprawdopodobniej z XVII wieku (co potwierdza Mirosław Pisarkiewicz w opracowaniu „Cmentarz przykościelny w Kalwie”) z wysokiej klasy portretami trumiennymi mężczyzny i kobiety. Przedstawiony w stroju polskim mężczyzna o imieniu na literę „K” należy do członków rodu *von Kalkstein* z pobliskiego Klecewa, a kobieta obok z rodu *Wałdowskich* z Zielonek (Grünfelde). Nad i pod portretami widocznych jest sześć malowanych tabliczek herbów z klejnotami. Oba górne herby razem z portretami przedstawiają dobrodziejów - fundatorów kościoła ze wspomnianych już rodów *Kalksteinów* i *Wałdowskich*. Zaś cztery herby dolnego rzędu prezentują hojnych darczyńców należących do ówczesnie w okolicy osiadłych rodzin szlacheckich, wśród których znajduje się także herb Trzy Radła rodu Wilczewskich.

Na szczególną uwagę zasługują jednolicie stylowe - rokokowe wyposażenie wnętrza świątyni - okazały ołtarz główny z obrazem św. Marii Magdaleny oraz dwa boczne - św. Antoniego i Matki Bożej Różańcowej, ozdobna drewniana kazalnica i chrzcielnica, niegdyś otoczona balustradą, dawne okna. W zakrystii zachowało się gotyckie sklepienie krzyżowe.

Znaczną wartość zabytkową dopatruje się także w umieszczonej pod chórem drewnianej skarbonce, która najprawdopodobniej pochodzi z XVII wieku. Organy są datowane na rok 1885 i zbudowane zostały, co potwierdza Wacław Bielecki („Prowincja” nr 2 z 2011) przez słynną i największą w ówczesnych Prusach Wschodnich i Zachodnich elbląską pracownię organmistrzowską *A. Terlezki Inh. E. Wittek*. (Podczas niedawno przeprowadzonej renowacji kościoła nie uwzględniono niestety remontu instrumentu). Wreszcie warto też wspomnieć o ogrodzeniu kościoła, składającego się z metalowych krat na murowanych fundamentach. Kuty, wysoki płot, dopełniony wielką ozdobną bramą wejściową, wykonany został ok. 1930 roku twórczą pracą kowalską warsztatu *Josefa Borryssa*, tutejszego parafianina, który tym zdobył sobie w parafii szerokie uznanie.

Kościół w Kalwie wyróżnia się swą charakterystyczną wieżą. Powstała staraniem ówczesnego proboszcza *Xavera Makowskiego* i pochodzi z 1821 roku, na co wskazuje data choraągiewki wietrznej. Wieża w całości drewniana, łącznie z hełmem, pokrytym drewnianym gontem, w okresie wojennym i powojennym niszczała, wymagała pilnie naprawy. Wreszcie dzięki zaangażowaniu tutejszych parafian została w 1956 roku naprawiona, lecz tylko prowizorycznie.

Tymczasem mijały lata i jej stan dalej się pogarszał. Dopiero w 2009 roku doczekała się renowacji, na którą parafia kościelna w Kalwie otrzymała dotację z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jednak podczas dokonywanych remontów nie zachowano już wszystkich charakterystycznych elementów, jak tych w górnej części ozdobnych, czy też jednolitego drewnianego wyposażenia. Pierwotny hełm z gontów drewnianych otrzymał odmienne, miedziane pokrycie, a drewno posadzki w sieni głównego wejścia pokryto teraz płytami ceramicznymi.

Podjęto także generalną renowację i konserwację wnętrza świątyni. Rozpoczęty w 2005 roku projekt ten był możliwy dzięki staraniu i wsparciu hojnego niemieckiego darczyńcy,

byłego parafianina z Igieł, *Hansa-Joachima Gabriela*, przy dużym zaangażowaniu ówczesnego proboszcza ks. *Gerarda Kowalskiego* oraz parafian z Kalwy. Prace renowacyjne ukończono uroczystym poświęceniem 14 sierpnia 2011 roku, którego dokonał ks. biskup Jan Styrna z Elbląga.

Warto w tym miejscu wspomnieć odrestaurowane, piękne drewniane sklepienie świątyni, które dzięki wzorowej konserwacji zachowało swą wartość zabytkową i estetyczną. Natomiast szereg typowych elementów dawnego wyposażenia tej renowacji nie przetrwało i zostały na zawsze utracone. Nie ma już tych stali przy boku głównego ołtarza, czy też dawnych unikatowych ław kościelnych. Szereg charakterystycznych elementów dawnego wyposażenia barwnie przemalowanych prezentuje odmienny już styl. Kościół w Kalwie, mimo że zaliczany do czołowych zabytków dziedzictwa kulturalnego Ziemi Sztumskiej ostatecznie nie zachował już swoistego charakteru. Potwierdzają to dawni parafianie odwołujący się do dzisiaj świątyni. Należy tu przypomnieć intencję darczyńcy, który - jak z zapisu spadku czytamy - *przekazuje cały swój spadek na profesjonalną restaurację świątyni, aby nasz piękny zabytkowy kościół nareszcie mógł odzyskać swój dawny blask*.

W intencji inicjatora i darczyńcy renowacji w 2011 roku umieszczona została w kościele tablica pamiątkowa.

TRADYCJA LUDOWA NA TERENIE WSI

W tradycji ludowej zachowały się dwie ciekawe legendy, ściśle związane z pagórkowym terenem wokół Kalwy. Jedna z nich dotyczy wzgórza ze stawkiem po środku, znajdującym się na polu gospodarstwa Kikuta, około 700 m na południe od Kalwy. W pracy „Toponimia Powiśla Gdańskiego” prof. Huberta Górnowicza jest mowa o Kikutowym Bagnie, ojcowskie zapisy zaś wspominają pobliski gospodarstwa Kikutów pagórek, powszechnie zwanym Kikuts Berg (Kikutowe Wzgórze). Na jego szczycie rzeczywiście niegdyś znajdował się staw o powierzchni mniej więcej 2000 metrów kwadratowych. Z upływem czasu roślinność stawu tak szeroko się rozrosła, że wreszcie gęsto pokryła całkowitą powierzchnię wody. Na tym miejscu wzgórza faktycznie dzisiaj odnaleźć można wspomniane bagno. Ojciec w kronice wspomina, i przyjąć to można, iż staw jest pozostałością epoki polodowcowej okresu dyluwium, a przez lata nienaruszony stał się przykładem różnorodnych etapów wysuszenia, a z upływem czasu tworzą się współczesne torfowiska.

Nawiązując do Kikutowego Wzgórza i pobliskiej Parowy znana jest w okolicy legenda o „Księżniczce i myśliwym”:

W zamierzchłych czasach stał na Wzgórzu Kikuta zamek, w którym mieszkała piękna księżniczka. Po drugiej stronie przepływającej niedaleko rzeki żył młody myśliwy, który zakochał się w księżniczce. Młody myśliwy postanowił się jej oświadczyć. Księżniczka z zarozumiałością powiedziała, że zostanie żoną myśliwego tylko wtedy, jeśli uda mu się wznieść w pobliżu po drugiej stronie rzeki wzgórze podobne jej. Młody myśliwy od razu zabrał się do pracy. Pracował bez przerwy. Nie zważając na złą pogodę i silny wiatr zachorował i wreszcie zmarł. Towarzysze pochowali go na szczycie wzniesionego wzgórza. Tak oto powstał szaniec. Księżniczka zaś umarła ze zgrzyoty, zamek jej zapadł się wśród burzy i błyskawic ognia. Następnego poranka powstał



Drewniana wieża kościoła (2008), fot. A. Murche-Kikut

w tym miejscu staw. Dusza księżniczki pod postacią małego ptaszka lata podobno jeszcze dziś między stawem a szańcem.

Wzniesienia w okolicach Kalwy są źródłem znanej także drugiej legendy. Mowa jest o pagórku, położonym opodal drogi prowadzącej do Jurkovic, powszechnie zwanym *Schwedenschanze* (*Szwedzki Szaniec*), ale często określanym także nazwą *Heidenschanze*, co po polsku oznacza *Pogański Szaniec*.

W okresie wojen szwedzkich król nadciągnął z ogromną siłą zbrojną, zamierzając na terenie przygotować bitwę. Postanowił w tym celu założyć na miejscu wał obronny. Król zatem wydał rozkaz, iż każdy z żołnierzy powinien przynieść ze sobą czapkę pełną ziemi i wysypać ją tutaj. A ponieważ było ich tak wielu, powstał z czasem wysoki pagórek, właśnie ten *Szwedzki Szaniec*.

Legenda ta nawiązuje do znanych z historii Powiśla wojen polsko-szwedzkich. Był to nieszczęsny okres napadów również na ziemie w okolicach Kalwy. Przekazy historyków informują także o rozmowach pokojowych oraz rozejmie w pobliskim Starym Targu z 1629 roku. Już samo określenie *Schwedenschanze* (*Szwedzki Szaniec*) może wskazywać na ówczesną obecność Szwedów w obrębie wsi. Wielu badaczy uważa, że w rzeczywistości pobliskie wzgórza to dawne staropruskie fortyfikacje obronne. Inni twierdzą, że to pozostałości pradawnych grodzisk wałowych, których ślady również często odnaleźć można na terenie byłych Prus Zachodnich. Sięgając aż do czasu Ilirów, należą one do historycznie znacznie starszych, czyli wieków przedchrześcijańskich. Jest to hipoteza, którą udowadniają archeologiczne wykopaliska i pozostałości podobnych grodzisk wałowych odnalezione w innych osadach, co mogłoby mocno potwierdzać ogólnie znane wówczas w okolicach określenie *Heidenschanze* (*Pogański Szaniec*).

Wiele aspektów dziejów Kalwy pozostało jeszcze do opisania i ten tekst nie wyczerpuje tematu. W tym roku mija 55 lat od chwili opuszczenia przez moją rodzinę ojczystych terenów. Świadomi historii, odczuwamy nadal, nawet po upływie pół stulecia, swoje przywiązanie do tej ziemi. Była to nasza wieś. Ludzie raz oderwani od swoich korzeni, zawsze będą tu szukać swojej krainy dzieciństwa, obojętnie *Heimatu*, czy swojej *małej ojczyzny*. Dotyczy to zarówno niemieckich wychodźców, przesiedleńców, jak i polskich przybyszów.

Wraz z politycznym przełomem po 1989 roku, chociażby z samego faktu lokalizacji, wieś Kalwa przybliżyła nam się. I ta Kalwa przyciąga. A jednak, wracając dziś w rodzinne strony, stale towarzyszy nam tutaj to przygnębiające poczucie obcości. Nie zważając na teraźniejszość, na obecny stan wsi, należałoby w świadomości europejskiego współtworzenia przypomnieć o nowych szansach i możliwościach, aby poniekąd „zapomniana” dotąd Kalwa znów ożyła, rozkwitła. Przypomnę słowa niestrudzonego badacza regionalnej historii z Muzeum w Kwidzynie, Alfonsa Lemańskiego, który w „Głosie Wybrzeża” już w 1967 roku zatytułował swój artykuł: „Kalwa - wieś godna poznania” [vide, Janusz Ryszkowski „W podróży po Ziemi Sztumskiej” (2010)].

Jerzy Bolesław Prociuk

MÓJ ELBLĄG I OKOLICE

(FRAGMENTY WSPOMNIEŃ)

Jerzy Bolesław Prociuk urodził się 8 kwietnia 1934 roku w Grudziądzu. Był synem kapitana WP Aleksandra Prociuka i Katarzyny z domu Komorska herbu Śreniawa. Rodzina mieszkała w Drohobyczu. W 1939 Aleksander Prociuk dowodził kompanią karabinów maszynowych batalionu Strzelców. W nocy 13.04.1940 r. cała rodzina – Jerzy ze swoim bratem Tomkiem, mamą, ciocią Eleonorą zostają przez NKWD wyrzuceni z mieszkania, aresztowani i zesłani Syberię. W tym czasie ojciec Jerzego zostaje ranny i dostaje się do niewoli do obozu jenieckiego na terenie Niemiec. Kontakt z nim się urywa. Odtąd dwie siostry wraz z dziećmi przez pięć lat niewolniczej pracy, wspólnie dzielą losy syberyjskich zesłańców, bohatersko walcząc o życie dzieci, o przetrwanie, o swoją godność, honor, o powrót do Ojczyzny. Nauka Jurka zaczęła się tam na Syberii podczas długich zimowych wieczorów bez książek, zeszytów. Matki uczyły swoje dzieci podstaw czytania, pisania, historii, kultury, religii i śpiewu. W maju 1945 r. szczęśliwie wracają do Polski pokonując blisko 7 tys. kilometrów i osiedlają się w zniszczonym Elblągu. Po zdaniu matury Jerzy Prociuk został studentem Wyższej Szkoły Ekonomicznej we Wrocławiu. Brał czynny udział w „Polskim Październiku” jako przewodniczący Studenckiego Rewolucyjnego Komitetu na Dolnym Śląsku. Przez cały czas rodzina poszukiwała ojca Aleksandra. W końcu po 22 latach poszukiwania przez Czerwony Krzyż zakończyły się sukcesem. Wraz ze swoją mamą i bratem Tomkiem Jurek wyjeżdża 1961 r. na spotkanie z ojcem do Australii. I tam zostali.



J. B. Prociuk mundurku harcerskim

W rok po przyjeździe do Australii Jerzy Prociuk został prezesem grupy młodzieży w Ashfield, czynnie włączył się do organizacji harcerskiej w Bankstown. Jest współzałożycielem Kregu Starszoharcerskiego „Znicz”, współzałożycielem i prezesem Koła Akademików Polskich w Nowej Południowej Walii. Wraz ze swoją żoną Haliną i grupą polskich rodzin z północnych dzielnic Sydney tworzy polską parafie w East Roseville a później - Polskie Biuro Pomocy i Informacji w Ashfield. Na zebraniu ok. 30 organizacji polonijnych w stanie Nowa Południowa Walia jednogłośnie zostaje wybrany prezesem Komitetu Organizacyjnego Powitania Kardynała Karola Wojtyły na sydneyjskim lotnisku. Był prezesem Związku Sybiraków, wykładał na lekcjach historii w College of Mercy Chatswood o Sybirze, gułagach i obozach. Należał do Związku Polskiego w Wollongong, do Koła Seniorów przy Klubie Polskim w Ashfield, był członkiem zarządu i współzałożycielem Polskiego Biura Pomocy Społecznej i Informacji w Nowej Południowej Walii, członkiem Polskiego Instytutu Historycznego w Australii. Nigdy nie tracił kontaktu z Polską i zamieszkałą w niej rodziną. Zawsze na uwadze miał dobro swojej ojczyzny. Przez wiele lat uczestniczy w akcji obrony Dobrego Imienia Polski i Polaków. Wraz z całą rodziną wspiera Fundację Pomocy Dzieciom Polskim na

Wschodzie, współpracował z Towarzystwem Przyjaciół Lwowa i Ziemi Wschodnich, z Muzeum Harcerstwa w Warszawie – przekazuje tam eksponaty i dokumenty harcerskich drużyn akademickich „Rój” „Węzeł” „Sowy”. Zmarł 8 grudnia 2008 r. Publikowany materiał opisujący życie w Elblągu i Nowym Dworze Gdańskim w 1945 roku pochodzi z przygotowanych do druku wspomnień Jerzego Prociuka, które otrzymaliśmy z Australii od Jego żony Haliny Prociuk.

SZABER

(...) W Elblągu pierwszą szkołę otworzono z opóźnieniem, późną jesienią, więc „szaber” staje się naszym głównym zajęciem w elbląskie lato i wczesną jesień – krótkie portki, bosy, kij w rękę i worek na plecy. Idziemy szukając rozbitych, nie spalonych mieszkań, domów wciąż nie zagospodarowanych. Wszędzie ślady zniszczeń i rabunków, pierze po kolana na podłodze, nic nie widać. Podobno Rosjanie szukali kosztowności zaszytych w pierzynach, poduszkach. Grzebiemy w tym pierzu kijami, ładujemy do worków cokolwiek się nam spodoba, co może mieć wartość. Trzeba jednak bardzo uważać, aby nie dostać lania, zawsze mieć drogę ucieczki. Większość pomieszczeń opuszczona, czasami drzwi zabite deskami (ktoś zabezpieczał), czasem wylamane. W tych mieszkaniach trzeba bardzo uważać. Nasze skarby to zabawki - przeważnie zniszczone oraz broń i amunicja. Czasami znajdujemy meble, wtedy do akcji włączają się starsi próbując przewieźć je na różnego rodzaju wózkach. „Szabrownicy”: rano przyjeżdżają z Warszawy, pociąg wyładowany tłumem ludzi, większość z nich to szabrownicy. Przyjeżdżają ze swego spalonego przez Niemców miasta, gdzie grób swój znalazło większość jego mieszkańców. Ci, co przeżyli powstanie, wypędzeni zostali z miasta, a ich domy obrabowane i spalone przez Niemców. Wrócili do swego miasta bez niczego, głodni i obdarci. Jadą na ziemię odzyskane, aby chociaż coś zdobyć dla życia. Niestety, tu już rabował sowiecki zdobywca, czego nie zabrał, to zniszczył i spalił. Spod dworca tłum szybko znika w uliczkach Elbląga. Pociąg do Warszawy odjeżdża po południu. Z całego miasta schodzi się mnóstwo szabrowników, dźwigają na plecach olbrzymie toboły. Biedne kobiety po całonocnej jeździe uginają się pod ciężarem worów. A jakie „bogactwo” wiozą, dobrze wiemy łącząc po rozbitych domach: odpady i lachy, których nawet Ruscy nie ruszyli, zdekompletowane serwisy, naczynia, rozbite ozdoby, a może to pierze zbierali z podłóg? – nędza i ubóstwo.

A teraz my – uwijamy się w tłumie z wózcikiem czterokołowym oferując podwiezienie za opłatą. Pod stacją robi się tłok. Tu na szabrowników czeka SOK. Na rękawach białoczerwone opaski z owym skrótem i karabiny – trzymane w pogotowiu. Sprawdzają bagaże, rekwirują. Krzyk, szarpanina, protesty, lament, w ręce idą łapówki. Jakoś tak się dzieje, że szabrownicy znikają z tobołami w pociągu. SOK-iści to też ludzie, widzą tę straszną nędzę i poniżenie tych zniszczonych, upodlonych, sponiewieranych wojną i okupacją niemiecką, a teraz rabowanych i terroryzowanych okupacją Czerwonej Armii. My jako dzieci jesteśmy świadkami tych scen pod dworcem. Podwożąc te nędzne tobołki tym ledwo idącym ze zmęczenia starszym paniom i panom pogardliwie nazywanymi szabrownikami, poddanym poniżającym rewizjom na dworcu. W tym całym zbiorowisku zdarzają się też ostre starcia. Jakiś rosyjski żołnierz próbuje zabrać coś wartościowego, przyczepił się do jakiejś młodej kobiety, lub pijany grozi bronią. Czasami interweniuje SOK (Straż Ochrony Kolei), to przecież nasze chłopaki, chociaż są w mniejszości w tym rojąącym się od ruskich mieście, jednak pró-

bują osłonić swoich. Na naszych oczach stłuki „ruskiego” żołdaka do nieprzytomności. Do strzałów jesteśmy przyzwyczajeni, prawie bez przerwy słychać je z różnych krańców miasta, czasami są to potężne detonacje. Trudno ustalić kto je odpala. Najczęściej chyba to łobuziaki takie jak my po 12 lat, no i oczywiście ci starsi od nas spędzają tak czas na zabawach. Ale nie tylko, bo jest przecież atmosfera walki, każde dziecko o tym wie i widzi. Co najmniej raz na parę dni koło naszego domu przechodzi patrol milicji lub wojska: uzbrojeni w pepesze prowadzą aresztowanych pojedynczych lub grupy. Ręce trzymają za głowę na szyi, idą jezdnią otoczeni uzbrojonymi z bronią gotową do strzału. Ile takich konwojów widzieliśmy – nie łatwo zliczyć. Miejska Komenda Milicji i Urząd Bezpieczeństwa przy ulicy Królewieckiej urządzone zostały jak prawdziwa forteca. Budynek ogrodzony wysokim murem, parterowe okna okratowane, okiennice. Koło zabudowań auta osobowe, przeważnie Citroen (cytrynki), często postrzelane. My, dzieci, oglądamy to z ciekawością, dopóki nas nie przepędzą. To nie są nasi ludzie, to obcy w służbie krwawego okupanta - tak ich widzą Elblążanie.

KOLEDZY, RODZINA, DOMY

My wciąż mieszkamy na Rokossowskiego 11 (Georgendumm Strasse). W domku na ul. Moniuszki mieszkał wujek Marian i ciocia Lola z Edziem. Podwórko wchodzi w piękny park i lasek, na rzeczkę „Srebrzysty Potok” do Elbląga, a „Śmierdziulka” przez Elbląg. W 1946 w maju do wujka Mariana przyjechała z Syberii żona, a nasza ciocia Bolcia ze swoją mamą panią Szeligowską i dziećmi Danusią i Zbyszkciem. Wujek Marian nie pozwolił im wnieść ich syberyjskich rzeczy do domu. Na podwórku ułożył stos, polał naftą i wszystko spalił (kwarantanna). Tam mieszkalem, gdy Tomuś chorował, chyba na szkarlatynę (1945). Ten domek na Moniuszki zabrała im „władza” na Spółdzielnię Jedwabników, a ich przenieśli na ul. Wspólną 22/24. Obok zamieszkała rodzina Jasińskich z synami Ryszardem, Januszem i Adamem z Suwałk. Inni koledzy, to: Mirek Szpakowski z Wilna, Żeberko, Warszawiak - łobuz, ofiara strasznej wojny i okupacji - przeżył Powstanie. Jabłoński - handlarz zza Buga, cwaniak i Szulc - warszawski cwaniak. Poznajemy też braci Krzysztofa i Jacka - Jacę oraz ich siostrę Ewę z Lubelszczyzny - wieś Zawada? Ojciec Polak, matka Żydówka, siostra naszego sąsiada z dołu pana Stasia. Przesiedlają się do Nowego Dworu Gdańskiego z Lubelszczyzny. Chłopcy w Nowym Dworze Gdańskim zajmują dom pod opieką wujka z Elbląga. Matka z siostrą chłopców wciąż na Lubelszczyźnie likwiduje dom. Ci 11-to, 10-cio letni chłopcy mieszkają sami, wujek, fotograf z Elbląga, od czasu do czasu dojeżdża do nich rowerem 25 km. Krzysztof urodzony w 1935, Jacek w 1936, a Ewa w 1937.

ŻYCIE W ELBLĄGU

Prądu nie ma (elektrownię uruchomiono dopiero we wrześniu 1946 r.), komunikacji miejskiej też brak, ulice nie oświetlone. Ludzie używają wózecek na cztery koła, czasami dwukołowych, rowery. Tylko główne szlaki (ulice) mają przeczyszczone jezdnie, gruz z ulicy zepchnięty na boki. Dzielnice Śródmieścia, Stare Miasto mają wciąż ruiny i gruz na przejściach. Tam pusto, nikt nie chodzi, można nie wrócić, bo walą się wypalone mury, kiziorzy, bandziorzy, niewypały, pociski, miny. Można też dostać po głowie. Ludzie żyją w ciągłym napięciu. Pomimo, że jest polskie wojsko i milicja, dominuje rosyjska Armia Czerwona. Mamy świadomość, że „nasi” służą okupantom. Ludzie są ostrożni w kontaktach międzyludzkich.



Drużyna Siatkówki z Gimnazjum Handlowego na tle Szkoły Podstawowej nr 3. J. B. Prociuk z prawej obok niego Leon Jezolewicz

Milicja, UB wciąż tropią polskie Podziemie, któremu sprzyja olbrzymia większość społeczeństwa. Wielu z wyrokami ucieka z Polski centralnej w nadziei, że tu się ukryją w tej masie przyjezdnych. Na przykład, ojciec Marka, oficer A.K. miał wyrok śmierci. Dwa razy uniknął obławy NKWD, z rodziną przeniósł się z pod Krakowa do Elbląga. Całe oddziały partyzantki przechodzą przez lasy elbląskie, podobno z Wileńszczyzny - tak mówią ludzie. Na ulicach Elbląga widać chodzące bojówki NKWD z psami, od lasów dochodzi strzelanina. Obławy, psy, NKWD, napięcie w mieście. Nie wiadomo, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Rodzice nie mówią przy dzieciach, aby nie wygadały się, nie doniosły. Dzieci rozumieją grę, same ostrożnie grają z kolegami. Panuje atmosfera tymczasowości, ludzie starają się przeczekać. Powszechnie spodziewają się wojny z USA. Ta sama atmosfera panuje zagranicą. Polonia tam też czeka na wojnę, to potęguje nastrój. Dzieci wiele słyszą, szykują się po swojemu. Zbierają broń i amunicję, wciąż dużo tego jest po zaciętych walkach w Elblągu i okolicach. Życie płynie w atmosferze napięcia, aresztowań, strzałów w mieście i detonacji. Aresztowani prowadzeni przez ulice w towarzystwie eskorty z bronią gotową do strzału utrwalają obraz okupacji. (To nie było bezpieczne dla przechodniów, każdy z nas o tym wiedział - życie ludzkie było tanie).

W mieście Niemcy - coraz ich mniej - kryją się po kątach. Do miasta napływa wciąż coraz więcej Polaków, nowi, nieznani. Całe rzesze szabrowników z tobołkami z pociągu, są też autochtoni - Warmiacy, Mazurzy, którzy czują się Polakami. Oni najbardziej cierpią, atakowani przez szabrowników i Rosjan jako Niemcy, terroryzowani przez „Władze”, UB, Milicję, ORMO. Nie bardzo orientują się, że to nie konflikt z Polakami, że ta sama „Władza” też jest naszym oprawcą, że to jest obca władza nad Polską a nie polska. Mój kolega szkolny, Leon Jezolewicz, Warmiak - Elblążanin, od dziecka w domu mówił doskonale po polsku, po latach

nabrał takiego urazu do Polaków, że nie chciał mnie odwiedzić. Spotykaliśmy się w zgodzie i długo rozmawialiśmy, ale do domu nie zaszedł. Skończył Szkołę Handlową ze mną, powrócił do nazwiska Gesholowitz i wyjechał z rodziną do Niemiec. Przez lata szkolne był jednym z najbliższych moich kolegów, bardzo wartościowy chłopiec. Tak straciliśmy dla Polski wielu Polaków. Były to bardzo trudne warunki do życia w tamtych czasach, w sklepach pustki, kolejki przed sklepami dzień i noc po cokolwiek, co przywiozą. Niektóre zakłady pracy organizują stołówki dla pracowników i ich rodzin. My, dzięki wujkowi Kotkowi (Konstantemu Komorskiemu), który zdobył pracę na kolei stołujemy się w stołówce kolejowej przy ul. Grunwaldzkiej. Mamusia dostaje pracę w organizującej się jako Zakłady Przemysłu Ciężkiego, byłej stoczni "Schichau" ograbionej przez Rosjan z maszyn. Za Niemców stocznia zatrudniała tysiące ludzi. Wciąż na pochylniach są statki niedokończone, widziałem je, gdy żeglowaliśmy.

Tu stoczni być nie może. Elbląg przestał być portem. Wyjście na morze blokują Rosjanie w Cieśninie Pilawskiej. Fabryka jest tylko zbiorowiskiem pustych hal fabrycznych. Wszystko zrabowali i wywieźli Rosjanie. Niestety, Elbląg nie może służyć jako stocznia i port. Wyjście na morze - cieśnina Pilawska jest w rękach Rosjan. Dla Polaków jest zamknięta do dziś. Stąd plany przekopania Mierzei Wiślanej. Polacy po objęciu zakładu organizują produkcję przemysłową od nowa. Mamusia pisze na maszynie jako sekretarka. Fabryka organizuje własne obiady przy placu Świętojańskim, a więc wyżywienie mamy załatwione. Ogródek przy domu i działka dostarczają owoców i warzyw.

W czasie wakacji szkolnych Fabryka organizuje co roku kolonie letnie dla dzieci pracowników, pierwsze w Jastrzębiej Górze 1946?, drugie w 1949 r. w Słupcu koło Kłodzka, trzecie zaś w Suchaczku koło Elbląga. Mamusia mojego przyjaciela Marka Bochdana organizuje dla niego i dla mnie pobyt w prewentorium w Rabce, połączony z podróżą do Krakowa - Wawel, Smocza Jama.

Tam dostałem w ucho od jakiegoś turysty przy próbie złożenia podpisu na skale - lekcja obywatelska. Dzwoniło mi w ucho przez parę dni. Również mile wspominam wycieczkę do Zakopanego z Markiem i z „Wową” - Mengielem. Przy poznawaniu się, zawsze delikatnie próbowaliśmy się wybać, poznać stosunek do „obecnej rzeczywistości”, do okupacji radzieckiej, UB itp., aby do domu nie wprowadzić szpicli i donosicieli. Praktykowano to wśród dorosłych jak i dzieci.

Dzieci pozostawione same sobie (rodzice w pracy) penetrują wszystkie kąty miasta. Znosimy znalezione broń i amunicję do domu. Przeważnie broń uszkodzoną, karabinki Mauser najczęściej mają wyłamane kolby lub zgięte lufy. Z tego robimy obrzynki wygładzając wyłamanie kolby na uchwyt dłoni i obcinając lufę piłką do żelaza. Powstaje z tego straszna broń, łatwa do ukrycia. Nie używamy ostrych naboju, zbyt mocno kopie w rękę. Obecami wyrывa się pocisk z szyjki naboju, proch przyciska watą i upycha się jedną dużą lub parę kul z łożysk lub śrutu. Próbnе strzelania na strychu ukazują, że dużа kulka z łożyska przebija cztery belki sosnowe grubości 10 x 10 cm z odległości około 2 m. Oprócz gromadzenia broni i amunicji, częściowo w zabawie, częściowo poważnie, urządzamy różne zabawy z eksplozowaniem naboju, niewypałów, prochem armatnim z rozebranych pocisków 88 mm (chyba), czerwonym fosforem, raketami, ładunkiem wybuchowym z niewypałów. Palimy ogniska

wrzucając tam różne kombinacje wybuchowe. Co jakiś czas następuje eksplozja i zranienie lub kalectwo któregoś z dzieci. Rodzice w pracy w napięciu czekają po każdym wybuchu.

Powoli lata względnej wolności rozbrykanej dzieciarni ogranicza szkoła i ZHP, które starają się kontrolować je jak najdłużej, ale jednocześnie zaostrza się konflikt w społeczeństwie. Terror UB wzrasta. Coraz mniej „Ruskich” na ulicach, ale coraz bardziej czujemy obecność UB i milicji, oraz ORMÓ; próbują penetrować coraz bardziej wszystkie dziedziny życia. Zaostrza się podsłuch, szpiegowanie, inspirowanie donosów, kontroli społeczeństwa. Za posiadanie broni straszne kary tak, jak za niemieckiej okupacji. Coraz więcej aresztów, ludzie nie wracają, znikają z ulicy często aresztowani przez UB. Słuchanie audycji radiowych z zagranicy zabronione, szpiegują, podsłuchują. Nie dobrze jest mieć krewnych lub znajomych za granicą, ludzie się nie przyznają do takich kontaktów.

Ja szukam ojca: kapitan, siedział w Oflagu. Po naszym powrocie z Syberii nie mamy z nim kontaktu. Szukamy, ale jednocześnie podajemy się z bratem jako półsieroty. Niedobrze mieć oficera za granicą. (...)

POWSTAJE ODDZIAŁ ANTYKOMUNISTYCZNY

Poznaliśmy braci z Nowego Dworu Gdańskiego. Sąsiad, pan Stasio zaraził nas legendą podróży rowerem, sportem. Sam z nami pojechał pierwszy raz. Spodobało nam się to sportowe zajęcie. Zaczęliśmy kompletować rowery. O kupnie nie było mowy, ale z szabru i handlu można było coś zmontować. Opon nie było. Na obręczach nie dało się jeździć, można się było poważnie uszkodzić. Próbowaliśmy na własnej skórze. Na obręcze zakładaliśmy całowe ogrodowe węże gumowe i spinaliśmy je drutem, mówiło się „na szlauchach”. Podwórko stało się zbiorowiskiem części rowerowych i centralą handlu między kolegami. Ale różnie to bywało. Przychodzimy kiedyś do domu i nie ma mojego roweru, ciocia mówi - był tu kolega i powiedział, że ty mu pożyczyłeś rower i wziął go. - Mojego roweru i tego kolegi więcej w życiu nie widziałem. No, ale w końcu mieliśmy poskładane rowery. Przyszła moda na jazdy do braci do Nowego Dworu Gdańskiego - 25 km. Zostawaliśmy tam na noc i wracaliśmy na drugi dzień. Bracia - Krzysztof i Jacek to był inny, nieznan mi świat. Te dzieci pół polskie pół żydowskie miały bardzo rozwinięty świat abstrakcyjnego myślenia, różne wizje i projekty na przyszłość. Myślę, że pewne obrazy „idealnego” świata miały przekazane i nabyte gdzieś we wczesnym dzieciństwie. Potem, gdy starszy z nich był już w gimnazjum, zaczął to nazywać komunizmem. Chłopców cechowała olbrzymia samodzielność i zaradność, odwaga. Byli przesiąknięci legendą partyzantki. Mieli domek wynajęty dla siebie, dwóch chłopców 11 i 10 lat, bez ojca i matki. Parę pokoi na parterze i na piętrze duże dwa pokoje i boczne nisze, gdzie można było wygodnie spać. Tam chłopcy nocowali. Główny pokój przypominał zbrojownię, na ścianach wisiały bagnety, noże, tasaki, siekiery, szable, maczugi, wszystko na wysokości ręki, aby szybko złapać do walki lub rzutu. Obrona była przygotowana na wypadek, gdyby się ktoś włamał i siedł do nich na górę.

W Nowym Dworze Gdańskim spędzaliśmy długie wieczory na rozmowach z braćmi. Słyszeliśmy legendę partyzantką z Lubelszczyzny, o walkach oddziałów leśnych, śmierci ich ojca, o znanych partyzantach. Rozbijała wyobraźnię chłopięcą postanowiliśmy zamienić w czyn. Mieliśmy jakąś kolekcję broni i amunicji. Po lasach było jeszcze pełno sprzętu. Na

Mierzei Wiślanej broniły się niemieckie wojska zmotoryzowane, pozostało po nich pełno broni i amunicji. Organizujemy więc dwie grupy: „Nowy Dwór” i „Elbląg”, mnie wybierają wodzem całości, Krzysztof został zastępcą na Nowy Dwór. Nowy Dwór Gdański reprezentowali: Krzysztof, Jaca, Galant (syn burmistrza), Ewa. Elbląg zaś: Tomek, Jasio, Mirek, Marek (?), Czarny, Romek (?), Grześ. Nasze największe i najciekawsze zajęcie to wyprawy po broń i amunicję oraz zabawy pirotechniczne. Tutaj pragnę zanotować dwie przygody.

GÓRKA

Samotnie z Nowego Dworu pojechałem rowerem na Mierzeję Wiślaną po amunicję do karabinu (kb). Szukam po lesie, nagle widzę dziwną, inną niż wydmy piaszczyste, stożkowatą, stromą górkę, całą porośniętą trawą. Zaciekawiony podbiegam pod górkę, biegnę i... nagle zbocze zaczyna się obsuwać, nogi zapadają się w stos ludzkich butów. Oniemiałem, stałem na zboczu góry obuwia. Dziwne uczucie – lęk, zdziwienie... ja sam jeden, na kilometry w koło ani żywej duszy. Potem powiedziano mi w Nowym Dworze: „byłeś na terenach „Stutthofu” – obozu koncentracyjnego, gdzie mordowano Polaków z Pomorza i Warmii”.

Wracałem z tej wyprawy mając taśmy do CKM na krzyż złożone pod harcerską koszulką z cienkiego drelichu. Naboje wyraźnie odciskały się na plecach pochylonych nad kierownicą. Dogoniła mnie ciężarówka WOP z tyłu w skrzyni pełno żołnierzy, minęła i zwolniła, tak, że przez jakiś czas jechałem za ciężarówką. Żołnierze patrzyli na mnie - harcerzyka. A w głowie myśl: Zatrzymają czy nie zatrzymają? Po paru minutach ciężarówka przyspieszyła i zniknęła z widoku. Udało się. Trudno uwierzyć, że nie widzieli taśm z nabojami.

GŁOŚNA NOC

Jestem u braci. Mieszkają już w innym domku, piętrowym. Na piętrze mają sypialnie i kuchnię, tam żyją. Dolne pokoje używają jako skład. Dom ma dobre zamknięcia, parter ma okiennice. Tu jest bezpieczniej niż w poprzednim domku, ale oba domki są na skraju miasta za rzeką Tugą. Jak zwykle rozmawiamy do późna w nocy. Ciekawe dyskusje, debaty, opowiadania. Nagle łomot... do frontowych drzwi: „Otwierać!”. Coraz głośniejsze, ryki i przekleństwa. My nie odpowiadamy, aby chłopiące głosy nie zdradziły nas, że w środku są tylko 12-latki. Zgasiliśmy światła, ordynarne przekleństwa, groźby, wreszcie huknęły strzały. My bez słowa, otwieramy okno i walimy ze swoich obciętych Mauzerów. Na śrut, to daleko nie leci i nie jest celne, ale huk robi swoje. Na dworze uspokoiło się. Cisza. Nikt nie kwapił się włączyć do nas do środka.

W Elblągu przeprowadzaliśmy najróżniejsze ćwiczenia oprócz zabawy z bronią. Organizowaliśmy wyprawy w lasy, wspinaczki i łażenie po dachach, gruzach i ruinach. Gry sprawnościowe, różne walki zespołowe, ćwiczenia walki wręcz – judo. Ćwiczenia z obserwacji, np. zapamiętać numer rejestracyjny przejeżdżającego auta itp.

WPADKA ORGANIZACJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ

Nasz sąsiad - pan Stasio, wujek chłopców, przyjechał z Nowego Dworu Gdańskiego bardzo wzburzony. Zamknął się w pokoju na rozmowę z moją mamą i wujkiem Kotkiem. W końcu nas zawołali. W Nowym Dworze Gdańskim wpadli chyba Jaca i Galant przy malowaniu hasel antykomunistycznych. Przyjechało UB z Gdańska, okazało się, że UB-

-owiec był jakimś krewnym naszego sąsiada. Zawołali p. Stasia z Elbląga. Postanowili Nowy Dwór Gdański wyciszyć i odizolować od Elbląga, bo inaczej bracia mieliby życie zwichnięte, a i temu UB-ekowi i panu Stasiowi też mogło się dostać. Chłopcy z Nowego Dworu Gdańskiego dostali lanie i reprimendę oraz zakazano im mówić o Elblągu. Nas, pan Stasiu i wujek wzięli w obroty - mama i wujek wiedzieli, że magazynujemy broń i amunicję, ale myśleli, że to zabawa, wieczorem sprawdzali nam kieszenie i wyrzucali wszystko na cmentarz. Teraz "pękła bomba": myśmy mieli organizację - wydało się, kazali nam oddać cały sprzęt, wszystko, co mieliśmy. W nocy wywieźli razem z nami cały wózek sprzętu wojskowego na cmentarz. Dlaczego na cmentarz? Jak już mówiłem poprzednio, mieszkaliśmy naprzeciw dużego cmentarza. Nocą dochodziły stamtąd niehumanitarne ryki i często strzelanina. Jakies "hieny" otwierały bogatsze groby, wyciągały nieboszczyków, wyrwali złote zęby, biżuterię. Musiały to być bandy uzbrojone, chyba miejscowe, a może Niemiec czy Rosjanie żołnierze - ci wodzili prym. Wybuchaly bójki. Cały cmentarz wyglądał okropnie, coraz gorzej: kości ludzkie, groby pootwierane, dziury, gruz, jak kretowisko, różne okrycia zmarłych wiatr rozwiewał i zwierzęta rozciągały ubrania, buty, kości - okropny widok. Już tak to wyglądało, gdy przyjechaliśmy do Elbląga w lipcu 1945 i coraz bardziej się pogarszało. Potem, po zwaleniu resztek kościoła Św. Anny i wysokiej wieży, Zarząd Miejski kazał wyrównać teren i zagospodarował go jako Park Miejski, zrywając wysoki metalowy parkan którym otoczony był cmentarz. Wtedy się uspokoiło. Pozostała tylko kaplica cmentarna.

Wkrótce nasza organizacja rozleciała się. Siłą rzeczy kontakt z Nowym Dworem Gdańskim trzeba było zerwać na jakiś czas. Ten UB-ek z Gdańska i pan Stasiu wiedzieli o Elblągu, mieli nas w ręku. Z Tomkiem (mój brat) nie wydaliśmy nikogo, ale nie było też przesłuchania w UB, tylko rozmowa ze starszymi. Większość z nas były to dzieci ze szkoły powszechnej. Nie było mowy o dalszej "konspiracji", o której i tak nikt z nas nie miał pojęcia, chociaż broni mieliśmy trochę schowanej. W piwnicy u nas w domu zakopane (chyba 2) karabiny, 1 pistolet maszynowy, amunicja, popsuty pistolet. W ogrodzie zakopane granaty. Tego już nigdy nie próbowaliśmy odkopać, ani Tomek ani ja, (szukali tego Michał i Rysio, kuzyni, o 20 lat młodszy, bo legenda wciąż żyła). Mówiąc o broni i amunicji koniecznie muszę wspomnieć o odkrytym magazynie amunicji na Starym Mieście, jeszcze gdy byliśmy organizacją.

Magazyn amunicji w piwnicach zrujnowanej Starówki Elbląskiej, wejście niepozorne w kupie gruzów. Nie pamiętam, kto mnie tam zaprowadził. To był wspaniały magazyn Niemieckiego Wojska, elegancko poukładane skrzynki z amunicją pod sam sufit. Amunicja do karabinów kb 9 mm, taśmy do CKM, skrzynki granatów zaczepnych - tłuczkowe, skrzynki pocisków przeciwpancernych (Panzerfaust), a przede wszystkim rakiet. Niestety, takiej ilości nie mogliśmy nigdzie przenieść. Wypchaliśmy kieszenie amunicją i zabraliśmy przede wszystkim rakiet, to był ubaw! Magazyn miał być naszą tajemnicą, ale zbyt wielu z nas o tym wiedziało. Gdy poszliśmy tam następnym razem - było puściutko. Jednak przez parę dni Elbląg miał kolorowe fajerwerki (ogon z papieru przymocowany drutem, a z drugiej strony drutu śruba zamiast iglicy). Rzucona rakietka w górę spadała iglicą w dół kierowana przez ogon, uderzała w twardą nawierzchnię - strzelała rakietka - tylko, że nie było kontroli w którym kierunku poleci. (...)

Krzysztof Czermański

POCZĄTKI CENTRALNEGO ZAKŁADU KARNEGO SZTUMIE¹

Dynamiczny rozwój przemysłowy Prus w drugiej połowie XIX i początku XX wieku, duża migracja ludności oraz jej znaczny wzrost generowały nie tylko pozytywne zjawiska społeczne. Jednym z takich ciemnych stron był wzrost przestępczości. Wobec łamiących prawo sądy coraz częściej orzekały kary więzienia. Czasowa izolacja przestępcy od społeczeństwa stała się powszechnie stosowanym środkiem karnym. Funkcjonujące przy gmachach sądów powiatowych i obwodowych obiekty więzienne liczące od 6 do 12 cel były przepelnione. Często z trudem pełniły swe funkcje. Znajdowały się bowiem w piwnicach, w starych obiektach, o słabym zabezpieczeniu. Także duże więzienia, zwane samodzielnymi zakładami egzekucyjnymi, podległe Zarządowi Więziennictwa w Berlinie pękały w szwach.

W tej sytuacji, „dysponując znacznymi środkami finansowymi władze pruskie w drugiej połowie XIX w. na wielką skalę rozwinęły budownictwo więzienne”. Powstają duże i nowoczesne więzienia² m.in. w Wołowie (1893), Wronkach (1894), a w 1903 roku zostaje rozbudowane do rozmiarów prawie 1000 cel jednoosobowych więzienie w Gdańsku. W 1910 roku pruski Zarząd Więziennictwa rozpiisał przetarg na budowę Centralnego i Młodzieżowego Więzienia dla Prus Wschodnich i Zachodnich w Sztumie.

Urząd landrata (starosty) sprawował od 1904 roku dr Walter Gottfried von Auwers. Ten długoletni asesor rejencyjny, skierowany do Sztumu z Berlina, włożył wiele wysiłku w rozwój miasta i powiatu. Podjął wiele inicjatyw mających podnieść rangę Sztumu. Jedną z nich było sprowadzenie jednostki wojskowej. W październiku 1913 roku na Rynku sztumianie uroczystie przywitali III batalion 152 Królewsko-Pruskiego Pułku Piechoty Zakonu Niemieckiego, który stacjonował w mieście przez kilka następnych lat, a opuścił je na mocy postanowień traktatu wersalskiego. Wybudowano dla wojska kompleks koszarowy między ulicami Dworcową (obecnie Reja) i Malborską (dziś Sienkiewicza), a także budynki mieszkalne dla kadry.

Kilka lat przed powstaniem garnizonu rozpoczęły się starania o wybudowanie w Sztumie dużego więzienia. Władze lokalne zyskały taką wstępną obietnicę około 1906 roku. Można tak sądzić na podstawie notatki opublikowanej w „Gazecie Toruńskiej”, informującej o wizycie w Sztumie urzędników z ministerstwa sprawiedliwości i spraw wewnętrznych. Przybyli „aby oglądać 44 morgowy kawałek gruntu, na którym wybudowane zostanie praw-

¹ Fragment monografii Zakładu Karnego w Sztumie autorstwa Krzysztofa Czermańskiego pt. *Więzienie w Sztumie w epoce totalitaryzmów 1933 – 1956*, która ukazała się drukiem we wrześniu 2014 r.

² W dniu 13.07.1843 r. w Prusach został opracowany w kilkudziesięciu punktach plan wzorcowy określający budowę niewielkich więzień sądowych. Do tego planu C. F. Busse opracował m.in. projekt więzienia w Raciborzu, który stał się wzorcem do naśladowania przy budowie innych więzień (np. Moabit II w Berlinie 1875 r., Münster 1892 r.). Wcześniej w 1842 r. zostało otworzone pierwsze w Prusach więzienie celkowe (Moabit). Zob. A. Kurek, *Niemieckie więzienia sądowe na Śląsku w czasach Trzeciej Rzeszy*, Kraków 2007, s.18.

dopodobnie więzienie centralne"³. Przeliczmy: morga pruska mała to 0,25 ha. Czyli była to działka ok. 11-hektarowa. To o tyle ważne, że do dziś więzienie zajmuje taki obszar. W 1907 roku gazeta donosi: „Sztum. Zamyślają tu wybudować centralne więzienie dla Prus Wschodnich i Zachodnich”⁴. Dlaczego akurat w tym miejscu?

Istotnym walorem Sztumu było jego położenie. Leżące na wschodnim krańcu Prus Zachodnich miasto, blisko granicy z Prusami Wschodnimi, dobrze nadawało się na siedzibę centralnego więzienia dla tych dwóch prowincji pruskich Rzeszy Niemieckiej. Placówki przeznaczone dla dużej liczby więźniów z założenia nie były związane z konkretnymi sądami, ale miały być równomiernie rozmieszczone w poszczególnych prowincjach. Być może pewne znaczenie w staraniach władz lokalnych mogły odegrać berlińskie kontakty starosty Auwersa. Jednak niebagatelne znaczenie miało z pewnością to, że władze miejskie odstąpiły Zarządowi Więziennictwa 10-hektarową działkę pod tę inwestycję. Tak było w przypadku budowy więzienia we Wronkach zakończonej w 1894 roku.

Warto w tym miejscu dodać, że w wielu przypadkach po wybudowaniu gmachów więziennych wraz z domami dla urzędników było tak, że „umową notarialną przekazywano na rzecz administracji miejskiej grunt, obejmujący obszar więzienia”⁵, czyli oddawano miastu wcześniejszą jego własność. Mogło tak być także w przypadku Sztumu. Zakłady karne do dziś płacą władzom lokalnym podatek od ziemi i nieruchomości.

W 1910 roku „Pielgrzym” zamieścił taką oto krótką notkę: „Sztum. Jest już pewnem, że właśnie tu wybudowanem zostanie więzienie centralne dla Prus Zachodnich”⁶. W następnym roku rozpoczęto inwestycję. „Pod nową budowę dla więzienia centralnego rozpoczęto już prace ziemne, przy których zatrudnionych jest 30 więźniów.”⁷ Projekt architektoniczny zakładał wybudowanie między szosą do Malborka i do Koślinki, przy dawnej drodze młyńskiej (Mühlenweg) kompleksu, składającego się z otoczonego murem gmachu dla zarządu więzienia, połączonego z pawilonem dla 400 pensjonariuszy oraz osiedla dla urzędników więziennych.

„Prace nad budową wiezienia centralnego postępują rażno naprzód. Więźniowie wyrównują plac przeznaczony na dziedziniec więzienia. Budowa tego gmachu i całkowite urządzenie wykończone ma być mniej więcej w czterech latach”⁸.

Rozpoczęto budowę linii kolejki towarowej, łączącej plac budowy ze stacją kolejową. Owo połączenie miało ułatwić dostawę materiałów budowlanych, przywożonych z głębi Niemiec i z pobliskiego Pomorza. Wąskotorowa kolej prowadziła obecną ulicą Kasprowicza - przez most drewniany nad Białym Rowem, przecinała szosę prowadzącą do Malborka i dochodziła do budowanego więzienia. Wagonikami kolejki transportowano cegłę, cement, stal i tarcicę.

Połączenie linią szynową sztumskiego więzienia z linią kolei nadwiślańskiej spełniało nadto pruskie wymogi w sprawie transportowania więźniów. „Zgodnie z instrukcją z dnia

³ „Gazeta Toruńska”, 1906, nr 103. Za wskazanie cytatów z tej gazety dziękuję Januszowi Ryszkowskiemu.

⁴ „Gazeta Toruńska”, 1907, nr 134.

⁵ J. Czolgoszewski, *Dzieje olsztyńskich więzień*, „Przegląd Więziennictwa Polskiego”, 1999 nr 22-23.

⁶ „Pielgrzym”, 1910, nr 24.

⁷ „Gazeta...”, 1911, nr 124

⁸ „Gazeta...” 1911, nr 147.

8.12.1906 r., dotyczącą przewożenia więźniów, ich transport pomiędzy więzieniami miał odbywać się głównie z wykorzystaniem kolei. Instrukcja określała m.in. sposób transportowania, rodzaj wagonów, jakich należało używać do transportowania więźniów, wielkość eskorty, określała także, z którego okręgu i jakiego więzienia należało wyznaczać kierowników transportów. W instrukcji wskazywano także na osoby, które nie podlegały transportowaniu w myśl określonych w niej zasad. Należeli do nich: kobiety od 5 miesiąca ciąży, skazani na karę twierdzy, ciężko chorzy, młodociani oraz więźniowie podejrzewani o chęć dokonania ucieczki⁹.

Można zakładać, że kolejkę towarową wykorzystano także 20 lat później podczas rozbudowy więzienia. Pod koniec lat trzydziestych tory częściowo rozebrano. Usypany podkład pod torowisko wykorzystano do poprowadzenia ulicy, którą nazwano imieniem Achacego Czemy, starosty sztumskiego. Szyny i lorki na terenie osiedla dla funkcjonariuszy i przed murami więzienia zachowały się do lat osiemdziesiątych XX wieku. Jeszcze podczas przebudowy bramy więzienia w 2003 roku, wewnątrz zakładu, wykopano - pewnie już ostatnie - szyny ze zwrotnicą.

Do prac przy budowie wąskotorówki także wykorzystywano skazanych. „Gazeta Toruńska” z 1912 roku relacjonuje: „Trzech więźniów zatrudnionych sypaniem toru, który ma łączyć tutejsze więzienie centralne z dworcem usiłowało zbiec na oczach dozorczy. Rozproszyli się oni na trzy strony, tak iż dozorca musiał użyć broni palnej. Zranił on wszystkich trzech w nogi, lecz tylko jeden upadł, drudzy dwaj mimo ran mu uciekli”¹⁰.

Poza wzmiankami prasowymi, z których wynika, że przy pracach zatrudniano 30-35 więźniów, niewiele wiadomo o przebiegu inwestycji. Przetrwiała za to ciekawa opowieść o tragicznym wypadku. Otóż wykopy pod fundamenty wykonywali młodzi pruscy żołnierze. W czasie robót natrafili na wody podskórne. W jednym z takich głębokich wykopów, na skutek występującej kurzawki, obsunęła się ziemia, grzebiąc robotników. Z kilku pracujących uratowano tylko jednego. Był to Franciszek Wiśniewski, późniejszy podoficer i trębacz kawalerii pruskiej. Po zakończeniu I wojny zamieszkiwał w domku na Zajezierzu. Wstąpił krótko potem do Wojska Polskiego w garnizonie Grudziądz. Powierzono mu trudną i nowatorską misję tworzenia wojskowej łączności telefonicznej. Trwała pamiątką po wypadku była blizna na brzuchu od trzonka do łopaty, z którą został przysypany.

W literaturze można napotkać różne daty zakończenia sztumskiego kompleksu więziennego. Podobnej wielkości obiekty (Olsztyn, Wołów, Wronki) budowano około dwóch lat, a ich koszt oscylował w granicach 1,5 miliona marek. Najwcześniejszą datą zakończenia budowy jest rok 1911¹¹. Gerda Zottmaier, córka pastora więziennego podaje 1913 rok, dodając, że było to dzieło budowniczego Leindeckera. Wydaje się jednak prawie pewne, że inwestycję zakończono dopiero w 1915 roku. Do takiego stwierdzenia skłania fakt zachowanych do dziś dwóch znaków (merki) firm budujących obiekt. Widnieją one na ścianie ceglanego komina, jednego ze strychowych pomieszczeń bramy więzienia. Merki wykonano z betonu w kształcie tarczy i mają 30 cm wysokości i szerokości 25 cm. Na jednym z nich pod literowymi gołdami firmy rok 1914, na drugim zaś 1915.

⁹ A. Kurek, *Więzienia na Śląsku w czasach Trzeciej Rzeszy*, „Przegląd Więziennictwa Polskiego”, 2006, nr 52-23 W, s. 225

¹⁰ „Gazeta...”, 1915 nr 183.

¹¹ W. Freyberg (red.), *Sztum Stuhm*, s. 26.

W 1914 roku więzienie mogło już częściowo funkcjonować. W lutym tego roku prasa przynosi informację o ucieczce robotnika Jana Morszewskiego, skazanego na dłuższą karę. Rok później inwestycja nie jest jeszcze skończona, ale „postąpiła tak daleko, że w czerwcu będzie mogła służyć przeznaczonemu celowi”¹². A zatem 1915 to rok zakończenia inwestycji.

Problemy, na jakie napotkali budowniczowie, mogły przyczynić się do opóźnienia prac (miały potrwać 4 lata, przeciągnęły się do pięciu), a może nawet ich niedokończenia lub wykonanie ich w zmienionym kształcie. Za tą hipotezą przemawia niespotykane, jak na owe czasy, usytuowanie sztumskiego więzienia na planie dużej litery T. Powstające na otwartych terenach nowe więzienia pruskie budowano na planie krzyża. Nietypowa – jakby niepełna – architektura opisywanego więzienia może potwierdzać problemy z wystąpieniem kurczawki. Warto dodać, że po latach musieli się z tym zmierzyć budowniczowie na terenie odległym zaledwie o 100 metrów od północnej części muru więziennego. W końcu lat 70. ub. wieku stawiali tam hale produkcyjne dla POM-etu, przedsiębiorstwa przywieziennego. Zastosowane rozwiązanie, przedłużające jednak w czasie tę budowę, polegało na zastosowaniu betonowych pali.

Wybuch I wojny wymuszał oszczędności w wielu dziedzinach życia, środki kierowano przede wszystkim na potrzeby pruskiej armii. Mogło to wpłynąć na niewybudowanie czwartego skrzydła budynku więziennego.

Jego powstanie zapewne zakładał projekt, gdyż mur więzienny od strony północnej, był znacznie oddalony od pawilonu mieszkalnego. Z planów z 1917 roku można wyraźnie wyczytać, że sieć centralnego ogrzewania pawilonu mieszkalnego kierowano także w stronę brakującego skrzydła i zakończono „połączeniem do późniejszej rozbudowy”¹³. A dobudowano je dopiero w latach trzydziestych XX wieku.

Równocześnie z budową więzienia realizowano budowę osiedla przeznaczonego dla urzędników wymiaru sprawiedliwości. Osiedle zostało wybudowane na terenie pomiędzy więzieniem, a na południe od niego leżącą ulicą Bromberger Strasse (dzisiejsza Nowowiejskiego) i składało się z trzech ciągów ulic niemalże równoległych do siebie. Środkowa z nich – nazwijmy ją aleją główną, prowadziła wprost do portalu więzienia – była jedyną, która łączyła się z Bromberger Strasse i tylko nią można było dostać się na teren kompleksu więziennego. Obie zaś boczne, biorące swój początek od południowego krańca drogi głównej, biegnęły pierwsze kilkadziesiąt metrów równoległe do Bromberger Strasse, by następnie łagodnym łukiem kierować się ku wschodnim i zachodnim murom więzienia. Przy tych ulicach wybudowano 9 domków dwurodzinnych z czerwonej cegły z niewielkim ogródkiem od strony drogi i dużym ogrodem z tyłu. W nich zamieszkali dozorczy więzienni i nauczyciel wraz z rodzinami.

Warunki mieszkaniowe rodzin dozorców ulokowanych w „bliźniakach” były skromniejsze niż pozostałych urzędników, ale dobrze świadczyły o dbałości, jaką władze pruskie temu zagadnieniu poświęcały. Domy miały trzy kondygnacje, w tym piwnicę, strych z dużą suszarnią i pokojem. Na parterze pokój, dwie sypialnie, kuchnia, pralnia, łazienka i osobno

¹² „Gazeta ...”, 1915 nr 44.

¹³ Technischen Universität Berlin Architekturmuseum, Inv. Nr 34017.

ustęp. Nie licząc schodów łączących kondygnacje, korytarzy, piwnicy i suszarni, powierzchnia pomieszczeń wynosiła blisko 80 m². Wszystkie posesje okolone były białym, drewnianym płotem.

Przy głównej alei, prowadzącej do bramy więzienia, wybudowano kolejnych pięć dużych domów wielorodzinnych oraz okazałą willę przeznaczoną dla dyrektora. Wchodząc na aleję wysadzoną młodymi lipami z Bromberger Strasse nie sposób było go nie zauważyć. Stał jako pierwszy po prawej stronie i różnił się od pozostałych umieszczonym nad wejściem motywem ornamentowym. W pozostałych budynkach wejście znajdowało się z boku lub tyłu budynku.

W na parterze znajdowała się kuchnia, trzy duże pokoje oraz okazały salon do przyjmowania gości. Na piętrze zaś pokoje i sypialnie domowników oraz pomieszczenia dla służby. Naprzeciw „dyrektorówki” mieszkał wraz z rodziną pastor ewangelicki Zottmaier (ale czy w początkach więzienia?). Początkowo w domach przy alei mieszkali przede wszystkim wyżsi urzędnicy więzienni, inspektorzy, asystenci, kierownicy dozorców. Zajmowali mieszkania o dużej powierzchni, stąd zapewne nazywano je *domami oficerskimi*. Ale już po I wojnie światowej wprowadzili się do nich także adwokaci oraz urzędnicy kas oszczędności i urzędu budowlanego. Wszystkie domy są usytuowane znacznie powyżej poziomu alei. A szeroką aleję od małego ogrodu przed domem dzielił dwumetrowy trawnik, przechodzący w spory także trawiasty nasyp a na min stał biały, drewniany płot. Do drzwi wejściowych dochodziło się chodnikami i schodami prostopadłymi do dróg osiedlowych, wyłożonych dużą, gładką kostką kamienno-betonową. Obecnie są pokryte asfaltem, ale podczas wiosennych spękań gdzieś jest ona jeszcze widoczna.

Stare zdjęcia pokazują osiedle pełne zieleni, trawników, zadbanej ogrodów i czystych ulic. Oprócz lip zasadzono również między domami kilka kasztanów, które w tradycji germańsko-galijskiej są symbolem sprawiedliwości. Odnosi się wrażenie ogólnego porządku.

Południową część osiedla wraz z ogrodami przydomowymi oddzielał od miasta niski betonowy mur zakończony drewnianym płotem pomalowanym także na biało. W miejscu, gdzie aleja główna łączyła się z Bromberger Strasse, mur przerywały dwa potężne filary z przymocowanymi do nich drewnianymi wrotami. Obok z obu stron znajdowały się furtki dla pieszych. Całe to ogrodzenie, które przetrwało w niewielkiej części do dziś, miało długość ponad 200 metrów.

W drugim końcu alei widać było szeroką bramę więzienną dwoma bocznymi wejściami. Całość była zdobiona od góry szeregiem białych filarków, nad którymi w nieodległej głębi wznosił się ogromny gmach z wysoką wieżą. Brama otwierana dla pojazdów, z bocznymi drzwiami dla ludzi, wypełniała całą szerokość alei. Po obu stronach mniejsze budynki uzupełniające architekturę bramy. Każdy z nich, zwieńczony czterospadowym dachem z czerwoną dachówką, miał trzy okna zabezpieczone solidną nitowaną kratą, lekko wybrzuszona na zewnątrz. Wewnątrz znajdowały się pomieszczenia dla strażników strzegących dostępu do więzienia. Te dwa budynki łączyła nie tylko brama od strony miasta, lecz również druga od wnętrza więzienia. Jest to standartowe rozwiązanie architektoniczne większości dobrze zabezpieczonych więzień. Przestrzeń między bramami służy przede wszystkim skontrolo-

waniu pojazdów, rzeczy czy też ludzi przed dostaniem się na teren więzienia, lub przed jego opuszczeniem i nazywana jest śluzą.

Brama wjazdowa wraz z bocznymi budynkami tworzące zwarty kompleks bramy więzienia stanowi jakby wielką klamrę spinającą dochodzące do nich od strony wschodniej i zachodniej mury więzienia. Z cegły, podparte - co kilkanaście metrów - skośnymi ceglany filarami, otynkowane, w celu utrudnienia przedostania się przez niego, zwieńczone dwoma rzędami ułożonymi w „szpic” dachówek, otaczał całe więzienie.

Po przekroczeniu drugiej bramy więzienia, tej wewnętrznej, ukazywał się potężny gmach z wieżą wysokości blisko 33 metrów, o którym we wspomnieniach Gerda Zottmaier pisze, że był wizytówką więzienia. Wieża, a właściwie wieżyczka w tych czasach była jednym z najwyższych punktów miasta. Na jej szczyt można się było dostać kręconymi stalowymi schodami, w górnej części drewnianymi. Jej drewniana, wieloboczna konstrukcja obita blachą cynkową, przykryta hełmem posiada na obwodzie 4 okna doprowadzające do wnętrza światło. Zwieńczeniem jej jest umieszczona na hełmie iglica z przytwierdzonym do niej wizerunkiem klęczącej postaci, wykonanym z blachy, prawdopodobnie miedzianej. Symbolizuje przeznaczenie obiektu jako domu pokuty za popełnione grzechy, albo wiary, miejsca modlitwy, bo przecież w tym gmachu znajdowała się kaplica. A może jedno i drugie, trudno dzisiaj rozstrzygnąć o intencjach twórcy pomysłu.

Aby dostać się do wieży należało najpierw wejść do gmachu. Na jego parterze - w początkowym okresie - znajdowały się przebieralnie, magazyny i biura. Piętro zajmowały biura zarządu więzienia z gabinetem dyrektora, biblioteka. Na drugim piętrze znajdowała się duża, o powierzchni 490 m² i wysoka na 15 metrów kaplica z półkolistym drewnianym sklepieniem podchodzącym niemal pod dwuspadowy dach. Sklepienie oparto na 10 betonowych kolumnach stojących w dwóch liniach, między którymi umieszczono dwa rzędy ław kościelnych. Właściwe dzienne oświetlenie zapewnia 12 podłużnych, wysokich zakończonych półkoleściami okien, po sześć od strony wschodniej i zachodniej. Pomieszczenie to odznacza się bardzo dobrą akustyką. Jeżeli ktoś będzie mówił cicho na środku południowej części, to jego głos będzie słyszalny dla będących w drugim końcu kaplicy, jakby ten mówił im bezpośrednio do ucha. Znaczący temat zapewne potrafiliby wytłumaczyć to zjawisko.

Z kaplicy drewnianymi schodami można było dojść do wieży. Jej wizualne walory architektoniczne nie ustępowały praktycznemu przeznaczeniu. Doraźnie mogła służyć obserwacji terenu. W tym przecież czasie najbliższa okolica, pomijając kierunek południowy, była jeszcze niezabudowana. Węzienie z trzech stron otaczały pola z przecinającą je dobrze widoczną szosą malborską i drogą na Koślinek. Na przyległych polach w niedalekiej przyszłości mieli pracować więźniowie. Można więc było obserwować bliższą i dalszą okolicę wraz z drogami.

Jak już wcześniej wspomniałem gmach zarządu łączył się bezpośrednio z pawilonem mieszkalnym, a dokładnie z jego południowym skrzydłem. Wszystkie trzy kondygnacje gmachu miały połączenie z parterem i dwoma pierwszymi piętrami pawilonu. To ułatwiało komunikację pomiędzy biurami, magazynami, kaplicą a południowym skrzydłem, które dalej, po przejściu blisko 15 metrów, łączyło się pod kątem prostym ze skrzydłem wschodnim i zachodnim pawilonu więzienia.

W miejscu zbiegania się trzech budynków, na trzeciej kondygnacji, wisiał dzwon wybijający pory pobudek, apeli, posiłków i ciszy nocnej. Odzywał się także w sytuacjach zagrożenia bezpieczeństwa więzienia i ważnych dla kraju wydarzeń. W tym centralnym miejscu pawilonu dozorca więzienny, nie ruszając się z miejsca, mógł obserwować korytarze trzech skrzydeł pawilonu wraz z ciągami komunikacyjnymi w kształcie galeryjek, na ich czterech piętrach.

Poszczególne kondygnacje połączono stalowej konstrukcji klatką schodową z drewnianymi stopniami schodów. Wszędzie równe rzędy drzwi do cel, a wzdłuż każdego rzędu - od pierwszego piętra w górę - szeroka na metr galeryjka z balustradą, nad nią druga i trzecia. W ten sposób widać wszystkie drzwi. Wszystkie galeryjki na kolejnych piętrach. I wygodnie liczyć; jeden rząd to 20 cel, nad nim galeryjka i kolejne 20, i znowu. Po lewej 80 cel na czterech poziomach i 80 cel po prawej. Jeden korytarz to 160 cel. Dwa korytarze to już 320, a dochodzi jeszcze trzeci południowy, krótszy.

Przy każdej celi nad jej drzwiami - od strony galeryjki - widoczna była pionowo ustawiona blaszka, zamocowana do wystającego ze ściany pręta. Ów pręt, poprzez ścianę korytarza, sięgał do celi. Gdy więzień pociągnął za niego, a działo się tak, gdy chciał przywołać dozorcę, blaszka z hałasem opadała.

To centralne miejsce (zbiegania się trzech budynków) było bardzo dobrze oświetlone światłem dziennym, gdyż od strony północnej w miejscu, gdzie miało być czwarte skrzydło więzienia znajdowała się szklana ściana wykonana z luksfery. Światło naturalne docierało na korytarze trzech skrzydeł. Przez szklany dach, poprzez pustą przestrzeń między galeryjkami, docierały aż do parteru pawilonu. Stąd wzięło się popularne wśród więźniów powiedzenie: *trafił pod szklany dach*. Kompleks więzienny dopełniały parterowe i piętrowe budynki gospodarcze i produkcyjne położone po obu stronach gmachu Zarządu.

Okres budowy więzienia zbiegł się w czasie z innymi ważnymi dla Sztumu inwestycjami. W 1912 roku miasto otrzymało energię elektryczną oraz sieć wodociągową z imponującą wieżą ciśnień. Te dwa przedsięwzięcia tak bardzo służące rozwojowi miasta świadczą o tym, jak dobrze była przygotowana cała infrastruktura służąca późniejszemu funkcjonowaniu więzienia.

Ściągnięcie do miasta jednostki wojskowej wraz z nieodległym czasowo wybudowaniem dużego więzienia podniosło rangę miasta. Był to sukces landrata von Auwersa, który zdawał sobie sprawę, że armia i mundur, mundur rekruta, podoficera, oficera, policmajstra także dozorczy więzienny w jego kraju jest czynnikiem społecznego prestiżu.

Od tej pory Sztum będzie często kojarzony właśnie z więzieniem. I choć najlepsze nawet więzienie nie jest zaszczytem i walorem miasta, to nie musi być dla niego także ujmą.

Waldemar Kowalski

ŚMIERTELNE OFIARY REPRESJI SYSTEMU STALINOWSKIEGO – WĄTKI SZTUMSKIE

Na przełomie 2011 i 2012 roku rozpoczął się projekt badawczy IPN „Poszukiwanie miejsc pamięci ofiar terroru komunistycznego lat 1944-1956”. Jego jednym z głównych celów stało m.in. odnalezienie miejsc pochówku i przekazywania zwłok osób, które w wymienionym okresie powojennym stały się ofiarą i oddały swoje życie w konfrontacji ze zbrodniczym systemem komunistycznym¹. W kręgu zainteresowania w Województwie Pomorskim znalazły się leżące w jego obecnych granicach więzienia w Gdańsku, Wejherowie, Słupsku, Chojnicach, Malborku, Sztumie i w Starogardzie Gdańskim. W trakcie badań przeprowadzono szereg kwerend w dostępnych i niestety nie zawsze kompletnych zasobach archiwalnych.

Przeprowadzone prace badawcze wskazały, że w więzieniach Województwa Pomorskiego w latach 1945-1956 stracono 110 osób i zmarło w nich kolejne 1750 osób, co daje ogólną sumę 1851 osób. Liczba ta nie obejmuje obozów pracy przymusowej, w których według wielu przekazów panowała wysoka śmiertelność. Jak się można było spodziewać największa liczba ofiar śmiertelnych dotyczyła więzienia w Gdańsku przy ulicy Kurkowej. Sporządzony imiennie wykaz zmarłych i straconych w latach 1945-1956 obejmuje tu 1470 osób, przy czym niemal 1100 są to ofiary epidemii chorób zakaźnych, w tym tyfusu w latach 1945-1946. W liczbie 1470 ofiar gdańskich znajdują się 83 nazwiska osób straconych. Wśród nich jest 29 osób straconych za zbrodnie wojenne podczas II Wojny Światowej, 20 za zbrodnie typowo kryminalne i 25 zaklasyfikowanych do ofiar systemu politycznego lat 1945-1956. Dziewięć pozostałych w liczbie osób straconych wobec braku pełnych dotyczących ich danych pozostało niesklasyfikowanych.

EGZEKUCJA NA POSTRACH

Wśród straconych w więzieniu w Gdańsku znajduje się przedstawiciel sztumskiej ziemi Otomar Zielke. Został uwięziony 23.07.1948 r. i stracony przez rozstrzelanie (wyrokiem Wojskowego Sadu Rejonowego w Gdańsku) w dniu 21.04.1949 r. Otomar Zielke został skazany za to, że jako administrator zespołu rolnego w Zieleńcach dopuścił się niszczenia mienia państwowego. Był to zarzut nieprawdziwy. Nie bez znaczenia dla wyroku było natomiast to, że Zielke był już wcześniej zatrzymywany w okresie od 28.06.1946 r. do 21.12.1946 r. za udzielanie pomocy oddziałom Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. W kierowanym przez siebie majątku ziemskim zorganizował m.in. szpital dla rannych partyzantów i pomógł jed-

¹ W każdym z województw Polski powołano jedną osobę do realizacji projektu. Do prowadzenia wstępnych prac, w tym kwerend na terenie Województwa Pomorskiego powołano niżej podpisanego autora artykułu. Nadzór i koordynację prac nad projektem powierzono (posiadającemu w tym zakresie pełnomocnictwo prezesa IPN) dr hab. Krzysztofowi Szwagrzykowi.

nemu z rannych. Wyrok był wymierzony w inteligencję sztumską i miał na celu zastraszenie przychylnej partyzantom ludności.

Jego zwłoki przekazano do Akademii Lekarskiej w Gdańsku. Pisemne zezwolenie w tym zakresie wydał w dniu egzekucji naczelnikowi więzienia Wojskowy Prokurator Rejonowy ppłk J. Amons: *Zezwalam na wydanie zwłok Zielke Ottomara s. Bazylego do Akademii Lekarskiej w Gdańsku dla celów naukowych*². Potwierdzenie przekazania ciała ofiary znajduje się w „Księdze pozyskiwania i wykorzystania zwłok Akademii Lekarskiej w Gdańsku z lat 1946-1956”. Przy przyjętych tego samego dnia zwłokach zawarto adnotację: „rany postrzałowe”. Zwłoki wykorzystano do nauki anatomii przez studentów kursu ze Szczecina dopiero w dn. 10.01.1950 r.

ŚMIERTELNE WIĘZIENIE W SZTUMIE

W liczbie polskich więzień, w których wykonywano kary śmierci w latach 1944-1945 podaje się w literaturze temu poświęconej ponad sto miejscowości, a jednak nie ma na niej według dotychczasowych ustaleń jednego z największych polskich więzień - więzienia Sztumie. Widocznie nie było tu potrzebne wykonywanie kar śmierci, bo warunki pobytu były tu tak podłe, że tylko w latach 1945-1953 zmarło tu 270 osób. Gdyby dodać do tego ciężko chorych i w stanie agonalnym przewożonych do szpitala więziennego w Gdańsku, gdzie wielu z nich wkrótce i tak umierało, to lista ta może się okazać w rzeczywistości znacznie wyższą.

Lista zmarłych w więzieniu w Sztumie wydaje się szczególnie ważną. Wynika to chociażby z faktu, że obok wielu zbrodniarzy wojennych i typowo kryminalnych znajdują się na niej nazwiska szczególnie zasłużone dla historii Polski i powojennego ruchu oporu. Za przykład można podać kontradmirała Adama Mohuczego. Jego ciało pochowano ostatecznie po ekshumacji na warszawskim Cmentarzu Bródnie.

CIAŁA NA POTRZEBY AKADEMII

Szereg informacji o zwłokach zmarłych i straconych w latach 1945-1956 w więzieniach obecnych granic Województwa Pomorskiego dostarczyła analiza dokumentacji Archiwum Zakładu Anatomii i Neurobiologii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. W „Księdze pozyskiwania i wykorzystania zwłok Akademii Lekarskiej w Gdańsku lat 1946-1956” znaleziono istotne dane o przekazywaniu zwłok z więzień Gdańska, Starogardu Gdańskiego, Sztumu i Wejherowa na potrzeby nauki, w tym do ćwiczeń z anatomii dla studentów. Zezwalało na to prawo i ośrodki naukowe chętnie korzystały z tej możliwości.

Pozyskanych wprost z księgi danych nie należy jednak traktować za zbiór jednoznacznie i ostatecznie wskazujący liczbami na dane jednostki więzienne. Uzyskane dane liczbowe obciążają m.in. prawdopodobnie niewspółmiernie do rzeczywistości więzienie w Gdańsku. W latach 1946-1952 przekazano z więzienia w Gdańsku do Akademii Lekarskiej ciała 152 osób zmarłych i straconych³. Należy pamiętać jednak, że istniał tu szpital więzienny, do któ-

² Archiwum Państwowe w Gdańsku; sygn. akt 2376/1286, k.2.

³ Ze sporządzonych adnotacji wynika, że 3 ciała oddano rodzinie. Przy pozostałych 149 istnieje dokładna data wykorzystania zwłok do nauki anatomii przez studentów.

rego przewożono tu często z innych więzień osoby w agonalnym już stanie chorobowym. Potwierdza to analiza zachowanych akt więziennych w Archiwum Państwowym w Gdańsku. Warto też mieć na uwadze to, że w gdańskim więzieniu istniało w tym czasie niewielkie poniemieckie prosektorium i kostnica, a więc można tu było dostarczać ciała z innych więzień i stąd nawet po dłuższym kresie ich leżenia kierować je dalej do Akademii Lekarskiej.

Więzienie w Sztumie jest istotnym przykładem dla obciążania statystyką zgonów więzienia w Gdańsku. Analiza dokumentacji archiwalnej Akademii Lekarskiej w Gdańsku wskazuje, że istnieją znaczne przerwy w bezpośrednim przekazywaniu zwłok z więzienia w Sztumie do Akademii Lekarskiej. Potwierdzeniem jest jedna z dłuższych i wielomiesięczna przerwa od stycznia do listopada 1952 r. Innym z dowodów dla powyższego jest zmarły w Sztumie Stanisław Dzieciół, którego ciało z zachowaniem jego danych personalnych przekazano w dniu 03.02.1949 r. do Akademii Lekarskiej z więzienia w Gdańsku.

Wymieniona dokumentacja wskazuje, że bezpośrednio z więzienia w Sztumie przekazano do Akademii Lekarskiej w Gdańsku 91 zwłok. Pierwsze z nich dostarczono 4.05.1948 r., ostatnie 13.02.1953 r. Odmiennie dla praktyki ciał przyjmowanych z więzienia w Gdańsku, w przypadku więzienia sztumskiego tylko 4 ciała przyjęto z adnotacją N/N. Przy pozostałych 87 zwłokach pozostają odnotowane ich dane personalne - nazwisko i imię. Wszystkie przyjęte ze sztumskiego więzienia ciała należały do mężczyzn. Narodowość niemiecką zaznaczono przy 21 zwłokach, polską przy 9 i ukraińską przy 2. Przy 59 zwłokach nie odnotowano ich narodowości.

Przy wszystkich przyjętych z więzienia w Sztumie ciałach odnotowano dokładną datę przyjęcia. W 77 przypadkach odnotowano dodatkowo datę urodzenia i w 58 datę zgonu. We wszystkich przypadkach zapisano dokładne daty wykorzystania zwłok.

JEDNO CIAŁO NA CZTERECH STUDENTÓW

Praktyka ilościowa wykorzystania zwłok kształtowała się różnie i wynikała często z bieżących potrzeb i istniejących zasobów. Z zachowanej dokumentacji wynika, że zwłoki wykorzystywano niejednokrotnie w krótkim okresie po ich dostarczeniu, ale i nawet w okresach wielomiesięcznych, czy też kilkuletnich od chwili ich dostarczenia. Na poszczególne kursy kształcenia studentów wykorzystywano w jednym dniu od kilku do kilkunastu zwłok. Studiująca w latach 1946-1949 w Akademii Lekarskiej Hanna Kowalska-Kurek wspominała autorowi, że wobec dużej ilości posiadanych zwłok studentomich nie szczczędzono: *To było wyjątkowe i nie pomyślenia dzisiaj, to był rarytas, jedno ciało na czterech studentów*. Ludzkiej anatomii na zgromadzonych ciałach uczyli się nie tylko studenci z Gdańska, ale i przyjeżdżający tu na kursy anatomii studenci z innych miast Polski.

OFIARY SYSTEMU POLITYCZNEGO

Wśród wielu ciał, jakie trafiły w latach 1946-1956 do prosektorium Akademii Lekarskiej znalazły się również zwłoki osób zmarłych i straconych w związku z ich działalnością w strukturach powojennego podziemia. Wśród straconych znajdują się straceni przez rozstrzelanie Jantcauskas Wiktoras s. Józefa, Kazimierczak Henryk s. Stanisława, Kowal Ma-

rian s. Jana, Mirzyński Henryk s. Stefana i wspomniany już Zielke Otomar s. Bazylego. Ciała tych, którzy oddali swe życie w walce z powojennym terrorem spoczęły na stołach prosekcyjnych obok ciał zwykłych kryminalistów, zbrodniarzy wojennych, jak i osób zupełnie niewinnych, których często przypadek, a niejednokrotnie m.in. donos zawistnego sąsiada zawiódł do więzienia. Warto też zwrócić uwagę, że nawet zmarli przestępcy kryminalni, czy też zbrodniarze wojenni stali się w pewnym sensie ofiarami wyniszczającego systemu powojennych więzień, bo jeżeli zostali skazani na karę pozbawienia wolności, to przecież nie na śmierć w trakcie odbywania kary.

PYTANIA POZOSTAŁY

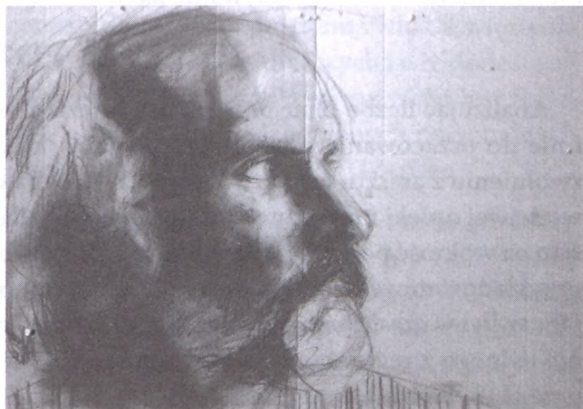
Analizując liczbę ofiar pomorskich więzień nie można zapomnieć również o nieznaney i nie do oszacowaniaw liczbie grupie osób, które wyniszczone w zdrowiu zmarły tuż po zwolnieniu z aresztu lub po odbyciu kary pozbawienia wolności. Złe warunki bytowe, brak właściwej opieki medycznej brutalne metody śledztwa były w wielu przypadkach po wyjściu na wolność podstawą mniej lub bardziej szybkiego powodu ich zgonu. Za jeden z wielu przykładów może posłużyć korespondencja autora z Piotrem Gałką. Jego dziadek Andrzej Janusz był w czasie wojny związany z partyzantką AK (pełnił m.in. funkcję szefa zaopatrzenia jednego z regionów na Kielecczyźnie). W 1951 r. został w związku z tym zatrzymany przez UB. Po brutalnych przesłuchaniach został zwolniony do domu z pękniętą śledzioną, gdzie „po kilku dniach męczarni zmarł 14 lipca 1951 r.”

Zaprezentowany materiał odpowiada tylko po części o losie ciał ofiar śmiertelnych więzienia w Sztumie. Mówi o związkach z więzieniem w Gdańsku i Akademią Lekarską w Gdańsku. Nie odnosi się natomiast do ciał pochowanych na terenie Sztumu. Na 270 osób zmarłych w sztumskim więzieniu 91 ciał przekazano bezpośrednio do Akademii Lekarskiej, jakaś ich część (kilkanaście a może kilkadziesiąt) trafiła tam dodatkowo poprzez więzienie w Gdańsku. Pytaniem pozostaje, co stało się z pozostałymi, czy wszystkie znalazły pochówek na sztumskim cmentarzu? Poznanie odpowiedzi pozostaje otwarte przed autorem i pozostanie on wdzięczny za dostarczenie mu wszelkich dodatkowych informacji za pośrednictwem periodyku lub kierowanych na adres autora w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

Marek Stokowski

JACEK ZWOLAK – MALARZ Z LEŚNEJ ENKLAWY

Pomieszanie języków w dzisiejszej Wieży Babel literatury, muzyki, teatru, filmu i sztuk plastycznych jest wręcz niepojęte. Dotyczy to języka samych dzieł, a także ich opisu i wartościowania. Wydaje się, że dominuje slang środowisk opanowanych przez triumfujące mody intelektualne, zwłaszcza te stanowiące zatruty owoc lat 60. XX wieku. W przestrzeni sztuk wizualnych króluje zatem zachwyty dla puszek z odchodami artysty, instalacji przestrzennych w postaci śmietników (owe śmietniki spotkamy



Magdalena Zwolak, Portret taty, rysunek węglem

niemal w każdej galerii, choć artyści tak rozpaczliwie pragną być oryginalni!), ostentacyjnych bluźnierstw, samookaleczeń pań i panów z dyplomami akademii sztuk pięknych, destrukcji dzieł innych autorów, itp. Dramatycznie spada cena kunsztu i wyobraźni artystycznej, rośnie wartość rynkowa sprytu i umiejętności marketingowych. To samo obserwujemy w literaturze czy w teatrze. Oglupiali i wątpiący we własne zmysły, nie ośmielamy się o tym głośno mówić. Jako jeden z niewielu odważył się to uczynić nowojorski krytyk sztuki Donald Kuspit (*Koniec sztuki*, wyd. polskie: Muzeum Narodowe w Gdańsku, 2006) i został za to wyklęty. Kuspit uderzył w potężne interesy współczesnego rynku sztuki, opartego na manipulacji, oszustwie i dyletanctwie, więc jest znieawidzony, także w naszym kraju.

Na szczęście nieskończona, cudowna różnorodność rzeczywistości obejmuje również enklawy sztuki niemodnej, sztuki *passé*, archaicznej i zarazem cudownie rzetelnej. To są enklawy ciche, prawie niezauważalne, niemal nieistniejące w wymiarze społecznym, rynkowym i medialnym. To są miejsca, w których nie dzwonią telefony z kalifornijskich, paryskich a nawet warszawskich galerii, i gdzie od czasu do czasu przymiera się głodem, ale gdzie nadal, jak przed wiekami, ludzka ręka potrafi do pewnego stopnia powtórzyć gest stworzenia świata. Jedno z tych miejsc skrywa się na krawędzi Puszczy Sztumskiej, w małym Ryjewie, z którego wzniesień widać rozległą panoramę doliny Wisły. W owej enklawie od trzydziestu pięciu lat pracuje malarz Jacek Zwolak. „Raczej rzemieślnik niż artysta” – tak mówi sam o sobie, akcentując w ten sposób wartość umiejętności warsztatowych, wytrwałości, codziennej pracy i solidnego podejścia do technik malarskich. Mógłby być towarzyszem mroźczej pracy tych, którzy wznosili i dekorowali średniowieczne katedry.

Jacek Zwolak – rocznik 1958. W gruncie rzeczy samouk. Stan wojenny pokrzyżował jego plany studiów na Akademii Sztuk Pięknych. Wszelako nic i nikt nie mógł powstrzymać go przed realizacją pasji i marzeń. Od wczesnych lat życia wiedział, że chce malować i że będzie to jego zawód. Utwierdził się w tym w czasie, kiedy – jako ośmiolatek – wiele miesięcy przeleżał w szpitalu i tam codziennie, godzinami rysował obrazki, przynoszące mu ulgę w chorobie. Przed i po maturze z pasją studiował malarstwo wielkich mistrzów. Te prywatne studia, prywatne spotkania z wielkimi nauczycielami zawodu odbywa do dzisiaj. Przez całe życie, dzień po dniu – eksperymentując i wytrwale pracując – zdobywał wiedzę i kunszt posługiwania się wszelkimi technikami malarskimi. Zawsze najważniejsze były dla niego forma i kolor, stanowiące najgłębszą istotę malarstwa. Czy to nie fenomenalne – pyta – że barwne plamy na płaszczyźnie w przedziwny sposób tworzą obrazy wielowymiarowej rzeczywistości fizycznej i duchowej? Plamy pozostawione przez człowieczą rękę sprawiają, że widz może wchodzić w przestrzenie na co dzień zapomniane albo zupełnie mu nieznane.

Z czasem Jacek wybił się na niepodległość, to znaczy malarstwo stało się jego profesją i sposobem na życie. Sam uważa, że to cud, bo przecież nigdy nie chronił go żaden związek zawodowy ani wpływowe środowisko kawiarniane, ani jakiś możny mecenas. Za to była z nim zawsze żona, Zuzanna, która uparcie wierzyła w Jacka i nieustannie go wspierała, zwłaszcza w tym czasie, gdy było naprawdę ciężko, a ich rodzinie ledwie udawało się wiązać koniec z końcem. Teraz oboje wierzą w swoją córkę Magdę, która podjęła drogę zawodową ojca jako absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Przez ponad trzy dekady Jacek dość rzadko uprawiał własne malarstwo sztalugowe, bowiem – tak jak rzemieślnicy z minionych wieków – realizował głównie zamówienia zewnętrzne. Były i są to zlecenia na obrazy do wnętrz kościelnych i prywatnych, drobne prace konserwatorskie, projekty dioram (m.in. do wystawy w Muzeum Zamkowym w Kwidzynie), rysunki do gazet i pism ogólnopolskich, prace plastyczne dla firm reklamowych i lokalnych placówek kultury, a także ilustracje zamieszczane w podręcznikach szkolnych. Sam mówi o sobie: malarz, rysownik, projektant, kopista i ilustrator. I dodaje: miłośnik natury, szczególnie lasu. Trudno się dziwić – Jacek pochodzi z rodziny leśników i całe życie mieszka wśród sosen, grabów i dębów. Zachował wierność tym drzewom. Tak jak zachował ją swoim najbliższym i sztuce, która nikogo nie oszukuje.

Kiedy już zmęczy was zgiełk wielkiego targowiska próżności, to pamiętajcie, proszę: tuż obok, w naszym sąsiedztwie, trwa leśna enklawa.

Piotr Piesik

MUZYKA NA ŻUŁAWACH



Janusz Wawrowski i Marek Moś na koncercie w Dzierżgoniu, fot. P. Piesik

Koncerty muzyki klasycznej nieczęsto odbywają się na Żuławach i Powiślu. Rzecz nie tyle w braku wykonawców - dziś można przecież sprowadzić wybitnych artystów, o ile koncert uda się zbilansować od strony finansowej - bardziej w niedostatku odpowiednich sal, o dobrej akustyce. Dobrze się więc stało, że dla zorganizowania cyklu koncertów „Muzyka polska na Żuławach” wykorzystano kościoły. Wszak budowano je tak, by głos kapłana słyszalny był w każdym kącie, zaś o elektrycznym nagłośnieniu jeszcze nikt nie myślał. Muzyka klasyczna w świątyni zyskuje dodatkowy, niespotykany wymiar. Zupełnie inne doznania towarzyszą publiczności, kontemplującej zabytkowe nieraz wnętrza.

Słuchacze licznie przyszedli do Sanktuarium Trójcy Przenajświętszej w Dzierzgoniu, jednego ze starszych kościołów na Powiślu. Trzeba w tym miejscu wyjaśnić, że nazwa cyklu koncertowego nie mówiła wszystkiego. Owszem, większość spotkań muzycznych odbyła się na Żuławach, jednak zasięg całego przedsięwzięcia rozszerzono na Powiśle.

Dzierzgonianie w skupieniu wysłuchali koncertu, nagradzając jednak muzyków gromkimi brawami. Oklaski już na samym początku wieczoru otrzymała dyrektor Elbląskiej Orkiestry Kameralnej Bożena Sielewicz, której bukiet kwiatów jako wyraz podziękowania za przyjazd z muzykami, wręczył Wojciech Demko, dyrektor Dzierzgońskiego Ośrodka Kultury. Brawa jak najbardziej należały się orkiestrze, dynamicznie, wręcz brawurowo - prowadzonej pewną ręką i batutą Marka Mosia. Szczególny aplauz wzbudził *Walc* Mieczysława Karłowicza oraz *Polonez D-dur* Henryka Wieniawskiego, w którym wystąpił skrzypek Janusz Wawrowski. Ponadto elbląscy muzycy zaprezentowali *Nokturn op. 27* nr Fryderyka Chopina, *Polonez D-dur* Henryka Wieniawskiego, *Melodię* Ignacego Paderewskiego, *Serenadę op. 2* Mieczysława Karłowicza, *Oberek 1* Grażyny Bacewicz, *Pięć melodii ludowych* Wojciecha Lutosławskiego, *Suitę staropolską* Andrzeja Panufnika i słynną *Orawę* Wojciecha Kilara.

Po zakończeniu koncertu słuchacze nie taili swojego uznania wobec wysokiej klasy orkiestry jako całości oraz tworzących ją muzyków. Nie brakowało zapytań o najbliższe plany artystyczne orkiestry oraz możliwości kolejnego występu w Dzierzgoniu, także z innym repertuarem. W programie tego cyklu koncertowego znajdowała się bowiem muzyka polska, natomiast w repertuarze Elbląskiej Orkiestry Kameralnej znajdują się przecież inne kompozycje, nie wyłączając prawdziwych „przebojów muzyki klasycznej”.

Elbląscy kameraliści zagraли także w gotyckim Kościele p.w. Św. Barbary w Krzyżano-

Marek Moś - dyrygent, skrzypek i kameralista. Dyrektor artystyczny orkiestry kameralnej AUKSO od czasu jej powstania i festiwalu *Letnia Filharmonia* AUKSO, a od 2013 roku również Dyrektor artystyczny Elbląskiej Orkiestry Kameralnej. Założyciel i wieloletni primariusz Kwartetu Śląskiego - zespołu, który w krótkim czasie stał się jednym z najwybitniejszych kwartetów smyczkowych w Europie. Płyty, w nagraniu których uczestniczył Marek Moś, zdobywają liczne wyróżnienia i nagrody. Monograficzna płyta z utworami H.M. Góreckiego zdobyła Nagrodę Polskiego Przemysłu Fonograficznego Fryderyk 95. Kolejny tytuł Fryderyka oraz wyróżnienie Płyta Roku magazynu „Studio” za rok 1997 zdobyła ostatnia płyta zespołu z nagraniami kwartetów K. Szymanowskiego i W. Lutosławskiego. Marek Moś jest również laureatem wielu nagród m.in.: Konkursu Muzyki Współczesnej w Krakowie (1979), Międzynarodowej Trybuny UNESCO w Paryżu (1984, 1988), Związku Kompozytorów Polskich (1994, 2005), Srebrny Medal Ministra Kultury „Gloria Artist” (2005), Nagroda Marszałka Województwa Śląskiego (2005).

wie w gminie Stare Pole. To jedna z unikatowych świątyń żuławskich z XIV wieku, z barokowym wyposażeniem, ale też z zachowanym gotyckim malowidłem ściennym ze sceną Ukrzyżowania z XIV w. Widzowie bardzo skupieni i zasłuchani, jak w najlepsze kazanie swego proboszcza. Dominowali ludzie starsi, którzy być może pierwszy raz uczestniczyli w koncercie kameralnym (z pewnością w swoim kościele). Uważni, skupieni, reagujący z emocją na wirtuozerskie popisy solistów. Szczególnie w *Polonie* Henryka Wieniawskiego, gdzie obok solisty Janusza Wawrowskiego wystąpiła koncertmistrzyni elbląskiej orkiestry Karolina Nowotczyńska.

Poza bardzo dobrymi recenzjami medialnymi, o koncertach EOK na Żuławach mawia się także wiele na imprezach towarzyskich, w sklepowych kolejkach i są to bardzo dobre opinie, co chyba wystarczy za najlepszą recenzję znamienitego krytyka muzycznego. To znaczy, że cel został osiągnięty i muzyka trafiła pod strzechy.

Oprócz koncertów w Dzierzgoniu i Krzyżanowie Elbląska Orkiestra wystąpiła również w kościołach w Pasłęku, Nowym Dworze Gdańskim, Pruszczu Gdańskim i Jantarze. Dodatkową atrakcją tych występów były również otwarte próby generalne we wszystkich miejscowościach, które również cieszyły się dużą popularnością. Elbląscy kameraliści zamierzają kontynuować ten festiwal w kolejnych latach, również w innych miejscowościach żuławskich województwa pomorskiego i warmińsko-mazurskiego.

I Festiwal Muzyka polska na Żuławach finansowany był w ramach projektu złożonego i przygotowanego przez Elbląską Orkiestrę Kameralną, przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wszystkie koncerty w ramach festiwalu były bezpłatne.

Janusz Wawrowski to młody, wybitny artysta, nagrywający dla prestiżowej wytwórni EMI. Jest absolwentem Uniwersytetu Muzycznego im. Fryderyka Chopina, a obecnie wykładowcą w tej uczelni. Pierwszy autorski album zatytułowany „Aurora”, ukazał się w kwietniu 2013 roku, zbierając bardzo dobre recenzje w prasie polskiej i zagranicznej oraz nominację do nagrody Fryderyka 2014. Już jako młody wirtuoz, skrzypek zachwycał publiczność i krytykę wykonywaniem wszystkich 24 Kapryśów Niccolò Paganiniego podczas jednego koncertu, co pozostaje umiejętnością rzadką w skali światowej, a w skali naszego kraju – unikatową. W 2007 roku, nakładem wytwórni CD Accord ukazało się nagranie tego cyklu, nominowane do Fryderyków 2008. Jest laureatem licznych międzynarodowych konkursów skrzypcowych. Koncertował w Filharmonii Berlińskiej, Konserwatorium im. Piotra Czajkowskiego w Moskwie, Victoria and Albert Museum w Londynie, w Rotterdamie, Tel Avivie, Caracas i in. Jako solista występował ze wszystkimi renomowanymi orkiestrami w Polsce.

Karolina Nowotczyńska urodziła się w 1992 roku. Największe osiągnięcia Karoliny to: wyróżnienie na międzynarodowym konkursie w Kloster-Schonthal w Niemczech (2009), 1 i 3 miejsce na międzynarodowym konkursie Talents for Europe w Dolnym Kubinie na Słowacji (2008) oraz 3 miejsce na ogólnopolskich przesłuchaniach w Warszawie (2010). Niezwykłe umiejętności zdobywała podczas licznych kursów, m.in. kursie mistrzowskim Maestro Maxima Vengerova, mistrzowskich kursach Stringtime Academia (Niemcy). Ogromnym wyróżnieniem w karierze artystki był kurs Morningside Music Bridge 2010 w Kanadzie. Jest laureatką wielu nagród (*Talent roku 2010*, *Stypendium Prezesa Rady Ministrów* oraz *Najlepszy z Najlepszych 2010*). W czerwcu 2014 roku wzięła zdobyła pierwszą nagrodę w konkursie smyczkowym w Padwie. Jest wielokrotną stypendystką Stypendium Kulturalnego Miasta Elbląga, Marszałka Województwa oraz Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Od 2013 roku jest koncertmistrzynią Elbląskiej Orkiestry Kameralnej.

Wacław Bielecki

KONCERT ORGANOWY W KOŚCIELE ŚW. ANNY W SZTUMIE

Ten koncert był inny niż cztery poprzednie, albowiem z organami zagrał kwartet smyczkowy - pierwsze i drugie skrzypce, altówka oraz wiolonczela. Słuchaliśmy więc muzyki kameralnej. Wszyscy wykonawcy to młodzi muzycy z Gdańska. Na organach zagrał Maciej Zakrzewski, absolwent Akademii Muzycznej w Gdańsku, uczeń prof. Romana Peruckiego, dyrektora Polskiej Filharmonii Bałtyckiej. Po ukończeniu uczelni został asystentem swojego mistrza. Muzycy kwartetu smyczkowego to: Anita Jastrzębska – I skrzypce (zastępca koncertmistrza w Elbląskiej Orkiestrze Kameralnej), Łukasz Perucki – II skrzypce, który w ostatniej chwili zastąpił innego instrumentalistę, Jakub Szwarz – altówka, Anna Śmieszek-Wesołowska – wiolonczela. Wszyscy oni grają w Orkiestrze Kameralnej Progress, która podobnie jak nasze koncerty istnieje od pięć lat.

Koncert zaczął się od dwóch krótkich utworów Feliksa Nowowiejskiego - brawurowo wykonanej „Muzyki karnawałowej” oraz lirycznej „Pieśni o miłości”. Utwory te zostały skomponowane przez mistrza z Barczewa w 1927 roku jako muzyka teatralna do sztuki „Don Juan Tenorio” napisanej przez hiszpańskiego poetę z okresu romantyzmu José Zorillię. W ory-



Od lewej: M. Zakrzewski i muzycy kwartetu Progress podczas koncertu, fot. W. Bielecki

ginalne jest to utwór na flet, skrzypce, wiolonczelę i fortepian. Na koncercie w Sztumie usłyszeliśmy to kameralne dzieło w transkrypcji na dwoje skrzypiec, wiolonczelę i organy (bez altówki). Po koncercie organista Maciej Zakrzewski opowiadał mi, że miał duże problemy z uzyskaniem nut. W końcu udało mu się otrzymać je od członków zespołu kameralnego z Poznania, który w 2010 roku nagrał płytę z tym utworem. Dużym przeżyciem był dla niego fakt, że otrzymał oryginał nut napisanych ręką samego Feliksa Nowowiejskiego.

Maciej Zakrzewski - młody organista i kompozytor związany z Akademią Muzyczną w Gdańsku. Ukończył z wyróżnieniem studia w klasie organów prof. Romana Peruciego i obecnie jest jego asystentem. Brał udział w wielu konkursach organowych i kompozytorskich.

Jest m. in. laureatem I miejsca na Międzynarodowym Konkursie Muzyki Organowej im. J. P. Sweelincka (Gdańsk 2009), oraz IV miejsca na konkursie „Premio Elvira di Renna” w Pontecagnano-Faiano (Włochy 2008). W roku 2010 otrzymał „Złoty Laur Młodego Organisty” na Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej w Giżycku. Brał udział w mistrzowskich kursach interpretacji muzyki organowej oraz doskonalił się w sztuce improwizacji.

Kolejnym utworem, tym razem na organy solo, był „Marsz nr 1” z op. 39 angielskiego kompozytora E. Elgara wykonywany zwyczajowo podczas finałów dorocznych koncertów promenadowych w Londynie, popularnie zwanych „promsami”, powszechnie znanym na świecie festiwalu muzyki klasycznej z ponad stuletnią tradycją. Druga, wolniejsza część tego utworu, to popularna melodia brytyjska, najczęściej rozpoznawalna po ich hymnie narodowym. Melodia ta łatwo wpada do ucha melomanów, którzy ją znają i potrafią zanucić, ale nie kojarzą kompozytora.

Składające się z trzech kontrastujących części: szybkiej - wolnej - szybkiej „Divertimento F-dur KV 38” W. A. Mozarta było jedynym utworem samodzielnie wykonanym tylko przez kwartet bez organów. W okresie klasycyzmu divertimenta były zaliczane do muzyki rozrywkowej. To bardzo melodyjna, jak to u Mozarta, muzyka, została świetnie wykonana przez młodych artystów.

Kontrastem do utworu Mozarta był poważny w nastroju Chorał organowy *Nun komm, der Heiden Heiland* BWV 295 (*Przybądź Zbawicielu pogan*) J. S. Bacha, zagrany z wykorzystaniem ciemnych rejestrów organowych. Po nim wszyscy artyści zagrali bardzo znany „Koncert organowy” HWV 295 J. F. Haendla pod nazwą „Kukułka i słowik”. Rzeczywiście, szczególnie w pierwszej części utworu nie brakuje kukania oraz słowiczych treli w partii organów i smyczków.

Utworem na organy solo, który najbardziej spodobał mi się tego wieczoru, była „Tocciata h-moll” op. 4 nr 10 romantycznego kompozytora francuskiego F. Gigouta, w wirtuozowski sposób wykonana przez Macieja Zakrzewskiego. Zawsze podczas słuchania takich utworów nie chce mi się wierzyć, że można je wykonać na sztumskich, siedemnastogłosowych organach firmy Terletzkiego z Elbląga. Po koncercie organista potwierdził to, co rok temu powiedział Waldemar Gawiejnowicz z Poznania, że nasze organy „mają duszę”. Rzeczywiście, pod dobrą ręką brzmią przepięknie.

Najbardziej oczekiwałem na ostatni utwór, bo była to kompozycja specjalnie napisana na nasz koncert przez Macieja Zakrzewskiego, poświęcona pamięci F. Nowowiejskiego – *In memoriam Felix Nowowiejski* na organy z kwartetem smyczkowy. Okazało się, że młody orga-

nista jest także kompozytorem. W tym niedługim utworze znajdują się tematy zaczerpnięte z kompozycji Nowowiejskiego. Z łatwością można było rozpoznać dwukrotnie pojawiającą się melodię „Roty”. Bardziej wytrawni melomani mogli też przypomnieć sobie mniej znaną „Kołysankę”. Myślę, że ten krótki, okolicznościowy utwór można by poszerzyć o inne, bardziej znane tematy z utworów Nowowiejskiego, np. słynną arię „Czy ty mnie kochasz” z opery „Legenda Bałtyku”, główny temat z oratorium „Quo vadis”, pieśń chóralną „Hymn do Bałtyku” („Wolności słońce pieści lazur”), lub skoczny temat z marsza „Pod sztandarem pokoju”. Piszę o tym dlatego, bo w zaprezentowanym utworze słyhać pewną swobodę, lekkość i pomysłowość kompozytora w łączeniu cytowanych melodii i rozdysponowaniu ich pomiędzy organy i kwartet.

Koncert zakończył się bisem, *Allegrem* (IV część) z „Koncertu organowego F- dur nr 13” HWV 295 J. F. Haendla, bardzo dobrze przyjętym przez zgromadzoną w kościele publiczność.

Podsumowując krótko to muzyczne wydarzenie można określić go słowami: młodość, energia, radość i piękno. Warto podkreślić, że koncerty w Sztumie, chociaż odbywające się tylko raz w roku, mają swoją wierną publiczność. Takiej frekwencji nie można się wstydzić. Ksiądz dziekan ocenił na podstawie „zapełnienia ławek”, że było około 350 osób. Tu nasunęło mi się pewne skojarzenie. Otóż w kwietniu tego roku byłem w Polskiej Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku na koncercie, w którym grali: Roman Perucki na organach oraz światowej sławy flecista Łukasz Długosz. Nie wiedzieć czemu był to pod względem frekwencyjnym niezbyt udany koncert. Po prostu nie dopisała publiczność. Licząca tysiąc miejsc sala koncertowa na Ołowiance zapełniona była może w jednej czwartej, czyli słuchaczy było mniej niż w maleńkim Sztumie. Nie dziwi więc, że po relacjonowanym tutaj koncercie muzycy byli bardzo zadowoleni – „było dla kogo grać” - mówili. I oby tak było za rok i w przyszłe lata.



Maciej Zakrzewski za kontuarem sztumskich organów, fot. W. Bielecki

Wacław Bielecki

SPOKOJNY JAZZ ZE SMYCZKAMI

KONCERT Z OKAZJI 100-LECIA ZAKŁADU KARNEGO W SZTUMIE

Na zakończenie oficjalnych uroczystości związanych z obchodami 100-lecia istnienia Zakładu Karnego w Sztumie odbył się godzinny koncert dla pracowników tej instytucji. Impreza miała miejsce we wczesne popołudnie w czwartek 4 września 2014 r. w sali kina Powiśle. Zaczynający koncert saksofonista Wojciech Staroniewicz, zapowiedział chwilę dobrego relaksu z kwartetem jazzowym grającym - co niecodzienne - ze smyczkową orkiestrą kameralną. Połączenie improwizowanej muzyki jazzowej z miękkim brzmieniem instrumentów smyczkowych, prowadzi do powstania świata łagodności i muzycznego piękna - dowodził muzyk.

Na program koncertu złożyły się, m. in. standardy jazzowe z lat trzydziestych i czterdziestych: Duke'a Ellingtona - *Sophisticated Lady* (*Elegancka dama*), Antonio Carlosa Jobima - bossa nova *The Girl from Ipanema* (*Dziewczyna z Ipanema*) oraz *Favela*, Louisa Bonta - *Gentle Rain* (*Łagodny deszcz*), Josepha Kosmy - *Autumn Leaves* (*Jesienne liście*) oraz Wojciecha Staroniewicza - rozpoczynająca koncert ballada *Among the Monks* (*Wśród mnichów*) oraz *Ja w kapeluszu*. Wszystkie te utwory pochodzą z nagranej w 2012 roku płyty „Tranquillo” wydanej przez wytwórnię „Allegro Records” w nieco innym składzie: Staroniewicz - Jagodziński - Rajski. Bardzo podobny program był wykonywany przez Polską Filharmonię Kameralną oraz Staroniewicza w kilku miastach, np. Pucku, Starogardzie Gdańskim, Wejherowie, no i oczywiście, w siedzibie orkiestry znajdującej się przy Operze Leśnej w Sopocie.

„Tranquillo” to włoski termin muzyczny oznaczający - spokojnie, z umiarem. I taki, relaksacyjny przebieg miał koncert. Wbrew wcześniejszym zapowiedziom, to nie maestro Wojciech Rajski i Polska Filharmonia Kameralna, kilkunastoosobowa orkiestra smyczkowa z Sopotu, byli głównymi bohaterami koncertu. Smyczki - skrzypce, altówki, wiolonczele i kontrabas - dawały tylko muzyczne tło dla występu saksofonisty tenorowego Wojciecha Staroniewicza oraz pozostałych członków kwartetu. Na fortepianie grał Artur Jurek, jednocześnie aranżer niektórych utworów, na kontrabasie Janusz „Macek” Mackiewicz, a na perkusji Roman Ślefarski. Wszyscy ci świetni muzycy jazzowi mieli możliwość popisania się swoimi umiejętnościami w improwizowanych fragmentach. Niewątpliwą gwiazdą koncertu był saksofonista Wojciech Staroniewicz, przepięknie grający na tym instrumencie, nie nadużywający siły dźwięku, błyskotliwy w improwizacji. Na poziom wykonania wpłynęły także znakomite aranżacje Włodzimierza Nahornego, Andrzeja Jagodzińskiego i Artura Jurka.

Wydaje mi się, że koncertu tego lepiej słuchałoby się w jakimś klubie jazzowym, przy lampce wina. W sali kina Powiśle publiczność była szczególna. Po wielkich emocjach zwią-

zanych z przygotowaniem i przebiegiem uroczystości związanych ze 100-leciem więzienia przyszła godzinka na relaks. Oklaski były odpowiednie do charakteru utworów, może nie-
zbyt burzliwe, ale przyjazne i coraz bardziej serdeczne, szczególnie na końcu.

Po koncercie rozmawiałem z maestro Wojciechem Rajskim, który powiedział mi, że repertuar dobrano celowo, obawiano się bowiem czystej muzyki klasycznej, z uwagi na publiczność, zwykle nie przygotowaną do odbioru tzw. muzyki poważnej. Moim zdaniem, jest na Powiślu grupa melomanów, czekających na taką muzykę. Z zazdrością patrzę na koncerty z okazji Dni Ziemi Sztumskiej. W ciągu trzech wrześniowych dni sztumianie będą mogli usłyszeć w tym roku aż dziesięciu zespołów, w tym „Lombard” i „Kobranockę”. Myślę, że w przyszłym roku warto byłoby zaplanować choćby jeden koncert z muzyką klasyczną, np. w akustyce któregoś ze sztumskich kościołów.



Wojciech Staroniewicz – saksofon, Wojciech Rajski – dyrygent i Polska Filharmonia Kameralna z Sopotu, fot. W. Bielecki

Arkadiusz Kosiński
Rafał Cybulski

WIOSKA CUDÓW

Żeby trafić do Rodowa naprawdę trzeba chcieć tam pojechać. Bo nikt nie trafia tam przez przypadek. Jadąc z Mikołajek Pomorskich do Prabut trzeba skręcić z głównej drogi ijechać 2 km wąską asfaltową ścieżką. Przez większą część roku mała wioska sprawia senne wrażenie. Kilkadziesiąt domów, 200 mieszkańców, niewielka szkoła i dwa sklepy na krzyż. Ot i tyle. Raz do roku Rodowo budzi się jednak do życia. Wioska staje się gwarna i wesoła za sprawą dorocznego Międzynarodowego Pleneru Rzeźbiarsko-Malarskiego Pole Sztuk. Studenci szkół plastycznych biją się o to, by tam przyjechać i co roku zostawiają po sobie niezwykle pamiątki. To za ich sprawą Rodowo zyskało miano Wioski Cudów. Bo na rozmaite cuda można tam się natknąć niemal na każdym kroku. To nietypowe instalacje, rzeźby, ceramika, grafiki, fotografie, obrazy, a nawet formy literackie. Surowcem do produkcji ich dzieł, staje się wszystko, co można znaleźć w pobliżu. Począwszy od drewna dostarczonego przez leśników, poprzez glinę, kamień, metale, na zużytych sprzętach z pobliskich gospo-



Artyści przy krzyżu ustawionym w ramach projektu „Lapidarium cmentarza ewangelickiego w Rodowie”, fot. A. Jakubowska

darstw kończąc. Autorami tych cudów są studenci nie tylko z polskich uczelni plastycznych, ale także z całej Europy.

Pierwszy plener odbył się w 1990 roku. Jego pomysłodawcą i organizatorem był mieszkaniec Rodowa Ryszard Rabeszko. Od czwartej kuratorami pleneru są pochodzący z Rodowa Mariusz Białecki, kierownik Katedry Rzeźby w gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych oraz jego żona, Beata, malarka, absolwentka Wydziału Malarstwa Sztalugowego w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

- Praktyki wakacyjne nazywane „Plenerami” są na Wydziale Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku istotnym elementem kształcenia, a właściwie kształtowania przyszłego artysty rzeźbiarza – mówi Mariusz Białecki.

Jak tłumaczy, celem pleneru jest umożliwienie pracy młodym artystom w przestrzeni otwartej, w warunkach odmiennych niż znane do tej pory, we wszystkich dziedzinach: rzeźby, ceramiki, malarstwa, grafiki, fotografii oraz co najistotniejsze, umożliwienie studentom realizacji pierwszych indywidualnych projektów w przestrzeni publicznej. Duże spektrum materiałów dostępnych w Rodowie wraz z przestrzenią otwartą, stwarza nowe możliwości. Pozwala zetknąć się z realnymi problemami i trudnościami warsztatowymi, ale też pozwala zobaczyć i odczuć finalny efekt - realizację w danym materiale.



Uczestnicy jednego z plenerów przy swoich formach przestrzennych, fot. archiwum pleneru



Plener w Rodowie kilka lat temu odwiedził były premier Jerzy Buzek, fot. archiwum pleneru

Oprócz celu zasadniczego, jakim jest uzbrojenie studenta w umiejętności warsztatowe (posługiwanie się narzędziami, pogłębianie lub zapoznanie się od podstaw z właściwościami materiału; kamień, drewno, metal, beton, żywice), jest jeszcze wzajemne odkrywanie charakterów, znacznie bliższe poznanie osobowości każdego z uczestników, nie wyłączając profesorów.

– Jest to doświadczenie spójności tej grupy zawodowej, cementujące przyjaźnie. Dla artysty ważne jest ciągle doświadczenie i otwarcie na wszelką wzajemność. Wspólnie tworzymy rodzaj żywej galerii zewnętrznej. Nowe prace niejednokrotnie korzystają z fundamentów nieistniejących już rzeźb. Te uległy czasowi zostają nie tylko w dokumentacji, ale i w pamięci - wyjaśnia.

W tym roku odbyła się XXIV edycja pleneru. Przyświecało jej hasło „Las w sztuce, sztuka w lesie”.

– Las ciągle inspiruje artystów nie tylko w sposób bezpośredni, mimetycznie ale bardziej metaforycznie, dowodem na to są efekty naszych konkursów. Doskonałym zobrazowaniem tych inspiracji lasem był wykład prof. nadzwyczajnego Macieja Aleksandrowicza z ASP z Warszawy „Artysta w lesie”, który bardzo pozytywnie zaskoczył licznie zgromadzonych leśników, pokazał „przestrzeń lasu” oczami artysty, uzmysłowił ogromną kulturotwórczą, wyjątkową rolę lasów w naszym kraju – mówi Białecki.

– Wybór hasła nie był przypadkowy, bo w tym roku przypadała 90. rocznica powołania do życia Lasów Państwowych. A ta instytucja jest bardzo bliska artystom z Rodowa, gdyż wspólnie zorganizowali już czternaście plenerów.

Białecki tłumaczy, że każda edycja pleneru niesie za sobą coś wyjątkowego.

Wybór jednostkowy takiej chwili jest wręcz niemożliwy, jest to cała masa wspomnień, która wymaga dłuższych projekcji - przyznaje rzeźbiarz.

Idea pleneru rzeźbiarskiego, który jest prawdziwym oczkiem w głowie Białeckiego, towarzyszyła mu od dziecka. Z młodości pamięta odbywające się często plenery z twórcami ludowymi, którym przyglądał się z wielką uwagą i fascynacją.

– Były to najsilniejsze emocje, wakacyjne przygody. Obserwowałem rzeźbiarzy amatorów, którzy czerpali prawdziwą przyjemność z rzeźbienia - wspomina. - Te pozytywne doświadczenia utwierdziły mnie w przekonaniu, że dla młodych adeptów Akademii Sztuk Pięknych, plenery są nieodzowną częścią edukacji. Najważniejsza podczas pleneru jest nieograniczona przestrzeń, skala, kontakt z naturą. I cały wachlarz materiałów. Zresztą tam studentów poznaje się najlepiej. Wspólne posiłki, ogniska, zmaganie się od początku do końca z rzeźbą w przestrzeni, potem ekspozycją. Często otwierają się nowe horyzonty, rodzą nowe pomysły, które są zaczynem do dalszych poszukiwań już w przestrzeni pracowni.

On sam swoją pracownię ma właśnie w Rodowie. Tam powstały wszystkie jego prace.

– Z tamtej ziemi czerpię inspirację. W Gdańsku skupiam się głównie nad pracą koncepcyjną i oczywiście sporo czasu spędzam w Akademii ze swoimi studentami - mówi.

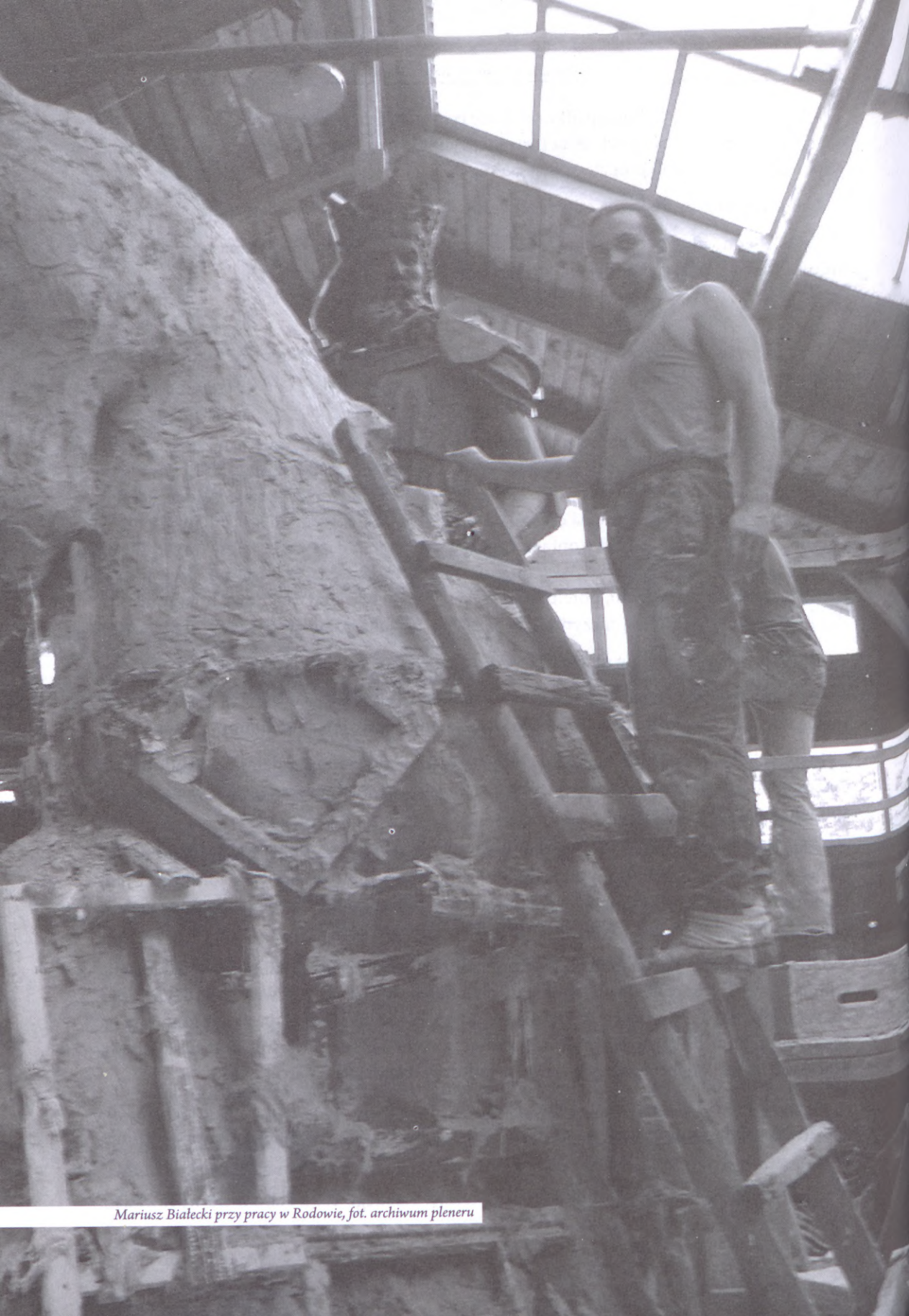
Inspiracji dostarczają mu nie tylko fluidy wirujące w powietrzu rodzinnego Rodowa, ale także codzienne przemyślenia, spostrzeżenia. Często jest to proces, a czasami olśnienie. Inspiracji szuka też w muzyce.

– Na pewno lubię intymność w pracy. A czy jest to cisza czy nie, to zależy, bo często jest w pracowni muzyka, którą lubię, która jest w stanie mnie doładować. Jon Lord i Jimi Hendrix. Ci artyści dają mi największą przestrzeń. Inspiracje muzyczne są dla mnie ważne. Chciałbym rzeźbić tak, jak Hendrix grał na gitarze - mówi rzeźbiarz.

Do najbardziej znanych prac Białeckiego należy rzeźba postaci Kazimierza Wielkiego na koniu, która stoi w centrum Bydgoszczy. Natomiast mieszkańcy powiatu kwidzyńskiego znają go jako autora rzeźby rycerza Rolanda, który niedawno wrócił na szczyt fontanny na rynku w Prabutach. Warto również odnotować, że trzy lata temu właśnie podczas pleneru, Mariusz Białecki odebrał nagrodę ministra kultury i dziedzictwa narodowego.

W ciągu niemal ćwierćwiecza przez Rodowo przewinęło się ponad 1500 artystów. Zostawili po sobie ogrom pracy artystycznej, emocji, to tysiące zdjęć dokumentujących ten projekt.

– Jest to na pewno dobry moment na refleksję. Każdego roku staram się wprowadzić



Mariusz Bialecki przy pracy w Rodowie, fot. archiwum pleneru

nowe elementy w projekcie, np. tegoroczna konferencja. Jest duża szansa na koncert irlandzkiego muzyka, który odwiedzając Wioskę Cudów zadeklarował się przyjechać na 25-lecie pleneru. Chciałbym również w przyszłym roku wydać podsumowującą 25 lat naszej pracy monografię, w postaci katalogu – zapowiada Białecki.

Rodowo to jednak nie tylko Pole Sztuk, ale również zabytki. Jeśli zdecydujecie się na wycieczkę do Rodowa, koniecznie wejdźcie do barokowego kościoła pw. św. Stanisława Kostki z wieżą z 1859 roku. Wewnątrz znajduje się m.in. ambona z 1690 autorstwa Joachima Sebastiana Doebla. Jak podają źródła, na balustradzie chóru widnieje sygnatura pastora lub cieśli - G. Selcke. Może chodzić o rzeźbiarza Jana Henryka Selcke z Prabut, który działał w okresie budowy kościoła w XVIII wieku.

Ważnym miejscem w Rodowie jest również cmentarz, znajduje się tam głąz upamiętniający dawnych mieszkańców Rodowa - polską i niemiecką ludność wyznania ewangelicko-augsburskiego. Pochowano tu m.in. pastora Paula Hallpaapa, jego syna Karla - żołnierza poległego w 1915 oraz miejscowego szlachcica - kapitana pruskiej kawalerii Augusta von Kolzenberg. Perełką na cmentarzu jest jednak lapidarium, które powstało właśnie dzięki artystom przyjeżdżającym do Rodowa.

– Wykorzystując ideę i metody wykopalisk archeologicznych, zaprojektowałem rodzaj odkrywkę archeologicznej ukazującej stratyfikację i stratygrafię tego stanowiska. Odslaniam „warstwę” bezpośrednio poprzedzającą obecną warstwę czynnego cmentarza katolickiego powstałego na mogiłach przeszłości. Chodzi o ukazanie ciągłości miejsca oraz jego kulturowe następstwo. Celem Lapidarium jest okazanie szacunku wszystkim byłym mieszkańcom tej ziemi poprzez stworzenie miejsca pamięci - wyjaśnia Mariusz Białecki.

Ocalałe nagrobki i ich fragmenty przeniesiono w miejsce wytyczone na lapidarium. Z ziemi odzyskano wszelkie fragmenty tablic nagrobnych, mówiące o personaliach pochowanych.

Wszystkie części metalowe, m.in. krzyże nagrobne, zostały wypiaszkowane i zespawane. Fragmenty cokołów, tablic, krzyży utworzyły aleję, która wytycza i „chroni” odzyskany cmentarz. W tym roku artyści również poświęcili czas na rewitalizację dawnego cmentarza.

– Wspólnie postawiliśmy dwa krzyże, jeden misyjny przed kościołem, drugi z namalowaną przez dr hab. Jacka Kornackiego na blasze, figurą Chrystusa, który dopełnił projekt „Lapidarium”. Krzyż z symboliczną formą ściętego pnia u podstawy stanął na wytyczonej osi cmentarza, połączył dwie strefy cmentarza, przeszłości i teraźniejszości - mówi Białecki.

Dorota Maluchnik

FESTIWAL TEATRÓW ULICZNYCH MA SIĘ DOBRZE

5 lipca na sztumskim rynku odbył się kolejny Festiwal Teatrów Ulicznych. Była to bardzo udana impreza, o czym może świadczyć zainteresowanie widzów, a także tych, którzy do trwali do zakończenia imprezy, które miało miejsce po północy.

Zanim przejdę do omówienia występów poszczególnych zespołów, które zaprezentowały się w Sztumie, chciałabym podzielić się kilkoma refleksjami natury ogólnej, koncentrującymi się jednak wokół zjawisk teatralnych.

Niedawny spór wokół kontrowersyjnego spektaklu „Golgota Picnic”, który miał być pokazany na poznańskiej Malcie spowodował, iż - oceniając zjawiska teatralne - odwołano się do pewnych praw rządzących przestrzeni publiczną. Z ciekawszych wypowiedzi warto odnotować T. Wybranowskiego z radia Dublin, który zwrócił uwagę, iż w przestrzeni publicznej nie wolno pokazywać spektakli, które mogą urazić czyjąś godność lub obrażać uczucia innych ludzi. Spektakl „Golgota Picnic” wywołał burzę emocji, lecz problem uczuć religijnych nie jest jedynym punktem spornym pojawiającym się przy okazji występów niezależnych grup scenicznych. Warto dodać, że kontrowersyjne - z punktu widzenia estetyki - jest także pokazywanie np. komedii w konwencji tragedii lub odwrotnie, jak również robienie swoistych mieszanek wybuchowych typu H_2O , czyli Hamlet z Ofelią (powstają takie spektakle). Jednakże - powie ktoś - mamy XXI wiek i należałoby trochę odpuścić z puryzmem w odniesieniu do kategorii estetycznych. Zgoda, przekraczanie reguł, prawo twórcy do swobodnej kreacji - mają rację bytu, lecz w rozsądnych granicach. Zwolennikom „nowinek” mogę powiedzieć, iż trzy lata temu z mieszаныmi odczuciami odebrałam pokazany w sztumskim kinie spektakl czeskiej grupy teatralnej, będący komedią na bazie „Romea i Julii”. Pomimo całej świetnej machiny techniczno-dekoracyjno-oświetleniowej, dla mnie była to niestety porażka.

Wielka ilość grup teatralnych, jakie funkcjonują obecnie w Polsce, niestety, nie stanowi gwarancji wysokiego poziomu spektakli. Przeglądając strony internetowe poświęcone wydarzeniom kulturalnym w Polsce, można zauważyć, że lato teatralne 2014 było niezwykle bujne. W wielu miastach i miasteczkach odbyły się pokazy spektakli ulicznych, często towarzyszące innym imprezom. Festiwale, których sztyldem był teatr uliczny, odbyły się między innymi w Gdańsku, Krakowie, Jeleniej Górze, Warszawie, krakowska WTOOPA oraz warszawska Czarna Offca.

Oczywiście, wielkie metropolie dysponują o wiele większym budżetem, toteż nie dziwi fakt, że na krakowskich scenach ulicznych gościły teatry z Francji, Ukrainy, Hiszpanii, Czech, Rosji, Słowenii, Włoch, Belgii i Białorusi. Jako ciekawostkę podaję informację, iż spośród polskich wykonawców wystąpiły tam m.in. *Teatr Pinezka* (znany z występów

w Sztumie), *Teatr Snów*, *Teatr KTO*, *Teatr Nikoli* (uwielbiany przez sztumską publiczność), *Krakowski Teatr Tańca*, *Teatr A3*, *Teatr Animacji*, *Teatr na Walizkach* (grupa ta była w Sztumie dwa lata temu), *Teatr Wagabunda* (mowa o nim będzie poniżej, jako że również gościł w Sztumie), jak również *Teatr Formy*, *Teatr Akt*, *Teatr Trochę Inny*. Powie ktoś - Kraków..., Warszawa... Tak, lecz to nie wyczerpuje zasięgu geograficznego niezależnych zjawisk teatralnych w Polsce. Istotnie, bardzo wiele rozmaitych wydarzeń teatralnych ma miejsce na Śląsku, jak choćby w Pszczynie i Katowicach. Polska północna również od jakiegoś czasu jest terenem rozmaitych działań teatralnych. Teatralne wydarzenia *off*, czyli wszelkiego rodzaju pokazy teatru alternatywnego (czyli nie stacjonarnego) odbyły się w wielu miastach Pomorza, m.in. w Tczewie, Dzierżgoniu, Kwidzynie oraz Nowym Dworze Gdańskim.

Podczas tegorocznego sztumskiego Festiwalu Teatrów Ulicznych zaprezentowane zostały spektakle kilku grup teatralnych, różniących się tym, że operowały nieco odmiennymi środkami wyrazu. Festiwal rozpoczął się przejściem barwnego korowodu aktorów przez miasto. Właściwe spektakle poprzedzone zostały akcjami happeningowymi na osiedlach sztumskich. Warto podkreślić, że mieliśmy przyjemność gościć aż trzy grupy teatralne z Krakowa - przy czym *Teatr Nikoli* był w Sztumie po raz trzeci, grupa *Wagabunda* po raz drugi, a *Scena Kalejdoskop* debiutowała. Również gdański teatr *Pinezka* zaprezentował się sztumskiej publiczności nie po raz pierwszy. Nowym zjawiskiem - oprócz wspomnianej *Sceny Kalejdoskop* - był także *Teatr Moich Marzeń* z Chorzowa.

Festiwal rozpoczął *Teatr Moich Marzeń*, który zaprezentował spektakl pt. „Czerwony kapturek”. Właściwa akcja poprzedzona była songiem, a narracja prowadzona była w formie piosenek. Warto odnotować współczesny język tej adaptacji (potoczne zwroty, rymy). Cennym elementem spektaklu były interakcje aktorów z publicznością. Fabuła sztuki była dość swobodną wersją znanej bajki. Postać Wiewiórki była swego rodzaju prowodyrem - to ona wyśmiewała się z Wilka i kazała mu zjeść Babcię. Spektakl pokazał, że Wilk jest z natury dobry; w tej wersji zdarzeń chciał on tylko, by nazwano go Super Wilkiem. Spektakl miał nieco dydaktyczny charakter, w piosenkach było sporo pouczeń o tym, jak należy postępować. W finale oczywiście - jak to w bajkach bywa - dobro zwyciężyło zło.

Podczas spektaklu *Teatru Pinezka*, zatytułowanego *Bardzo dziwna bajka* ku uciesze najmłodszych widzów ulica zaludniła się krasnalami, a ponadto pojawiła się na niej Księżniczka (Sierotka) oraz Rozbójnik. Widownia bardzo silnie reagowała na sceniczne prezentacje gdańskiej grupy. Niektóre efekty akustyczne, jak i pełna ekspresji gra aktorów przykuwały uwagę widzów, zwłaszcza najmłodszych. Muzyka doskonale budowała napięcie i rozwój akcji. Inny spektakl tego teatru - *Morskie opowieści* był nawiązaniem do spektaklu *Stary clown i morze* i również był połączeniem ruchu scenicznego i muzyki, ponadto zawierał ciekawe efekty wizualne.

Podczas tegorocznego festiwalu po raz pierwszy zaprezentował się w naszym mieście *Teatr Scena Kalejdoskop* z Krakowa. Jednym ze spektakli pokazanych przez tę grupę był *Graal*. Prolog stanowiła rozmowa matki z córką o dziwnym chłopcu, który chciał czegoś, co nieosiągalne. Następnie zaprezentowane zostały przygody chłopca, który wyruszył w drogę za swoim marzeniem. W finale jednak okazało się, że najlepiej jest być wśród swoich bliskich.

Spektakl wzboagcony został piękną oprawą muzyczną. Dużym atutem tego spektaklu była scenografia. Atrakcyjne wizualnie były postaci nna szcudłach (np. widmo we śnie chłopca, a także drzewa-maski z ludzkimi twarzami).

Ciekawym przerywnikiem był występ znanego wszystkim z zeszłorocznych prezentacji krakowskiego *Teatru Wagabunnda*. Zaprezentował on m.in. spektakl pt. *Teatr Clowna Feliksa*. Był to swoisty popis sztuki konwersacji, wzboagcony ekwilibrystyką. Na uwagę zasługiwał mistrzowski i zabawny dialog Feliksa z publicznością, a także piękna gra na saksofonie. Wzruszająca była piosenka Feliksa o tym, że należy dawać ludziom kwiaty (co też zresztą Clown Feliks czynił).

Kolejny spektakl wspomnianego wcześniej *Teatru Moich Marzeń* o nieco dziwnym, ekscytującym tytule *80 dni Niesamowita przygoda Passepartout i Phileasa Foggą* był doskonałą zabawą. Nawiązujący do słynnych fabuł angielskich powieści przygodowych spektakl wyróżnił się żywą akcją, doskonale dobraną dyanmiczną muzyką oraz doskonale dopracowanym ruchem scenicznym aktorów. Wspaniała, choć może nieco zbyt iluzjonistyczna była także scenografia (słoń, smok). Wszakże rzecz działa się nie tylko na morzu, lecz i w barwnym i egzotycznym Hong Kongu (w co najmlodszy widzowie prawie uwierzyli, sądząc po reakcjach).

W wieczornej aurze zaprezentował się widzom długo wyczekiwany krakowski

Teatr Nikoli. Spektakl „Stary gołębnik” nie zawiódł widzów. Spektakl oparty był na etiudach aktorskich, koncentrujących się wokół motywów samotności, starości, odmienności (można tu było zobaczyć postacie jakby żywcem przeniesione z krakowskich Plant) / Były w nim też motywy erotyczne. Przesłaniem spektaklu było przypomnienie o potrzebie uczuć. Warto odnotować, że niewątpliwymi plusami spektaklu Teatru Nikoli były: ruch sceniczny dopracowany w każdym szczególe, ekspresyjna muzyka dyktująca przebieg akcji (improvizacji?). Na niekonwencjonalną „akcję” spektaklu złożyło się szereg etiud aktorskich. Rekwizytami były: dwa podarte parasole, krzesło, klatka na gołębie, księżyc wycięty z gąbki, a także podarte kostiumy (z dziurami w kształcie serc). „Stary gołębnik” został pokazany na tyłach kościoła w rynku.

Bardzo późnym wieczorem zaprezentowany został kolejny spektakl krakowskiej Sceny Kalejdoskop, zatytułowany „Serce Don Juana”. Znany z licznych utworów literackich (i nie tylko) uwodziciel z Sewilli Don Juan był człowiekiem niesłychanie zuchwałym. Zabił w pojedynku ojca doni Anny, po czym zaprosił jego posąg na wieczerzę. Oczywiście, został za to ukarany, gdyż moce nadprzyrodzone zemściły się. Spektakl krakowskiej grupy wzboagcony został licznymi efektami wizualnymi (dym piekielny, etc). Wywołał on głośną dyskusję wśród widzów; zabawne było słyszeć - prawie o północy- dysputę na temat zła, które zwycięża. Napięcie akcji było doskonale wzmagane muzyką, jednak co jakiś czas następowały przerywniki, pozwalające widzom ochłonąć. Nadmienienie, iż w tym spektaklu postacie poruszały się na szcudłach.

Spektakle zakończyły się około północy, po czym miał miejsce pokaz ogni w wykonaniu krakowskiej grupy *Wagabunda*.

Tomasz Agejczyk

FOTOGRAFICZNA WĘDRÓWKA HERMANNA VENTZKE

Stowarzyszenie Klaster Biznesu Kultury „BizArt”, Stowarzyszenie Szpitala Jerozolimskiego w Malborku we współpracy z Wydawnictwem Uran sprowadziło dzięki uprzejmości Muzeum Prus Zachodnich/ Westpreußisches Landesmuseum w Warendorf oraz Kulturreferat Westpreußen BKM wystawę pt. „Zdjęcia z przełomu wieków. Hermann Ventzke (1847-1936) w drodze z kamerą płytową”.

Siedemdziesiąt unikatowych fotografii należących do zbiorów Niemieckiego Muzeum Historycznego/ Deutschen Historischen Museums w Berlinie, zostało wykonanych przez nauczyciela rysunku Hermanna Ventzke w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku. Jest to część kolekcji liczącej prawie 2500 zdjęć wykonanych na szklanych płytach w formatach od 18x24 cm do 9x12 cm.

Hermann Ventzke urodził się w 1847 roku w Neumannshof w okolicach miejscowości Czarne (Hammerstein). Po wykształceniu na nauczyciela rysunku, matematyki i geografii osiadł około 1870 roku w Rathenow nad Hawelą, aby objąć tam posadę pedagoga. Pod ko-



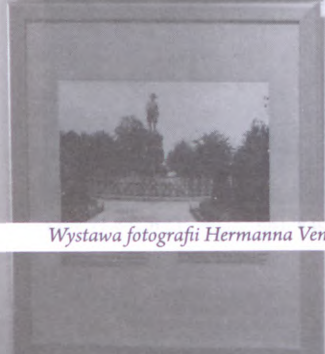
Zamek w Malborku w 1887 r., fot. Hermann Ventzke

niec lat siedemdziesiątych XIX wieku rozpoczął swoją działalność fotograficzną. Każde wykonane zdjęcie opatrywał dokładnym opisem: użyty aparat fotograficzny, obiektyw (m.in. Aplanat, Omnar, Periplanat, Pantoskop), panujące warunki świetlne, pory dnia, a także minuty i sekundy czasu naświetlania.

1886 roku aparat fotograficzny był jego nieodłącznym towarzyszem, którym uwiecznił swoją rodzinę i przyjaciół, lokalnych dostojników i ludność wiejską podczas przeróżnych uroczystości. Większość zdjęć powstała pomiędzy kwietniem a październikiem. Większość miejscowości, w których przebywał, odwiedził kilkakrotnie. W Rheinsbergu robił zdjęcia w latach 1892 i 1897, w Tangermünde 1886, 1887, 1893, 1901 i 1903 roku. Szczególną uwagę poświęcił zamkowi w Malborku, dawnej siedzibie wielkich mistrzów Zakonu Najświętszej Marii Panny, zdjęcia wykonał w 1887, 1891, 1894 i 1897 roku. To tu powstała większość jego zdjęć z Prus Zachodnich, umożliwiających między innymi prześledzenie odbudowy zamku przez Conrada Steinbrechta. Później przebywał w Toruniu, Grudziądzu, na wyspach Borkum i Heigoland, a także na terenach wydobywania wapienia niedaleko Rüdersdprfu w pobliżu Berlina.

Zmarł 12 października 1936 roku w Rathenow nad Hawelą, przeżywszy osiemdziesiąt dziewięć lat. Pozostawił po sobie fotografie, które pozwalają nam na rzut oka przez fotograficzną dziurkę od klucza na czas, który już dawno przeminął.

W Polsce wystawa gości od kwietnia bieżącego roku, dotychczas prezentowana była w Elbląskim Centrum Spotkań Europejskich Światowid, w Gminnym Ośrodku Kultury i Sportu w Starym Polu, w malborskim Szpitalu Jerozolimskim, obecnie w Galerii Żuławskiej w Nowym Stawie, zaś od września wystawę będzie można zobaczyć w Sztumskim Centrum Kultury.



Wystawa fotografii Hermanna Ventzke, fot. T. Agejczyk

Andrzej Kasperek

Z DZIEJÓW NOWODWORSKIEGO SPORTU

Album osiągnięć sportowych uczniów Zespołu Szkół nr 1 w Nowym Dworze Gdańskim 1979-1999, Nowy Dwór Gdański 2014, autor opracowania i redaktor: Janusz Domaszewski, wydała: Lokalna Grupa Działania Żuławy i Mierzeja, s. 104, ilustracje.

Na okładce widzimy starszego już pana („już szron na głowie”), lekko pochylonego, z gwizdkiem sędziowskim. To Janusz Domaszewski, legenda nowodworskiego sportu. Człowiek instytucja, nauczyciel wychowania fizycznego, wychowawca, trener, działacz społeczny, organizator turystyki. Od kilku lat na emeryturze, ale parafrazując piosenkę z Kabaretu Starszych Panów: *choć szron na głowie i nie to zdrowie, to w sercu ciągle maj.* „Album osiągnięć sportowych uczniów Zespołu Szkół nr 1 w Nowym Dworze Gdańskim 1979-1999” to jego dzieło, dlatego dziwi, że na okładce (swoją drogą bardzo dobrej) nie ma jego nazwiska – skromność autora czy przeoczenie?

Tytuł to najślabsza część tej książki. Zbyt długi, może wprowadzać w błąd, jest mało konkretny. Zespół Szkół nr 1 przy ulicy Warszawskiej nosił tę nazwę do roku 2000, później stał się Zespołem Szkół nr 2 (o czym Domaszewski pisze we wstępie) i dziś może to mylić. Zastanawia też użycie dat „1979-1999” w tytule, skoro w tekście znajdziemy informacje i ilustracje dotyczące zdarzeń wcześniejszych (z połowy lat 70.) i późniejszych (ostatnie z roku 2013). Trochę mnie dziwi, że korekta, przy której pracowało aż sześć osób, przepuściła takie



Album osiągnięć sportowych uczniów Zespołu Szkół nr 1 w Nowym Dworze Gdańskim 1979 - 1999

formy jak: WFu, SKSach, zamiast: WF-u, SKS-ach albo trocia zamiast troci (chodzi o popularna kiedyś rybę). Szkoda, że nie zadbano o konsekwencję – imię powinno poprzedzać nazwisko a nie zawsze tak jest. Szkoda też, że nie zawsze w podpisach pod zdjęciem znajdziemy informację o tym, kiedy zostało zrobione. Być może się czepiam, ale takie szczegóły mają też wpływ na odbiór książki.

Trochę pomarudziłem a teraz czas na pochwały. Bo jest za co chwalić! Popularny „Domacha” spisał się na medal. Jego książka jest nie tylko wspaniałym prezentem, pewnie wzruszającym dla wielu, którzy rozpo-

znają się w bawełnianych trykotach na czarnobiałych zdjęciach lub jaskrawych dresach już z czasów fotografii kolorowej, ale przede wszystkim ocala od zapomnienia duży fragment historii Nowego Dworu, Żuław i Mierzei Wiślanej. Dostaliśmy dokumentację działań edukacyjnych, sportowych, społecznych a nawet politycznych. Janusz Domaszewski ratuje od zapomnienia informacje, tabele wyników, stare zdjęcia, wycinki prasowe, proporczyki, dyplomy. Dla niektórych są to może tylko szpargały i rupiecie. Ci którzy lekkomyślnie wyrzucają je na śmietnik (jak w kilkakrotnie przywoływanej przez autora historii zbiorów archiwaliów jego zmarłego kolegi, wyrzuczonych po jego śmierci przez rodzinę) niszczą bezpowrotnie jakiś wycinek naszej historii, naszego życia. Autor dobitnie zaznacza to na wstępie swego albumu: *Spółczesność nie dbające o zachowanie swojej tożsamości przez archiwowanie dokumentów z wydarzeń historycznych, patriotycznych, religijnych, gospodarczych oraz imprez sportowych w muzeach, izbach pamięci, publikacjach wydawniczych upamiętniających sukcesy i niepowodzenia mieszkańców, traci swoją wiarygodność i wartość moralną.*

Czytając i oglądając „Album osiągnięć...” zwróciłem uwagę na kilka rzeczy. Po pierwsze – wielki szacunek budzi skala zainteresowań sportowych Domaszewskiego. Pisze on o piłce siatkowej, lekkoatletyce, podnoszeniu ciężarów, zapasach w stylu klasycznym, piłce nożnej, narciarstwie... Dzisiaj często nauczyciele WF-u są specjalistami tylko od jednej dziedziny i uczniowie są ćwiczeni przede wszystkim w „nodze”, „ręce”, „siatce” lub „przelajach”. „Domacha” to jeden ze współtwórców sukcesów nowodworskich ciężarowców i zapaśników, kiedy to żuławscy

sportowcy zdobywali nawet tytuł Mistrza Polski a sztangistów trenował trzykrotny olimpijczyk Mieczysław Nowak. Tylko kto dziś uwierzy, że zapasy były kiedyś najbardziej popularną dyscypliną sportową w Nowym Dworze Gdańskim?

To książka napisana przez nauczyciela, który święcie wierzy do dziś, że *uprawianie sportu pozwalało w młodych ludziach rozwijać szereg ważnych cech: sprawność fizyczną, punktualność, pracowitość, systematyczność, wytrwałość, waleczność, nieustępliwość. Ukierunkowane działania kształtowały postawy prospołeczne i budowały trwałe obyczaje aktywności fizycznej, sprawność motoryczną, dążenie do utrwalania prawidłowej postawy fizycznej w życiu codziennym i uprawiania rekreacji w wolnym czasie.* Warto o tym pamiętać w czasach, kiedy aktywność fizyczna wielu ogranicza się do naciskania guzików pilota lub przycisków myszki komputerowej.

Należy pochwalić wysoki poziom edytorski publikacji. Książkę wydano na dobrym papierze, reprodukcje zdjęć są porządnie zrobione, skład jest czytelny. Warto podkreślić, że album ukazał się nakładem Lokalnej Grupy Działania Żuławy i Mierzeja w Nowym Dworze Gdańskim dzięki środkom Europejskiego Funduszu Rolnego na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich. Ta publikacja to przykład dobrze wykorzystanych funduszy publicznych. „Album osiągnięć sportowych uczniów Zespołu Szkół nr 1 w Nowym Dworze Gdańskim 1979-1999” jest dostępny także w rozszerzonej wersji elektronicznej, w której dodano wykazy uczniów kończących naukę w zespole szkół przy ul. Warszawskiej w latach 1965-2012 pod adresem: http://zs2ndg.szkołnastrona.pl/container/dokumenty_2013-2014//album-sportowcow-zs2-.pdf

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga (trochę mniej serio). Album to świetne źródło wiedzy dla socjologa lub historyka mody, ponieważ daje okazję do prześledzenia, jak na przestrzeni kilkudziesięciu lat zmieniała się szkolna moda sportowa. Od

skromnych strojów typu: biała podkoszulka i ciemne spodenki, przez papuzie dresy ze sterczu do kostiumów, w których można z powodzeniem wystąpić na międzynarodowych zawodach.

Andrzej Kasperek

WIELOKULTUROWOŚĆ KUCHNI POMORSKIEJ

Przeszłość dla przyszłości. Wielokulturowość kuchni Pomorza. Receptury tradycyjnych i regionalnych potraw, Bydgoszcz 2014, Wydawnictwo & Studio Reklamy OPTIMA.

Pomorze to specyficzny fragment Polski. Z jednej strony jedna z najstarszych krain historycznych Królestwa Polskiego a z drugiej region, który na skutek wydarzeń historycznych pozostawał przez wieki we władaniu krzyżackim, pruskim i niemieckim. Od 1945 r. jako część tzw. Ziemi Odzyskanych znalazło się znowu w granicach Polski, co oznaczało opuszczenie Pomorza przez mieszkającą tu wieków ludność niemiecką. Na jej miejsce pojawili się nowi mieszkańcy: repatrianci z Kresów, osadnicy z Polski centralnej i wschodniej, Ukraińcy przesiedleni w ramach Akcji „Wisła”. Mamy więc tu swoistą mieszankę etniczną, bo przecież od wieków mieszkają tu Kaszubi, Kociewiacy, Borowiacy i Powiślacy.

Wydana kilka miesięcy temu książka kucharska pt. „Przeszłość dla Przyszłości. Wielokulturowość kuchni Pomorza” to zbiór 35 receptur tradycyjnych i regionalnych potraw



z województwa pomorskiego. Zbiór bardzo różnych przepisów, bo znajdziemy tu kuchnię kaszubską, dania z regionu Borów Tucholskich, rekonstrukcje potraw żuławskich oraz potrawy z Wileńszczyzny, Ukrainy czy Kieleckiego. Bo taka różnorodna i przez to bogata w smaki jest ta kuchnia. To, co łączy te przepisy to fakt, że wyrastają one z kuchni ludowej, prostej, opartej na miejscowych, tanich i łatwo dostępnych składnikach.

Książkę rozpoczyna interesujący wstęp Ewy Gilewskiej z Oddziału Etnografii Muzeum Narodowego w Gdańsku. W krótki i przystępny sposób opowiada ona o przy-

czynach tej różnorodności. W ciekawy sposób mówi o czynnikach wpływających na specyfikę różnych potraw, a więc łatwy dostęp do ryb na Kaszubach, obfitość nabiału na Żuławach, popularność gęsiny (bo gęś jest łatwa w hodowli), dostęp do runa leśnego w Borach Tucholskich albo powszechność uprawy kapusty, taniej i dobrze plonującej nawet na słabych glebach. Położenie regionu, rodzaj gleby albo sąsiedztwo Niemców lub Holendrów czy liczne kontakty ze Skandynawią – to wszystko wpływało na charakter kuchni danego obszaru. Decydowało o popularności pewnych potraw, o tym, czy miały one charakter codzienny lub odświętny. Jeszcze sto lat temu produkcja żywności miała charakter autarkiczny, czyli żywiono się tym, co samemu wyhodowano, zebrano, wymieniono lub upolowano.

Dziś żyjemy w świecie, w którym żywność jest relatywnie tania, łatwo dostępna, występuje w dużej obfitości. Dla wielu mieszkańców miast żywienie to tylko łykanie w biegu bułki z hamburgerem lub parówką, odgrzewanie gotowych produktów, chłęptanie zupek z torebki. Ta książka przypomina, że oprócz fast foodu istnieje też slow food, że można zwolnić, zacząć smakować, przeżuwać zamiast łykać. Przepisy starannie dobrano, dbając o zachowanie proporcji i różnorodność potraw, o różne smaki i gusta. Są tu przepisy na chleby, sery, zupy, pieczenie i ryby rozmaite. Są dania zwyczajne i takie na niedzielę. Ale wszystkie są takie, że każdy kto ma choć trochę pojęcia o gotowaniu, będzie potrafił w warunkach domowych je przygotować. Nie powinien też mieć problemów ze składnikami, ale faktem jest, że do dziś istnieją pewne ograniczenia regionalne, np. poza Kaszubami brukiew nie jest łatwo dostępna. Każdy przepis jest sygnowany nazwiskiem,

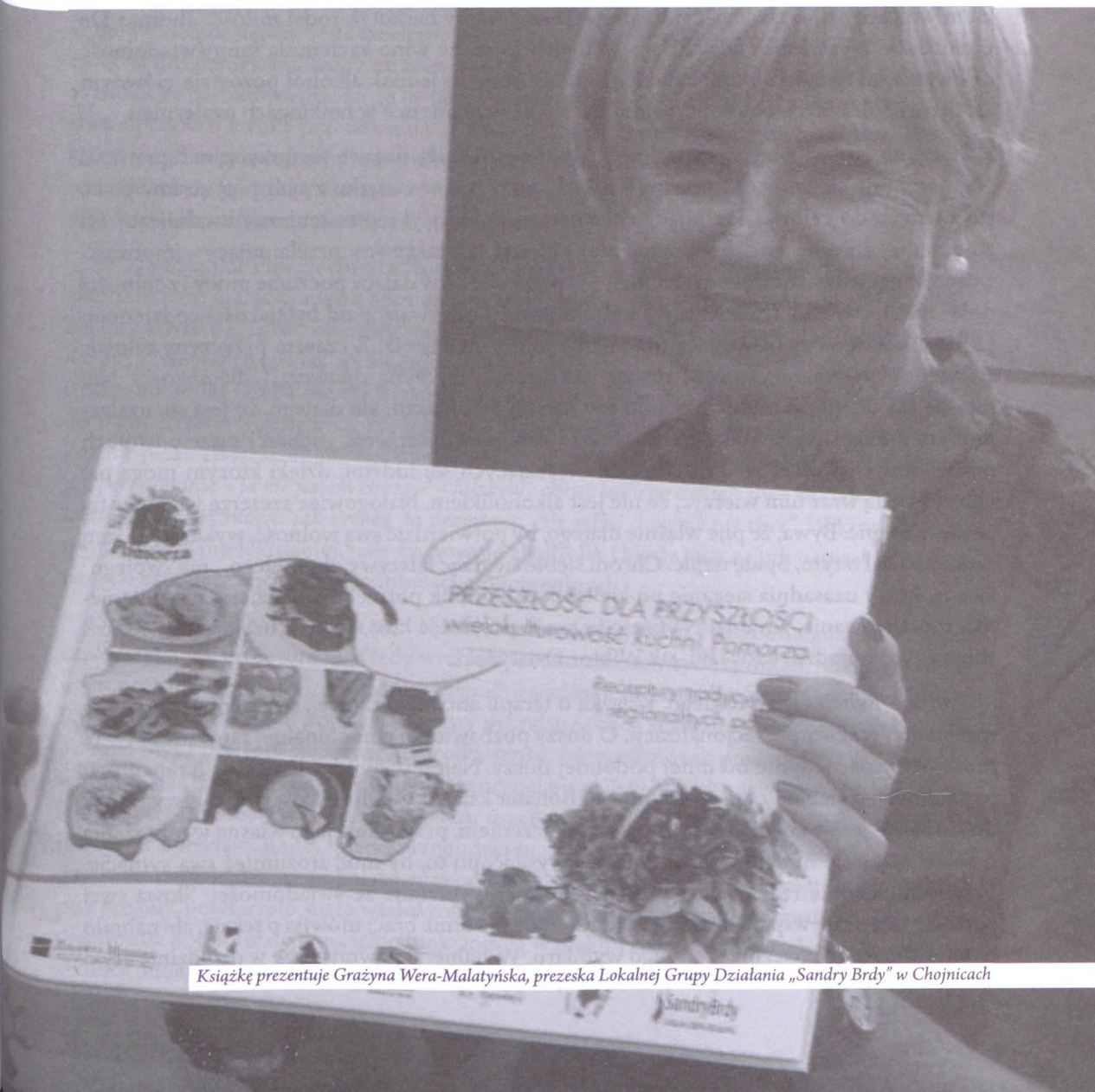
nazwą restauracji, koła gospodyń wiejskich, gospodarstwa agroturystycznego... Daje to nam pewność, że otrzymujemy przepis wypróbowany, niejako w wersji autorskiej, przez co sprawdzony i niezawodny. Warto je poczytać i samemu coś sobie ugotować.

Książkę wydano bardzo starannie – dobrej klasy papier, sztywna okładka. Przepisy są opatrzone kolorowymi fotografiami; ich autor Stefan Olszak wykonał naprawdę dobrą robotę – zdjęcia są świetne, potrawy wyglądają naprawdę apetycznie. Dania do zdjęć przygotowała Restauracja Stara Kaszarnia z Człuchowa. Słabiej wypadła za to okładka, jest „przegadana”, zbyt dużo próbowano na niej zmieścić. Ale to tylko drobiazg. Jeśli ktoś lubi mieć w swej bibliotece książki kulinarne, to powinien zadbać o to, żeby zdobyć egzemplarz tego dzieła.

Książkę wydały razem lokalne grupy działania z naszego regionu: Fundacja Lokalna Grupa Działania - Naszyjnik Północy z Debrzna, Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania Sandry Brdy z Chojnic, Lokalna Grupa Działania Małe Morze z Pucka, Lokalna Grupa Działania Wrzeciono z Miastka, Lokalna Grupa Działania Trzy Krajobrazy z Pruszczu Gdańskiego, Fundacja Partnerstwo Dorzecze Słupi z Dębnicy Kaszubskiej oraz Lokalna Grupa Działania Żuławy i Mierzeja z Nowego Dworu Gdańskiego. Wszystkie one współpracują w ramach projektu „Przeszłość dla Przyszłości - wielokulturowość kuchni Pomorza” realizowanego dzięki Europejskiemu Funduszowi Rolnemu. Jego celem było ocalenie od zapomnienia dawnych receptur przygotowywania potraw w różnych zakątkach Pomorza. Akcja „Szlak Kulinaryny Pomorza” grupuje też różne punkty gastronomiczne z naszego regionu, aby tradycyjne i regionalne potrawy nie tylko od święta znajdowały się na naszych stołach,

ale żeby można było pójść do restauracji i je sobie zamówić z karty. Na końcu książki jest mapka i spis 17 lokali, gdzie można zamówić parzybrodę, zagraj, śledzia w śmietanie z pulkami albo hreczanyki...

Książka dostępna jest także w wersji cyfrowej pod tym adresem: http://www.lgdn.org.pl/pliki/o_nas/publikacje/Przeszlosc_dla_przyszlosci/publikacja.pdf



Książkę prezentuje Grażyna Wera-Malatyńska, prezeska Lokalnej Grupy Działania „Sandry Brdy” w Chojnicach

Andrzej C. Leszczyński

OKRUCHY

PICIORYSY, KACOPOWIEŚCI, KACOŻYCIE

Substancje, które wpływają na psychikę, to leki, używki, nikotyna, alkohol, narkotyki (twarde i miękkie). Kawa, papieros czy tabletki przeciwbólowa to specyfiki traktowane mniej więcej tak samo, jak jabłko, chleb czy kefir. Alkohol właściwie też, jeśli nie jest nadużywany. Krytykują go tylko, z jednej strony, purytanie, zwolennicy całkowitej abstynencji a nawet prohibicji, z drugiej zaś miłośnicy narkotyków, których zdaniem alkohol jest środkiem wulgarnym, wyzwalającym agresję, podczas gdy narkotyk rodzi miłość. Thomas De Quincey w *Wyznaniach angielskiego opiumisty* pisał, że wino zaciemnia samoświadomość człowieka, ożywia ją opium. Zdaniem specjalistów to jednak alkohol pozostaje głównym źródłem społecznych patologii, zajmuje też pierwsze miejsce w rankingach uzależnień.

Zaczyna się od przyczyny celowej, dopiero później pojawi się przyczyna sprawcza. Najpierw pije się „po coś”. Antoni Kępiński wyróżnił w związku z tym pięć stylów picia, stosownych do celów, jakie pijący chce osiągnąć. [1] styl neurasteniczny uwalniający od zmęczenia, zniechęcenia, rozdrażnienia; [2] styl kontaktywny przełamujący samotność, zmniejszający dystans do innych ludzi; [3] styl heroiczny dający poczucie mocy i zdolności dokonywania rzeczy wielkich; [4] styl dionizyjski odrywający od bylejakości codziennej; [5] styl samobójczy realizujący pragnienie samozniszczenia. Z czasem przyczyny celowe, związane z pytaniem „po co?”, zostają zastąpione przyczyną sprawczą („dlaczego?”). Nie pije się już dla poprawienia nastroju czy lepszego kontaktu, ale dlatego, że jest się uzależnionym i musi się pić. Wiktor Osiatyński (*Trzeźwość, uczciwość, godność*) pisze o istotach pozbawionych wolnej woli i godności, otaczających się ludźmi, dzięki którym mogą pić i którzy będą wraz nim wierzyć, że nie jest alkoholikiem. Nałogowiec szczerze wierzy w to, że nie musi pić. Bywa, że pije właśnie dlatego, by potwierdzić swą wolność, wykazać, że sam zdecydował o tym, by się napić. Chroni siebie tworząc fałszywy obraz złego, „nie swojego” świata, który uzasadnia sięganie po kieliszek. Alkoholik potrzebuje nadziei – nie potępienia, moralizowania, karania. Nadzieję tę może przynieść ktoś, kto był uzależniony i jakoś sobie z tym poradził. Ktoś taki, jak Wiktor Osiatyński.

Czytam *Rehab* Osiatyńskiego. Książka o terapii antyalkoholowej, o leczeniu raka duszy zamkniętej w skorupie racjonalizacji. O duszy pozbawionej emocjonalnej samowiedzy – tę może otrzymać jedynie od innej podobnej duszy. Najczęściej udzielana rada terapeutów: pytaj innych o siebie i zapisuj, co mówią. Bohater książki, alkoholik W., pyta. Słyszy rzeczy dobre i złe – jedno i drugie przyjmuje z zaskoczeniem, przerastają jego własne wyobrażenia o sobie. Uczy się mniej myśleć, mniej się wysilać, po to, by móc zrozumieć swą sytuację. Przypomina sobie rzeczy ważne i najwidoczniej wypierane ze świadomości. Słowa swej partnerki, że umie wspaniale dawać, ale zupełnie nie umie brać; mówiła o seksie, ale nabrało to teraz dla niego znacznie szerszego wymiaru. W. nabierał pewności, że w dziedzinie etyki

i psychologii ma doktoraty z oszukiwania samego siebie. Powoli dociera do niego, że szanse uwolnienia się od alkoholu zależą od przemiany nie tylko psychicznej, ile duchowej.

Susan, terapeutka, pyta W., czego będzie najbardziej mu brakowało, kiedy już wyrzeknie się alkoholu, czego będzie wtedy żałował. Sam się zdziwił uświadomiwszy sobie, że poalkoholowych kaców. Tylko na kacu udawało mu się odrzucać intelektualną dyscyplinę naukowca, otwierać wyobraźnię, być twórcą w takim sensie, jakie wiązał z tym słowem. W. marzył o napisaniu powieści; a właśnie w stanie kaca prawie że same układały mu się surrealistyczne opowiadania z zaskakującą pointą: „kacopowieści”, jak o nich myślał. Jeden z moich znajomych kieruje się podobnym, nie „kacopowieściowym”, bo nie pisze, lecz „kacozyciowym” oczekiwaniem. W towarzystwie pije intensywnie, choć bez radości. Z zasady nie uczestniczy w odkrywczym do pewnego momentu dysputach, można nawet odnieść wrażenie, że sięgając po kolejny kieliszek myśli już tylko o czekającej go nagrodzie. Inwestuje w dzień następny, w poranek przywracający dziecięctwo, wyostrzający zmysły, cofający do stanu natury, budujący zarazem metafizyczną samowiedzę, o jakiej zdaje się myślała Wanda Czubernatowa pisząc: „*Kto nie miał kaca, nie wie co to smutek*”. Znajomy do mistrzostwa opanował sztukę przedłużania „kacozycia”, podtrzymywał je jednym małym piwem, które sączył przynajmniej przez godzinę. Raj ten stawał się rajem utraconym dopiero pod wieczór, kiedy godził się z nieuchronnością utraty tego, co pierwotne i zamawiał pierwszą pięćdziesiątkę nie licząc tym razem na cud poranka.

W „Tygodniku Powszechnym” rozmowa z Ewą Woydyłło i Wiktorem O., „nie pijącym alkoholikiem” (dość głupawa maniera, żeby maskować pierwszą literą doskonale przecież znane nazwisko). Tytuł rozmowy wzięty z prozy Jerzego Pilcha: *Przyszło nam do głowy, żeby nie pić*. - Nie jest to jednak sprawa głowy, okazuje się, bo po uświadomieniu sobie niemocy wobec alkoholu trzeba nie do własnego pomysłu się odwołać, ale do jakiejś Siły Wyższej, do Boga. Trzeba własny życiorys uznać za piciorys. Wiktor O. powtarza to, o czym wielokrotnie pisał: „*Większość alkoholików nie wie, że są alkoholikami. To choroba, której elementem jest przekonanie »ja nie jestem chory« – fałszywy obraz samego siebie*”. Ewa W.: „*Równocześnie każdy alkoholik mówi: jak zechcę, to przestanę. Ale jakoś dziwnie nie chce*”. Wiktor O. mówi o sprawności intelektualnej, jaką zachowuje alkoholik (kiedy jeszcze pił, napisał kilka książek) i o zaniku uczuciowości, zdolności emocjonalnych.

O tym, że alkohol uwalnia to, co zablokowane, schowane, stłumione zdaje się świadczyć przypadek profesora O. Kiedy wracał z mocno zakrapianych spotkań, lub gdy u siebie w domu zamykał drzwi za ostatnim współbiesiadnikiem, natychmiast włączał komputer. Pół biedy, gdy zaczynał poprawiać teksty przysłane przez studentów - odnajdował w nich od razu myśli i zwroty pozbawione urody, sensu, jakiegokolwiek powodu, dla którego powinny zostać zapisane. Gorzej, gdy sam zaczynał pisać listy natychmiast je wysyłając. W ten sposób po raz kolejny wyjaśnił pani rektor macierzystej uczelni, co tak naprawdę sądzi o jej intelekcie i urodzie. Rano, tuż po przebudzeniu, znowu uruchamiał komputer by potwierdzić swe najbardziej niepokojące przecucia. Odczytywał wysłaną korespondencję, słał przeprosiny, powtarzało się to wielokrotnie. Poradziłem mu, by zainstalował w komputerze urządzenie podobne do tego, jakie funkcjonują w niektórych samochodach. Kiedy wyczuje alkohol, uniemożliwia uruchomienie silnika. Pomysł ten nie przypadł O. do gustu.

Poruszeni narastającym uzależnieniem alkoholowym M.W., zapisaliśmy się z Jolą K. na terapię w poradni antyalkoholowej na Kartuskiej po to, żeby dowiedzieć się, jak powinniśmy postępować, żeby mu pomóc. Moja wstępna deklaracja była taka, że wesprę psychicznie M. własną roczną abstynencją. Jola była gotowa do nieczęstowania M. alkoholem i nie wymieniania w rozmowach tego słowa. Pani doktor pobrała od nas stosowne opłaty i podczas dwugodzinnej rozmowy przytaczała najnowsze teorie dotyczące mechanizmu wpadania w nałóg. Dopiero pod sam koniec poinformowała nas, że nie możemy koledze pomóc bez jego własnej woli. Zdegustowani, po wyjściu z poradni kupiliśmy od razu butelkę smirnoffa.

PÓLNOC, AZJATYCKI GEN

Na północy Europy pije się wódkę, na południu wino. Wino należy smakować, wódkę wypija się jednym haustem. Technologię produkcji wódki ze zboża znano już w V wieku. Do Polski przysłała w XIV wieku z Niemiec. Nosiła dumną nazwę *aqua vita* (woda życia), spolszczoną jako okowita. Gorzalką stała się później, kiedy powstały – w każdym niemal folwarku – gorzelnie. Stała się tania, gdy zaczęto ją pędzić na skalę przemysłową z ziemniaków.

Stary dowcip o Ruskich, też z północy. Idzie dwóch takich na przyjęcie. Śpieszą się, widząc leżących bankietowiczów z mordami w błocie, co jeden z nich komentuje: - Widzisz? Państwo już bawią się, a my dopiero idziemy. Dowcip taki sobie, powielił stereotyp narodowościowy; przecież jednak i Rosjanie podobnie siebie widzą. Skąpani w wódce: tak zatytułowany jest - napisany kilka lat temu, ale nie ma rzeczy mniej podatnej na dezaktualizację niż wódka - artykuł Sławomira Popowskiego, gdzie aż roi się od stosownych przytoczeń. Kiedy podniesiono w Rosji ceny wódki, od razu pojawił się popularny wierszyk: *„Było dwa, budżet wosiem, i wsio taki my pit` nie brosim, nu jesli budżet bolsze, my sdielajem wsio kak w Polsce”*. Życie jest piękne, jeśli pijesz bez pośpiechu - to inna z narodowych mądrości rosyjskich. Wódka, zauważa rosyjski pisarz Borys Paramonow, to nie jest kwestia wyboru. To sytuacja zastana, rosyjski piąty żywioł. Rosjanin jest nietrzeźwy w sposób immanentny, jest pijany jako taki, z samej swej ruskiej natury.

Anatolij Pristawkin, także pisarz i były szef prezydenckiej komisji do spraw ułaskawień, szczególnie zapamiętał sprawę Pudowkina. Najpierw pił ze swoją kochanką, potem uderzył ją pięścią w twarz, bo nie miała ochoty na seks, następnie przejechał po ciele nieprzytomnej kobiety samochodem, ciągnął ją w ten sposób kilkanaście metrów. Ofiara, kiedy tylko odzyskała przytomność, wróciła do swego oprawcy, na znak pojednania wypili kilka kolejnych butelek. Dopiero wtedy zadźgał ją nożem. Rosjanie, można usłyszeć od tamtejszych specjalistów, są skazani na wódkę, czyli na unicestwienie biologiczne. U większości z nich stwierdzono obecność „genu azjatyckiego”, dzięki któremu mogą i chcą wypić dziesięć razy więcej niż przeciętny Europejczyk.

Litewska straż graniczna wykryła na granicy z Białorusią, w Ejszyszkach, rurę plastikową, którą przemycano na Litwę alkohol. Rura ta – wódkociąg? - miała trzy kilometry długości. Nie ma jednak powodu do kompleksów, coś podobnego wymyślili (prawda, że na mniejszą skalę) kilkadziesiąt lat temu Jan Himilbach i Zdzisław Maklakiewicz. Gdy ten ostatni został

przez czujną małżonkę zamknięty w mieszkaniu, Himilbach dostarczał my zyciodajnego płynu przez plastikowy wężyk przeprowadzony w jakiś sposób przez drzwi. Nie widząc się – wznosili nawet toasty.

ARTYŚCI

W teatrze pachną alkoholem sztuki Szekspira, Grochowiaka czy Wyspiańskiego. Nos z Wesela mógłby być całkiem dobrym pretekstem do namysłu nad charakterem Polaków. Jan Kochanowski w jednej z Pieśni wyznaje bez ogródek: „Znał kto kiedy poetę trzeźwego?/ Nie uczyni taki nic dobrego”. Ucieczka od poezji, zauważa Krzysztof Karasek, też nie chroni przed piciem: „Wszyscy poeci są pijakami./ Inni piją dlatego,/ że nie są poetami” (*Testament naturalisty*). Jacek Kaczmarski dostrzegał w alkoholu środek uwalniający od schematów myślowych. „Logika jest przekleństwem umysłu. Wydaje się, że wszystko tłumaczy, tymczasem potwornie upraszcza świat i zamyka go w nudzie”. Co do nudy, odmienny pogląd miał Witkacy (*Dusze niemyte. Narkotyki*): „Alkohol jest n u d n y. Wiedzą o tym ci, którzy zaczęli go choćby z lekka nadużywać. Daje z początku iluzję nieskończonych obszarów ducha, które przy jego pomocy zdobyć można. Wydaje się po pierwszych kieliszkach, że kryją się w alkoholu niesłychanie odkrywcze właściwości. Jedynie łatwość kombinacji znanych elementów daje niedoświadczonemu pijakowi to złudzenie”. Przyznaje, że czasami używał alkoholu przy szkicowaniu dramatów, często – wraz z narkotykami (ujawnianymi w podpisie) – przy rysowaniu: „w portretach w tych właśnie stanach robionych dokonałem na bardzo małą skalę rzeczy, których bym jednak bez tego nigdy wykonać nie potrafił”. Zamiast alkoholu poleca, wypróbowane osobiście „ze znakomitym skutkiem”, następujące zamienniki: „kola (szczególnie przy kombinacji wysiłku fizycznego z umysłowym), strychnina, a nade wszystko glicerofosfat czy fosfit”. Niczym terapeuta z ośrodka AA przestrzega: „pijak przestający pić nie powinien stanowczo pozwolić sobie nawet na tzw. »kieliszek winka«, ani na »małe piwko« lub »porterek«. Koniec – szlus. Sam piekielnie lubię piwo dla jego smaku, ale zaznaczam, że raz szklaneczka portera była przyczyną upadku autora po czternastomiesięcznej zupełnej abstynencji”.

Paweł Zawadzki w „Dekadzie Literackiej” wspomina innego zakopiańczyka i malarza, Jerzego Sosina. Zarabiający fortunę na modnych w tym czasie „pikasach” chlapanych na lnianym płótnie, po utracie majątku (komornik), rodziny i domu zasmakował w wódce. Wspierali go, kupując płótno i farby, Władysław Hasior, Tadeusz Brzozowski, całe tamtejsze środowisko artystyczne. Także słynna aktorka, która wierzyła „święcie, pięknie i naiwnie, że uratuje go od delirium”. Kilka razy znalazł się w szpitalu psychiatrycznym („Paru psychiatrów dzięki temu zgromadziło piękne kolekcje jego obrazów, bo wciąż dobrze malował”). Wszystko szło ku temu, co nieuchronne. „Krażył po Krupówkach jak widmo – przezroczysty, fioletowy, niematerialny, ponury jak duch zamordowanego, szukający swego prześladowcy. Szekspira recytował coraz rzadziej – alkohol i leki zrobiły swoje. Wypijał resztki piwa zostawione w kufiach ulicznych barów, nocował po bramach i krzakach. Malował coraz rzadziej i nikt nie wiedział, czy i jak mu pomóc. Był jak wyrzut sumienia całego miasta, które z pewnym niesmakiem przeżuwało fragment legendy wielkich impresjonistów paryskich, jaki niesiony halnym zaśląkał się pod Giewont”.

Życie i twórczość artysty. Rzadko jedno izoluje się od drugiego, a jeśli tak, rzadko jest to twórczość znacząca. Do takich podwójnie rzadkich wyjątków należy znajomy poeta, stroniący od alkoholu z powodu fundamentalnego – nie lubi smaku i zapachu tego rodzaju płynów. Opowiadał mi, jak zdarzyło się mu się w stanie upojenia napisać wiersz. Mówił o zachwycie, jaki ogarnął go po postawieniu ostatniej kropki. Zachwycał się w tym samym stopniu wierszem i sobą, natchnionym wybrańcem. Wypełniało go szczęście, jakiego nie znał nigdy dotąd. W tym stanie ducha zasnął. Kiedy obudził się z piekącymi oczami, widać we śnie płakał ze szczęścia, od razu przypomniał sobie, jak wielka rzecz stała się poprzedniego wieczora. Przeczytał kartkę, która leżała na biurku i ogarnął go wstyd. Wstydził się około trzech miesięcy i jeszcze teraz, po latach, kiedy mówi o tym, nie może pozbyć się uczucia zażenowania.

NOWOSIELSKI

Szydł z nazwy „anonimowy alkoholik”. – Co to znaczy? Ja jestem przecież konkretny alkoholik. Alkoholik Jerzy Nowosielski! Studenci i pracownicy krakowskiej Akademii, nie wspominając o osobach bliskich, wiedzieli i widzieli wszystko (niektóre detale opisuje Krystyna Czerni w biografii artysty pt. *Nietoperz w świątyni*, w rozdziale zatytułowanym *Zatrute źródło*). Do tzw. sfery publicznej przedostawały się plotki. W 2003 roku „Przekrój” opublikował *Smoki świętego* Jerzego Marcela Andino-Veleza. „*Od jesieni 1999 roku Profesor »jest« coraz mniej, a coraz bardziej »był«.* [...] Jerzy Nowosielski nie weźmie udziału w uroczystym otwarciu wielkiej wystawy retrospektywnej w warszawskiej Zachęcie [...] zorganizowanej z okazji jego 80. urodzin. Być może nie dowie się nawet, że otwiera się wystawa. [...] w jego codziennej egzystencji trafia się tylko jedna jasna chwila. To moment, kiedy pielęgniarka sadza malarza na jego ulubionym fotelu, przykrywa mu nogi pledem, a na stoliku obok stawia szklankę. Do szklanki powolutku nalewa piwa. To z piwa pan Jerzy czerpie dziś kalorie i witaminy. [...] Lekarze uznali, że organizm malarza nie wytrzymałby rozstania z alkoholem. [...] Ci, którzy przyjaźnili się z Nowosielskim, przyznają – przez kilkadziesiąt lat nie zdarzyło się, by był całkowicie trzeźwy. Nie zdarzyło się też, by chciał to przerwać, wyprzeć się wódki. Potrzebował alkoholu jak powietrza. Nie pił po to, by brylować i cieszyć się życiem. Pił, by zagłuszyć świadomość, że życie może tak boleć. Utrzymywał w sobie alkohol na mniej więcej wyrównanym poziomie. Ze swojej strony alkohol zaś rewanżował się utrzymywaniem malarza w jakiejś takiej równowadze między światem duchowym i rzeczywistym. Świat rzeczywisty to był dom i żona, kontrola i opieka. Akademia, gdzie studenci czekali by profesor zrobił im korektę prac i wygłosił wykład. Rozmaite inne obowiązki. [...] Jerzy Nowosielski od prawie czterech lat już nie maluje. Ostatni raz poza Krakowem był 10 lat temu – w Lanckoronie. To było jego ulubione miejsce wypadów. Z Lanckorony przywoził najczęściej delikatnych pejzaży. [...] Póki mógł, lubił spacerować wzdłuż torów, patrzeć na przejeżdżające pociągi. W domu zgromadził kolekcję miniaturowych modeli. Zapewne już nie pamięta, że ma je w szafie. Że kiedyś lubił stawiać je przed sobą i wpatrywać się w nie przez długie minuty”.

Monika Małkowska, w artykule pisany z okazji 85. urodzin Nowosielskiego, przytacza słowa Leona Tarasewicza: „*Ten żyjący święty, artysta, najprawdopodobniej nie namaluje już nigdy żadnego obrazu. To jakby dopełnienie pokory, którą nosił w sobie przez całe życie.*”

Niezrozumiany przez nikogo: katolików i prawosławnych, intelektualistów i wiernych, artystów i krytyków – cierpliwie, pokornie i konsekwentnie malował ikony, mając świadomość, że wbrew powszechnemu mniemaniu nie ma nic takiego, jak kanon ikony”. W tym samym 2008 roku „Znak” drukuje rozmowę Krystyny Czerni z Ryszardem Przybylskim, który mówi: „Dlaczego? Jedno jest pewne: Chciał stracić przytomność, zatłuc własną świadomość. To była moim zdaniem główna przyczyna. To tak jak niektórzy Rosjanie. Znałem kiedyś takiego, który mówił, że dostał się w łapy szatana i musi pić. Że to już koniec, on nie ma wyjścia, on musi. On nie chce wiedzieć, że istnieje, i już! A dlaczego – nie tłumaczył. To jest coś w rodzaju zabijania własnej świadomości. Jest w człowieku taka wiedza, która jest dla niego straszna, on w pewnym momencie nie wytrzymuje i chce ją zatłuc, odsunąć... Przypuszcza, że u pana Jerzego chodziło właśnie o to. Tym bardziej, że nie pił przecież czasem przez całe miesiące. To bardzo ważne i potwierdza, jak mi się wydaje, moją tezę. Skoro to nachodzi człowieka od czasu do czasu, to znaczy, że już wytrzymywał. Sama wódka nie jest tutaj istotna, ona jest tylko narzędziem stłumienia czy ściemnienia własnej świadomości. Moim zdaniem każdy ma w życiu chwile, kiedy myśli: lepiej by było, żebym już nie istniał. – To chyba tęsknota za niebem? – U niego tak, skoro wierzy. Ale jeśli człowiek nie wierzy, to zdąża do nicości, co też może być bardzo piękną tęsknotą. Woli nicość od tego, co wokół”.

Wódka jako narzędzie tłumienia, zagłuszania świadomości, sposób zatłuczenia przytomności. Tak, Jerzy Nowosielski stanowi doskonale, by tak rzec, uosobienie samobójczego stylu picia, gdyby odwołać się do typologii Antoniego Kępińskiego. Czy też może połączenia dwóch stylów, dionizyjskiego i samobójczego, transgresji wyzwalającej ze świata cierpiącego, prowadzącej ku nicości. W rozmowie ze Zbigniewem Podgórcem mówił o sztuce, że jest nadzieją, życiem, przeciwstawieniem się rozpadowi; że „w swej istocie jest wyrazem pewnego triumfu świadomości ludzkiej nad katastrofą egzystencji empirycznej”. Malarstwo pojmował jako usiłowanie „wydobycia się na wolność serca ludzkiego”. A jednocześnie odczuwał w sobie nieustanną walkę dwóch sił, siły diabelskiej i siły Boskiej. „Wiem [...], że jako artysta jestem niejako posłany do piekła i mam wyrzucić tyle, ile się da z tego piekła, aby było zbawione... Niczego więcej nie pragnę, niczego więcej nie rozumiem... ”.

Szkoda, że znalazł narzędzie w alkoholu, a nie na przykład w opium – środku jakoś inaczej znieczulającym, tumaniącym, odsuwającym, tłumiącym cierpienie związane z istnieniem świadomym. Upijać się można, wskazywał Charles Baudelaire, w niejednym sposób:

*„Trzeba być zawsze pijanym. Na tym wszystko polega:
to jedyne rozwiązanie. By nie czuć straszliwego
brzemienia Czasu, który miażdży wasze ramiona
i grzbiet pochyla ku ziemi, musicie upijać się
bez przerwy*

*Ale czym? Winem, poezją lub cnotą, tym
co wam odpowiada. Ale upijajcie się”.*

Maciej Kraiński

NIBYBAJKI Z MOZAIKI

*Chińczyki mają rozum, choć daleko siedzą,
I bajki wiedzą.*

(Ignacy Krasicki)

Wiedz, moja mała, że za każdą zjedzoną łyżkę kaszki nagrodzona będziesz opowiadaniem wywiedzionym z przeszłości, której ja Szachrezad doświadczyłem lubo też, zasłyszalem z ust nieskalanych kłamstwem. Chwała Temu, co sprawił, że dzieje przodków są dla późniejszych pokoleń przykładem! Słuchaj zatem. A było tak.

Dawno, dawno temu półki sklepowe świeciły pustkami, a ludzie by kupić gnata lub indyczą szyję, stali gęsiego jeden za drugim, co nazywano kolejką.

Dawno, dawno temu kelner donosił talerz trzymając kciuk w zupie, a na pytanie, czemu to czyni, odpowiadał ze zbolalym wyrazem twarzy, że lekarz zalecił mu trzymanie spuchniętego palca „w ciepłym”. Spotkało się to z naszej strony z głębokim zrozumieniem i chrześcijańskim współczuciem. Chwała Bogu, nie trzymał go w ustach. Restauracja natychmiast straciła by na renomie z powodu infantylnego kelnera ssącego palec. Co jak co, ale opinia publiczna potrafiła napiętnować jedynie słusznym gniewem.

Dawno, dawno temu do ryby podawano czerwoną lepką Małmazję, czasem fuksem białe wytrawne się trafiało, które bar wydawał ciepłe. Warto uzupełnić fragmencik rybny przypomnieniem, że na cytrynę była osobna stawka, jako fanaberię z cechami luksusu. Cytrusy bowiem, w ramach bratniej pomocy, przysyłał Fidel Castro i przy każdym upuszczaniu soku z limona przyzwoitość nakazywała wspomnieć z wdzięcznością, spracowane dłonie i zroszone potem hebanowe ciało przedstawiciela ludu pracującego Kuby.

Dawno, dawno temu główną ulicą miasta ciągnęły tabory konne z kartoflami, kapustą i kiszunkami, w ramach akcji „Cała wieś karmi miasto”. A było to ranną porą. Odgłosy człapiącego konia towarzyszyły mojemu dzieciństwu. Kaszubska kleista mgła wypuszczała wóz za wozem, wóz za wozem. Na kocich łbach parujące końskie pączki były ruską banią i spichlerzem dla wygrzewających się w nich wróble. Było ekologicznie.

Dawno, dawno temu moja 90-letnia babcia dostawała przydział 200 papierosów, zachęcających do wysiłku fizycznego, z uwagi na markę Sport i litr wódki czystej 45 %. I stało się tak, że pewnego dnia ciekawska staruszcza zaordynowała kusztyczek zmrożonej siwuchy do śledzia z gotowanym kartofelkiem w mundurku. Po spożyciu zrecenzowała:

- Ale zajzajer. Traktują nas gorzej niż fornali. Myśmy dawali Baczewskiego na Boże Narodzenie, wdzięczni parobcy, strzelali z bata na wiwat, aż psy kuliły ogony. Lud ma w sobie olbrzymie, naturalne poczucie sprawiedliwości i potrzebę ładu społecznego. A cały ten socjalizm to z tych kund miejskich włóczących się po wiosce. Bałamucili parobków, we łbie im poprzestawiali, biedy napytali. Patrz na nich teraz - ciągnęła babunia miłościwego Francisz-

ka Józefa pamiętająca - w garniturze wystrojonej, samochodami się rozbijają i obrońców ludu grają. Diabły w ornaty przebrane, ogonami do mszy dzwonią.

Dawno, dawno temu książkę o znamiennym, nomen omen, tytule „W poszukiwaniu straconego czasu” wydano na kwaśnym papierze, po dwuletnim wysiłku drukarzy, w nakładzie 100 tys. egzemplarzy, a myśmy kombinowali by dzieło spod lady dostać, szczególnie z uwagi na kultowe magdalenki.

Dawno, dawno temu w tzw. lokalu nie podawali piwa i wódki bez zakąski, zatem należało zaordynować: pieczarki z patelni z pajdą chleba lub sałatkę włoską zwieńczoną wężykiem żółknącego majonezu, lub ozór w maladze z podwiniętym brzegiem i nieśmiertelną brzoskwinia z syropu, lub barszczyk z zimnym pasztecikiem. Najbardziej jednak w pamięci zapadła ostryga po polsku, czyli surowe żółtko posypane pieprzem i mieloną ostrą papryką, dana elegancko w połówce skorupki. Należało to siorbnąć i zapić jednym chlustem ciepłej sety.

Dawno, dawno temu kapuś - szatniarz, pisz wymaluj Lis Witalis, szelmowsko mrugał kaprawym oczkiem mamrocząc:

- *Marlboro, Camele, Winstony*, po dychu panie kierowniku.

Spod lady wyciągał kontrabandę marynarską i przykrywając paczkę czerwonym, odmrożonym łapskiem zbywał haust pachnącego dymu z zachodu. Siedziało się w perfumowanej smudze nad kawą po turecku, w szklance a przechodzący goście kawiarniani szeptali zawistnie „*Laki striki z Hameryki*”.

Dawno, dawno temu staliśmy gęsiego, czyli w kolejce na postojach taksówek. Czasami podjeżdżał taki limuzyną marki *Warszawa* lub *Moskwicz* i wydmuchując dym w nos klientowi rzucał przez żółte zęby nutrii:

- Czyść pan buty z piachu, to nie chlew.

Cóż to była za radość mościć się na tylnej kanapie ze sprężyną, ze zdezelowanej tapicerki, wbijającą się w tyłek, delektować się wnętrzem wozu cuchnącego machorą i skarpetami.

Tak było. Opowiadającemu słów braknie, by ów rozbłysk szczęścia opisać.

Dawno, dawno temu zdarzyło się, że wyprowadziłem psa nocną porą. Traf chciał, że patrol milicji zza węgła wyszedł, a pies za nogawki ubrania służbowego jął szarpać. Przedstawiciel władzy ludowej, jedną ręką trzymając czapkę, a drugą raportówkę krzyknął:

- Dowód!

Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie posiadam, bo ja tylko z psem na siku. I wtedy ten drugi z niewiadomych powodów przesunął kaburę z tetetką z prawego poślądka pod sterzącą brzuch. Kabury były skórzane, w specjalnym otworku sterczał taki mały błyszczący wyciorek, z kablączkiem okrągłym. Uczynił to wymownym gestem, a ja panikowałem, do psa czy do mnie zamierza wygarnąć. Na szczęście nie wygarnął. Padło pytanie:

- Gdzie mieszkanie?

- O tu! - Wskazałem palcem na bramę z numerem 4, pod którą staliśmy.

- Idźcie i przynieście no dowód tożsamości obywatela, powiedzieli chórem.

- I paszół z tym psem!

A ja poszedłem i przyniosłem, bo cóż miałem robić, wszak władzy należało być powolnym i dowód nosić nawet przemieszczając się na niewielkim dystansie z punktu A do punktu B. Przedstawiciele niepolitycznie jest drażnić, zwłaszcza nocą, kiedy pod latarniami jest ciemno, jak nie przymierzając... wiadomo gdzie. Otworzył i spytał:

- Nazwisko?

Świecił w dowód. Odczytałem z ruchu warg, że sylabizuje. Byłem lekko skonsternowany. Czyżby zalało mi dowód? Zapuściłem żurawia i widzę, jest jak trzeba. A on ponawia:

- Nazwisko?

To ja mówię: Kraiński. A on na to triumfalnie, że nieeee...

- Bo tu pisze Krasieński.

Drugi, ten od pistoletu, widać ważniejszy, z V na czapce, pyta podejrzliwie:

- To wy synem tego biskupa od bajek jesteście?

- Ja Kraiński, nie Krasieński - nieśmiało protestowałem... I już chciałem chlapnąć, że o Krasickim zapewne myślał pan oficer, ale sobie przypomniałem stały zwrot frazeologiczny bardzo już zadomowiony w kraju ojczystym „tisz e budiesz, dalsze jedziesz”, zamilkłem przezornie coraz bardziej pokorniejac, w swojej inteligentniej przemądrzałości.

- No, no... pogroził... Jeszcze raz przesylabizował.

- Kra - iń - ski...

- Czego mówicie Krasieński, jak tu Kraiński stoi? - on rzecze, odwracając kota ogonem. A ja już wiem. Oni mają zawsze rację. Nawet jak się mylą i źle sylabizują. Z datą i miejscem urodzenia, zameldowaniem, imionami rodziców, nazwiskiem rodowym matki, wzrostem, kolorem włosów i oczu, poszło płynnie. Byłem po prostu dobrze przygotowany. Zdałem, a oni zapisali wszystko. Za chodzenie bez dowodu mandat wypisali i poszli. Dobrzy ludzie, pomyślałem, mogli spałować, uwięzić, nawet zastrzelić jak sobakę, a oni tylko ukarali finansowo, pouczyli, i pochłonął ich mrok nieoświetlonej ulicy. No, no. Czy my z tą demokracją nie za bardzo się zagalowaliśmy?

Dawno, dawno temu wszedłem do stoczni, gdzie lewitowałem płynąc w obłoku wolności, statkiem szaleńców, który się zerwał ze smyczy suchego doku.

Tu zaskoczyła Szachrezada pusta miseczka i przerwał opowiadanie.

A skoro nastał dzień następny, bajął dalej. Ale to była już zupełnie inna bajka.

Gdańsk, 31 sierpnia 2014 r.

Noty o autorach

Tomasz Agejczyk - ur. w 1985 r. w Malborku, od najmłodszych lat zafascynowany historią Malborka, w szczególności latami międzywojennymi. Pasjonat i zbieracz wszelkich pamiątek dotyczących miasta. Numizmatyk. Obecnie mieszka w Elblągu. Należy do Förderverein Jerusalem-Hospital des Deutschen Ordens in Marienburg (Malbork) e.V. Współpracuje z *Magazynem Elbląskim*.

Wacław Bielecki - od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika *Sztumska Solidarność*, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. W latach 1990 – 1994 roku przewodniczący Rady Miasta i Gminy Sztum. Długoletni dyrektor Liceum Medycznego Pielęgniarstwa przekształconego w Wojewódzki Zespół Szkół Policealnych w Sztumie.

Lech Brywczyński – ur. w 1959 r. w Elblągu, gdzie mieszka do dziś. Jest absolwentem historii Uniwersytetu Warszawskiego. Członek SEKA (Stowarzyszenie Elbląski Klub Autorów). W latach 1991-1992 był wydawcą i redaktorem naczelnym miesięcznika społeczno-kulturalnego *Echo Elbląga*, a w latach 1991 - 1997 – etatowym dziennikarzem najpierw *Elbląskiego Magazynu Ilustrowanego*, a następnie *Kuriera Elbląskiego*. Współpracował m.in. z: *Dziennikiem Bałtyckim*, elbląskim dwutygodnikiem *Regiony* oraz *Magazynem Elbląskim*. Pisze wiersze i dramaty. Utwory literackie publikował w *Akancie*, *Pograniczach*, *Res Humana*, *Aspektach*, *Parnasiku*, *Ciechanowskich Zeszytach Literackich*, *Latarni Morskiej* oraz pismach regionalnych: *Tyglu* i *VariArcie*. Wydał – *Dramaty jednoaktowe, A jak Ajakos* (Elbląska Książka Roku 2011).

Jan Chłosta - dr nauk humanistycznych, wiceprezes Towarzystwa Naukowego im. Wojciecha Kętrzyńskiego, autor ponad 30 książek i 500 artykułów, poświęconych przeszłości Warmii i Mazur, w tym piśmiennictwu (*Warmia i Mazury w literaturze polskiej i niemieckiej w latach 1945-1995*) leksykonów (*Słownik Warmii*), prac o Wydawnictwie „*Gazety Olsztyńskiej*” i ludziach z nią związanych, wydawca wierszy i prozy M. Zientary--Malewskiej, ks. W. Barczewskiego, J. Liszewskiego, K. Frenszkowskiego oraz zbiorów wspomnień o ludziach regionu.

Marta Chmielińska-Jamroz - ur. w 1973 r. w Hajnówce na Podlasiu. Pracowała jako dziennikarka *Kuriera Porannego* i TV Podlasie. Jej teksty ukazywały się w *Niedzieli* i *Piśmie Kulturalnym*. Od 2010 roku mieszka w Malborku, współpracuje z *Dziennikiem Bałtyckim*, *Radiem Malbork*.

Barbara Chudzyńska - ur. w 1951 r. w Nowym Dworze Gdańskim. Emerytowany pracownik samorządowy, współzałożyciel Klubu Nowodworskiego i Towarzystwa Kulturalnego IWA, koordynator Społecznego Komitetu Walki o Powiat Nowodworski. Społeczny kustosz Muzeum Żuławskiego w latach 1997- 2010. Opiekun wolontariuszy, stażystów i pracowników muzeum. Nagrodzona za działalność kulturalną i ochronę dziedzictwa kulturowego Nagrodą Starosty Nowodworskiego (2006 r.) i Nagrodą Burmistrza Nowego Dworu Gdańskiego (2011 r.).

Rafał Cybulski - ur. w 1975 r., dziennikarz i felietonista, od 16 lat pracuje w prasie kwidzyńskiej. W latach 1998-2000 w *Kurierze Kwidzyńskim*, a od czerwca 2000 r., od pierwszego numeru, współtworzy *Kurier Powiatu Kwidzyńskiego*, który od 2001 roku jest lokalnym dodatkiem do *Dziennika Bałtyckiego*. Obecnie w kwidzyńskiej redakcji DB zajmuje stanowisko redaktora prowadzącego. Od kilku lat współpracuje również z „Telewizją Kwidzyńską”, gdzie komentuje mecze szczypiornistów MMTS Kwidzyn. Prywatnie wielki miłośnik sportu. Od ponad 20 lat jego amatorski zespół FC Bolek występuje w miejskich ligach w różnych dyscyplinach. Kiedyś święcił triumfy głównie w piłce nożnej, a dziś w... minigolfie.

Krzysztof Czermański - ur. w 1957 r. w Sztumie. Absolwent Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Gdańskiego, specjalność resocjalizacja oraz Studiów Podyplomowych w zakresie Zarządzania Jednostkami Penitencjarnymi na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W 1982 r. rozpoczął pracę w Zakładzie Karnym w Sztumie, najpierw jako strażnik, a później wychowawca. W latach 1992-2006 współorganizował kilkanaście edycji Ogólnopolskiego Przeglądu Sztuki Więziennej w Sztumie. Od 2002 roku był zastępcą dyrektora ZK w Sztumie, a od 2007 r. dyrektorem ZK w Kwidzynie. Od 2014 r. jest emerytem. Był organizatorem konferencji „Resocjalizacja przez sztukę - utopia czy szansa” (2001) oraz międzynarodowej konferencji „Twórczość więzienna w niektórych krajach UE” (2006). Artykuły zamieszczał m.in. w *Forum Penitencjarnym*.

Andrzej Grzyb – poeta, prozaik i publicysta urodzony w Żłym Mięsie na Kociewiu. Jest założycielem kilku stowarzyszeń społeczno-kulturalnych na Kociewiu. Laureat wielu nagród literackich, autor ponad 30 książek, tomików poezji, powieści, zbiorów opowiadań, baśni dla dzieci i reportaży. Mieszka w Czarnej Wodzie.

Grażyna Kamyszek – ur. w 1950 r. w Sztumie. Absolwentka LO w Sztumie. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim i studia podyplomowe z bibliotekoznawstwa. Pracowała jako bibliotekarka i nauczycielka języka polskiego w Postolinie i w Ustce. Autorka scenariuszy i realizatorka wieczorów poetyckich przybliżających twórczość H. Poświatowskiej, E. Stachury i K. K. Baczyńskiego – wystawianych na scenie Domu Kultury w Ustce. Współredaktorka wydania tomu poezji *Młode głosy* (1997 r.), promującego twórczość młodego pokolenia. Aktualnie na emeryturze. Mieszka w Ustce, a latem w Barcicach.

Andrzej Kasperek - ur. w 1958 w Stegnie. Prawie całe życie spędził na Żuławach. Po studiach na Uniwersytecie Gdańskim (seminarium Marii Janion), działalności w SKS, zakładaniu NZS i pracy w DKF „Żak” od czterech wieków oddaje się pracy nauczycielskiej w nowodworskim liceum. Autor tomu *Back in the DDR i inne opowiadania*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2010, który znalazł się w Finale Nagrody literackiej Gdynia 2011. Aktualnie opublikował książkę poświęconą inspiracjom malarskim w twórczości Jacka Kaczmarskiego pt. *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło Wschodnie*. W 2013 roku jako pierwszy tom *Biblioteki Prowincji* ukazała się „Koroncarka”. Mieszka w Nowym Dworze Gdańskim.

Alfred Kohn - ur. w 1960 r. w Makowie Mazowieckim. Animator i działacz kultury, poeta i redaktor. Opublikował tomiki poetyckie: *Pegaz załagodniał* i *(Nie)dzielne wiersze*. W latach 90 - tych był dyrektorem Sztumskiego Centrum Kultury. Od 1996 r. kieruje Gminnym Ośrodkiem Kultury w Tarczynie.

Arkadiusz Kosiński - ur. w 1989 r., od stycznia 2012 roku reporter kwidzyńskiego oddziału *Dziennika Bałtyckiego*. Wprawdzie pracuje w „papierze”, ale jak sam przyznaje, największą frajdę sprawia mu prowadzenie portalu kwidzyn.naszemiasto.pl. Miłośnik muzyki wszelakiej i pióra Chucka Palahniuka.

Waldemar Kowalski - z wykształcenia psycholog, pasjonat historii. Emerytowany funkcjonariusz Służby Więziennej (były zastępca dyrektora Aresztu Śledczego w Gdańsku). Obecnie pracownik Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Autor książek *Dwie strony krat. Z historii więzienia w Gdańsku* (2003) i *Sopocki Sierpień '80* (2010). Współautor szeregu prac zbiorowych o charakterze naukowych i licznych artykułów popularnonaukowych o charakterze historycznym i penitencjarnym. Wiceprzewodniczący Klubu im. gen. Stefana Roweckiego „Grotta” w Trójmieście, wiceprezes Stowarzyszenia „Nasz Gdańsk”, członek Rady Społecznej przy Pełnomocniku Terenowym Rzecznika Praw Obywatelskich w Gdańsku. Mieszka w Gdańsku

Maciej Kraiński – ur. w 1950 r. w Gdańsku. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu i Uniwersytecie Gdańskim. Współzałożyciel pisma literackiego *Litteraria*. Założyciel i pierwszy prezes Koła Młodych przy ZLP w Gdańsku. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 r. W latach 1999-2003 dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Gdańsku. Prezes i założyciel Stowarzyszenia Günthera Grassa. Pomysłodawca i współtwórca obchodów 80-tych urodzin noblisty w Gdańsku w 2007 r. W latach 2005-2006 współpracownik *Dziennika Bałtyckiego*. Współpracował także z miesięcznikiem *Punkt* i *Dziennikiem Londyńskim*. Wydał tomik poezji *Jelita* i współtworzył almanach poetycki *Nowy transport posągów*. Od 2009 roku tworzy Muzeum Tradycji Szlacheckiej w Waplewie Wielkim oddział Muzeum Narodowego w Gdańsku. W 2010 roku wydał książkę *Panowie na Waplewie*.

Andrzej C. Leszczyński - nauczyciel akademicki filozofii, eseista. Autor wielu publikacji z zakresu antropologii filozoficznej, estetyki i etyki. Ostatnio wydał: *Ojciec człowieka Szkice afiniczne*, Gdańsk 2012, *Owoc tamtego grzechu*, Gdańsk 2013. Prowadzi warsztaty ekspresji i komunikacji. Mieszka w Gdańsku.

Justyna Liguz - ur. w 1970 r. w Kwidzynie. Absolwentka Instytutu Historii i Archiwistyki UMK w Toruniu. W 2003 doktorat z historii na UMK. Od 2003 roku pracuje jako główny specjalista ds. pracowni regionalnej przy Kwidzyńskim Centrum Kultury w Kwidzynie, zajmując się popularyzowaniem lokalnej historii ziemi kwidzyńskiej. Od 2000 roku założycielka i prezes Kwidzyńskiego Towarzystwa Kulturalnego, a także redaktor naczelny kwartalnika kulturalno-historycznego *Schody Kawowe*.

Andrzej Lubiński - ur. w 1952 r. w Gniewie, Absolwent LO w Sztumie i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (historia). Zainteresowania - historia regionalna Pomorza i Powiśla. Publikacje w *Komunikatach Mazursko Warmińskich*, *Roczniku Elbląskim*, *Studiach Elbląskich*, *Z dziejów Sztumu i okolic*. Współautor książki *Bank Spółdzielczy w Sztumie 1910-2010*. Uczestnik i wykładowca kilku sympozjów naukowych. Mieszka w Sztumie.

Marta Antonina Łobocka - Prezes Stowarzyszenia „Kochamy Żuławy” oraz założycielka nieformalnego projektu „Kochamy Żuławy”. Organizatorka licznych wycieczek krajoznawczych, także po Żuławach. Pasjonatka fotografii. Magister turystyki i rekreacji. Z urodzenia Kaszubka, z zamieszkania Gdańszczanka, a z wyboru Żuławianka.

Małgorzata Łukianow – absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego. Pod kierunkiem prof. Cezarego Obrachta-Prondzyńskiego z Instytutu Socjologii UG napisała pracę magisterską na temat wielokulturowości Kwidzyna i wspomnień powojennych osadników.

Jan Przybysław Majewski – ur. 1924 r. w Łukowie, zm. 2014 r.. Absolwent Akademii Medycznej w Gdańsku, poeta. Pracował jako psychiatra w Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Starogardzie Gdańskim (Kocborowo). W poezji zadebiutował już jako młody chłopak, ale na dobre powrócił do niej na emeryturze. Publikował w *Słowie Powszechnym*, *Dzienniku Bałtyckim*, *Autografie*, *Dekadzie Literackiej*, *Toposie*. Jest autorem 8 zbiorów wierszy: *Wiersze starego psychiatry* (1992), *Berło z leszczyny* (1996), *Pan Pejzażu* (2000), *Podmiot i figura* (2002), *Pacierz biedronki* (2005), *Wiersze wybrane* (2007), *Wszystko było przy drodze* (2009) oraz *Z ziemi i z obłoków* (2012). Laureat kilku nagród. Ostatnio główna nagroda w edycji książki pomorskiej (poezja) za: *Z ziemi i z obłoków – XIV Kościerskie Targi Książki Kaszubskiej i Pomorskiej „COSTERINA 2013”*. Mieszka w Starogardzie Gdańskim.

Dorota Maluchnik – ur. w 1963 r. w Malborku. Absolwentka LO w Sztumie i teatrologii na UJ w Krakowie. Nauczycielka języka polskiego i angielskiego. Publikacje w *Regionach elbląskich*. Nagroda poetycka w 2001 w Kaliszu oraz amerykańskiego portalu citic` s award. Publicystka, tłumacz, krytyk teatralny. Mieszka w Sztumie.

Angela Murche-Kikut - ur. 1942 r. w Malborku. Dzieciństwo i młodość spędziła w rodzinnej Kalwie. Po wyjeździe do Niemiec ukończyła studia z zakresu dokumentacji we Frankfurcie nad Menem. W latach 1972 - 1983 zajmowała się archiwistyką i dokumentacją w różnych ośrodkach - ZDF w Wiesbaden oraz w Bibliotece Głównej Uniwersytetu w Bremie. Od 1983 roku współtworzyła i prowadziła polski Dział Archiwum i Biblioteki w bremeńskim Instytucie Badań Europy Wschodniej. Zajmowała się głównie gromadzeniem, opracowywaniem i udostępnieniem dokumentów i materiałów ukazujących się poza zasięgiem cenzury w Polsce w okresie od 1976 roku do wolnościowego przełomu 1989/90, publikacji związanych z działalnością NSZZ Solidarność, opozycji demokratycznej, niezależną twórczością literacką i naukową. Jest autorką katalogów założonych na podstawie zebranych w Archiwum materiałów tego zakresu, wśród nich opublikowane w Niemczech tomy - „Niezależne periodyki polskie 1976 – 1990” (1992) i „Druki zwarte w polskim Drugim Obiegu” (2008). Współpracowała z bremeńskim Instytutem do 2012 roku. Obecnie na emeryturze. Zainteresowana jest lokalną historią wsi powiślańskich i genealogią, zajmuje się podróżowaniem po świecie, ogrodem i wnukami. Mieszka w pobliżu Bremy.

Elżbieta Musiał, poetka, eseistka, malarka, publicystka. Należy do Związku Literatów Polskich oraz Związku Polskich Artystów Malarzy i Grafików. Stypendystka Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wydała tomiki poetyckie: *Miejsce na niebo* (1996), *Tatuaż z obłoków* (nagrodzony Świętokrzyską Premierą Literacką za 2001 r.), *Cień rzeki* (2004), *Plącz czajki. Wiersze i poemat* (2009) oraz 3 poematy: *Na śmierć zegarka przejechanego zimą przez samochód* (2008), *Na zdjęciu wciąż żyjemy* (2012); (wyróżnienie w konkursie na najlepszą poetycką książkę XXXV Międzynarodowego Listopada Poetyckiego) i *Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych* (2013). Autorka zbioru esejów *Poeta patrzy na kobietę* (2006) wzbogaconych reprodukcjami prac malarskich.

Janusz Namenanik - ur. 1952 r. w Dzierzgoniu. Absolwent Akademii Pomorskiej w Słupsku. W latach 1982–2003 był nauczycielem fizyki w szkole. Od 2003 roku na emeryturze. Autor licznych opracowań z zakresu dydaktyki fizyki, które w latach 1987 – 1993 publikowane były na łamach *Fizyki w Szkole*. Zdobył I miejsce w ogólnokrajowym konkursie na opracowanie dydaktyczne nt. Domowe zadania doświadczalne z fizyki. Od grudnia 2010 roku publikuje na łamach Dzierzgońskiego Informatora Samorządowego artykuły będące szkicami z dziejów Dzierzgonia. W 2013 roku opublikował *Historię Dzierzgonia*. Obecnie mieszka w Lęborku.

Karol Nawrocki ur. 1983 r. – historyk, absolwent Instytutu Historii Uniwersytetu Gdańskiego, pracownik naukowy Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Gdańsku. Od 1 stycznia 2014 r. pełni funkcję naczelnika OBEP. Badacz dziejów oporu społecznego przeciwko władzy komunistycznej. Autor m.in. monografii *Zarys historii NSZZ «Solidarność» Regionu Elbląskiego (1980–1989)*, opracowania źródłowego *Wokół elbląskiej «Solidarności»*. Dokumenty, współautor dwóch kolejnych pozycji książkowych: *Sprawa kwidzyńska 1982. Internowanie, pobicie, proces* oraz *Lechia-Juventus. Więcej niż mecz*. W swoim dorobku posiada również około trzydziestu publikacji o charakterze popularnonaukowym. Animator życia społecznego i sportowego w jednej z dzielnic Gdańska (od 2011 r. przewodniczący lokalnego samorządu). Poza historią interesuje się sportem oraz publicystyką.

Piotr Piesik - ur. w 1962 r. w Malborku. Przez dwadzieścia lat mieszkaniec Częstochowy, od 2009 roku ponownie w rodzinnym mieście. Absolwent nauk politycznych na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dziennikarz. Pracował m.in. w tygodniku *Wiadomości Elbląskie*, częstochowskim oddziale *Dziennika Zachodniego*, radio „City” i telewizji „Orion” w Częstochowie. W latach 2000 - 2003 redaktor naczelny dziennika *Życie Częstochowy*. Obecnie redaktor prowadzący oddziału *Dziennika Bałtyckiego* w Sztumie. Zainteresowania: muzyka, historia Żuław i Powiśla, marynistyka, sporty motorowe. Z zamiłowania chórzysta, śpiewa m. in. w chórze „Lutnia” w Malborku..

Janusz Ryszkowski - ur. w 1955 r. w Opaleniu. Absolwent Filologii Polskiej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. W latach 1984-2009 dziennikarz *Wieczoru Wybrzeża*, *Wiadomości Elbląskich* i *Dziennika Bałtyckiego*. Jako poeta debiutował w 1975 roku w *Nowym Wyrazie*, jako krytyk literacki trzy lata później na łamach *Nowych Książek*. Opublikował tomiki: *Wiersze* (1983), *Stan podgorączkowy* (nagroda im. Kazimierzy Iłłakowiczówny na najlepszy książkowy debiut 1985 roku), *Płatny romans*, *Prywatne śledztwo* (1992), *Do snu nie przemycisz domowych zapachów* (2001). Autor reportażu *Requiem dla hrabiego* (1997), *W podróży po ziemi sztumskiej* (2010), współautor albumów starych pocztówek oraz fotografii *Sztum-Stuhm* (2000) i *Odcienie szarości* (2003). Z Krystyną Błaszczyk-Ryszkowską przygotował antologię *Oko judasza* (2007), złożoną z prac literackich nadsyłanych od 1992 na Ogólnopolski Przegląd Sztuki Więziennej w Sztumie. Mieszka w Sztumie.

Leszek Sarnowski - ur. w 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego. Jako dziennikarz współpracował z *Gazetą Wyborczą*, *Dziennikiem Bałtyckim*, *Radiem Gdańsk*, *Radiem Plus*, *TVP Olsztyn*, *TVP Gdańsk*. Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Sztumie w 1989 roku. Redaktor naczelny *Sztumskiej Solidarności* i *Gazety Sztumskiej* w latach 1989-93. Wydawca i redaktor książki *Od „Solidarności”*

do społeczeństwa obywatelskiego (2005). Założyciel Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie, pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika *Prowincja*. Obecnie dyrektor Departamentu Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Miejskiego w Elblągu. Mieszka w Sztumie.

Teodor Sejka - ur. w 1943 r. w Beskidzie Niskim na Łemkowszczyźnie. Absolwent sztumskiego LO. Nauczyciel rusycysta. Doktorat na Uniwersytecie Gdańskim w 1984 r. na temat rosyjskiej prozy lirycznej. Artykuły w *Slavia Orientalis*, *Rycerzu Niepokalanej* i *Dzienniku Bałtyckim*. Mieszka w Sztumie.

Mariusz Stawarski - ur. w 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Od 1990 roku mieszka i pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach – Grand Prix Satyrykonu 1998, Secend Prize Istanbul - Turcja. Mieszka w Malborku.

Marek Stokowski - ur. w 1957 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Kustosze w Muzeum Zamkowym w Malborku. Prowadzi unikalne w skali kraju gry edukacyjne i przygodowe dla młodzieży i dorosłych. Autor książek beletrystycznych i edukacyjnych. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał m.in. *Dzień nad ciemną rzeką* (1996), *Sny dla dorosłych i dla dzieci* (1998), *Legends i opowieści zamku Malbork* (2002, 2005), *Krzyżacy, ich państwo i zamki* (2003), *Błazen* (2004), *Noc tajemnic* (2005), *Samo-loty* (2005), *Stroiciel lasu* (2010). Mieszka w Malborku.

Boğumil Wiśniewski - ur. w Kwidzynie. Ukończył archeologię o specjalności architektura zabytków na UMK w Toruniu. W latach 1994 – 98 był radnym Rady Miejskiej w Kwidzynie, a od 2001-2 zastępcą burmistrza Kwidzyna. Znawca i miłośnik Kwidzyna i okolic. Obecnie pracuje w Urzędzie Miejskim w Kwidzynie. W 2006 r. zainspirował poszukiwania doczesnych szczątków błogosławionej Doroty z Mątów Wielkich oraz poszukiwania w kwidzyńskiej Katedrze p.w. św. Jana Ewangelisty, pochówków trzech wielkich mistrzów Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Szczątki średniowiecznych dostojników zakonnych - jedynych w Europie – ostatecznie, a także miejsce pochówku bł. Doroty odkryto w 2007 roku. Mieszka w Kwidzynie.

Wirginia Węglińska – ur. w 1987 r. w Nowym Dworze Gdańskim. Politolog, obecnie studentka historii na Uniwersytecie Gdańskim. Od 2009 r. pracuje w Dziale Oświatowym Muzeum Stutthof w Sztutowie. Jest przewodnikiem, zajmuje się szeroko pojętą edukacją, przeprowadza wywiady z byłymi więźniami, interesuje się życiem kulturalnym oraz muzyką w obozach koncentracyjnych. Od 2010 r. aktywnie współpracuje z młodzieżowymi ośrodkami wychowawczymi oraz specjalnymi ośrodkami szkolno-wychowawczymi na rzecz resocjalizacji osób niedostosowanych społecznie.

Jacek Zwolak



